

MICHEL
BUSSSI

Nie
puszczaj
mojej
dłoni

Świat Książki

MICHEL
BUSSI

Nie puszczaj
mojej dłoni

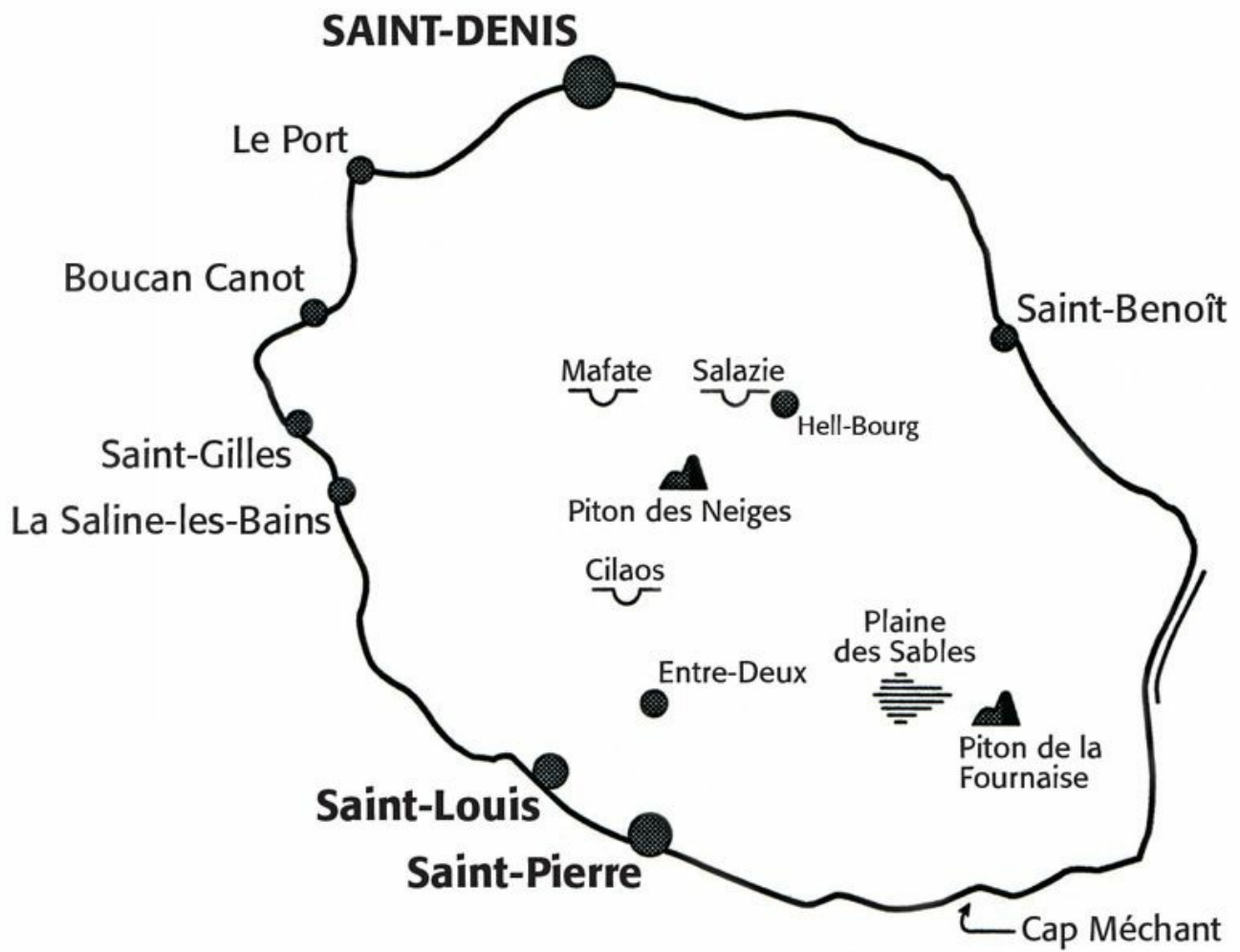
Z francuskiego przełożyła
Krystyna Sławińska


Świat Książki

Dla Chloé, już 18 lat

Fé lève lo mort...

(NIEBEZPIECZNIE JEST WSKRZESZAĆ PRZESZŁOŚĆ,
prysłowie z wyspy Reunion)



10 km

Wyspa La Réunion

SAINT-GILLES-LES-BAINS
WYSPA REUNION

Piątek 29 marca 2013

1

ŚLADY MOKRYCH STÓP

Godzina 15.01

– Idę na chwilę do pokoju.

Liane nie czeka na odpowiedź, po prostu informuje córkę i męża, pogodna, rozpromieniona, i odchodzi w stronę hotelu.

Stojący za barem Gabin wie o niej z wzrokiem z zawodową dyskrecją. W tym tygodniu Liane jest najpiękniejszą kobietą w hotelu Alamanda. To nawet mało powiedziane... Jednak nie należy do tego rodzaju turystek, które Gabin zazwyczaj lubi obserwować. Niewysoka, bardzo szczupła, prawie bez piersi, ale ma w sobie jakąś klasę. Jej skóra jest jeszcze jasna, może z kępką małych piegów pojawiających się dopiero w dolnej części pleców, tuż nad szmaragdowo-złotym kostiumem. No i ten drobny tyłeczek, który się oddala z lekkim kołysaniem jak owoc poruszany wiatrem. Wydaje się, że dziewczyna, stawiając boscie stopy na trawie, nie narusza najmniejszego źdźbła. Gabin nie spuszcza jej z oczu aż do patio, za białymi leżakami, gdzie ta znika za chudą palmą. Ostatnia scena, jaka pozostała mu w pamięci, o czym powie później pani komisarz Purvi, to moment, gdy kobieta dyskretnie ściąga górną część kostiumu; ulotny widok seksownych nagich pleców, białej piersi, połowy sutka przez krótką chwilę, gdy chwytła duży ręcznik z obrazkiem zachodzącego słońca i owija się nim.

15.03

Naivo tkwiący w recepcji za mahoniową ladą odwzajemnia, tak jak potrafi, wilgotny uśmiech Liane.

– Dzień dobry pani...

Liane wchodzi do zapełnionego holu, idzie pomiędzy stojakiem z widokówkami a wieszakiem z różnymi sarongami i koszulami w kwiaty. Jej blond włosy

ociekają wodą na ręcznik sięgający powyżej piersi. Młodemu Naivowi podobają się jej ramiona bez ramiączek, bez śladów opalenizny, białe. Kobieta stąpa delikatnie, aby się nie pośliznąć, jest bosa. W zasadzie jest to zabronione, ale Naivo nie będzie przecież dręczył gości zakazami. Woda sączy się po nogach dziewczyny. Chwilę później Liane znika w korytarzu prowadzącym do windy, zostają tylko mokre ślady. Jak Amelia, kiedy rozplywa się we łzach – pomyślał Naivo w tym momencie. Nie wie dlaczego. I potem zawsze tak będzie myślał. Godzinami, nocami będzie torturował swoją pamięć. Dziewczyna się ulotniła, dosłownie. Ale Naivo nie odważy się powiedzieć o tym policji. Gliniarze czegoś takiego na pewno nie zrozumieją.

15.04

Winda wchłania Liane. Drugie piętro. Winda wjeżdża do raję, otwiera się na oszklony korytarz z niezwykłym widokiem na basen od strony południowej, a dalej na plażę Ermitage. Zanurzony pod bukowcami, długi złocisty rogalik ciągnie się niemal w nieskończoność, podskubywany przez nieśmiałe fale laguny, uspokajane koralową barierą pohukującą z oddali.

– Proszę uważać, podłoga jest mokra! – woła Eve-Marie w kierunku windy, zanim zobaczy, kto z niej wysiądzie.

Eve-Marie robi kwaśną minę. To ta blondynka z pokoju 38! Oczywiście boso. Dziewczyna owinięta żółtym ręcznikiem zgrywa onieśmiałe niewiniątko, udawaczka wobec niższego personelu. Idzie na czubkach palców, skrajem korytarza, jakiś metr od kubła i ścierki, i ciągle przeprosza.

– Nie szkodzi – gdera Eve-Marie, opierając się na kiju od szczotki do mycia podłóg. – Proszę przejść, umyję jeszcze raz.

– Bardzo przepraszam... naprawdę...

– No już trudno – komentuje Eve-Marie pod nosem.

Blondyna odchodzi, kręcąc tyłkiem jak baletnica na pointach, w obawie, że poślizgnie się na mokrej posadzce. Nadałaby się raczej do jazdy figurowej na łyżwach niż do baletu w operze – snuje rozważania Eve-Marie. Skoczyć potrójnego axla w trzydziestostopniowym tropikalnym upale to dopiero by było coś! Pod okiem sprzątaczkę ślicznotka opanowuje ostatni poślizg i staje przed pokojem numer 38. Wsuwa klucz do dziurki, wchodzi, znika.

Pozostaje po niej jedynie odbicie mokrych stóp na lśniącej czystości posadzce.

Ślady znikają tak, jakby zimne kafle wessały resztę tej dziewczyny, na samym końcu zaś stopy. Coś w rodzaju ruchomych piasków high-tech – myśli dziwacznie Eve-Marie. Wzdycha, samotna w przestronnym oszklonym korytarzu. Musi jeszcze odkurzyć obrazy na ścianach, akwarele przedstawiające górskie widoki Reunionu: małe wioski, pierwotny las, najpiękniejsze zakątki wyspy, nietknięte stopą turysty. Posadzka i hol na pewno zajmą jej jeszcze całe popołudnie. Zwykle, gdy minie pora sjesty, na piętrze panuje już spokój. Nikt nie wchodzi na górę, wszyscy są na basenie albo nad laguną. Oprócz tej młodej ślicznotki...

Eve-Marie zastanawia się, czy przetrzeć ślady stóp dziewczyny. Na pewno za chwilę wyjdzie w innym staniku, bo w tamtym trudno się opalić.

MELANCHOLIA

Godzina 15.31

Rodin ma jedno ulubione zajęcie – obłaskawiać fale.

Wyłącznie wzrokiem.

Wbrew temu, co sądzą pijaczki z portu Saint-Gilles, to nie jest łatwa sprawa. Wymaga czasu. Cierpliwości. Przebiegłości. Nie pozwolić się zdekoncentrować, jak na przykład tym trzaskiem drzwi z tyłu. Nigdy nie patrzeć w ziemię, zawsze w horyzont.

Ocean to coś szalonego. Kiedyś, gdy jeszcze był młody, Rodin poszedł do muzeum. No, coś w rodzaju muzeum. W północnej Francji, niedaleko Paryża, taki dom jednego starca, który przez cały dzień wpatrywał się w odbicie promieni słońca w sadzawce, wcale nie było tam fal, tylko nenufary. W kraju, w którym zawsze jest zimno, gdzie jak tylko człowiek stanie, sięga nieba. To jedyny raz, gdy opuścił wyspę. I nie ma ochoty tego powtarzać. W muzeum obok domu były obrazy: pejzaże, zachody słońca, szare niebo, czasem też morze. Najbardziej okazałe miały dwa metry na trzy. Było tam mnóstwo ludzi, zwłaszcza kobiet, starych kobiet, które godzinami przesiadywały przed jednym obrazem.

Dziwne.

Znowu odgłos zamykanych drzwi samochodowych, z tyłu. Tak na ucho, z portowego parkingu, jakieś trzydzieści metrów od końca pomostu, gdzie właśnie siedzi na swoim głazie. Na pewno jakiś turysta, któremu się wydaje, że złapie fale aparatem fotograficznym, jak rybak, który ma nadzieję, że złowi rybę, zarzucając wędkę na krótką chwilę. Co za głupcy...

Ponownie powracają myśli o tym szalonym brodaczu. Właściwie to malarze są tacy jak on, Rodin, usiłują złapać światło, fale, ruch. Ale po co taszczyć ze sobą płótna i pędzle? Wystarczy usiąść tutaj, na samym brzegu morza, i patrzeć. Dobrze wie, że wyspiarze mają go za pomyleńca, bo tak siedzi całymi dniami i wpatruje się w horyzont. Na pewno nie jest głupszy niż te staruchy przed obrazami. Na pewno

nie tak głupi. Ma darmowe widowisko. Jakby zesłane przez genialnego, wielkodusznego malarza, tam w górze.

Stłumiony krzyk rozcina ciszę, gdzieś z tyłu. Coś jak skowyt... Pewnie turysta źle się poczuł...

Rodin się nie odwraca! Aby zrozumieć morze, uchwycić jego pulsowanie, trzeba trwać nieruchomo. Ledwo oddech. Fale są jak płochliwe wiewiórki, gdy tylko się poruszy, one już uciekają... Panienska z urzędu zasiłków dla bezrobotnych spytała go, jakiej pracy szuka, jakie ma zdolności, gdzie chciałby się zatrudnić, jakie ma umiejętności. Wy tłumaczył jej, że potrafi rozmawiać z falami, rozpoznawać je, w pewnym sensie oswajać. Zapytał tę panienskę, bardzo poważnie, jaki zawód mógłby wykonywać z tymi umiejętnościami. Może mógłby zajmować się badaniami? A może coś w kulturze? Takie dziwne rzeczy interesują ludzi. Popatrzyła na niego okrągłymi oczami, jakby myślała, że sobie z niej żartuje. Była całkiem miła, chętnie zabrałby ją na groblę, mógłby jej zaprezentować fale. Często zabiera tam dzieci swoich siostrzeńców. One to rozumieją. Tak trochę.

Coraz mniej.

Krzyk wybucha mu za plecami. Tym razem to już nie skowyt. Wołanie o pomoc, wyraźne.

Niemal odruchowo Rodin się odwraca. Magia i tak jest już przerwana, potrzeba paru godzin, żeby na nowo wejść w duchową więź z morzem.

Rodin blednie.

Zdąży jeszcze dostrzec samochód, czarną terenówkę. I ciemną sylwetkę, przysadzistą, niemal szerszą niż wyższą, ubraną w tunikę, z twarzą zasłoniętą dziwną czapczką w kolorze khaki. Nie ma najmniejszej wątpliwości, to jakiś Malbar.

Rodin coś bełkocze. Kiedy spędza za dużo czasu z falami, słowa nie od razu się tworzą, potrzeba dłuższej chwili, aby na nowo nauczyć się mówić.

– Przeprasz... Chciał...

Nie może oderwać wzroku od noża w ręku Malbara, od czerwonego ostrza. Nie wykonuje żadnego ruchu obronnego. Jedyne ruchy, na jakie chciałby mieć czas, to jeszcze raz odwrócić się w stronę morza i pożegnać się z falami, ze światłem, z horyzontem. Reszta go nie obchodzi. Ale Malbar nie pozostawia mu takiej możliwości.

Rodin widzi jeszcze otwarty bagażnik terenowego auta. Zwisające prześcieradło.
Wystającą rękę. A także...

Wszystko się zapada.

Jedna ręka chwyta go za ramię, podczas gdy druga wbija mu nóż w samo serce.

PUSTY POKÓJ

Godzina 16.02

Słońce zawisło nad basenem jak wielka halogenowa żarówka umieszczona tam na wieczność. Dobrze zaplanowany labirynt palm i tropikalnych nadmorskich drzew o aksamitnych, filcowatych liściach, ogrodzony z trzech stron wysokim tekowym murem, chroni ten zamknięty teren przed najdrobniejszym podmuchem wiatru. Ocean wyczuwa się po szybowaniu faetonów, dalekim chłodnym powiewie pasatu. Jednak w ogrodach hotelu Alamanda, na kwadratowym gazonie, panuje nieruchomy skwar, nieliczni turyści uciekają stąd do chlorowanej wody, a potem do ocienionych zakątków z rzędami leżaków.

– Idę zobaczyć, co robi Liane.

Martial potwierdza swoje słowa czynem. Wychodzi z basenu, podciągając się na rękach. Gabin widzi, jak idzie w jego kierunku. On też jest niczego sobie, ten mąż Liane, umięśnione nogi, dobrze wypracowane mięśnie brzucha, szerokie ramiona. Mógłby być nauczycielem wuefu albo strażakiem, albo gliniarzem, wszystko jedno, kimś takim, komu płaci się za spędzanie całych dni na siłowni. Nieskazitelnie opalony, przeciwieństwo mlecznobiałej cery żony. Są tu niecały tydzień, a on już wygląda jak Murzyn... Piękny Martial na pewno ma w sobie kroplę czarnej krwi, jeden tyci chromosom od przodka niewolnika, pigment w uśpieniu, który tylko czeka na odrobinę słońca, aby się odrodzić i przesączyć jak kropla błękitnego curaçao wystarczająca do zabarwienia koktajlu.

Gdy Martial idzie w kierunku baru, Gabin obserwuje wodę ściekającą po jego gładkim ciele bez zarostu. Martial i Liane Bellionowie to piękna para turystów, którzy fundują sobie słodkie *far niente* w tropikach. Seksowni i bogaci, szczęściarze – myśli Gabin. No ale... coś za coś... Szczęście białych par, zakochanych i zamożnych, to najważniejszy element wakacyjnych pobytów zwanych rajskimi.

Ten cały biznes...

Martial staje przed nim.

– Gabin, czy moja żona zeszła na dół?

– Nie, nie widziałem jej...

Gabin spogląda na zegar wiszący z tyłu za nim. Liane poszła na górę dobrą godzinę temu. Jest pewien, że zapamiętałby, gdyby jej tyłeczek ponownie ukazał mu się przed oczami. Martial odwraca się, robi krok do przodu, w stronę ciał moczących się w basenie.

– Margaux, możesz popilnować Sofy? Pójdę zobaczyć, co robi Liane.

Gabin zapamiętuje tę scenę, każdy jej szczegół, z dokładnością, której sobie w tej chwili nie uświadamia. Czas, co do minuty. Pozycje ciał w wodzie i tych siedzących lub leżących na leżakach. Policja każe mu to powtarzać dziesięć razy, podpierając się szkicami. Ani razu nie popłącze się w zeznaniach.

Margaux nieznacznie odwraca się do Martiala, pokonuje kolejną długość basenu; Margaux należy do innej pary turystów, jest żoną Jacques'a, adwokata, który właśnie coś czyta, leżąc na szezlongu. Albo śpi.

„Pani komisarz – będzie się tłumaczył Gabin – wie pani, przez te jego okulary przeciwsłoneczne...”

Margaux i Jacques Jourdainowie to już nie tak olśniewająca para jak Liane i Martial, starsi o co najmniej dziesięć lat. I okropni nudziarze. On spędza czas w holu na odczytywaniu e-maili w komputerze. Ona bez końca przepływa całą długość basenu. Kilometry. Podzielone przez dwanaście metrów od brzegu do brzegu, dają jakiś szalony wynik... To gorsze niż mały tenrek zamknięty w pudełku przez chłopaków z Les Hauts. Państwo Jourdain się nudzą, nawet w tropikach. A co dopiero w Paryżu, Gabin nawet nie chce sobie tego wyobrażać...

Sofa to córka Liane i Martiala. Mówią na nią Sofa, ale jej prawdziwe imię brzmi Josapha. Stroi miny w basenie tak, jakby miała się utopić z nadmuchanymi motylkami na rękach. Gabin już pierwszego dnia zorientował się, co za tyrański charakterek ma ta mała blondynka, zupełnie jakby jej jedynym zadaniem na wakacjach było psucie urlopu rodzicom. To zapewne dziecko z tych nadmiernie utalentowanych. Ma trochę ponad sześć lat, a już taka zblazowana. Ile paryżanek w jej wieku zakosztowało kąpieli w trzydziestostopniowej wodzie, w cieniu rzewni, obok świecących koralu i ryb błazenek, które przepływają człowiekowi między palcami u nóg?

Podczas gdy Gabin roztrząsa w myślach problem rozpieszczonej jedynaczki, Martial wchodzi do hotelu.

16.05

Naivo zapamięta jedynie plecy Martiala Belliona czekającego na windę. Musiał odwrócić się, gdy Bellion przeszedł przez hol, a może był pogrążony w rachunkach. Jednak nie ma wątpliwości, to był on. Takie same plażowe spodenki, takie same plecy, takie same włosy. Nie będzie łatwo wytłumaczyć policji, że owszem, można rozpoznać człowieka od tyłu, z całą pewnością.

16.06

– Proszę, proszę, można przejść! – wykrzykuje Eve--Marie do Martiala, który zawahał się na widok świeżo wymytej posadzki. – Już wyschło!

Przez krystalicznie czyste szyby drugiego piętra Martial zerka na hotelowy ogród. Sofa siedzi nad basenem, sama. Margaux zerka na nią co trzeci wymach rąk w wodzie. Martial wzdycha i rusza w kierunku pokoju 38.

Lekko puka w ciemne drewniane drzwi. Czeka. Puka jeszcze raz. Kilka chwil później odwraca się i wyjaśnia Eve-Marie, która o nic nie pyta:

– Moja żona ma klucze... Chyba nie słyszy. Pójdę do recepcji, żeby mi otworzyli...

Eve-Marie wzrusza ramionami. Co ją to obchodzi. Już wyschło.

Martial zjawia się po kilku chwilach, za nim Naivo odgrywający świętego Piotra z ogromnym dzwoniącym pękiem kluczy w ręku. Eve-Marie unosi w górę zrezygnowany wzrok. Naprawdę, dzisiejsze popołudnie na jej korytarzu to jakaś maskarada! Naivo jest dobrze zorganizowanym portierem, pierwszym wybranym kluczem otwiera pokój nr 38.

Martial wchodzi. Naivo stoi w progu, metr za nim.

Pokój jest pusty.

Martial robi krok do przodu, jest zdezorientowany.

– Nie rozumiem. Liane powinna tu być...

Naivo opiera dłoń o futrynę. Dreszcz przenika mu rękę. Coś jest nie tak, od razu to poczuł. W czasie gdy Martial przetrząsa wzrokiem nieliczne zakątki pokoju, Naivo sonduje spojrzeniem każdy szczegół. Podwójne łóżko, na którym leży zwinięta w kłęb różowa kołdra. Porozrzucane części garderoby. Poduszki i piloty

na podłodze. Na stoliku z drzewa żelaznego przewrócony jasny szklany wazon. Wszystko razem wskazywałoby na gwałtowną scenę małżeńską.

Albo na namiętne swawole kochanków, Naivo usiłuje myśleć pozytywnie.

Martial otwiera drzwi łazienki, cały w nerwach.

Nikogo.

Ani tu, ani nigdzie indziej. Nie ma balkonu, żadnej przestrzeni pod łóżkiem, gdzie można by się schować, nie ma zamkniętej szafy, jedynie drewniane półki.

Martial usiadł na łóżku. Struchlały, bezradny. A jednak, co dziwne, Naivo mu nie wierzy. Nie będzie umiał wyjaśnić tego policjantom, ale w reakcji Belliona jest coś, co wydaje się nienaturalne. Naivo opíše tylko scenę pani komisarz Purvi, opowie o tym czterdziestoletnim ojcu rodziny, czarującym, pewnym siebie, który załamuje się jak dziecko, zastając pusty pokój. Znieruchomiały na łóżku playboy w kąpielówkach. Być może to właśnie wydało mu się tak kuriozalne. Ten kontrast...

Kontrast... i czerwone plamy.

Skronie Naiva wilgotnieją od potu.

Czerwone plamy zabarwiają pościel na łóżku.

Naivo szeroko otwiera oczy. Wiele innych czerwonych plam pokrywa beżową wykładzinę wokół łóżka, pod oknem, zasłony też są poplamione. Naivo nic nie mówi. Widzi już tylko pokój zbryzgany krwią.

Niezdecydowanie.

Scena przedłuża się, choć trwa zaledwie kilka chwil. Martial oprzytomniał, kręci się w kółko, przerzuca ubrania na łóżku, tak jakby szukał jakiegoś wyjaśnienia, wskazówki, jakiegokolwiek śladu. Naivo czuje przez ramię spojrzenie Eve-Marie. Podeszła bliżej, dla pretekstu ze ścierką w rękę, kawałkiem materiału tego samego turkusowego koloru co chustka na jej włosach.

Martial wstaje, odzywa się wreszcie bezbarwnym głosem, jednocześnie odstawiając wazon na drewnianą półkę.

– Nic nie rozumiem. Liane powinna tu być...

Spojrzenie Naiva pada na ubrania zwinięte w kłębek i rzucone obok łóżka. T-shirty, krótkie spodnie, koszule.

Wyłącznie męskie ciuchy!

W mózgu Naiva natychmiast otwiera się klapka i wywiewa jego chorobliwe

domysły.

Ślicznotka się ulotniła...

Naivo może zaświadczyć jako ekspert, Liane Bellion przebiera się niemal co godzinę w inną sukienkę, chyba równoległe z lotem liniami Corsair wysłała kontener ciuchów, który przypłynął do portu Pointe des Galets. A jednak w zdemolowanym apartamencie nie ma najmniejszego śladu koronkowych majtek, spódniczek, pareo, obcisłych bluzeczek czy skąpych staniczków...

Naivo odzyskał oddech. Zapomniał o krwi.

– To niemożliwe – twierdzi Martial, po raz kolejny lustrując dwa metry kwadratowe łazienki.

– Panie Bellion – odzywa się Naivo. – Mogę coś dla pana zrobić?

Martial momentalnie się odwraca, mówi szybko, tak jakby z góry miał przygotowaną odpowiedź i nauczył się jej na pamięć.

– Wezwać policję! Moja żona powinna być w tym pokoju. Poszła na górę godzinę temu. I nie wyszła.

Trzaska drzwiami do łazienki i powtarza:

– Tak, może pan coś zrobić. Przyprować tu policję.

Naivo rutynowo powściąga wyraz niepokoju na twarzy. Sprowadzić mundurowych do hotelu... Bez dwóch zdań, szef nie będzie skakał z radości. Zważywszy na wirus chikungunya i cenę tysiąca euro za lot z Paryża do Saint-Denis, turystyka na wyspie nie ma się za dobrze. I do tego jeszcze zaaplikować nielicznym letnikom obecność gliniarzy na basenie. Indywidualne przesłuchania każdego z hotelowych gości... Nie, i te mrugające policyjne koguty, szef na pewno nie będzie zadowolony. Niemniej jednak nie ma wyboru.

– Oczywiście – Naivo słyszy swój głos. – Już schodzę. Zaraz dam panu numer.

Jego spojrzenie napotyka wzrok Eve-Marie, rozumieją się bez słowa, potem po raz ostatni spogląda na Martiala. Mężczyzna przypomina mu dzikie zwierzę krążące po klatce. Klimatyzacja sprawia, że każdy jego mięsień drży jak u surfera zbłąkanego gdzieś na Morzu Bałtyckim.

– Powinien pan coś na siebie włożyć.

Ledwo to usłyszał.

– To... to coś nienormalnego – mówi cicho Martial Bellion. – Liane powinna tu być.

POWRÓT DO ALAMANDY

Godzina 17.07

Pani komisarz Aja Purvi przeklina, wciskając pedał hamulca w peugeocie 206. Tuż przed tunelem przy Cap la Marianne jeden z pasów nadmorskiej drogi jest zagrodzony niekończącym się rzędem pomarańczowych stożków.

Roboty drogowe!

Wjazd do tunelu podobny jest do gigantycznej czarnej paszczy wchłaniającej z denerwującą opieszałością sznur różnokolorowych puszek. Peugeot jedzie powoli kilkadziesiąt metrów, po czym zatrzymuje się za autem terenowym, w tej samej linii co czerwony pick-up.

Aja patrzy na zegar obok kierownicy. Denerwuje się.

Ile czasu potrwa przebycie ośmiu kilometrów dzielących ją od hotelu Alamanda? Trzydzieści minut? Godzinę? Może dłużej?

Rozwścieczona, obserwuje fale Oceanu Indyjskiego, rozbijające się o skalny szczyt, który – jak mówią – podobny jest do profilu Marianny. Taaak... Aja nigdy nie rozpoznała ikony republiki w tej bryle bazaltu, którą raczej powinno się wysadzić dynamitem, niż wydawać miliardy na Route des Tamarins, kilkaset metrów powyżej, drogę, która wykoślawia pejzaż, a i tak nie przyczyni się do polepszenia organizacji ruchu na wyspie. Podtrzyma tylko złudzenie mieszkańców Reunionu, że można rejestrować coraz więcej samochodów, co roku nowe trzydzieści tysięcy, i tak w nieskończoność. Trzeba jednak zdać sobie sprawę z jednego: Reunion jest górą wyłaniającą się z oceanu. Prawie cała populacja tłoczy się na brzegu morza i wszyscy przemieszczają się samochodami po wąskim pasie, mniej więcej płaskim, pomiędzy oceanem a podstawą wulkanów, jeżdżą w kółko, tak samo wolni jak protony w cyklotronie. Retarder cząstek, Reuniończycy testują nowe rozwiązanie.

Aja z rezygnacją wyłącza silnik. Facet z wysokości pick-upa stojącego obok przygląda jej się natarczywie. Czarny, którego ręka wystaje z białego T-shirtu

i zwisa przez opuszczoną szybę. To też Aję denerwuje. Gdyby wzięła policyjnego jumpera albo przynajmniej koguta na dach peugeota, pokonałaby nadmorską drogę w kilka minut, samochody rozstępowałyby się przed nią jak morze przed prorokiem i także ten Murzyn, który wykręca szybę, aby głębiej zanurzyć wzrok w jej piersiach, zjechałby na bok... Odruchowo Aja wyżej zapina bluzkę. Przez takich typów ma nieraz ochotę nosić kwef. Tylko po to, żeby im zrobić na złość.

W trzydziestostopniowy upał czador albo chociaż czapkę z daszkiem...

Albo kepi...

Dyrektor hotelu Alamanda, Armand Zuttur, bardzo nalegał... Stanowczo!

„Dyskretna interwencja, Aju, żebyś tylko nie wystraszyła gości hotelowych!”.

Ta francuska gruba ryba, dyrektor hotelu, mówi do niej „ty” pod pretekstem, że znał ją, kiedy była małym dzieckiem i towarzyszyła rodzicom w Alamandzie. Sentyment od upokorzenia dzieli czasem subtelna granica, Aja nie jest naiwna.

„To sprawa prywatna, rozumiesz, Aju, nie oficjalne dochodzenie. Martial Bellion nie chce wnosić skargi, przyjedziesz i uspokoisz go w sprawie żony, proszę cię o to jak o zwykłą przysługę, po prostu”.

Przysługę? Incognito? A cóż to znowu... Jak tu odmówić? Branża turystyczna to osiemdziesiąt procent zatrudnienia w Saint-Gilles. Hotelarstwo to dwieście miejsc pracy... W samym hotelu Alamanda trzydzieści.

Jak twierdzi Armand Zuttur, nie ma co panikować, to przecież pospolite zdarzenie, parka z Paryża, kobieta wyniosła się z walizeczką, mąż został sam jak palec nad basenem z sześćioletnim dzieckiem na głowie.

„Dziwaczna sprawa, co, Aju? Gdyby to spotkało zwyczajnego Kreola, tylko byśmy się uśmieśli. Nawet miejscowego Francuza. Ale turystę... A poza tym mąż neguje oczywistość, ptaszek wyfrunął, a on się uparł, żeby zawiadomić policję, żeby przyjechała, i to natychmiast... Rozumiesz coś z tego...?”.

Aja rozumie. Pani komisarz policji z Saint-Paul przybywa więc jak strażak przy pierwszym pomruku wulkanu Fournaise...

Drętwota w ruchu samochodowym późnym popołudniem. Martwa pora, nikt nie wyjeżdża z tunelu ani do niego nie wjeżdża. Aja wzdycha i nerwowym ruchem opuszcza szybę po stronie kierowcy. Ciężkie powietrze, ani krzty wiatru. Melodia segi spływa na znieruchomiały sznur aut, dobywa się z głośników w pick-upie. Czarny wystukuje palcami z sygnetami rytm muzyki kreolskiej, czekając zapewne, aż spiker Radia Freedom dokładnie wyłuszczy kilometry korków na wyspie i wyraźnie powie dla podniesienia wyspiarzy na duchu, że nie istnieje tu żaden

objazd.

Aja odchyła głowę na oparcie fotela. Ma ochotę zostawić tu furę i resztę drogi przejść pieszo. Czarny najwidoczniej nie przejmuje się korkiem, nawet chyba jest zadowolony. Ma muzykę, słońce, morze... i dziewczynę do przygruchania.

Tak jakby nie miał nic lepszego do roboty.

17.43

Martial Bellion stoi twarzą w twarz z Ają Purvi. Jest bardzo blady – zauważa pani komisarz. Ona kisiła się godzinę w słońcu, z tyłkiem przyklejonym do obitego skajem siedzenia w peugeocie, ale to on oblewa się strugami potu pomimo klimatyzacji w hotelowym holu. Gdy weszła, wstał z plastikowego fotela imitującego rattan.

– Komisarz Purvi?

Miał otwarte usta, jakby usiłował głębiej oddychać, tak jak egzotyczne ryby w akwarium za nim.

– Ja... przepraszam, że panią niepokoję, pani komisarz. Przypuszczam, że dla policji takie zniknięcie może wydawać się... bardzo banalne... Ale... jak to powiedzieć... Przepraszam panią, szukam odpowiednich słów... Pod pozorami... kryje się...

Aja przybiera postawę współczującą, podczas gdy Martial ociera spocone czoło połą rozchełstanej koszuli. W jednym zdaniu Bellion już dwukrotnie przeprosił. Wydaje jej się dziwne to poczucie winy, zwłaszcza że kontrastuje z jego wyglądem ślicznego chłopaka, z jego doskonale umięśnioną klatką piersiową, prześwitującą przez koszulę firmy Blanc du Nil. Dlaczego czuje się aż tak winny?

Bellion bierze haust powietrza tak, jakby bił rekord świata w bezdechu, po czym przystępuje do rzeczy:

– Pani komisarz, powiem inaczej, będzie prościej. Nie jestem głupi, spodziewam się, że wszyscy pomyślą, że moja żona po prostu mnie zostawiła. To jasne... Na wyspie nie brakuje pokus. Proszę posłuchać, z pewnością nie o to chodzi... Nie odeszłaby ot tak... Nie wyjechałaby bez córki... Nie bez córki...

W pewnym momencie Aja przerywa wątpliwości Martiala.

– Dobrze, panie Bellion. Nie musi się pan tłumaczyć, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Dobrze pan trafił, Armand Zuttor bardzo troszczy się o swoich klientów. Tutaj działanie policji wchodzi w zakres usług proponowanych przez

hotel. Dla zapewnienia bezpieczeństwa gości, rozumie pan. Przeprowadzę dochodzenie w sprawie zniknięcia pańskiej żony, zapewniam pana, z pełną dyskrecją...

– Chciałaby pani...

Lniana koszula lepi się do ciała Martiala. Jest przezroczysta. Aja uśmiecha się i odwraca wzrok w stronę żółtej ryby chirurga, która udaje grubą rybę w akwarium. Wciąż coś intryguje Aję w sposobie bycia tego turysty.

– Proszę pana, dzisiaj jest już późno, ale proszę jutro przyjść do komisariatu w Saint-Gilles, aby oficjalnie zgłosić zniknięcie żony. Poprosimy też pana o dokumenty tożsamości, a także o pewne informacje natury formalnej. I wtedy zobaczymy, co mogę zrobić. Ma pan może zdjęcie żony?

– Oczywiście.

Jest zdjęcie. Aja wpatruje się w idealny owal twarzy Liane Bellion, kaskadę jasnych włosów, drobne białe zęby. Okaz czystej krwi! Łatwo zrozumieć, że tak świetna dziewczyna może rozniecać apetyty w tym laboratorium krzyżówek rasowych, jaką jest wyspa Reunion. Aja przygryza wargę z miną pełną wyrozumiałości.

– Dziękuję panu, panie Bellion. Armand Zuttor zdał mi krótką relację z tego, co się wydarzyło. Proszę zostać w holu albo w hotelowym ogrodzie, niech pan napije się rumu lub piwa, to panu dobrze robi, ale proszę na razie nie wchodzić do pokoju. I niech pan niczego nie dotyka, za kilka minut poinformuję pana, co dalej.

17.46

Gabin obserwuje Aję, która obchodzi basen i zbliża się do baru. Pani komisarz szybkim ruchem kładzie fotografię na kontuarze.

– Taka piękna dziewczyna w hotelu, Gabin, na pewno ją zauważyłeś?

Barman nie odpowiada od razu. Zazwyczaj spojrzenie klientów przy kontuarze zbacza na to, co widać za jego plecami, czyli na okazały, zajmujący trzy półki zestaw rumów w beczułkach tak kolorowych jak mikstury w aptecznej gablocie. Aja patrzy mu prosto w oczy. Nie interesuje jej rum. Jak większość mużułmańskich Reuniończyków pochodzenia hinduskiego nie pije alkoholu. Nie było jednak nic złego w podsunięciu jej kieliszeczka dla spróbowania, młodej dziewczynie, która godzinami czekała nad basenem na rodziców. Zanim nastąpiła tragedia.

Aja mu się przygląda, więc Gabin nie pozostaje dłużny. Szefowa policji w Saint-

Gilles jest dość rzadkim kwiatkiem na wyspie. Hinduska z domieszką krwi kreolskiej. Gabin ma wyrobioną opinię o muzułmańskich Hindusach, domieszka krwi jest u nich nieczęsta, przeważnie wolą nie dzielić z nikim ani swych genów, ani bankowych kont. Dyskretni i skuteczni. Dwadzieścia pięć tysięcy członków, trzy meczety, żadnych nikabów, woali ani innych ostentacyjnych atrybutów... i wszystkie firmy na wyspie z branży tekstylnej, samochodowej i handlu sprzętem AGD!

Aja jest Hinduską po ojcu, Kreolką po matce. Czy można uważać ją za ładną dziewczynę? – zastanawia się Gabin. Niełatwo tę kwestię rozstrzygnąć. Czasami taka mieszanka wydaje arcydzieła, które zachwycają swą uniwersalną urodą; najczęściej jednak natura testuje sprawę. Tak jak w przypadku Aji. Nieprawdopodobne połączenie: długie czarne włosy, błękitne migdałowe oczy, a nad nimi czarne gęste, łączące się ze sobą brwi. Niezły potencjał – analizuje Gabin, ale zanim wystawi się ocenę estetyczną, trzeba by zobaczyć Aję czasem uśmiechniętą. No i obejrzeć ją w kostiumie kąpielowym. A i to nic pewnego. Aja pochodzi z Hauts de Saint-Paul, z któregoś z nędzarskich domów Plateau Caillou, znał ją, gdy była w wieku szkolnym. Już wtedy zachowywała się jak jaszczurka pośród kameleonów. Osoba uzdolniona tak jak ona trafia się raz na dziesięć lat. Prawie się nie opalała, nigdy nie zamoczyła stopy w wodzie laguny, tylko wkuwała, wkuwała, wkuwała, więcej niż inni. Wyjechała na studia do metropolii, jak wielu innych. Wydział prawa na uczelni Panthéon-Assas, potem szkoła policyjna w Bretanii w Châteaulin. Ukończona z najwyższą lokatą. Przeciwnie niż inni nadzwyczaj uzdolnieni wypiarze, Aja wróciła. Może teraz tego żałuje. Dobre stanowisko jest wiele warte dla kobiet mieszanej rasy, które chcą pokonywać stopnie kariery w administracji państwowej na wyspie... uziemiono ją w Autonomicznej Brygadzie Terytorialnej w Saint-Gilles--les-Bains. Tylko że laska jest nerwowa, ambitna, waleczna, Gabin widział ją w akcji, taki mały wojak zdolny do wspięcia się wysoko. Pragnienie zemsty jako dodatkowa motywacja. Francuzom z Saint-Denis może być trudno ją zakneblować...

Aja macha zdjęciem przed nosem Gabina, jest zniecierpliwiona.

– No to jak, Gabin?

– Co jak? Wydaje mi się, Aju, że nie słyszałem syreny... Dorabiasz na boku, na czarno?

– Może... Znasz gliny. Nie ruszamy się, kiedy jakiś mąż tłucze Kreolkę. Ale turystka, która nagle się ulatnia...

Gabin uśmiecha się pełną gębą.

– Uczysz się dyplomacji, Aju, no nieźle...

Aja nie odpowiada, tak jakby się zamyśliła, po czym pyta jeszcze raz:

– No to jak, co wiesz o tej laseczce?

– Prawie nic, moja droga. Wiesz, jak jest. Sterczę za tym barem jak jakiś kołek w płocie. Widziałem tylko tę dziewczynę, jak przechodziła obok leżaków, ściągnęła kostium kąpielowy, owinęła się ręcznikiem i tyle. Zapytaj raczej Naiva w recepcji. Od razu go rozpoznasz, to nowy, Malgasz, wygląda jak lemur, który założył krawat. To on otworzył drzwi do pokoju Belliona...

17.51

Aja wchodzi do holu. Ani śladu Martiala Belliona. Chyba posłuchał jej rad, aby się usunął, oddalił, pozwolił jej prowadzić dochodzenie. Nagle uśmiecha się do siebie: Gabin miał rację, w recepcji rzeczywiście siedzi lemur! Naivo tkwi przy biurku, ma okrągłe brązowe oczy jak szklane kulki, jasne włoski na całej twarzy, wianuszek szpakowatych, sztywnych włosów od ucha do ucha... i pasiasty biało-czarny krawat niby ogon owinięty wokół szyi.

Duży kosmaty lemur wrażliwy na wdzięki blondynek. Zdjęcie Liane podsunięte mu pod wypukłe oczy sprawia, że nagle staje się gadatliwy.

– Tak, pani komisarz, widziałem Liane Bellion po południu, jak szła do pokoju. Tak, jej mąż przyszedł po mnie do holu, żebym mu otworzył pokój trzydzieści osiem. Ile czasu po niej? Chyba jakąś godzinę. Biedak był zaniepokojony, nawet lekko przerażony, wyglądał jak siedem nieszczęść w klapkach i kąpielówkach. Pani komisarz, to ja mu otworzyłem pokój trzydzieści osiem... I tam był... jak to powiedzieć? No, bałagan. Ślady jakiejś walki. Albo krótkiej drzemki pary małżeńskiej, rozumie pani, pani komisarz...

Jedna z piwnych kulek znika pod krzaczastą brwią koloru soli z pieprzem, co u lemurów – myśli Aja – zapewne oznacza mrugnięcie.

– Tylko że... – ciągnie Naivo. – Zniknęły wszystkie ciuchy tej dziewczyny. Może mi pani wierzyć, mam dobre oko do takich rzeczy. Liane Bellion się spakowała.

Włoski nad okiem znowu się zamykają, tak jak zapięcie na rzep.

– Ale nie to jest najważniejsze, pani komisarz. Najważniejsze, że były tam ślady... jak to powiedzieć?

Aja mruży oczy. Instynktownie czuje, że nie spodoba jej się dalszy ciąg. Lemur się wyprostowuje.

– Plamy, które były cholernie podobne do śladów krwi.

Aja przyjmuje cios, niewzruszona.

– Pójdziemy na górę, jeśli będzie pan tak uprzejmy... Otworzy mi pan...

Wjeżdżają na górę. Drugie piętro. Aja rzuca krótkie spojrzenie w stronę oszklonej ściany, zerka na gości rozmawiających nad basenem pod czerwieniejącym niebem, z koktajlami w dłoniach: nagie plecy kobiet, spirale dymu, dzieci chlapiące się w połyskującej wodzie, którą podwodne reflektorki barwią po kolei na kolor błękitny, czerwony i zielony.

Tropikalny wieczór. Pełen spokój. Rajska atmosfera. Armand Zuttor miał rację, policyjne koguty wprowadziłyby zamęt.

Lemur Naivo obraca klucze w ręce i idzie do pokoju 38. Przybiera pozę dozorczy w zoo, który z rezygnacją otworzy zaraz kratę klatki zbiegłego goryla.

– Pani komisarz, mogę z panią porozmawiać?

Wydaje się, że głos dochodzi z niewidzialnego głośnika. Aja odwraca się i dostrzega z tyłu starszą kobietę ze szczotką na kiju. Kreolka, która bezszelestnie wyłoniła się z głębi korytarza, dalej pyta:

– Ty jesteś komisarz Purvi? Mała Aja. Córka Laïli i Rahima?

Aja sama nie wie, co ją denerwuje bardziej. Wspomnienie jej dzieciństwa przez kobietę, której nie rozpoznaje, czy ślamazarne tempo słów sprzątaczk. Potwierdza skinieniem głowy.

– Wiesz, często widuję twoją matkę, moja droga... – ciągnie Kreolka. – W hali targowej Saint-Paul, prawie co drugi dzień. Rozmawiamy o dawnych czasach, jak dwie staruszki.

Aja lekko się uśmiecha.

– Słucham panią...

Lemur ani drgnie. Kreolka także znieruchomiała. Zamilkła.

– W cztery oczy – dodaje w końcu.

– Dobrze – zgadza się Aja i odwraca w stronę Naiva.

Lemur szeroko otwiera oburzone oczy, stroszy włoski nad oczami i na skroniach, po czym niechętnie odchodzi na sam koniec korytarza. Kreolka ze szczotką szuka odpowiednich słów, Aja czeka kilka chwil, wreszcie odzywa się pierwsza.

– Od kiedy pani tu jest?

– Trzydzieści lat i sześć miesięcy, kochana Aju...

Aja wzdycha.

– Proszę pani, pytam o dzisiejsze popołudnie. To znaczy „tutaj, na tym korytarzu”.

Eve-Marie uśmiecha się, powoli spogląda na zegarek i odpowiada.

– Cztery godziny i trzydzieści minut.

– Ooo, to już bardzo długo...

– Powiedzmy, że zazwyczaj na moim piętrze jest spokojniej...

Aja ogląda podłogę, ściany, obrazy, szyby – wszystko wyczyszczone jak na szpitalnym korytarzu. Imię sprzątaczkki jest wyszyte na jej roboczym fartuchu.

– Eve-Marie, wygląda pani na osobę zorganizowaną i dokładną. Proszę mi szczegółowo opowiedzieć, kto przechodził tym korytarzem dziś po południu.

Stara Kreolka nieskończenie długo odstawia szczotkę, opiera ją o ścianę.

– No więc Naivo i mąż przyszli tu około szesnastej, żeby otworzyć pokój trzydzieści osiem. Pokój był pusty i...

Eve-Marie na nowo układa chustkę na kędzierzawych włosach. Wsuwa pod nią kosmyk po kosmyku. Aja znowu się odzywa, żeby przyspieszyć tempo rozmowy.

– Eve-Marie, w tym się zgadzamy, Martial Bellion przyszedł o szesnastej. Liane Bellion weszła godzinę wcześniej, około piętnastej. Interesuje mnie, co się działo w międzyczasie. Jeśli nie opuszczała pani korytarza, na pewno widziała pani panią Bellion, gdy ta wychodziła z pokoju.

Eve-Marie dojrzała na najbliższej szybie jakiś cień i teraz wyciera go rąbkiem turkusowej ścierki. Całą wieczność później odpowiada:

– Między piętnastą a szesnastą widziałam sporo ludzi na moim korytarzu... Ale blondynki nie było...

Uderzenie obuchem w łeb.

– Jak to? – dziwi się Aja. – Liane Bellion nie wyszła z pokoju?

Eve-Marie umiejętnie dozuje napięcie, powoli składa na czworo ścierkę. Powinna pisać kryminały.

– Mąż tam wszedł.

– Godzinę później, dobrze wiem.

– Nie, nie godzinę później, znacznie wcześniej. Chyba kwadrans po tym, jak żona tam weszła...

Znowu obuchem w łeb. Na odlew.

– Jest pani... jest pani pewna?

– No tak, moja mała, możesz mi ufać, moim korytarzem nie przejdzie nikt przeze mnie niezauważony.

– Nie wątpię, Eve-Marie. Proszę mówić, co było dalej...

Eve-Marie nieufnie zerka na Naiva. Lemur łązi wte i wewte przy windzie. Kreolka trochę ścisza głos:

– Wszedł do pokoju. Od razu pomyślałam, że chce sobie zafundować trochę przyjemności z żonką. To była pora sjesty, rozumiesz, co mam na myśli, Aju. Dziewczynka została na dole z przyjaciółmi. Mąż wyszedł z pokoju po kilku minutach, najwyżej dziesięciu. Podszedł do mnie. Poprosił o pewną przysługę.

Aja obserwuje jej odbicie w oknie. Niebieskie spojrzenie blaknie w barwnych odbłaskach basenu, cztery metry poniżej.

– Przysługę?

Eve-Marie bardzo powoli odwraca się w stronę wózka z kubłem na śmieci, detergentami, szczotkami.

– Tak, przysługę. Spytał, czy może pożyczyć mój wózek. Nie ten, ale większy, którym wożę bieliznę, pościel, ręczniki. Pusty. Wszedł z nim do pokoju, wyszedł dwie minuty później, wszedł do windy... i zniknął. Znalazłam wózek na dole, na pierwszym poziomie, przy parkingu. Może ci się to wyda dziwaczne, Aju... Ale tutaj gościom niczego nie odmawiamy.

Drżąca ręka pani komisarz opiera się na parapecie.

– Wózek na pościel, czy powiedział, po jaką cholere jest mu potrzebny?

– Moja mała Aju, tutaj nie zadaje się pytań gościom. Trzeba uważać na każde słowo...

Aja przygryza wargę.

– Czy ktoś jeszcze wchodził? Wychodził? Szedł korytarzem po południu?

– Nikt! Możesz mi wierzyć, Aju. Ta lalka z pokoju trzydzieści osiem w ogóle stamtąd nie wychodziła.

W gruncie rzeczy, dlaczego nie wierzyć Eve-Marie?

– A ten pani wózek na pościel. Jest... jest duży?

Eve-Marie chwilę się zastanawia.

– Żebyś miała jakieś wyobrażenie, to powiem, że może wieźć osiemdziesiąt kilo bielizny, tak jest na nim zaznaczone. Wiem, do czego zmierzasz, kochana. Tak między nami, zdziwiłabym się, gdyby ta mała blondyneczka ważyła więcej niż połowę.

Podczas gdy spojrzenie Eve-Marie wędruje w stronę niewidocznych drobinek kurzu, Aja obserwuje hotelowy ogród. Jest tam maksimum dwadzieścia osób, które rozmawiają, piją, czekają na zachód słońca. Aja dostrzega Martiala Belliona pod latarnią, na wysokim stołku. Trzymającego na kolanach sześciolletnią dziewczynkę.

Jego żona w ogóle nie wychodziła z pokoju...

Naivo mówił o śladach walki w pokoju. O plamach krwi.

Uspokajająca hipoteza o miłosnych swawolach tej pięknotki jakoś dziwnie się zaciemniła...

Lemur chyba zorientował się, że rozmowa jest skończona, idzie korytarzem, trzymając w ręce klucze. Trzeba mu wyjaśnić, tak jak i dyrektorowi hotelu, że plany się zmieniły. Armand Zuttor nie będzie zadowolony... Bardzo prawdopodobne, że ubrania porzucane w pokoju 38 także będą stanowiły dowód popełnienia zbrodni. Aja spogląda na zegarek. Najlepiej byłoby pobrać odciski palców, ślady krwi, DNA i całą resztę według protokołu. Jeszcze dziś wieczorem.

Pozostaje namówić Christosa do przyjazdu...

BAL KOMARÓW

Godzina 20.34

Sofa nie tknęła ani pieczonego kurczaka, ani ryżu. Kaprysi, pochłonięta zbiorem bajek o chłopczyku Ti-Jeanie. Martial Bellion zmusił się do zjedzenia wędzonego *rougail*. Tak jakby chciał zrobić dobre wrażenie. Natomiast w przypadku państwa Margaux i Jacques'a Jourdainów sytuacja jest odwrotna: zniknięcie Liane nie odebrało im apetytu.

Wszyscy troje jedzą w milczeniu. Nad basenem mężczyzna w kwiecistej koszuli wyśpiewuje do mikrofonu przeboje z lat osiemdziesiątych. Za jego plecami wygina się kobieta w obcisłym stroju, ze sznurem kwiatów z drzewa płomienistego na pomarszczonej szyi. Od czasu do czasu kobieta klaszcze albo podchwytuje refren, jak chórek. Bez większego przekonania.

Spośród mniej więcej dwudziestu gości Grain de Sable, restauracji hotelu Alamanda, nikt nie klaszcze. I nikt nie rozmawia.

Voyage voyaaage, plus loin que la nuit et le jour.

Podróżować, dalej, daaalej niż noc i dzień.

Ta para piosenkarzy chyba za to jest opłacana, nie za stworzenie nastroju, lecz za wypełnienie milczenia starych małżeństw. Jacques Jourdain nalewa wina Cilaos do kieliszka Martiala. Ręka mu trochę drży. Po krótkim wahaniu pochyła się do Martiala, by przekrzyczyć jazgot duetu.

– Ona wróci, Martialu. Nie martw się, na pewno wróci.

Martial nie odpowiada. Współczująca mina Jacques'a nie jest zbyt przekonująca. Czy paryski adwokat jest szczerze zmartwiony nieszczęściem człowieka, którego nie znał jeszcze pięć dni temu? Martial w to wątpi. Margaux i Jacques wyglądają raczej na parę uspokojoną faktem, że trafili na kogoś, kto jest bardziej nieszczęśliwy od nich. Coś pomiędzy litością a obojętnością.

Ne la laisse pas tomber, elle est si fragile.

Nie zostawiaj jej, jest taka delikatna.

Co za nastrój...

Martial usiłuje ironizować. Tak, w gruncie rzeczy zniknięcie żony w jakiś sposób poruszyło Jacques'a. Trochę. Martial nie jest naiwny. Analizowanie anatomii Liane nad basenem było częścią dyskretnych tropikalnych rozrywek adwokata.

Martial ma ochotę wstać, zabrać Sofę i opuścić ich, ale się powstrzymuje. Z niesmakiem przeżuwa kęs zimnej potrawy. Nie, tym razem nie powinien ulegać impulsom, musi uzbroić się w cierpliwość, niczego nie okazywać, odgrywać rolę męża rzeczywiście poruszonego zniknięciem małżonki. Delikatna sprawa, jest tego świadomy. Wszystko będzie zależało od szczegółów, od umiejętności zatajenia prawdy przed policjantami. Podejrzenia będą się coraz bardziej zaciskać wokół niego jak pętla na szyi, a nawet jeśli nie odkryją żadnego decydującego dowodu, wątpliwości pozostaną... Jeśli sprawa przybierze zły obrót, będzie może potrzebował Jourdainów. Zwłaszcza Jacques'a. Zdaje się, że w środowisku paryskim jest raczej wziętym adwokatem, sądząc po setkach e-maili, jakie codziennie dostaje.

Milczenie staje się nie do zniesienia.

Wrzaski duetu są niemal odrażające. A jednak żadna para w restauracji nie wstała od stolika, rzecz niepojęta.

Ne plus pleurer, rester là, à se demander pourquoi...

Nie lamentować, siedzieć w miejscu, zastanawiać się dlaczego...

Nagle Martial zaczyna wyobrażać sobie wypadki następnego dnia. Zatrząskuje się pułapka. Policja, przesłuchania, turyści unieruchomieni w hotelu. Państwo Jourdain wezwani na policję. Przynajmniej w części uda mu się zepsuć wakacje tym fałszywcom! To już coś.

21.17

– Idziemy na górę, Sofo.

Martial podchodzi do baru Gabina z portfelem w ręce. Gabin podaje mu rum przyrządzony na modłę miejscową. Trudno rozpoznać, jaki zawiera owoc. Coś w rodzaju nieszpułki.

Gabin dotyka jego ręki, gdy Martial podaje mu banknot. Wyczuwa drżenie.

– Rum z nieszpułką, proszę pana. Specjalna odmiana. Pańska żona wróci, proszę się nie martwić.

Ten przynajmniej wygląda na szczerego. Martial uśmiecha się smutnym uśmiechem stosownym do okoliczności.

– Trzeba ją zrozumieć – ciągnie Gabin. – To stylowa kobieta. Któż chciałby słuchać takiej muzyki jak dziś? Jutro będzie niezły zespół, na pewno wróci.

22.12

Viiiivre, sous les sunlights des tropiiiiques.

Żyyyc, w *sunlightach* tropiiiików.

W poświęcie żółtych lamp neonowych nad basenem tańczą jedynie komary.

Martial odchodzi od okna pokoju numer 17. Pierwsze piętro. Odwraca się w stronę łóżka Sofy, które Naivo z ogromną trudnością wsunął między podwójny tapczan a ścianę. Dziewczynka w końcu zasnęła. Przez godzinę wołała matkę. Martial wytłumaczył jej, tak jak potrafił, nieporadnie.

„Sofa, mama wróci. Wyszła pospacerować. Niedługo wróci”.

Wszystko na nic.

Spadał na niego grad pytań.

Dlaczego mama nie telefonuje?

Dlaczego nie przytuliła mnie przed wyjściem?

Dlaczego mnie ze sobą nie zabrała?

Gdzie mama teraz jest? GDZIE JEST?

Dlaczego nie śpimy w tym samym pokoju co wczoraj?

„Dlatego że przyjdzie policjant i pobierze nasze odciski palców”. Ale tego Martial nie może córce powiedzieć.

Opowiedział jej jeszcze raz kilka przygód Ti-Jeana, Wielkiego Diabła i Baby Kalle. W końcu zasnęła. Całe szczęście. Na dole duet ciągle się wydziera.

Martial zdejmuje T-shirt przez głowę, ściąga spodnie. Stoi nagi, w ciemności.

Jest zaniepokojony.

Nic nie dzieje się tak, jak było przewidziane.

Piętro wyżej, za kilka godzin, najpóźniej jutro rano, przyjdzie gliniarz i zdejmie urzędowe pieczęcie z pokoju 38. Naivo musiał powiedzieć im o porzrzucanych ubraniach, powywracanych przedmiotach... i plamach krwi. Na pewno.

Martial idzie pod prysznic.

Dzisiaj wieczorem, do kolacji, kontrolował sytuację. Ale od paru minut coś mu się wymyka.

Cieknie woda. Prawie zimna.

Myśli krążą, ślizgają się po gładkich powierzchniach mózgu, znikają w ziejącej dziurze. Po co spreparował ten bezsensowny plan? Czy pułapka, którą zastawił, nie zaciska się właśnie wokół niego?

Wyciera się, chciałby natrzeć ciało aż do krwi, aż biały ręcznik z hotelowym logo stanie się purpurowy.

Powracają koszmarnie obrazy.

Czy miał wybór?

Martial wraca do pokoju. Stoi nagi przy oknie, ledwo zasłonięty mrokiem. Tak czy inaczej, nikt nie odwraca głowy w stronę jego pokoju. Jedyne kilkoro hotelowych gości przeciąga wieczór, objęte pary, które wreszcie tańczą na parkiecie z drzewa tekowego. Ale nie państwo Jourdain. To nie w ich stylu.

Quand tu vois mourir les sireeeenes...

Widzisz, jak umierają syreeeeny...

Niekończący się wolny kawałek pozwala sądzić, że śpiewacy niebawem zwiną swój sprzęt.

Martial cofa się, obserwuje spokojny oddech Sofy w dziecięcym łóżku, trochę dla niej za małym.

Jego łóżko jest za duże. *King size*, jak określił to Naivo. Co za wycucie taktu u tego durnia!

Martial unosi bawełniane prześcieradło, które tak zeszywniało od klimatyzacji, że przypomina całun. Kontakt z nim drażni. Nieobecność Liane nagle staje się dla

niego nie do zniesienia. Martial gryzie kulkę z tkaniny, żeby nie krzyczeć: jest świadomy tego, że powtarza gest Liane, kiedy co noc dławiała oddech, aby stłumić jęki orgazmu.

Mój Boże, cóż on narobił?

Dałby wszystko, aby poczuć obok nagie ciało Liane. Cofnąć się o jeden dzień. Tydzień, jeśli byłoby to możliwe.

A nawet nigdy nie postawić stopy na tej wyspie.

Za oknem gasną neony nad basenem jak wybuchające gwiazdy.

Tej nocy nie zmruży oka.

Sobota 30 marca 2013

6

PRAWOSŁAWNA WIELKANOC

Godzina 9.11

Imelda wyłania się z pościeli jak wybuchający wulkan, który potem zastyga w górę antracytowych popiołów.

– Christos, masz jakąś wiadomość w komórce! Wczoraj wieczorem. Dziewiętnasta czterdzieści trzy. Nigdy nie patrzysz na telefon?

– Kiedy jestem w twoim łóżku, nigdy!

Christos Konstantinov przeciąga się, opierając głowę na ogromnej czarnej piersi Imeldy. Imelda odpycha go bezlitośnie, pochyla się w stronę skrzyni służącej za nocny stolik i wyciąga rękę po telefon komórkowy.

– Twoja przełożona, Christosie.

Nicznym niezmałcony widok na zjawiskowe pośladki Imeldy. Nic innego się nie liczy.

– Aja? Nagabywać jedyne prawosławnego na wyspie w weekend wielkanocny? Wytoczę jej proces o molestowanie...

Christos złorzeczy i pełźnie w łóżku, aby się wtulić w czarne ciało. Imelda jest zaczarowanym materacykiem, który grubieje co roku o parę centymetrów. Christos znalazł w szufladzie album z jej starymi zdjęciami, gdy miała dwadzieścia lat; pozowała nago fotografowi, który musiał nieźle sobie napaść oczy, kiedy tak oświetlał lampą błyskową ze wszystkich stron jej boskie ciało, długie, wysmukłe i jędrne, mogące podniecić nawet śpiącego. A jednak Christos za nic w świecie nie zamieniłby wilgotnego ciała kochanki, dwadzieścia lat później, na jej młodzieńczą figurę. Jakże tu rozkoszować się talią osy, gdy zakosztowało się nektaru królowej? Imelda ma ciało czekoladowe, z podwójną śmietanką, którą można się nasycić. Wylewające się kształty, miękkie, zmienne, obłok zmysłowości do modelowania według pragnień.

Gdyby wiedziała...

Imelda uśmiecha się kokieteryjnie, trzymając w ręku telefon:

– Mogę zobaczyć?

Christos wzdycha. Zabronione. Telefon służbowy. Ale on sobie nic z tego nie robi, jeśli Imeldzie może to sprawić przyjemność... W skrzyni obok łóżka jest cały stos kryminałów. Imelda to ktoś w rodzaju czarnej Miss Marple, co także jest częścią jej uroku.

– Jeśli chcesz...

Imelda naciska klawisze komórki policjanta, podczas gdy ręka Christosa sunie po jej nodze w górę, zwiedza tysiące pagórków jej brzucha, potem schodzi z pustynnej górki w stronę wilgotnych łąk z pośpiechem zmęczonego alpinisty. Palce Christosa błakają się po runie Imeldy. Nieepilowane, o nie... Zaranie świata – delektuje się Christos. W wersji wyspiarskiej, z Reunionu... Pierwotny las, ciemny, chroniony, święty, wpisany do światowego dziedzictwa ludzkości. Tego ranka Christos czuje się poetą, raczej nie ma serca do stawienia się na posterunku.

Spogląda na wózek przy ścianie. Mała Dolaine śpi. Przy odrobinie szczęścia będzie spała dalej.

– Hotel Alamanda – precyzuje Imelda ze wzrokiem utkwionym w wyświetlaczu komórki. – Musisz tam pojechać, żeby pobrać odciski palców, ślady krwi, DNA i takie tam...

Pod nieustępliwym naciskiem palców Christosa Imelda lekko rozsuwa uda.

– OK – zgadza się Christos. – Znam miejsce, pojedę na drinka... Gabin Payet, barman, podaje tam najlepszy rum na wyspie. Byłoby nietaktem przyjeżdżać w porze porannej kawy...

– W końcu cię wywalą z roboty...

Wskazujący palec Christosa profanuje zakazany las.

– Będziesz mnie utrzymywać. Jeden więcej czy jeden mniej...

– Jeszcze mi potrzebny taki nierób jak ty! Mam już pięcioro dzieciaków, mam na kogo wydawać zasiłek rodzinny...

Christos wsuwa jedno kolano między kolana Imeldy. Drugie.

– Nazywać nierobem Christosa Konstantinova – szepcze policjant. – Nie powinnaś prowokować ogiera Maskarenów...

Opiera się na przegubach rąk. Ona kładzie rozpalone dłonie na jego białych pośladkach. Prowadzi go, zalana potem.

Łóżko się chwieje, podskakuje, nagle zamienione w trampolinę.

Trzy małe potwory wskakują pod koldrę. Dorian, Joly, Amic. Jeden kudłaty,

druga kędzierzawa, trzeci ogolony. Dwanaście, siedem i cztery lata. I maleństwo w wózku – brakuje tylko Nazira. Z tego, co mu wiadomo, progenitura Imeldy pochodzi od trzech różnych ojców. Christos pojawił się jedenaście miesięcy po odejściu ostatniego rodzica. Wesoły bajzel, trudny do sklasyfikowania. Kreole, Malbary, Francuzy. Wszyscy gnieźdzą się w trzypokojowym domku, czwarty pokój to ogród, najstarszy dzieciak sypia w hamaku.

Troje Metysów wskakuje na niego. Christos protestuje bez przekonania.

Żadnego autorytetu!

– Nie pracujesz dziś, Jezusie?

– Christosie, a nie Jezusie! Właśnie, że pracuję! Zmiatać, dzieciarnia, dzisiaj nie ma szkoły?

Brak odpowiedzi, jedynie kaskady śmiechu, mogące wzbudzić zazdrość wodospadów Salazie.

Imelda wstała i włożyła pareo. Nic z tego – myśli Christos. Także wstaje z łóżka, zrezygnowany.

– O co chodzi szefowej?

Imelda nawet nie patrzy na telefon, tak jakby zarejestrowała w pamięci całą informację już po pierwszym odczytaniu.

– Jakiś turysta stracił żonę. Ulotniła się z walizką!

– Frajer!

Christos wkłada płócienne spodnie koloru ochry. I koszulę wątpliwej czystości.

– A wiesz, co ja robię, żeby nie stracić mojej kobiety?

Imelda nie odpowiada. Energicznie ściąga pościel i odkrywa dzieciaki.

– Robię to samo co z kluczami.

Żadnej odpowiedzi. Imelda schyla się, by pozbierać jaśki porozrzucone po pokoju.

– Robię zapasową kopię!

Christos wychodzi z pokoju, rechocząc, zaraz potem dostaje w głowę trzema jaškami.

10.03

Hotel Alamanda. Kurs na bar. Christos kieruje się tam instynktownie jak kot do miski. Nie pofiglował z Imeldą, ale rum podawany przez Gabina jest najlepszy w Saint-Gilles, może nawet na całej wyspie. Nierzadko, gdy Christos zagląda w te

okolice późnym wieczorem, żeby uciszyć zbyt podochoconych, którzy wychodzą z sąsiednich klubów Red White czy Loft, Gabin odgrywa rolę lokalnej gwiazdy, koktajlowego jazzmana, wirtuoza, porywającego się na wszelkie możliwe improwizacje. Od dziesięciu lat wszystkie bary na Reunionie go sobie wyrywają, negocjują jego transfer jak środkowego napastnika najwyższej klasy rozgrywkowej, który strzela gola za golem.

Gabin uśmiecha się na widok nadchodzącego Christosa. Długie włosy zebrane w kitkę, niebieska koszula spłowiała od słońca i espadryle z innej epoki – niełatwo się domyślić, że od ponad trzydziestu lat człowiek ten jest podkomisarzem policji.

– O! – odzywa się Gabin. – Prorok! Lepiej późno niż wcale. Czekaliśmy na ciebie z croissantami.

Christos robi tylko ruch kciukiem, z góry do dołu. Barman nie nalega, przyznał sobie dyplom alkoholoterapeuty, obserwuje klientów, słucha, analizuje, a potem stosuje spersonalizowaną kurację. Podaje Christosowi koktajl Mai Tai. Potem drugi, tyle potrzeba, aby podkomisarz wysłuchał opowieści o wszystkich szczegółach sprawy: piękna para, figle w basenie, sześciolatnia córeczka, która nudzi cały czas, mamusia idzie na chwilkę do pokoju, po czym... fru...

Christos słucha ze współczuciem, jednym okiem zerka na kostki lodu, które rozwadniają resztkę rumu w szklaneczce, drugim na opustoszały basen. Nie ma nawet żadnej mamuśki do pooglądania.

– Taaak, coś ci powiem, Gabin, Francuzi powinni mieć się na baczności, ta wyspa jest piekielną pułapką. Opowiem ci dobry kawał, wiesz, w jaki sposób się tu znalazłem?

Gabin wzdycha i kręci głową. Dokładnie jego tytuł brzmi: psychoalkoholoterapeuta.

– Mieszkałem w La Courneuve – ciągnie Christos. – Miałem dwadzieścia pięć lat, odpowiedziałem na ofertę przeniesienia do policji w Saint-Denis pod Paryżem. To piętnaście kilometrów ode mnie. Pół godziny samochodem, wliczając korki. Nie zauważyłem w ogłoszeniu tylko jednego szczegółu. Nic nieznaczący szczegółik, mała cyferka... – Christos wypija do dna i kończy: – Numer departamentu... To było dziewięć siedem cztery, a nie dziewięć trzy... Widocznie tak chciał los! Skoczyłem na głęboką wodę, całe życie w kontener i fru... Kierunek tropiki. I jestem tu trzydzieści lat.

Gabin przeciera kontuar, niewzruszony.

– Nie bawi cię moja historyjka, co?

Barman odpowiada, nawet nie unosząc powiek.

– Opowiadasz to piąty raz! Jak zawsze słaby żart, Christos.

Christos wzrusza ramionami. Potrząsa kostkami lodu w szklance, szukając w pamięci czegoś, co by mu pozwoliło przekonać się o złych intencjach Gabina. W końcu rezygnuje.

– Jesteś profesjonalistą, Gabin, ale musisz popracować nad swoim poczuciem humoru, to ważne w kontakcie z klientami. No, cześć, idę na górę zająć się pokojem małżeńskim. Mimo wszystko to niezbyt przyjemne – tak stracić żonę... – Odchodzi, waha się chwilę, po czym wraca. – Gabin, a wiesz, co ja robię, żeby nie stracić mojej kobiety?

Barman przewraca oczami do góry.

– Ja wiem?... Masz zapasowe?

Głupol!

10.09

Christos położył na łóżku niedużą aluminiową walizkę i wyjął z przegród buteleczki Bluestar Forensic, próbówki, lampę Lumilight i miniaturowy cyfrowy aparat fotograficzny. On jeden z brygady w Saint-Gilles-les-Bains, oprócz Aji, potrafi się nim posługiwać. Kompetencja pociąga za sobą kilka przywilejów... takich jak późne wstawanie. Christos myśli o Malgaszu z recepcji, który otworzył mu pokój 38. Naivo Randrianasoloarimino. Nagle przypomniał mu się pewien żart, który mógłby być pretekstem do zamówienia kolejnej porcji rumu. Hej, Gabin, ty mądralo, jaki jest szczyt faceta pracującego w recepcji dużego hotelu? Nie wiesz? Spytaj Naiva Randrianasoloarimina.

Z takim nazwiskiem w ogóle nie powinni wpuszczać do hotelu...

Taaak...

No, do roboty...

Ta cholerna robota głupiego...

Wokół każdej ciemnej plamy: na wykładzinie, na pościeli, w prysznicu, na brzegu sedesu, musi rozpylić kilka kropel luminolu Bluestar Forensic. Oczywiście

po starannym przygotowaniu... Luminol jest skuteczny w wykrywaniu śladów krwi dopiero wtedy, gdy zostanie zmieszany z aktywatorem składającym się z wody utlenionej i wodorotlenku sodu. Nie tylko ten głupek Gabin potrafi odmierzać koktajle, pociesza się Christos. A potem, jeśli pokój jest ciemnawy, każda plama krwi powinna przekształcić się w śliczną fluorescencyjną pastylkę.

Christos się uwija, fluorescencja trwa zaledwie trzydzieści sekund, to niedużo, bo trzeba jednocześnie zlokalizować plamy w czarnym świetle lampy Lumilight i zrobić zdjęcia tego miejsca. Albo też zaczynać wszystko od nowa i tak w nieskończoność.

Christos wzdycha, omiatając światłem lampy podłogę. Niebieskie plamy niemal natychmiast znikają, jakby wchłaniane przez wykładzinę, ale nie ma już wątpliwości: w pokoju była krew, prawie wszędzie, na łóżku, na ścianach.

Jatka rzeźnicza...

Christos nadaremnie szuka argumentów, aby dowieść czegoś przeciwnego; musi pogodzić się z oczywistością.

O, cholera, pokój 38 w hotelu Alamanda jest miejscem zbrodni.

Christos odrzuca lampę na łóżko. Takie odkrycie podnieca normalnego gliniarza jak entomologa który wkłada stopę w nieznanne mrowisko, czy astronoma odkrywającego nową planetę. Ale dla Christosa to żadna frajda. Jest dobry, kiedy trzeba znowu przygotować roztwór luminolu, na nowo rozpylać, metr po metrze tym razem, obfotografować cały pokój. W byle serialu amerykańskim dwudziestu ludzi depta sobie po piętach wokół byle trupa. W Saint-Gilles-les-Bains na wyspie Reunion musi sobie radzić sam, jak jakiś...

Ale *blue light* to dopiero pierwszy etap...

Czyja to krew? Pani Bellion? Pana Belliona? A może obydwójga, pani komisarz? Christos wie, że będzie musiał zebrać do plastikowych torebek skrawki prześcieradeł i poduszek, które starannie powycina. Będzie musiał paść na kolana, by oderwać duże kawały wykładziny. Odnaleźć w łazience przy użyciu pensetki hipotetyczne włoski z nosa, z tyłka lub z łona. Wpakować ręce z próbką w muszlę klozetową...

Znowu rozmyśla o najstarszym dziecku Imeldy: ten przygłupiasty wyrostek Nazir pali trawkę, spędza dni na oglądaniu w kółko nowych odcinków *Experts*, które ściągnął mu z internetu jakiś kumpel. Christos powinien wziąć go na staż szkoleniowy, no właśnie, może minęłoby mu wtedy upodobanie do trawki, która tak odmóżdża.

A może poprosić go, aby ulepił mu skręta. W tej chwili Christos nie miałby nic przeciwko, żeby przydać sobie kurażu dymkiem.

Podkomisarz wygląda przez okno. Pierwsze klientki zajmują leżaki wokół basenu. Kobiety stare, zwiotczałe. Christos z doświadczenia wie, że piękne i młode nie opalają się w hotelach nad laguną, wystawiając rozczapierzone palce u nóg. One chowają palce w butach Pataugas i maszerują gdzieś pomiędzy Mafate a Piton des Neiges. Christos nie ma już sił, by za nimi chodzić. Trudno, zawsze wolał kobiety młodsze o dziesięć, piętnaście lat. A teraz, gdy zbliża się do sześćdziesiątki...

Christos odwraca się i ogląda drewniane szafki. Myśli sobie, że powinien też spisać inwentarz tego pokoju. Jak mówił Malgasz z recepcji, zniknęły wszystkie ubrania Liane Bellion. Trzeba to sprawdzić. Usiłuje się uspokoić. W gruncie rzeczy, najbardziej prawdopodobna hipoteza to ucieczka pani Bellion. Odkrycie śladów krwi wcale nie oznacza, że popełniono zbrodnię. Dla udowodnienia zabójstwa trzeba znaleźć zwłoki. Albo co najmniej... narzędzie zbrodni.

Christos nagle zaczyna działać pod wpływem intuicji. Wchodzi na łóżko i metodycznie opróżnia szafki. Sportowa torba, buty, ubrania przeciwdeszczowe, okulary przeciwsłoneczne, rakietka tenisowa, latarka...

Jego ręka nieruchomieje na zestawie do grilla, model high-tech – sprzedają takie w sklepach Nature et Découvertes albo Maisons du Monde, coś w rodzaju prezentu od przyjaciół, którzy wiedzą, że wyjeżdżasz do kraju, gdzie jeszcze jada się palcami. Christos rozrywa rzepy zamykające czarne plastikowe etui. Wszystko ma tu swoje miejsce, widelce XXL, szpatułka, skrobak, szczypce, pędzel do smarowania marynatą... i oczywiście specjalna przegroda na nóż... taki solidny nóż, którym łatwo kroić żeberka. Ostry, z drewnianą rączką.

Przynajmniej Christos tak to widzi.

Ale noża już nie ma w etui.

PIĘCIU NA JEDNEGO

Godzina 15.13

Aja usiadła przy biurku dokładnie naprzeciw Martiala Belliona. Christos woli stać nieco z tyłu. Siedziba Autonomicznej Brygady Terytorialnej w Saint-Gilles-Bains, przy bulwarze Rolanda Garrosa, zbudowana jest z betonowych sześcianów różnej wielkości, pomalowanych na kolor kremowy, połączonych z innym sześcianem, blaszanym, który pełni funkcję dyżurki... Siedziba zwyczajna, licha, jak tysiące innych we Francji, z jednym wyjątkiem: te okropne sześciany znajdują się pięćdziesiąt metrów od plaży. Gdy stoi się w głównym pomieszczeniu i otwarte są bramy najbliższych posesji, można podziwiać widok na plażę i port Saint-Gilles. Christos nieustannie napawa się tym widokiem. Jachty wypływające z portu, żaglówki, surferzy, zachód słońca jak w IMAX-ie, gdy wychodzi z pracy po godzinie szóstej. Zdarza się to co prawda nieczęsto... Aja, wręcz przeciwnie, przykuta do krzesła nie zauważyłaby nawet, gdyby ją teleportować na przedmieścia Dunkierki.

Martial Bellion ma inne zajęcie niż podziwianie tropikalnych pejzaży.

Został wezwany na policję na godzinę piętnastą. Stawił się dwadzieścia minut przed czasem. Ciągle obnosi się z tą swoją miną zbitego psa. A raczej zagubionego psa, który szuka swej pani. A może psa rogacza.

– Wie pani już coś o mojej żonie, pani komisarz? Znalazła pani coś? Chyba oszaleję. Sofa, nasza córeczka, też niedługo zwariuje...

Christos czuje, że Aja zaraz wybuchnie.

A ślady krwi na ścianie, kochasiu? A nóż, który zniknął?

Pani komisarz nie należy do tych, którzy cackają się z podejrzanymi. Gierki Martiala Belliona nie będą jej bawiły zbyt długo.

– Zawiadomię pana, panie Bellion...

Aja podnosi się z miejsca. Christos podziwia nieskazitelne pliski jej jasnoniebieskiego munduru, bluzkę zapiętą na ostatni guzik, wykrochmalone

naszywki. Christos dawno już zrzucił z siebie służbowe ubranie, Aja ciągle jednak przypomina mu o noszeniu bardziej przepisowego ubioru. Niech przynajmniej odprasuje koszulę, wsunie ją w spodnie, jeśli już nie chce nosić krawata, naramienników i czapki kepi. Komisarz Purvi to rodzaj upartej kobiety męczyduszy. Martial Bellion może się o tym wkrótce przekonać.

Aja odwraca się raptownie.

– Panie Bellion, byłam cierpliwa, posłusznie wysłuchałam pana numeru ze zszokowanym mężem. Najwyższy czas przejść do aktu drugiego, nie sądzi pan? Zagrajmy w otwarte karty. Eve-Marie Nativel, sprzątaczką z hotelu Alamanda, opowiedziała nam ze szczegółami, jak chodził pan w tę i z powrotem korytarzem na drugim piętrze, jak pożyczył pan wózek na bieliznę i zjechał z nim na parter, od strony północno-wschodniej, windą wychodzącą na parking, gdzie stoją samochody...

Bellion wybałusza zdziwione oczy. Punkt dla niego, ocenia Christos, nieźle gra swoją rolę. Aja naciska:

– Te zeznania bardzo różnią się od pańskiej wersji, prawda?

Bellion nabiera powietrza, po czym idzie na całość:

– Ta kobieta się myli. Albo kłamie.

Christos przysiada na parapecie okna. Podoba mu się taka rozgrywka, ale nie postawiłby złamanego grosza na Belliona. Pierwszy samobój. Kiepska riposta. Dlaczego ta poczciwa Eve-Marie miałaby kłamać? Przecież nie mogła się chyba pomylić? Bzdura!

Aja draży dalej.

– Eve-Marie Nativel kłamie, oczywiście, panie Bellion. Idźmy dalej. Oprócz Eve-Marie Nativel pan Tanguy Dijoux, ogrodnik z hotelu Alamanda, widział pana na parkingu o godzinie piętnastej dwadzieścia pięć, popychał pan przed sobą wspomniany już wózek na bieliznę. Trudno przeoczyć taką scenę, no nie? Francuz z metropolii pomaga kreolskiej sprzątaczkę? Trzej chłopcy, którzy grali w piłkę na tyłach hotelu, widzieli, jak szedł pan w stronę wynajętego samochodu, szarego clio, stojącego na parkingu. Aja brnie dalej, patrzy prosto w oczy Martiala. – W tej sytuacji, panie Bellion, czy dalej pan utrzymuje, że nie odchodził pan znad basenu przed godziną szesnastą?

Kolejne wstrzymanie oddechu, nieco dłuższe, po którym Bellion rzuca odpowiedź:

– Mylą się. Albo kłamią...

Aja unosi wzrok w stronę sufitu. Christos się uśmiecha. Martial jest uparty. Albo głupi. W dalszym ciągu kopie pod sobą dołek w piasku.

– Ja... ja już nie pamiętam dokładnie, pani komisarz. Bawiłem się z córką w wodzie, uczyłem ją pływać. Trochę też drzemałem na leżaku... Nie patrzyłem na zegarek, ale...

Christos zaczyna odczuwać litość, słysząc tę żalną obronę Martiala. Jak płynięcie pod prąd... Chętnie rzuciłby mu koło ratunkowe, ale szefowej to by się nie spodobało... Aja chodzi w kółko po pokoju. Chyba specjalnie chce doprowadzić do tego, by Bellion ugotował się we własnym sosie jak kurczak w curry, aż ściervo odejdzie od kości. Bellion nieruchomym wzrokiem wpatruje się w przypięte pinezkami do ściany niebiesko-biało-czerwone plakaty sławiące zamorską policję. Po prawej policja wodna, skutery, ślizgacze i skafandry nurkowe; po lewej policja powietrzna, helikoptery, sznurowe drabiny i zjeżdżanie na linie... *Lęk wysokości* na gorącej wyspie.

Wstępujcie!

Aja nagle wybucha. Odrywa się guzik od błękitnej bluzki.

– Panie Bellion, nie będziemy tu siedzieć do wieczora. Wszyscy pracownicy hotelu świadczą przeciw panu! Ich zeznania są zbieżne. Pańska wersja ani przez chwilę nie trzyma się kupy. Eve-Marie Nativel jest absolutnie pewna, jej korytarz jest lepiej pilnowany niż piekło przez Cerbera. Pana żona weszła do pokoju o piętnastej zero jeden i już z niego nie wyszła. Jedyne osoba, która tam weszła, potem wyszła, potem znowu weszła, godzinę później, to pan! A więc pytam po raz ostatni, panie Bellion: dalej pan zaprzecza, że poszedł pan do pokoju kwadrans po tym, jak przyszła tam pana żona?

Martial waha się. Na ścianie helikopter leci nad Trou de Fer. Martial postanowił chyba skorzystać z sytuacji i tam wskoczyć.

Prawie szeptem:

– Nie...

Christos mruga do pani komisarz. Dobrze, Martial, robimy postępy. Aja nie pozwala mu ostygnąć.

– Dziękuję, panie Bellion. Czy zaprzecza pan, że pożyczył wózek na bieliznę od Eve-Marie Nativel?

Pięć sekund wieczności. Jego spojrzenie błądzi gdzieś w okolicy policjantki-nurka siedzącej na pontonie Zodiac.

– Nie...

Następne mrugnięcie. Jedno słowo, niemal jak wyznanie. No, jeszcze niewielki wysiłek, Martialu...

Głos Aji zniża się o oktawę, staje się niemal łagodny.

– Po co pożyczął pan ten wózek, panie Bellion?

Spojrzenie Martiala tym razem błąka się w próżni, przesuwa się po plakatach, ścianach, znika w lesie Bélouve, na plaży Roches Noires...

– Pozwolę sobie ponalegać, panie Bellion. Czy pańska żona była jeszcze w pokoju, kiedy pan z niego wychodził? Była jeszcze... żywa?

Christos kiwa głową. Ze strony Martiala żadnej reakcji, już go z nimi nie ma. Już się nie pogrąża w toni, nie usiłuje płynąć pod prąd. Unosi się. Z falami... Czeka na przeciwny prąd. Może długo czekać, zważywszy na piętrzące się dowody.

W końcu jego usta zaczynają się poruszać:

– Pokój był pusty, pani komisarz, kiedy tam przyszedłem. My... Od czasu przyjazdu na wyspę między nami nie układało się dobrze. Sądziłem po prostu, że chciała, powiedzmy, żebyśmy odpoczęli od siebie.

– Wczoraj mówił pan coś innego, panie Bellion. Kiedy wezwał mnie pan do hotelu Alamanda, oświadczył pan, że nie chodzi o ucieczkę, że żona nigdy nie wyjechałaby bez córki.

– To było wczoraj... Chciałem, żeby pani zarządziła poszukiwania.

Aja przygryza wargę, nie bardzo przekonana.

– A ten wózek?

– To taka głupia reakcja, kiedy zastałem pusty pokój. Naładowałem do niego ubrania Liane. Zostawiła je w pokoju, zabrała prawie pustą walizkę.

Christos uśmiecha się do szefowej. Najwyraźniej Bellion nie całkiem odpuścił. Jeszcze walczy. Jak długo, zanim pójdzie na dno?

– Sprawdźmy to – odpowiada chłodno Aja. – Nikt, absolutnie nikt nie widział pańskiej żony wychodzącej z pokoju.

Bellion zbladł jeszcze bardziej.

– Nic więcej nie wiem, pani komisarz. Może nie byli na swoim miejscu i nie chcą się do tego przyznać. Wezwałem panią wczoraj wieczorem, żeby pani odnalazła moją żonę, pani komisarz. Po co bym panią wzywał, gdyby nie była dla mnie wszystkim, co się liczy?

Aja tylko wzrusza ramionami. Zapada przytłaczające milczenie. Pani komisarz respektuje procedurę, zapisuje każdą rozpaczliwą odpowiedź Belliona. On nie rozumie, co się stało z nożem z zestawu grillowego. Czy żona go zabrała? A może

jakiś pracownik hotelu? Ubrania żony zebrane w workach wrzucił do śmietnika przy plaży Ermitage w alei Bourbon, kilkaset metrów od hotelu Alamanda. Przed przyjściem Liane, samej, w pokoju 38 nie było śladów krwi. Jest tego pewien. Może skaleczyła się czymś, zanim wyszła?

Pani komisarz zorientowała się, że niczego więcej z Martiala Belliona nie wyciągnie. Wtedy zabiera głos Christos. Do niego należy końcowe słowo.

– Panie Bellion, poprosimy pana o przejście do pokoju obok, do gabinetu lekarskiego. Nasz kolega Morez pobierze od pana kilka kropeł krwi, aby porównać je z kroplami znalezionymi w pokoju. Żeby pan wiedział, zabawiłem się w kolorowanie tych kropełek przez całe przedpołudnie i mam pioruńską ochotę dowiedzieć się, do kogo należą.

15.55

Christos przez okno obserwuje Saint-Gilles. Plażą idzie grupa około trzydziestu chłopców w odblaskowych czapczkach i kwiecistych spodenkach, rzędem za wychowawcą. Czy zdają sobie sprawę ze swego szczęścia? Szkolne podwórko wychodzące na ocean, piaskownica długa na dziesięć kilometrów. Aja nie zwraca na to uwagi, wbija wzrok w plakaty propagujące policję.

– Co o tym myślisz, Christos?

Podkomisarz odwraca się.

– Że to wielka bujda. Trzeba by uprzedzić dzieciaki z wyspy, które marzą o zaciągnięciu się do policji, że helikoptery i ślizgacze to raczej rzadkość w jednostkach samodzielnych. Co więcej, Kreole raczej rzadko je pilotują...

– Skończ z tymi twoimi wygłupami, Christos! Co myślisz o sprawie Belliona?

Christos idzie wyłączyć wentylator i otwiera okno. Ciepły wiatr wpada do pokoju przesłuchań, a z nim dziecięce krzyki.

– Najpierw ty, Aju, proszę.

Aja siada na biurku.

– Zrekapitulujmy: mamy dowód na to, że Martial Bellion kłamie na całej linii. Mamy pięć zeznań przeciw jego zeznaniom. Trudno wyobrazić sobie, by wszyscy pracownicy hotelu sprzysięgli się przeciw temu jednemu człowiekowi. Po jaką cholere miałoby to robić? Pięć przeciw jednemu.

– Sześć przeciw żadnemu – uściśla podkomisarz. – Bellion wyznał w końcu, że poszedł tam po kryjomu.

– Zgadza się, Christosie. Rozumiem, że jego żony mógł nie zauważyć jeden pracownik hotelu, ale żeby wszyscy? A skoro nie wyszła z pokoju na plecach Sitarana... Jeśli pokój jest wytapetowany jej krwią, no to sprawa skończona, mamy go!

– A może jakiś drobny areszcik, Aju? Żeby Martial zakosztował troszkę paki?

– Christos, nie mamy zwłok! Nie ma narzędzia zbrodni, nie ma motywu zbrodni ani skargi, ani świadków. Nic! W dodatku on jada rano i wieczorem z adwokatem w hotelu Alamanda. Prokurator roześmieje mi się w nos... Będziemy pilnować Belliona, przez kilka godzin czekając na wynik badania krwi, jesteśmy na wyspie, nie ulotni się.

Christos zastanawia się przez dłuższą chwilę.

– Dziwne to wszystko. Wczoraj wezwał policję, a przecież wiedział, że wszystkie zeznania zwrócą się przeciw niemu. Nawet nie usiłował się kryć z tym cholernym wózkiem, brakowało tylko, żeby napisał na wierzchu, że wiezie trupa żony. Jeśli jest winny, jeśli żona nie uciekła chyłkiem, jego strategia obrony jest samobójcza.

– Christos, może po prostu nie miał wyboru!

Podkomisarz przysuwa sobie krzesło.

– Wy tłumacz mi to, szefowo.

– Wyobraź sobie taką scenę. Ślicznotka idzie na górę. Mąż dyskretnie dołącza do niej, wchodzi do pokoju. Kłócą się. Sprawa przybiera zły obrót. On ją zabija, przypuśćmy, że przypadkowo. Jaki ma wybór? Zostawić ciało w pokoju? Jeśli odkryją trupa, jest załatwiony. Nie, nie ma innego wyjścia. Dokonał dobrego wyboru w sumie, na beczelnego wynosi ciało. I narzędzie zbrodni.

– I przechodzi obok pięciu świadków. I zostawia wszędzie ślady krwi. Powrót do punktu wyjścia. Działanie samobójcze.

Aja rzuca nerwowe spojrzenie na rozchełstaną koszulę swego zastępcy.

– O nie, nie, Christosie, wręcz przeciwnie. Nie ma zwłok! Nie ma narzędzia zbrodni! Nie ma motywu zbrodni! Nie ma przyznania się! Nawet jeśli wszystkie dowody świadczą przeciw niemu, może jeszcze próbować szczęścia przed sądem. Jest przecież orzecznictwo sądowe. Słyszałeś o sprawie Viguiera? Wszystko wskazuje na to, że Jacques Viguiier zamordował żonę. Zniknięcie Suzanne Viguiier, niewierność małżonki jako motyw zbrodni, ślady walki, pościel wyprana przez męża i do tego materac wyrzucony na wysypisko śmieci... Wszyscy obserwatorzy mają wewnętrzne przekonanie, że Jacques Viguiier jest winny, ale nie ma zwłok,

nie ma narzędzia zbrodni, nie ma przyznania się do winy... Został uniewinniony w roku dwa tysiące dziesiątym.

Christos robi minę świadcząca, że nie jest przekonany.

– Taaak. Jeśli masz rację, jeśli Liane Bellion nie odnajdzie się w łapach jakiegoś miejscowego typka, to będziesz sławna, Aju! Media, pierwsza wiadomość o dwudziestej. Koniec z szarpaniną wokół nocnych klubów, ze zbieraniem pijaków z plaży i pościgami na skuterach... Wybijesz się, moja droga, na to czekałaś.

– Zamknij się, proroku!

Christos wystawia głowę za okno, rozkoszuje się wiatrem.

– Aju, ile czasu trzeba czekać na wynik analiz DNA?

– Przyspieszę, jak się da. Znasz mnie przecież. Będziemy je mieć po południu, najpóźniej jutro rano, z wystarczającym zapasem... Do tego czasu znajdziemy może bieliznę Liane Bellion w śmietniku przy plaży Ermitage.

– OK, zakładam się o stówę, że sprawa jest zakończona, że krew w pokoju to krew jego żony.

– Dwie stowy – wtrąca głos z tyłu.

Do pokoju wchodzi aspirant Morez. Młody. Sympatyczny. Zazwyczaj pełni nocny dyżur z Christosem, lepiej znosi piwo Dodo niż blef w pokerze.

– Cała pula nawet – podbija Morez. – Kiedy Bellion zdjął T-shirt przed pobraniem krwi, zgadnijcie, co zobaczyłem? Miał ranę pod koszulką! Rana cięta pod łopatkami, powierzchowna, ale bardzo wyraźna, coś w rodzaju przecięcia ostrym nożem.

– Jak dawna? – pyta Christos.

– Wczorajsza, jak myślę.

– Cholera jasna – rzuca Aja – nad Bellionem zbierają się chmury...

Niedziela 31 marca 2013

8

DUCH LAGUNY

Godzina 9.31

– Tato, kiedy wracamy?

Tatuś siedzi na plaży. Odpowiada, nie patrząc na mnie.

– Niedługo, Sofo, niedługo.

Mam nadzieję.

Nie bardzo lubię lagunę. Prawie nie ma tu wody.

Jest podobna do małego basenu dla dzieci, w którym zostawiono pełno różnych rzeczy. Jakieś brudy, coś, co kłuje. Żeby brodzić po lagunie, trzeba mieć plastikowe sandałki, od których nogi robią się czerwone.

Tatuś i mama mówią, że tu jest lepiej niż w basenie, że jeśli się przypatrzę i będę cierpliwa, zobaczę ryby we wszystkich kolorach. Przecież już widziałam ryby. Nie jestem głupia. Małe. Czarne i białe. Ale one pływają blisko rafy koralowej. Mama mówi, że rafa koralowa jest superpiękna, ale tak naprawdę to zwykła skała w wodzie, skała, która kłuje i służy za schronienie dla ryb. Jak pływam na dmuchanym kole, wydaje mi się, że rafa wydrapie mi skórę na kolanach...

Laguna to niebezpieczny basen, w którym można tylko chodzić.

I do tego, chodząc, trzeba bardzo uważać. Na dnie są algi. Kiedy człowiek się zbliża, myśli, że to ryba ociera się o kostki u nóg, ale nie, to taka lepka sałata, która cię liże i potem robią się krosty. Głębiej w wodzie są nawet ogromne włochate ślimaki. Okropne! Mama mówi, że są niegroźne, że to takie morskie ogórki, że tak się je nazywa, bo Chińczycy je jedzą. Jeść ślimaki! Dziwi mnie to bardzo, zwłaszcza że tutaj wszystkie sklepy są wykupione przez Chińczyków, nawet restauracje. Czasami mama opowiada, co jej ślina na język przyniesie. Na przykład mama i tata mówią, że ja nigdy nie jestem zadowolona, a za to oni nigdy się nie kąpią.

– Tato, wracamy zaraz?

– Niedługo. Nie odchodź daleko, Sofo.

Tatuś leży na plaży pod drzewem, które ma korzenie grube jak węże. Tata nigdy nie słucha tego, co mówię. Gdybym zdjęła z rąk dmuchane motylki, jestem pewna, że nawet by tego nie zauważył. Zawsze mówi, żebym uważała, ale sam nigdy nie uważa na mnie.

Na przykład wykrzywiam się do niego, tak sobie, żeby zobaczyć, żeby się upewnić, że nie patrzy. Zawsze tak robi, unosi wzrok, pyta, czy wszystko w porządku, nie za gorąco, nie za zimno, nie odchodź za daleko, a potem od razu odpływa w swoje smutne myśli... Patrzy zupełnie gdzie indziej, w bok, tak jakby ktoś był w tej wodzie. Ale nie na mnie, ja jestem dzieckiem niewidzialnym. Raz nawet pomylił imiona.

Powiedział do mnie: Alex.

Tak jakby mówił do jakiegoś ducha, którego tylko on widzi.

Czasami tata jest dziwny.

Zwłaszcza od kiedy mama wyjechała.

Jedno przynajmniej jest pewne, to, że wolę basen. Woda jest cieplejsza. I bardziej niebieska. I basen jest mniejszy, to pewne. Patrzę na morze, tak daleko, jak potrafię. Gdybym była odważna, poszłabym prosto przed siebie, tam, gdzie morze jest już głębsze i gdzie rafa nie drapie w uda. Poszłabym tylko po to, żeby zobaczyć, czy tata zauważy. Tam daleko woda się rozbija, tak jakby wpadała na okno. Z hałasem, który trochę budzi strach. To jest bariera rafy koralowej – wyjaśniła mi mama. Taki podwodny mur, który nas chroni, bo po drugiej stronie chyba są rekiny.

– Tato, wracamy na basen?

Teraz już się przyzwyczaiłam, muszę powtórzyć co najmniej trzy razy, coraz głośniej. Aż usłyszysz.

9.33

Martial nie słyszy. Wpatruje się w lagunę. Pustą.

Musi się opanować, a przede wszystkim nie zaprzeczać sobie samemu. Musi odpowiadać na pytania policji w sposób spójny. Przyjąć odpowiednią strategię i tego się trzymać. A także być czujnym. Nie ma już wyboru, teraz wszystko potoczy się szybko. Ile ma czasu? Kilka godzin zaledwie? Musi być skoncentrowany.

A jednak myśli mu się wymykają. Mętnieje wzrok. Laguna się nie zmieniła, tylko jest mniej domów wokół niej. Nie ma wypożyczalni rowerów wodnych ani sprzedawców lodów. Jedyne powykręcane gałęzie rzewni strzegących plaży. Słońce zachodzi tak jak zawsze. Widać tylko kilka pozostawionych zabawek plażowych. Czerwony kubełek.

Żółta łopatka.

Mała sylwetka w wodzie. Sześćioletni chłopiec.

Sam.

– Tatooo! Mam już dooość! Wracamy na baseen!

Martial wypływa na powierzchnię.

– Tak, tak, Sofo. Basen? Dopiero przecież przysz...

Nie nalega.

– Dobrze, skarbie, wracamy do hotelu.

Dziewczynka wychodzi z wody, ściąga motylki, sandały.

– Kiedy mama wraca?

– Niedługo, córeczko. Niedługo.

Godzina 11.45

Od trzydziestu lat Christos sący ti'poncz na tarasie i przez ten czas widział, jak zmienia się Saint-Gilles. Oczywiście nie znał dawnej osady rybackiej i kolei przywożącej z Saint-Denis mężów, którzy jechali do żon i dzieci, obsesyjnie skrywających pod parasolkami swą białą skórę. Przeżył natomiast bezpośrednio transformacje lat dziewięćdziesiątych, kiedy wyspa miała jeszcze nadzieję, że może kiedyś zdoła upodobnić się do swej starszej siostry, Mauritiusa. Christos był świadkiem powstawania nowoczesnej przystani jachtowej w samym środku turystycznej stolicy Reunionu. Całkiem niegłupi pomysł... Potok Saint-Gilles już od dawna nie dochodzi do morza, chyba że w czasie cyklonu; zastygł tuż przed plażą jak wyczerpany rynsztok zamierający kilka metrów przed metą. Autorzy projektu odsłoniли miastu ocean, starannie podzielili marinę – port jachtowy, port rybacki, port dla nurków... – rozświetlając ją różnymi barwami, świeża farba na rybackich łodziach, żółty plastik krzeseł w restauracjach, różnobarwne drewno przystani Corail Plongée i innych klubów, pastele łódek dla dzieci w miniaturowym porcie Captain Marmaille, różowe dachy kościoła Matki Boskiej Pokoju, szarości mostków nad stojącym potokiem, biel domków pokrywających wyschnięte wzgórza, a wszystko oprawione palmami, których konstruktorzy na szczęście nie ścięli.

Także czerń.

Rozkwit budownictwa zobowiązuje, Kreole wynieśli się w stronę wyżej położonej dzielnicy Carrosse, ale tłumnie schodzą do portu, by wędkować na wybrzeżu lub w łódkach.

Sukces! Tylko że projektanci marzyli zapewne o hałaśliwej, tętniącej gwarem agorze, a nie o niemal pustych barowych ogródkach.

W tej dziedzinie przynajmniej nie można zarzucić Christosowi, że nie poczynił żadnych wysiłków.

Oprócz Jean-Jacques'a i Reného jest jedynym klientem baru Marina. Mają niczym niezmacony widok na jachty i na tyłki dwudziestu wędkujących kreolskich rybaków siedzących na kolorowych lodówkach.

Jean-Jacques nie jest zainteresowany widokiem, zagłębia się w lekturze „Le Journal de l'île de La Réunion”.

– Powiedz no, proroku, nie odnaleźliście tej lalki?

Christos moczy usta. Rum w Marinie nie dorównuje temu, który podaje Gabin w Alamandzie, ale widok jest nieporównywalny.

– Tajemnica służbowa.

– Tajemnica, akurat... – odzywa się René. – Choć raz dzieje się coś po tej stronie potoku.

Christos odsuwa krzesło, żeby znaleźć się poza cieniem parasola.

– Trzeba by mi dać coś do picia...

Jean-Jacques nalewa piwo Dodo do szklanki, potem stawia na stole butelkę rumu Charrette, kostki lodu w miseczce, pistacje, pierożki samosa. Ile kto chce. Tym bardziej dopieszczą się klientów, im rzadziej przychodzą...

– Wszelkie nieszczęścia wyspy zebrane w butelce – recytuje Kreol. – Rum, chamstwo, przemoc, próżniactwo...

Christos uwielbia, gdy Jean-Jacques serwuje im jakąś głęboką prawdę. Jean-Jacques ma zawód i pasję. Gracz w bule i filozof. Albo odwrotnie.

Christos zamyka oczy przed słońcem i nadstawia uszu.

11.48

W kamiennych umocnieniach falochronu na końcu portu Saint-Gilles kolejne fale metodycznie wrywają ze zwłok strzępy rozmiękczonego wodą ciała, a gdy odpływają, wymywają rany. Kolonia czerwonych krabów także uczestniczy w operacji oczyszczania. Najdrobniejsze wciskają się w najmniejsze otwory i pustoszą ciało od wewnątrz, zanim zabiorą się do tego padlinożerne owady. Te największe zajmują się najbardziej miękkimi częściami zewnętrznymi. Usta, oczy, genitalia. Nadpływają nowe kraby, tym starym to nie przeszkadza. Żarcia starczy dla wszystkich. Zwykle muszą się zadowalać resztkami zdechłych małży.

11.49

René przekręca wokół głowy czapkę z napisem „974”, tak jakby była przytwierdzona śrubką do jego łysej czaszki. Wpatruje się w furmankę z wołem na etykiecie litrowej butelki rumu.

– Nie chciałbym umrzeć jako głupek, Jean-Jacques, musisz mi wytłumaczyć, jaki związek ma niedola wyspy z tą butelką.

Christos przymyka oczy, nie tracąc ani jednego słówka z rozmowy. O tej porze Jean-Jacques staje się poetą.

– Taki związek, że to jest wyzysk rodzaju ludzkiego, mój biedaku. Alkohol i poddaństwo mas pracujących. Niewolnicy, wyzwoleni, biedni biali, wszyscy zadurzeni w jednej kochance, pani Trzcinie, miliony litrów rumu z melasy, a rum prawdziwy, rolniczy płynie do metropolii. Alkoholu, ile chcieć, dla skazanych na ziemię, wódka dla Polaków w kopalniach, tafia dla Kreolów w polu, alkohol biedoty, który wypala neurony rewolucyjne...

Stephano, kelner z Mariny, oparty o kontuar, czuje się w obowiązku wtrącić:

– Hej tam, Jean-Jacques, co ci przeszkadza sprzedawca tafii...

– Mnie nie przeszkadza – potwierdza René, unosząc szklanekę.

René jest rybakim. A raczej był. Przez dwadzieścia lat łowił hurtowo w Saint-Pierre, jeszcze gdy cena zbytu ryb nie równoważyła ceny paliwa do kutra. René przeniósł się więc do Saint-Gilles, aby tam żyć z turystyki; wymyślił, że będzie woził turystów na oglądanie mieczników, delfinów, rekinów, wielorybów, humbaków, gdzieś daleko, jeśli trzeba to aż w okolicę Kergulenów... Pomysł zakładał, że jeśli klienci będą niezadowoleni, dostaną zwrot pieniędzy. Mieli płacić już po obejrzeniu morskich stworów. Po powrocie mówili, że nic nie było widać. René przeważnie był zbyt pijany, aby dyskutować. W końcu do programu morskiego rejsu dodał jeszcze syreny.

– Tafia czy charrette, co za różnica – mówi René, wychylając rum jednym haustem – piję za kulturowe dziedzictwo wyspy...

Jean-Jacques popija piwo małymi łydkami, jakby z nich drwił.

– Dziedzictwo kulturowe, akurat...

11.54

Czerwone kraby atakują teraz zwłoki metodycznie. Organizują się jak kolumny mrówek. Niebieskawe mięso, butwiejące, sflaczałe jak papier mâché, zostało rozszarpane przez te najsilniejsze. Najsłabsze jedynie zapewniają transport.

Wnętrznosci, najbardziej smakowite, są usuwane najpierw: jelita, kiszki, mózg, jak meble wynoszone przez skutecznych tragarzy, zostaje tylko wydrążony, lekki szkielet.

Nagle dziesiątki krabów nieruchomieją.

Trup się poruszył.

Najbardziej strachliwe już zniknęły pod ogromnymi skałami falochronu. Inne, małe, wypełzają z ust, jakby wyplute przez zmarłego, który ma czkawkę.

Ciało znowu zastyga w bezruchu. Kraby obserwują nieufnie przedmiot, który wpadł na zwłoki.

Okrągły. Gładki. Zimny.

11.56

Jean-Jacques wywija gazetą „Le Journal de l’île de La Réunion” jak Biblią, o mało nie spada z plastikowego krzesła.

– Zamknijcie oczy i spokojnie pijcie, przyjaciele. Alkoholizm, analfabetyzm, przemoc... Jest napisane czarno na białym. Reunion bije wszelkie rekordy.

Christos otwiera oczy, wychyla szklaneczkę i wreszcie włącza się do rozmowy:

– Już jakiś czas temu zniesiono niewolnictwo, René. Jeśli mieszkańcy Reunionu chłają, bardziej jest to wina białych kolonistów...

Jean-Jacques jednym ruchem wyciąga z kieszeni płaską buteleczkę rumu.

– A to? Dlaczego sądzisz, że to pani Trzcina wymyśliła? Dwadzieścia centylitrów białego rumu w sklepiku za tę samą cenę co pięć przy barze...

– Tu cię rozumiem, Jean-Jacques! – wykrzykuje Stephano zza kontuaru. – Picie w samotności to narodowa plaga... Koniec barów, zbrodnia przeciw ludzkości...

René nerwowo nalewa następną porcję rumu.

– Ja też cię rozumiem, Jean-Jacques! Dziedzictwo kulturowe wyspy to charrette, czterdzieści dziewięć procent, i to na butelki! A nie ten syropek we flaszcze, ograniczony przez urzędników do czterdzieści procent...

Christos pochyla się w plastikowym krześle. Uwielbia ich, gdy tak się wyżalają. Obserwuje, jak łagodny wiatr lekko nadyma żagle zacumowanych łódek, a słońce rozpala port. Prawdziwy raj. Szczęście przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Nie wiedział, że takie miejsce może istnieć na ziemi. Jedynie trzeba przetrwać cyklon, raz na trzy lata. Dwa dni pod kołdrą. Całkiem znośne.

Jean-Jacques nie kapituluje. Podsuwa pod nos Reného płaską butelkę rumu.

– Spróbuj, idioto... czterdzieści dziewięć procent. Wystarczy jeden karton, trzy litry charrette w miękkim opakowaniu z kranikiem, aby samemu napełniać płaską flaszczykę... ostatni wynalazek pani Trzciny po to, by otumanić motłoch... – Podnosi się z miejsca i naśladuje gesty pijanego aktora w teatrze lalek. – Przyjaciele, dwa sznurki łączą mieszkańców Reunionu jak marionetki, z liberalną mundializacją, po jednym w każdej kieszeni. Płaska flaszczyka i telefon komórkowy.

René bezmyślnie maca kieszenie dzinsów.

– A ja mam to gdzieś – ogłasza Jean-Jacques. – Jeszcze bardziej gdzieś. Dopóki wszyscy tutejsi zasiłkowicze będą żłopać z flaszki przed rzutem, ja pozostanę najlepszym graczem w bule na wyspie.

Dla zaakcentowania swojej wypowiedzi unosi w górę piwo Dodo. René wybucha śmiechem, niezbyt przekonany. Bierze swoją szklanekę rumu i przybliża do piwa Jean--Jacques'a.

Chce stuknąć szkłem o szkło.

Próbuje mówić z akcentem prowansalskim.

– Szajbusie jeden, możemy przecież się porozumieć...

Jean-Jacques patrzy na niego z żalem.

– Nie mów do mnie jak do jakiegoś marsylczyka z deptaku Canebière. To mnie...

– Pomyśl, głupolu jeden... Mówię o pogodzeniu trzciny i piwa...

Jean-Jacques, sceptyczny, patrzy na swoje dodo.

René triumfuje.

– Trzcina i piwo, tępa głowo! *Canne i bière!* Canebière!

Christos, wybuchając śmiechem, jakimś cudem utrzymuje równowagę na krześle.

Jean-Jacques wzdycha. Szczyt irytacji.

12.01

– Kevin! Tam jest ktoś nieżywy. Cholera, to martwy człowiek!

– Nie opowiadaj głupot, Ronaldo! Pospiesz się, bierz piłkę i chodź... Masz zrobić trzydzieści dwa podbicia, więc nie opóźniaj...

– To nie są głupoty, Kevin. Tam jest trup, mówię ci. Tam, na kamieniach, częściowo zjedzony przez kraby.

12.05

Jean-Jacques znowu zatopił się w lekturze „Le Journal de l’île de La Réunion”, jakby znużyły go już żarty kolegów. René przechylił głowę w stronę obłoków okrywających szczyt Maïdo.

Christos nieustannie się delektuje. Ciągłe nie ma dość tej atmosfery nieustannego święta. Przypomina ona świąteczną mieszaninę ludzką na Canebière; nie ma tłumów, ale przez cały rok można pogrzać się na słoneczku. Christos nie zniósłby już zimna. Zamiast ogrodu salon. Zapasy na zimę. Ciągłe wchodzenie do domu. Durnie z metropolii pytają go nieraz, czy nie odczuwa braku pół roku, czy nie ma dosyć błękitnego nieba co rano, liści, które nie opadają z drzew, słońca zachodzącego co dzień o tej samej porze... Uważają, że wiosnę można docenić dopiero po trzech miesiącach deszczu, w pełni rozkoszować się wakacjami dopiero wtedy, gdy samochód opuszcza strefę szarego nieba i wjeżdża w strefę mistralu...

Idiotyczne.

Przecież wcale nie trzeba się zestarzeć, żeby docenić upływający czas, nie trzeba fundować sobie tygodnia diety, żeby docenić dobry posiłek. Odmawiać sobie, żeby zasłużyć na przyjemność. Stara moralność judeochrześcijańska. Albo muzułmańska, albo buddyjska.

Christos myśli sobie, że jest może jeden wyjątek...

Francuz przeważnie nie zostaje na wyspie dłużej niż pięć lat, odkłada pięćdziesiąt trzy procent dodatków do pensji urzędnika państwowego, inwestuje uciulany grosz w lokalne nieruchomości, żeby nie płacić podatków, wielkie dzięki wam: Besson, Périssol, Girardin i inni, a potem fruuu, kierunek metropolia, żeby tam kupić domek swoich marzeń na przedmieściu. Dla dzieciaków, jak mówią. Na studia.

No tak, on przecież nie ma dzieci.

Jeden Kreol, aspirant z brygady w Saint-Benoît, powiedział mu kiedyś, że przypomina Luciena Cordiera, czyli Noireta z filmu *Czystka*. Christos się zirytował. Ale potem to przemyślał. Nie trzeba sądzić po pozorach... Noiret nudzi się w afrykańskiej osadzie, z cynizmem obserwuje życie w tropikach. Rozwala wszystkich idiotów... On, Christos, wręcz przeciwnie. Jest tutaj szczęśliwy jak dziecko, jak kot, jak złocisty owoc wysoko na gałęzi, aby nie zostać zjedzonym.

Ten młody gliniarz z Saint-Benoît powiedział to chyba z zazdrości, bo tam, na wietrznym wybrzeżu, mają do sześciu metrów deszczu rocznie. Rekord świata! Ale tutaj, gdzie siedzą Francuzi, ani kropelki!

Spokojny aż do emeryturki w tym niewielkim rajku należącym do wszystkich, a więc i trochę do niego, na tej wyspie niezamieszkanego do XVII wieku. Nie ma tutaj tubylców! Nikt nie żąda dla siebie ojczystej ziemi dlatego, że był tu wcześniej niż inni, po prostu mężczyźni i kobiety na tym samym okręcie zakotwiczonym pośrodku Oceanu Indyjskiego.

Dużo hierarchii, oczywiście. Jak na przepelnionym statku... Także zazdrość. Niekiedy rewolty.

Ale nie ma rasizmu!

Wszyscy na tym samym okręcie jak labora...

Dokładnie w tej chwili Christos widzi przez ciemne okulary dwóch chłopców biegnących w jego stronę. Machają rękami jak wariaci. Co im się stało w te ręce?

Christos zdejmuje ray-bany.

Na litość boską!

Pierwszy chłopak, ten mniejszy, na którym powiewa koszulka Barcelony, wygląda, jakby spotkał ducha. Drugi, biegnący za nim, wrzeszczy na cały głos:

– To Rodin! To Rodin!

Jean-Jacques zrywa się z krzesła.

– Cholera, co Rodin?

12.08

Christos pędzi na drugi koniec falochronu, jest zdyszany. Chłopcy gnają pięć metrów przed nim. Jean-Jacques zdiera sobie gardło, biegnąc za nimi. René idzie, a raczej się zatacza.

– Tutaj, to tutaj!

Falochron chyba nigdy się nie kończy.

To Rodin.

Aby odczytać przekaz, trzeba trzydziestu lat doświadczenia w brygadzie w Saint-Gilles. Christos przeczytał pewną maksymę w starej książce z kolonialnymi ilustracjami: „Kreol jest z natury kontemplacyjny”. Rodin jest jak

ilustracja z tej książki. Od zawsze całymi dniami wpatruje się w horyzont, stojąc na czarnej skale na końcu grobli w porcie Saint-Gilles, odwrócony tyłem do wyspy, do portu, do barów, do nocnych klubów, do parkingu. Nic poza tym. Jeśli wszyscy Kreole są filozofami, Rodin jest Diogenesem.

A teraz jest tutaj... Spadł na kamienie, pięć metrów niżej.

Trzeba się pochylić, wtedy widać ciało.

Christos bierze oddech. Myśli, że będzie musiał zejść, obejrzeć go. Na wypadek, gdyby Kreol był tylko lekko ranny...

Niewielka szansa.

Chłopcy wpatrują się w niego uporczywie, jakby był Horatiem Caine'em z *Kryminalnych zagadek Miami*. Nie będą rozczarowani...

Christos wchodzi na kamienie falochronu, który ma łamać fale i zabezpieczać betonową groblę. Posuwa się powoli. Kamienie są oblepione algami. Lakierowane buty ślizgają się. Nie jest wyposażony, ten Horatio. Gdyby wiedział...

– Jak tam, Christos? – osłupiały René niepokoi się, stojąc wyżej.

O co chodzi? Chwilkę... Czego się spodziewa? Że ożywi Rodina zwykłym nałożeniem rąk?

Christos wydziera się, żeby odpędzić czerwone kraby. A niech mają za swoje, te nieruchawe paskudztwa, te skorupiaki trupojady, ich skorupy trzeszczą pod podeszwą buta jak zwiędłe liście.

Ciało leży na brzuchu. Nogami w stronę oceanu.

Nie żyje. Żadnego śladu po ranie...

Christos zrozumiał. Przetyka ślinę. Trzeba było przewrócić ciało na plecy, żeby zrozumieć. Od zawsze Rodin doskonale zachowywał równowagę nad wodą, trzymał się betonu jak hodowlany małż przyczepiony do kołka. Nie mógł spaść, jeśli nikt go nie zepchnął...

Christos słyszy, jak stojący wyżej, na grobli, Jean--Jacques płacze. Rodin to był nieskazitelny wzór. Kwintesencja kreolskiej mądrości.

Christos unika dłuższych rozmyślań, chwyta ciało za pasek od dzinsów. Zwłoki są zadziwiająco lekkie, ułatwiające sprawę, jeśli tak można powiedzieć. Obracają do słońca twarz objedzoną przez kraby.

A niech to szlag!

Christos ledwo utrzymuje równowagę. Jego ręka zagłębia się w czymś podobnym do miękkiej rafy koralowej, która jakby zlepia kamienne bloki.

Tylko tego jeszcze brakowało!

Rodin ma nóż wbity w serce...

Podkomisarz natychmiast kojarzy. Nawet najbardziej tępy policjant dokonałby porównania. To solidny nóż, czysty. Wystaje tylko rękojeść, koloru kości słoniowej, zrobiona z rogu zwierzęcia, które tutaj nie występuje. Christos podchodzi bliżej. Jest nawet firma wypisana na wierzchu, aby postawić kropkę nad „i”, w razie gdyby znalazł Rodina najdurniejszy z gliniarzy.

„Maisons du Monde”.

To rodzaj sieci franczyzowej obecnej wszędzie na świecie... ale na wyspie nie ma ani jednego takiego sklepu.

Christos usiłuje myśleć tak szybko, jak się da.

Po co zabijać Rodina?

Unosi głowę w stronę grobli. Jean-Jacques płacze na piersi Renégo. Większy z chłopców trzyma za rękę mniejszego, który starszemu trzyma piłkę.

Po co zabijać Rodina?

Nie po to, żeby go okraść. Rodin był osobnikiem, który niczego nie nosił przy sobie, nie miał niczego swojego, nawet własnego kąta do spania. Christos się odwraca, obserwuje kanał portowy. Rodzi się hipoteza, niedorzeczna, lecz prawdopodobna.

Może Rodin odwrócił głowę raz w życiu, jeden jedyny raz? Jakiś hałas za plecami, krzyk, wołanie o pomoc. Tylko jedna czwarta obrotu, ledwie sekunda.

Nic nieznacząca chwila w porównaniu z jego kontemplacyjnym życiem.

A jeśli Rodin padł ofiarą wielkiego pecha, okrutnej ironii, jaką czasami zabawia się życie?

Odwrócić głowę jeden jedyny raz... ale w najgorszej chwili.

Godzina 16.01

Martial się waha. Powinien wcześniej pójść do pokoju, wrzucić do walizki ubrania. Zaraz przyjedzie policja, teraz to już pewne. Powinien zawołać Sofę, żeby wyszła z basenu, i zwiewać. Wyprzedzić ich. Minimalnie.

Sofa doskonale się bawi. Po raz pierwszy od przybycia do hotelu znalazła sobie małych przyjaciół. Skacze do wody z dmuchanymi rękawkami marki Dora. Dzieci ją otaczają jak dwór królową. Sofa się śmieje. Malutki blondynek opalony jak karmelek, z długimi włosami opadającymi na plecy, szepcze jej coś do ucha. Sofa ochlapuje go wodą i wybucha śmiechem.

Martial czuje ukłucie w sercu.

Tylko się nie rozczulać. Ruszyć się! Wyciągnąć Sofę z basenu. Uciekać...

Nie zepsuć wszystkiego. Nie teraz...

16.03

Policyjny radiowóz dewastuje skarpeę na rue du Général-de-Gaulle, zgniatając aksamitne liście tropikalnych krzewów i lilioworóżowe kwiaty batatów Duranda. Morez wciska pedał gazu. Samochody nadjeżdżające z przeciwka natychmiast uciekają na pobocze. Tym razem Aja odsunęła na bok wszelką dyplomację, szybko przygotowała nakaz zatrzymania Martiala Belliona, z radością poświęcając spokój nadmorskiego kurortu i Alamandy. Oprócz pędzącego właśnie do hotelu furgonu samodzielnej jednostki terytorialnej pani komisarz zwołała kolegów z jednostek w Saint-Paul i Saint-Leu. Cztery inne pojazdy, ponad dwudziestu policjantów, jadą im na spotkanie. Celem jest odcięcie Saint-Gilles od świata. Trzeba zablokować wszystkie drogi wyjazdowe, na wypadek gdyby zatrzymanie przybrało zły obrót.

Przecież nie da się przewidzieć, jak Bellion zareaguje.

Nie zważając na wstrząsy, Aja po raz ostatni czyta analizy kryminologów

z Saint-Denis. Dokumenty potwierdzają, że krew, którą Christos znalazł na pościeli, na wykładzinie, na łóżku, to krew Liane Bellion. Próbki porównano z informacjami z laboratorium Keufer z Deuil--la-Barre, w departamencie Val-d'Oise we Francji kontynentalnej, gdzie Liane Bellion oddawała krew do analizy. Jednak decyzję o zatrzymaniu przyspieszyły wyniki badania noża wbitego w brzuch Rodina, które nadeszły przed kwadransem. Oprócz krwi Kreola na nożu były pozostałości innej krwi, dawniejszej. Krwi Liane Bellion!

Jedno narzędzie. Dwie ofiary.

Jeden sprawca.

Do wyjaśnienia śledztwa przyczyniły się przepiękne odciski palców oplatające rękojeść noża.

Odciski Martiala Belliona.

Morez wznieca tuman kurzu, ścinając zakręt przy avenue de Bourbon. Hotel Alamanada znajduje się na wprost, pomiędzy Aqua Parkiem a dzielnicą nocnych klubów. Aja żałuje, że nie przymknęła Belliona wczoraj, kiedy tak ściemniał w siedzibie policji. Dwaj ludzie przez całe przedpołudnie grzebali w śmietniku przy plaży Ermitage: nie znaleźli najmniejszego śladu ubrań Liane Bellion. To jej zwłoki przewoził Martial! Robi na niej wrażenie człowieka, którego przerosły wydarzenia, który – bez dwóch zdań – zabił nożem przez przypadek, podczas kłótni, w szale zazdrości, przypływie złości, być może nawet z powodu córeczki... A potem zaczął panikować... I znów zabił – tym razem niewygodnego świadka.

I tym razem z zimną krwią.

Bóg wie, do czego teraz jest zdolny.

16.05

Trudno mi biec w klapkach.

Tatuś za mocno ściska moją rękę. Jak będzie tak ciągnął, to mi ją wyrwie. Wcale nie chciałam wychodzić z basenu.

– Tato, zwolnij, boli mnie, jak tak ściskasz...

– Chodź, Sofo.

Tatuś prowadzi mnie na tył hotelu, na parking, tam gdzie stoi samochód, który mamy na wakacje.

– Tato, za szybko idziesz...

Zgubiłam jednego klapka. Zrobiłam to trochę naumyślnie, ale tatuś nie zwraca na to uwagi, dalej wrywa mi rękę. Żwir wpija mi się w nogi, staje, krzyczę. Tatusiowi to się nie podoba.

– Sofo! Chodź, błagam cię...

Tata nie krzyczy, dziwne, mówi prawie cicho, tak jakby się bał, jakby goniła nas cała gromada potworów. Jego duża dłoń miażdży moją rękę. Muszę za nim podskakiwać na jednej nodze. Pochlipuję, tak jak potrafię, ale tatuś już mnie nie słucha.

*

Jest samochód, dwadzieścia metrów przed nami. Tatuś otwiera pilotem, nie zwalniając ani na krok. Beton parkingu zdziera mi skórę stóp. Krzyczę jeszcze głośniejsze, złoszczę się tak, jak ja to umiem, aż wreszcie tatuś puszcza moją rękę.

Nagle staje. Wreszcie.

Ale nie z powodu moich krzyków.

Patrzy na samochód tak, jakby ktoś mu porysował lakier, ukradł koło albo kierownicę. Głos taty drży.

– Szybko, Sofo. Wsiadaj...

Nie ruszam się. Jestem inteligentna, mama mi to ciągle mówi. Umiem już czytać. Prawie wszystkie słowa.

Tak jak te, które są nabazgrane w kurzu na szybie drzwi:

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Jutro

o 16.

Przyjdź z córką.

Nie mogę zrozumieć. Chciałabym przeczytać te litery jeszcze raz, żeby spróbować zrozumieć. I przynajmniej zapamiętać.

Nie zdążyłam, tatuś prawie natychmiast zamazuje ręką tę wiadomość. Pozostają dwie brudne smugi.

– Wsiadaj, Sofo. Szybko.

Nigdy nie słyszałam, żeby tatuś mówił do mnie tak surowym tonem. Trochę się boję, ale robię, co każe. Wsiadam do tyłu, na fotelik.

Dlaczego tatuś stał słowa, tak jakby nie chciał, żebym przeczytała?

Kto miał je przeczytać? Kto je napisał?

Tatuś?

Mama?

Zanim tata włączył silnik, usłyszałam jakieś krzyki.

16.08

Aja pierwsza wchodzi do hotelu Alamanda, za nią Morez. Christos z pewnej odległości obserwuje ich ruchy.

Naivo wypręża się za barem jak pluszaczek na sprężynie. Nie mijają trzy sekundy, a już zjawia się Armand Zuttor. Dyrektor wybałusza przestraszone oczy, na jednej skroni zjeżyły mu się włosy, na drugiej pozlepiały, jakby obudzono go w środku popołudniowej drzemki. Aja nawet na niego nie spogląda. Wykrzykuje rozkazy:

– Morez, na piętro, pokój siedemnaście, Christos, ze mną, do ogrodu.

Otwiera się winda. Eve-Marie zdziera sobie płuca:

– Nie deptać mokrej po...

Trzy umundurowane draby w ciężkich buciorach nie słuchają jej i zdeptują posadzkę. Ich podeszwy brudzą korytarz, zostawiając piaszczystą breję aż do drzwi z numerem 22, tam draby opierają się o czystą przeciwległą ścianę, po czym otwierają drzwi kopniakiem.

Drzwi wylatują z hukiem.

Mokre podeszwy brukają wykładzinę.

– Nikogo nie ma! – wydziera się Morez do radiotelefonu. – Wyfrunął!

– Cholera jasna! – złorzeczy Aja.

Obserwuje hotelowy ogród. Nieruchomi goście podobni są do nadmuchiwanych lalek pozostawionych nad basenem. Nie musi nawet wydawać rozkazów, policjanci rozbiegli się, przeczesują hotel w poszukiwaniu najmniejszego zakamarka mogącego posłużyć za kryjówkę. Wszyscy, z wyjątkiem Christosa...

Oparty o pień palmy, podkomisarz poprzestaje na obserwowaniu baru i rzucaniu

pytających spojrzeń w stronę Gabina. Barman wzrusza ramionami. Jest naburmuszony, tak jakby się zastanawiał, czy nie powinien zmienić pracy z powodu tych wszystkich głupot.

Christos marszczy czoło na znak, że nie da za wygraną. Gabin jest lepszy w robieniu koktajli niż min, ale czyni pewne starania. Macha rękami. Przy odrobinie wyrozumiałości można odgadnąć naśladowanie lotu błotniaka, kłaskawki, a może motyla. W każdym razie czegoś, co ma skrzydła.

Wystarczy, żeby zrozumieć.

Bellion odfrunął.

16.10

Martial jedzie szybko. Pędzi avenue de Bourbon, potem rue du Général-de-Gaulle, całe Saint-Gilles przelatuje jak długa wstęga, między laguną a lasem. Aby wyjechać z kurortu, powinien trafić na szosę, omijając port, bo wpadłby prosto na posterunek policji; nie ma wyboru, musi krążyć uliczkami dzielnic małych domków, z których co druga jest ślepa jak fałszywe tropy w labiryncie.

Jeszcze kilometr między domami. Martial gwałtownie hamuje, dławi przekleństwo. Jedyne przeprawy nad wąwozem, która wyprowadza na drogę krajową, jest zablokowana. Zwarty sznur samochodów ciągnie się dwieście metrów...

Martial złorzeczy.

Endemiczny korek czy policyjna zapora przy wyjeździe? Wszystko jedno. Nie może sobie pozwolić na utknięcie, musi znaleźć inną drogę.

Zwrot w tył. Piszczą opony clio.

Znowu wpada w avenue de Bourbon, tym razem w przeciwnym kierunku, a potem, trzysta metrów przed hotelem Alamanda, ostro skręca w prawo. Droga bita biegnąca dwa kilometry wzdłuż plaży Ermitage jest przejezdna, dopóki nie trafi się na czerwony minipociąg, który z prędkością żółwia zapewnia połączenie między kolejnymi wejściami nad lagunę.

W kierunku południowym droga doprowadza do La Saline-les-Bains. Martial wmawia sobie, że ma jeszcze niewielką przewagę nad policją. W tumanie brunatnożółtego kurzu clio mija Aqua Park, bliźniacze zabudowania Village de Corail, Mail de Rodrigues. Rowery pierzchają na boki. Rodziny czekające na lody przy samochodzie-lodziarni kaszlą od kurzu, który wznieca jego samochód;

mężczyźni z gołymi torsami i rękami na plecach wymyślają mu. Martial ma świadomość, że jego ucieczka na pewno nie jest niezauważalna, a poza tym nie zdoła długo utrzymać tego tempa.

Niemniej jednak nie ma wyboru.

Piasek wpada do kabiny clio przez uchyloną szybę. Sofa popłakuje z tyłu.

– Szczypie mnie w oczy, tato.

Martial nerwowo zamyka okno. Logika nakazywałaby jechać dalej prosto na południe, wzdłuż wybrzeża, minąć La Saline, a za plażą Trou d'Eau dotrzeć do drogi do Saint-Pierre. Saint-Gilles to po prostu labirynt ulic, który ma tylko trzy drogi wyjazdowe: krajową, biegnącą na północ i na południe wzdłuż wybrzeża... i departamentalną setkę, wiodącą w głąb wyspy, w jej część górzystą...

Powrót na asfalt pozwala znowu przyspieszyć. Plaża i jej mieszany tłumek ukazują się jak wykropkowana linia między pogiętymi pniami. Drzewa migają jak słupy telegraficzne.

Na pewno uda się od południa, Martial stara się nie tracić nadziei.

– Tato, zwolnij!

W lusterku wstecznym widzi Sofę, kurczowo trzymającą się pasa bezpieczeństwa. Struchlała ze strachu. Tak jakby jej ojciec był kimś obcym, kto wiezie ją do piekła. Strzałka prędkościomierza idzie w górę.

Nagle z jednej z willi wyłania się chłopiec. Sześć lat. Bosy. Deska do bodyboardingu pod pachą. Staje jak rażony światłem zając.

Martial wciska pedał hamulca. Sofa wrzeszczy. Chłopak ucieka i znika w podwórku za bramą.

Po plecach Martiala spływa pot. Ucieczka chłopaka uwalnia wszystkie jego demony.

Nie rusza od razu. Skronie o mało mu nie pękną, ściska je w kleszczach swych wilgotnych dłoni. Podjął decyzję. Clio posuwa się metr do przodu, wyrzuca spod kół różowy żwir alei, przy której stoi kolonialna willa ocieniona bramą, po czym rusza z impetem w przeciwnym kierunku.

– Tato, co robisz?

Martial nie odpowiada. Nagle uświadomił sobie, że jedzie prosto w paszczę lwa. Gliniarze z Saint-Leu i z Saint-Paul, zawiadomieni przez panią komisarz Purvi, na pewno skierują się w stronę Saint-Gilles. W pierwszym odruchu ustawią swoje furgony w poprzek drogi i zablokują dojazd drogą nadmorską z północy i z południa.

Pozostaje tylko jedna możliwość. Przeprowadzić się przez Les Hauts. Jechać w stronę gór.

A potem...

16.14

– Samochód z wypożyczalni! – wykrzykuje Morez.

Policjant przybiega z parkingu za hotelem Alamanda. Przez chwilę łapie oddech i podaje konkrety:

– Szare clio! Nie da się nie zauważyć, z przodu ma osłonę przeciwsłoneczną z napisem „ITC Tropicar”, a na tylnych drzwiach naklejkę wypożyczalni.

– OK! – wykrzykuje z kolei Aja do radiotelefonu. – Wszystkie drogi wyjazdowe są zablokowane, daleko nie zajędzie. Wzmocnijcie zapory na drodze nadmorskiej przy wyjeździe z Saint-Gilles.

Pani komisarz drepcze po trawniku w hotelowym ogrodzie, wydając rozkazy. Policjanci z Saint-Gilles, z wyjątkiem Christosa, nie odstępują jej na krok jak zastęp ochroniarzy. Nad basenem niektórzy goście się ubierają. Inni siedzą spokojnie. Poruszają się tylko ich szyje w rytm płasów policjantów, aby nie stracić ani chwili z tego widowiska. Dzieci w większości schroniły się na kolanach rodziców, z wyjątkiem małego blondynka z długimi włosami, który spojrzeniem rzuca wyzwanie autorytetowi dorosłych.

Aja napotyka wzrok małego surfera. Nagle nieruchomieje, a potem przybliża do ust radiotelefon.

– Nie! Zmiana planów, zostajecie w Les Hauts! Issindou, Minot, ciągle jesteście na końcu avenue de la Mer? Ustawcie się za rondem na setce. Szosa nadmorska jest pod kontrolą, Bellion na pewno skręci na Maïdo, żeby potem pojechać w kierunku kotlin albo wjechać na Route des Tamarins. Bądźcie w gotowości, na litość boską, dam sobie rękę uciąć, że będzie usiłował przejechać przez góry!

Nabiera oddechu, potem stara się mówić głosem już opanowanym.

– Chłopaki, tylko niech was nie poniesie, wiem, że mamy do czynienia z podwójnym mordercą... ale na tylnym siedzeniu jedzie dziecko.

16.15

– Tato, niedobrze mi!

Tym razem nie żartuję. Naprawdę chcę, żeby tata się zatrzymał. Jak on jedzie, w końcu kogoś zabije. Albo wyleci z zakrętu. Jestem zmęczona. I boję się. Chciałabym wrócić do hotelu. Chciałabym wrócić nad basen.

Chcę zobaczyć mamę.

Zrozumiałam, nie jestem taka głupia z tymi potworami, co zjadają ludzi, tata uciekł akurat wtedy, gdy przyjechali policjanci, kiedy usłyszał syreny. To ma jakiś związek z mamą, tak mi się zdaje. Dzieci na basenie opowiadały, że mama nie żyje.

Ochlapałam je, nie chciałam przy nich płakać, wybuchnęłam śmiechem, ale one się upierały, przeciągały kciukiem po szyi i patrzyły mi prosto w oczy.

„Twój tata ją zabił!”.

Powstrzymałam łzy, zacisnęłam gardło bardzo mocno, tylko zrobiłam złą minę.

„Opowiadasz bzdury, skąd to wiesz?”.

„Moja mama mi powiedziała!”.

Największy chłopak, ten z długimi włosami, miał minę bardzo pewną siebie. W sumie nie był taki duży. Ale może to jednak jest prawda.

Tata jakby odgadł moje myśli, odwrócił się.

– Popatrz, Sofo, popatrz na góry, prosto przed nami. Tam właśnie jedziemy, w te chmury.

– Jedziemy do mamy? – spytałam.

16.16

Martial nie odpowiada. Kluczy małymi uliczkami dzielnicy Ermitage: allée des Songes, allée des Cocotiers, rue des Dattiers. Wszystkie prowadzą do avenue de la Mer, potem już tylko rondo na skrzyżowaniu krajowej jedynek i departamentalnej setki.

I będzie wolny...

Musi jeszcze przyspieszyć, jechać szybko, przejechać, zanim zablokują drogę.

– Tato, czy to prawda? Mama wyjechała do chmur?

– Nie, Sofo, oczywiście, że nie...

– No to dlaczego ty...

– Później, Sofo!

Martial podniósł głos. I od razu sobie to wyrzucił. Nie może się skupić. Nie udaje mu się opanować wątpliwości, odczucia coraz bardziej natarczywego, w miarę jak oddala się od morza.

Nie uda się przejechać.

Policjanci porozumiewają się przez telefon, na bieżąco, na pewno mają opis clio i stoją już na głównych arteriach komunikacyjnych przy wyjeździe z Saint-Gilles. Także na drodze w stronę Les Hauts.

Clio ustępuje przejazdu toyocie. Martial znowu uchyla okno. Wyraźnie słyszy policyjne syreny, ledwie kilka domów dalej.

– Tato, wracamy do hotelu?

Uświadamia sobie, że nie ma najmniejszej szansy w tej zabawie w chowanego. Nie ma bardziej rzucającego się w oczy samochodu niż wynajęte clio. Policja spokojnie zarzuci na niego swoje sieci.

– Nie, Sofo, nie. Nie do hotelu. Ja... mam dla ciebie niespodziankę.

Mówi byle co, żeby tylko Sofa zamilkła; potrzebuje teraz spokoju, musi znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Zaparkować tutaj? Iść dalej pieszo? Nie, no, absurd, gliniarze od razu znajdą samochód. Z Sofą nie przejdzie nawet stu metrów.

– Nie mam ochoty na niespodzianki, tato. Chcę wrócić do hotelu.

Sofa tupie na tylnym siedzeniu, jej stopy kopią fotel Martiala.

– Chcę do mamy! Słyszysz? Mamo!

Znowu dźwięk syreny rozlega się między zabudowaniami. Ostry, przenikliwy jak buczonek na statku. Martial musi znaleźć jakieś rozwiązanie, żeby uspokoić Sofę i zyskać na czasie. Nie może dać się złapać, wtedy wszystko będzie stracone.

Nie wolno mu spartaczyć sprawy.

Dlatego nie może się wahać przed poświęceniem tego, co go opóźnia.

– Zawiozę cię gdzieś, gdzie ci pokażę coś wspaniałego, Sofo. Wyobrażałaś sobie już, jak może wyglądać raj?

Godzina 16.57

Parking terytorialnej jednostki policji w Saint-Gilles w głównej mierze to pusty plac skąpany w słońcu, który przeważnie służy jako nieregulaminowe boisko do gry w bule; to tutaj Christos, w dublecie z Jean-Jakiem, pozostaje niezwyciężony od dobrych dziesięciu lat.

Zarekwirowany plac został szybko przekształcony w główny sztab obławy na Martiala Belliona. Wokół pięciu radiowozów jumper stojących z otwartymi drzwiami uwija się około dwudziestu policjantów.

Aja chodzi od jednej grupki do drugiej jak reżyser zestresowany przed próbą generalną. Od dłuższej chwili wymyśla komuś przez telefon.

– Nie zdążył przejechać! – krzyczy pani komisarz. – Tak, jestem o tym przekonana! Wszystkie drogi wyjazdowe są zablokowane. To już kwestia minut, miejcie do nas trochę zaufania, kurde, dobrze znamy te okolice, zaraz go złapiemy!

Aja jest wściekła. Już od ponad godziny przeczesują każdą ulicę Saint-Gilles i okolic, a nie wpadli na najmniejszy ślad szarego clio, tym bardziej na ślad Martiala Belliona i jego córki. Auto dosłownie się ulotniło! Aja była zmuszona zatelefonować do Komendy Głównej w Saint-Denis. Jakiś zastrachany podwładny w niecałe pół minuty połączył ją z inspektorem Laroche'em. Typek ugrzeczniony, cierpliwy, niewykazujący najmniejszych oznak paniki. Co więcej, ten dureń przyjął ton protekcyjny, tak jakby chciał ją przytemperować.

– Spokojnie, pani komisarz, jesteśmy przekonani, że pani i pani ludzie zrobiliście maksimum tego, co byliście w stanie zrobić. Jednostka interwencyjna i nasze brygady przejmą pałeczkę... Będziemy w kontakcie...

Maksimum tego, co byliście w stanie zrobić?

Ten gość mówiący z akcentem Francuza, gość, który przyleciał na wyspę z pół roku temu, mówi do niej jak do jakiejś szczeniary. Aja z trudem odzyskuje spokój. Musi jednak wyżebrać od niego jeszcze kilka godzin. Komenda Główna to

dziesiątki ludzi doskonale wyszkolonych, którzy czekają na najmniejszy pretekst, aby rozprostować nogi: brygady zmotoryzowane, wodne, powietrzne, wysokogórskie... Ludzie z jej jednostki nie mogą się z nimi równać, ale wydaje jej się, że Laroche nie za bardzo ma ochotę rzucać wszystkie swoje oddziały do akcji w najbardziej turystycznej miejscowości na wyspie. Takie polowanie na dużą skalę na człowieka oznaczałoby wypłoszenie letników bardziej skuteczne, niż zrobiłby to rój komarów tygrysich.

Aja przez dłuższy czas prowadzi rokowania.

– Dobrze, pani komisarz – w końcu Laroche wyraża zgodę. – Daję pani dwie godziny na złapanie tego turysty. W końcu to morderca, który ucieka z córką, nie można więc tego traktować jako porwania dziecka... – Inspektor milknie na chwilę, potem kończy: – Zwłaszcza że nie ma matki, która mogłaby wnieść skargę.

Milczenie.

– Żartuję, pani komisarz.

Co za idiota!

Aja powstrzymuje się, by nie wyłączyć telefonu. Zamiast tego zapewnia inspektora, że będzie go na bieżąco informować co kwadrans. Dziękuje mu i kończy rozmowę.

Idiota!

Aja ma świadomość, że jeśli nie znajdzie szybko Martiala Belliona, dwie uzyskane godziny zdadzą się na nic. Dochodzenie zostanie powierzone Komendzie Głównej Laroche'a, a ona będzie tylko śledzić jako widz końcówkę rozgrywki.

Christos stojący, nieco z tyłu, w cieniu dwóch drzew służących za podpórę rozpadającego się hamaka, ze zdziwieniem obserwuje scenę. Surrealistyczną. Kilka metrów od parkingu zamienionego w strategiczne centrum dowodzenia bezlitosnym polowaniem na człowieka, ledwie dwa rzędy domów dalej, rozciąga się plaża w Saint-Gilles. Przechodzą letnicy, widzą jakieś poruszenie, niepokoją ich radiotelefony brzęczące jak owady. Ci najbardziej rozgarnięci być może wyobrażają sobie, że obudził się wulkan albo że szeroko zakrojona operacja przeciwko pijanym kierowcom została zaplanowana właśnie na weekend wielkanocny. Zresztą Aja zalecała policjantom, aby właśnie takiego wyjaśnienia udzielali przechodniom dla usprawiedliwienia zapór przy drogach wyjazdowych z miasta.

Zaraz będzie wybuch – myśli Christos. Tornado ogarnie ten niewielki kurort... Korzystajcie, próżniacy, obserwujcie ryby błazenki, pijcie koktajle z parasolką i plasterkiem pomarańczy, oglądajcie zachód słońca, zanim zostanie ogłoszony stan oblężenia. Niebawem się dowiecie... Morderca biega po ulicach. Zabił żonę, a teraz może nawet i córkę. Może zakopał je w piasku, w którym bawią się wasze dzieci...

Aja, obojętna na morską scenerię, odwraca się tyłem do plaży i wchodzi do głównego biura posterunku. Wszystkie drzwi i okna są otwarte. Projektor połączony z laptopem wyświetla na głównej ścianie mapę Saint-Gilles w skali 1:10 000. Cztery metry na dwa. Policjant na bieżąco nanosi lokalizację drogowych zapór, przeszukiwanych miejsc; kolory świadczą o tym, ile razy przez dany punkt przejechały patrole.

Aja przez chwilę patrzy, jak mapa się zabarwia. Żółta. Pomarańczowa. Czerwona. Potrzeba chyba kilku godzin, żeby ją zamalować... Raptem chwytając zestaw markerów, podchodzi do przeciwległej ściany, także nieskazitelnie białej. Wspina się na palcach i pisze, najwyżej jak tylko się da, wielkimi literami:

Na czarno:

GDZIE JEST SAMOCHÓD?

Na czerwono:

GDZIE JEST CIAŁO LIANE BELLION?

Na niebiesko:

GDZIE JEST CÓRKA?

Na zielono:

GDZIE JEST BELLION?

Aja zatyka ostatni flamaster. Christos cichutko podchodzi do niej z tyłu.

– Nie trzeba było wytaczać całej kawalerii, żeby capnąć Belliona w hotelu.

Pani komisarz odwraca się, jest wyraźnie u kresu zdenerwowania.

– A co byś proponował? Przyjść w kostiumie kąpielowym i otoczyć basen?

Christos się nie irytuje. Rozumie. Droga Aja ma ambicje, pewien szacunek dla siebie samej i jednak zaważyła pierwszą operację kryminalną, zasługującą na to miano, którą miała dowodzić.

– Nie masz sobie nic do zarzucenia, Aju. Zmobilizowałam wszystkie jednostki, które były do dyspozycji.

Kładzie rękę na ramieniu pani komisarz, patrzy na policjantów na parkingu, kręcących się jak spanikowane mrówki, po czym mówi dalej:

– Przypomnij sobie, kochana, jak ostatnim razem jednostki z Saint-Paul, Saint-Gilles i Saint-Leu razem interweniowały, żeby osaczyć nudystów z plaży Souris-Chaude... ustawa z września dwa tysiące piątego. A jednak goście wymknęli się i nago przedostali aż do Trois-Bassins...

Aja uśmiechnęła się lekko.

– Bellion nie mógł przejechać, Christos! Natychmiast zablokowaliśmy miasto, wysłałam nawet Gavrama i Larose’a, aby sprawdzali jachty wypływające z portu.

Pani komisarz bez pośpiechu studiuje ogromną mapę na ścianie, na której widnieją pomarańczowe kółka.

– Jest gdzieś tutaj, bardzo blisko. Czuję to.

Christos także wpatruje się w mapę i krzywi się.

– No więc musimy uwierzyć, że Bellion jest magikiem. Zadekować się z wynajętym samochodem i sześćioletnią dziewczynką w miejscowości liczącej trzy i pół tysiąca mieszkańców, gdy dziesiątki policjantów przeczesują ulice...

Aja nie słucha. Robi zwrot w tył, wychodzi z pokoju, wraca na parking i mówi podniesionym głosem.

Wszyscy policjanci się odwracają.

– Chłopaki, komenda przyśle nam posiłki z Saint-Denis, bo według nich nie jesteśmy wystarczająco kompetentni. Głupie gadanie, nic poza tym... No więc ruszmy się! Wiemy, że Martial Bellion nie mógł wyjechać z miasta. Przeszukacie nie tylko bagażniki samochodów, które wyjeżdżają z Saint-Gilles, ale także wszystkie garaże w domach, w prywatnych posiadłościach, willach, zamkniętych rezydencjach. Bogaci czy biedni, Kreole czy Francuzi, mam to gdzieś. Wszystkie domy! Jeśli trzeba, spędzimy tu całą noc. On jeździ wypożyczonym samochodem, cholera jasna, z wyraźnym napisem „ITC Tropicar”! Przyskrzynimy go, chłopaki. I zrobimy to sami!

Milczenie pełne powątpiewania następuje po tyradzie pani komisarz.

– Mocna rzecz – szepcze jej Christos do ucha. – Zupełnie jak John Wayne. Jeszcze tylko trzeba się zorientować, czy twoja kawaleria jest gotowa do szarży...

Aja odwraca się do podkomisarza i mówi dalej tym samym tonem:

– Ty, mesjaszu, zostaw swoje prorocтва. Weźmiesz pod lupę hotel Alamanda.

Wyciągniesz, co się da, z tych Jourdainów, przepytasz personel hotelu, dzieciaki na parkingu... Ustalisz co do sekundy rozkład zajęć rodziny Bellionów przed zabójstwem.

Godzina 17.01

Za każdym razem, gdy Sofa przybliży palec, liście mimozy zwijają się. Nie do wiary! Jak jakieś malutkie zwierzątko. Kilka sekund później listek znowu się rozwija, nieśmiało i nieufnie.

Sofa jest zauroczona rośliną. Zwykle głaskanie, dmuchnięcie, kropelka wystarczą, aby kwiatek zwinął się jak ślimak. Na początku Sofa bała się, ale teraz zasmakowała w tej zabawie. A to dopiero początek. W ogrodzie Eden jest wiele innych wspaniałych roślin do odkrycia.

Prawdziwy raj, Martial nie kłamał.

Obserwuje córkę. Jest spokojny. Na kilka chwil Sofa zapomniała. Martial sądzi, że na zewnątrz ogrodu, przeciwnie niż tu, panuje zamęt. Cała policja go chyba szuka. Wściekli, że pozwolili mu się ulotnić. Zadają sobie tysiące pytań.

Logika!

Któż by pomyślał, że najbardziej poszukiwany na wyspie przestępca, zamiast uciekać albo ukryć się w jakimś domu, spokojnie zwiedza z córką Eden, słynny ogród botaniczny na wyspie Reunion? Czy jakikolwiek gliniarz wpadłby na pomysł, aby tu go szukać?

Policjanci szukają szarego clio.

Jak można się pozbyć wynajętego samochodu?

Niecałą godzinę temu Martial, okrążony wyciem policyjnych syren i zaklinowany zaporami drogowymi w czterech punktach miasta, miał zaledwie kilka sekund na podjęcie decyzji. A ona nasunęła się sama: najgenialniejszy pomysł na ukrycie się polega na... na tym, aby się nie chować.

– Faj! – wykrzykuje Sofa, wybuchając śmiechem.

Zatrzymała się przy roślinie zwanej zatwar cuchnący i odczytała nazwę na

drewnianej tabliczce. Wącha liście na gałęzi, zatyka nos, znowu się śmieje, po czym, podskakując, biegnie dalej.

Martial w milczeniu idzie za nią.

Nie chować się...

Łatwiej pomyśleć, niż wykonać! Martial musiał po raz kolejny przejechać avenue de Bourbon, kilkaset metrów od hotelu Alamanda, dosłownie pod nosem policji. W każdej chwili mógł natknąć się na radiowóz. Gwałtownie zahamował przed bramą wjazdową na małe asfaltowe podwórko przy murowanym budynku o bladej barwie lilaróż.

„Wynajem aut ITC Tropicar”.

Na parkingu stało pięć samochodów do wynajęcia, w tym dwa szare clio. Najwyraźniej interes nie idzie za dobrze... Zresztą agencja jest zamknięta w weekend wielkanocny, ewentualni klienci, którzy znają przecież kod przy bramie, mają wrzucić klucze do skrzynki pocztowej i zatelefonować do ajenta, żeby się pofatygował, na bladoliliowym murze jest numer wypisany czarnymi cyframi. Martial zaparkował samochód na samym końcu parkingu pod drzewem kazuaryny, aby nie był widziany bezpośrednio z ulicy.

Pięć czy sześć samochodów? O jeden za dużo? Kto to może wiedzieć, oprócz ajenta? Zorientuje się najwcześniej we wtorek rano, kiedy otworzy interes! A co do gliniarzy – małe szanse, że będą dociekliwi. Uciekinier ścigany przez policję raczej nie będzie zwrócić wypożyczonego samochodu, nie zostawia go na parkingu agencji, zwłaszcza gdy ta znajduje się trzysta metrów od hotelu, z którego uciekł.

A więc zyska dwa dni...

Sofa wchodzi do ogródka kaktusów. Z rozbawieniem pochyla się nad dużą włochatą banią. Jeszcze jedna roślina, która jest podobna do zwierzęcia! Wygląda jak jeż pustynny zwinięty w kulkę.

– Poduszka teściowej – literuje Sofa, wodząc palcem po napisie.

Znowu wybucha śmiechem i biegnie w stronę drewnianego mostka pośrodku bambusowego zagajnika.

Martial idzie za nią, zatopiony w myślach. Agencja ITC Tropicar ma jeszcze jedną zaletę, jej parking wychodzi na niewielki lasek, co pozwala przebyć pod osłoną kilometr przedmieścia Saint-Gilles aż do wejścia do ogrodu botanicznego Eden. Ogród jest prawie pusty w ten weekend, gdy nie ma lekcji w szkołach:

kreolskie rodziny urządzają sobie pikniki w górach. Można tu spotkać tylko nielicznych turystów, nie tych najmłodszych, z przewodnikami „Guide bleu” w ręku. Najwidoczniej żaden z nich nie wie jeszcze o pościgu, który ma miejsce za płotem ogrodu.

Na razie Eden jest więc nienaruszonym rajem, idealną oazą spokoju, w której można przeczekać.

Na razie...

Sofa unosi wzrok w stronę drzewa podróżników, urzekającego listowiem rozłożonym jak słońce, które strzela w niebo setkami zielonych promieni. Od chwili gdy weszła do ogrodu, spędza czas na próbach odczytania informacji wypisanych na tabliczkach obok roślin. Uczone słowa po łacinie, skomplikowane terminy biologiczne, ileż sformułowań, których nie potrafi zrozumieć.

Ravenala.

A jednak Sofa przybiera pozy, marszczy czoło, przeczesała palcami długie włosy. Naśladuje matkę – zauważa Martial – gdy ta jest w muzeum albo na wystawie. Zdziwił się, że od paru chwil jego oddech jest spokojniejszy, że cieszy się chwilą pomimo tropiącej go policji. Że ma czas na obserwowanie córki. Sofa to małe półdiabły, ale kochane półdiabły. Zdolna. Emocjonalna. Uparta.

Liane ją za bardzo rozpieściła, oczywiście. Na jakiej podstawie mógłby się temu sprzeciwić? Jaką pozycję zajmie teraz? Liane przerwała studia z socjolingwistyki, aby wychowywać Sofę. Miała obronić doktorat w czasie ciąży, tak było zaplanowane, dziewięć miesięcy na napisanie czterystu stron na temat przejścia od przekazu ustnego do pisanego na podstawie najbardziej egzotycznego, przeznaczonego dla małych zbiorowości tłumaczenia *Małego Księcia*. Teoretycznie to było do zrobienia, nawet przy jednoczesnej pracy bibliotekarki trzy razy w tygodniu po pół dnia w Fundacji Saint-Exupéry’ego dla młodzieży z Issy-les-Moulineaux.

Liane nie napisała nawet wstępu. Rzuciła pracę w czwartym miesiącu ciąży, chociaż w fundacji czekano na nią z otwartymi rękami, by po obronie doktoratu zatrudnić ją na cały etat.

Ciąża zmienia kobietę. Jak Martial mógł o tym zapomnieć? Liane nagle odłożyła na bok wszelkie osobiste ambicje, aby w pełnym wymiarze godzin opiekować się małą kobietką ważącą trzy kilo pięćset dwanaście gramów. „Wszelka osobista ambicja...”. Złościłaby się, gdyby przy niej użył takich słów. On nic nie rozumie! Liane nigdy nie czuła tak doskonałej harmonii z samą sobą jak teraz, po urodzeniu

Sofy...

On już w ogóle przestał rozumieć Liane...

Nie rozumiał też nic z tego, co było między nimi...

Ciąża, a potem przyjście na świat dziecka pochłonęły Liane, która przedtem go oplatała jak bluszcz, przepadała za ich najbardziej wymyślnymi igraszkami erotycznymi. Nie żeby po urodzinach Sofy nie mieli życia seksualnego... ale ich czułości stały się przypadkowe, w najlepszym razie planowane, niemal wciśnięte na listę tygodniowych obowiązków. Niezbędne, oczywiście, ale już nie priorytetowe... Tak jak i jego osoba zresztą. Martial zawsze był przy niej, ważny dla niej, ale już nie najważniejszy.

Niełatwo to zaakceptować.

Sofa ciągle biega, migają drzewa. Czasem zwalnia, czasem patrzy w niebo, czasem otwiera oczy szeroko niczym sowa na widok szeregu drzew poprzebieranych jak na karnawał. Baobaby. Chlebowce. Palmy olejowe. Pandany.

Nagle opuszcza głowę i rusza w kierunku czerwonego mostka pokrytego bugenwillami.

Martial na chwilę traci ją z oczu.

„To jest życie! – przymilała się Liane, kołysząc Sofę. To jest życie, Martial! Codzienność. To nas połączy, na zawsze... Wszystkie długoletnie związki przez to przechodzą”.

Nie, Liane! Martial wiele razy miał ochotę krzyknąć. Nie, Liane, nie wszystkie związki!

Liane nigdy nie robiła mu żadnych wymówek, ale milczenie było tak bardzo uciążliwe, niedopowiedzenia tak oczywiste. Czy Martial jest zdolny opiekować się Sofą? Kochać ją, po prostu. Czy można mieć do niego zaufanie? Liane nigdy z nim nie rozmawiała o przeszłości. Nigdy nie wypowiedziała imienia Alex. Liane była osobą subtelną, delikatną, ale Martial dostrzegał w jej oczach jakąś wątpliwość i za każdym razem gubił się w spirali tego pytania, które musiało być dla Liane torturą. Sofo, czy twój tata jest potworem?

– Uwaga!

Martial instynktownie wyciągnął rękę do przodu i złapał Sofę za przegub. Córka rzuca ponure spojrzenie. Raczej urażona niż zirytowana.

– „Rybi ogon” – wyjaśnia Martial, wskazując kiście zielonych owoców zwisających na skraju alejki. – Jeśli zjesz, to trucizna, a jeśli dotkniesz, to najskuteczniejszy szczypiący skórę puder.

Sofa, sceptyczna, podejrzliwie przypatruje się dziwnej roślinie, a po chwili rusza przed siebie, nie mówiąc do ojca ani słowa.

Sofa, czy twój tata jest potworem?

Nie ma odpowiedzi.

Nie powinien już się rozpraszać. Ogród zamykają o osiemnastej. Zostaje im kilka minut, a potem znajdą się na zewnątrz. Nie ma żadnego planu. Dzielnica jest prawdopodobnie naszpikowana gliniarzami, którzy zlecieli się z całej wyspy tylko dla niego i jego córki. Kanał telewizyjny Réunion 1 wkrótce pokaże jego twarz, to pewne. I twarz Sofy.

Samotny ojciec z córeczką...

Na pewno ktoś ich rozpozna, doniesie. Turysta, przechodzień.

Sofa zatrzymała się na skraju alejki. Malutki kameleon lamparci wyleguje się na łożycie pośrodku kępy porcelanowych róż. W miarę jak kwiat się kołysze, plamki na jego ciele z czerwonych stają się zielone.

Przy odrobinie wyobraźni...

Sofie wyobraźni nie brakuje.

– Zostajesz, kochanie? Ja już wychodzę.

Sofa nie odpowiada, zafascynowana oczami malutkiego kameleona, które obracają się każde w inną stronę jak dwa bączki Beyblade. Martial rzuca ostatnie spojrzenie na Sofę, po czym wchodzi pod pergolę z lian. Zdaje sobie sprawę, że nie mają już samochodu, z ubrań tylko to, co na sobie, żadnego schronienia na noc, nic do jedzenia.

Nie zna nikogo na wyspie, a tym bardziej w tym kurorcie. Sam przeciw wszystkim. Nie ma nic w ręku, żadnego atutu.

Wejście do ogrodu zmusza do przejścia przez ogromną beczkę, dębową kadź

z roku 1847, w której mieściło się pięćdziesiąt siedem tysięcy litrów rumu, jak informuje napis. Martial posuwa się do przodu i obserwuje dziewczynę w recepcji, tkwiącą za stojakiem z kartkami pocztowymi. Dziewczyna stuka w iPhone'a. Pomalowane paznokcie, afrykańskie dredy, piercing w nozdrzach. Statystycznie jest większa szansa, że ślicznotka siedzi na Facebooku, a nie przegląda wiadomości, które pokazują zdjęcie uciekiniera...

Martial zakłada okulary przeciwsłoneczne. Nie ma wyboru, musi spróbować szczęścia. W holu recepcyjnym nic interesującego, na stelażu foldery wyliczające najważniejsze atrakcje na wyspie, miesięcznik sławiący uroki kurortu Saint-Gilles, jakieś prospekty...

Nic potrzebnego, a priori.

A priori.

W umyśle Martiala kiełkuje pewien pomysł.

Pomysł, który wymaga trochę szczęścia. Odrobiny szczęścia. I dużo tupetu.

ZEZNANIA ADWOKATA

Godzina 17.16

– Halo? Aja?

Pani komisarz Purvi wycofuje się do głównego biura posterunku, przechodzi przez wiązkę światła z rzutnika i przykrywa miasto Saint-Gilles czarnym cieniem, tak niespodziewanym jak chmura podczas tornado.

– Słucham?

– Gildas, nadkomisarz jednostki w Saint-Benoît. Kojarzysz mnie? Gliniarze w gumiakach i ceratach...

Aja go kojarzy. Gildas Yacou jest nadkomisarzem w jednostce Saint-Benoît od dwudziestu pięciu lat. Dwadzieścia pięć lat spędzonych na uprawianiu nieuprzejmości, tak jak inni uprawiają konopie, na prośbach o przeniesienie, które nie następowało. Saint-Benoît to sto deszczowych dni w roku, prawie połowa mieszkańców na bezrobociu i rekordowy poziom przestępczości w przeliczeniu na osobę w skali całej wyspy...

– Czego ty właściwie chcesz, Gildas? Jesteśmy tutaj już trochę wypompowani. Jeśli dzwonicz, żeby mi zaproponować pomoc...

Gildas kaszle, jakby tam panowała zima.

– Aju, mam coś na temat sprawy Belliona.

Aja czuje, że uginają się pod nią nogi. Martial Bellion wymknął się z zasadzki. Jest już na drugim krańcu wyspy. Zaraz zniknie w Mafate lub w Salazie.

– Ty... namierzyłeś Martiala Belliona?

– Nie... Bardzo bym chciał, chyba wiesz. Nie pogardziłbym pięcioma minutami sławy po kilkudziesięciu latach wzorowej, rzetelnej służby, którą wszyscy mają gdzieś. Nie, nie, bądź spokojna, to moja podwładna, praktykantka Flora, ta, która w tym tygodniu siedzi u nas w dyżurce... Widziała Liane Bellion.

Aja opada na pierwsze krzesło, do którego udało jej się dopaść.

– Żywą?

Gildas znowu kaszle w słuchawkę. Jeszcze chwila, a będzie można wyobrazić go sobie w szaliku i czapce.

– Taaak, jak najbardziej żywą.

Kolejny napad kaszlu. Najwyraźniej Gildas się nie spieszy.

– Ale to było pięć dni temu...

Aja chciałaby znaleźć się twarzą w twarz z Gildasem i udusić go własnymi rękami.

– Przestań się wygłupiać, Gildas. Tu się pracuje.

Komisarz z jednostki w Saint-Benoît nie reaguje na tę uwagę.

– Liane Bellion osobiście przysłała na komisariat we wtorek dwudziestego szóstego.

Trzy dni przed zniknięciem – oblicza Aja.

– Czego chciała? – pyta z podekscytowaniem.

– Trudno powiedzieć. Z tego, co wiem, mówiła coś zupełnie absurdałnego, ale co do szczegółów trzeba spytać Florę, to ona przyjęła zgłoszenie.

– Dobrze, Gildas. Przyjeżdżasz tu z Florą. Czekaemy...

Kaszle Gildasa miesza się z jego sprośnym śmiechem.

– Nic się nie zmieniasz, Aju. Prawdziwa pryncypałka. Wyobraź sobie, że tu też się pracuje. Jeśli chcesz spotkać się z Florą, bierzesz radiowóz i robisz sobie przejażdżkę po wyspie. Masz szczęście, na najbliższe godziny nie przewidziano cyklonu...

– Mamy tu mordercę na wolności, Gildas.

– No, taaak... chyba rozumiem... Morderstwo do wyjaśnienia – mam jedno takie tygodniowo. Nie licząc gwałtów i napadów...

– Nie nudź, Gildas. Będziesz miał do czynienia z Komendą Główną, jeśli nie zechcesz z nami współpracować.

Gildas wybuchą głosem, którego nie łagodzi już żaden cynizm.

– Nie igraj ze mną, Aja! Co mnie obchodzą Francuzi z Saint-Denis? Powiemy sobie po prostu, że mamy różne priorytety i zostaniemy dobrymi przyjaciółmi. Podzielmy się równo, chcesz? Ja wyjadę do Tampon, ty przejedziesz drugą połowę drogi i spotkamy się w Entre-Deux przy cmentarzu Bras de Pontho?

Aja wpatruje się w ogromną mapę na ścianie, która zabarwia się powoli, bardzo powoli, na żółto, co oznacza, że patrole przeczesają teren.

– Ja mam jeszcze co innego do roboty, Gildas, tutaj mnie potrzebują.

– No to przekaz komuś część obowiązków, Aju, wyślij kogoś...

Christos daje znak Jourdainom, żeby usiedli, sam zaś z wielkim upodobaniem rozsiada się w przepastnym skórzanym fotelu dyrektora Alamandy.

Z radością przepędził Armanda Zuttora.

No już, a kysz, grubasku, twoje biuro zarekwirowane. Siła wyższa!

Christosa zachwyił pełen przerażenia wyraz twarzy białasa. Niech się cieszy, że dupsko podkomisarza, który go wysiadał, by spokojnie przemaglować jego klientów, nie jest czarne... Christos zagłębia się w fotelu, mości się tak, aby świeże powietrze z wentylatora zwisającego z sufitu łaskotało go w kark. W gruncie rzeczy rozumie tego Zuttora. Człowiek szybko nabiera upodobania do tych wszystkich błazeńskich oznak władzy...

Para naprzeciw chyba nie miewa się najlepiej. Adwokat i jego żona. Margaux i Jacques Jourdainowie.

Christos położył na stole nóż ze sklepu Maison du Monde.

– Proszę państwa, pytam jeszcze raz: czy to jest nóż Martiala Belliona?

– No...

Niezbyt wygadany ten adwokat.

Christos nie jest naiwny. Jacques Jourdain oczywiście rozpoznał nóż, ale stawia się. Kwestia honoru, solidarności społecznej, niepisanej umowy. W końcu jeszcze wczoraj wieczorem dzielił stół z Martialem Bellionem...

Christos poprawia irytujący kosmyk szpakowatych włosów, poruszany podmuchem wentylatora.

– Proszę państwa, musimy sobie coś wyjaśnić. Podczas gdy my spokojnie siedzimy w biurze dyrektora, wszyscy policjanci zostali zmobilizowani do polowania z nagonką. Zgraja psów, gruby zwierz, a pośrodku życie małej, sześćioletniej dziewczynki. No więc proszę się szybko zastanowić...

Christos obraca nożem jak strzałką na kole loterii.

– To narzędzie zostało znalezione w brzuchu pewnego nieszczęsnego człowieka; z odciskami palców Belliona na rękojeści. A więc nikogo nie będziecie denuncjować... Proszę po prostu o potwierdzenie.

Jacques Jourdain przyjmuje postawę człowieka dumnego i odpowiedzialnego.

– To... to trudno powiedzieć...

No tak, masz mnie za głupola...

Christos wzdycha. Z irytacją unosi wzrok i ogląda pokój. Ściany pokryte są czarno-białymi sztychami z wyraźnym przeznaczeniem dla niższego personelu biura. Litografie przedstawiają historię wyspy, ale historię, która zatrzymała się na roku 1946, na departamentalizacji. Kreole ustawieni rzędem jak zesłańcy na plantacji trzciny cukrowej, panie w krynolinach przed wspaniałymi willami z ozdobnymi lambrekinami, młode Murzynki nagie do pasa, o hebanowej cerze, portrety zapomnianych już bogatych białych, z wyrazem pogardliwej wyniosłości pod opadającym wąsem...

Stare dobre czasy...

Christos rusza do ataku.

– Rozumiem pana. Solidarność, co? Kiedy wieje wiatr, trzeba sobie podać rękę.

Efekt był taki, jakby pod tyłek adwokata podłożył morskiego jeża. Jacques Jourdain zerwał się jak oparzony.

– Dlaczego pan tak mówi?

Żeby cię sprowokować, ciołku.

– Dlatego, że zabójca szwenda się spokojnie po wyspie! Zabił, znowu zabije, musimy mieć pewność. Tu nie ma miejsca na tajemnicę zawodową, panie Jourdain. Nie jest pan adwokatem Belliona. Nic nie jest mu pan winien. Nie prosimy pana, aby pan współpracował z obcą policją, donosząc na rodaka. Przecież jest pan tutaj we Francji...

Christos zastanawia się, czy nie przesadził.

– To jego nóż – mruknęła nagle Margaux Jourdain.

Skóra fotela zamortyzowała podskok.

– Jest pani pewna?

– Tak. Trzy dni temu pojechaliśmy do Cilaos. Tradycyjny piknik na modłę kreolską. Korzystaliśmy z grilla przy tej drodze, która ma czterysta zakrętów. Wszyscy posługiwaliśmy się tym nożem.

Margaux z bliska ogląda nóż, analizuje każdą skazę ostrza, rękojeści i potwierdza.

– To jego nóż.

Jacques obrzuca Margaux rozeźlonym spojrzeniem. Dla zasady! Jest raczej zadowolony, że żona się włączyła. Christos wkłada nóż do przezroczystej plastikowej torebki.

– Dziękuję, posuwamy się naprzód... A wczoraj po południu? Pluskaliście się w basenie z Bellionami, o ile mi wiadomo.

Jako zawodowy mistrz hipokryzji, tym razem Jacques zgłasza się pierwszy.

– Zgadza się. Martial prosił, żebyśmy popilnowali Sofy, kiedy on pójdzie za Liane do pokoju.

Christos przysuwa bliżej stojący na biurku zegar z brązu, który chyba pochodzi z epoki przed zniesieniem niewolnictwa. Wokół cyferblatu czterech małych Kreolów niesie koszyk pełen egzotycznych owoców.

– Przykro mi, ale tu musimy być bardziej precyzyjni. Liane Bellion poszła do pokoju o piętnastej dziesięć. Naivo Randrianasoloarimino, w obecności Martiala Belliona, otworzył pokój trzydzieści osiem, pusty, o szesnastej sześć. Pytanie jest więc bardzo proste: czy Martial Bellion opuścił hotelowy ogród pomiędzy piętnastą a szesnastą?

Jacques Jourdain odpowiada troszeczkę za szybko.

– Trudno powiedzieć. Wie pan, jak to jest. Sjesta, lektura, lenistwo. Nie szpiegujemy się. Żyjemy tu bez zegarka...

No dobrze, zobaczymy...

– Proszę państwa, nie będę znowu powtarzał całego wywodu, ucieczka zabójcy, mała Sofa, ogromne znaczenie waszego zeznania...

Jacques nie daje za wygraną, usiłuje otworzyć wszystkie klapy bezpieczeństwa.

– Komisarzu, zdaje mi się, że Martial Bellion osobiście panu potwierdził te szczegóły. W hotelu mówią, że wypytywał pan pracowników. A także troje dzieci na ulicy. To panu nie wystarczy?

Christos unosi wzrok na kolonialne litografie, potem mierzy spojrzeniem Jacques'a Jourdaina.

– Mnie tak... Ale innym... Prawdę mówiąc, wersja Martiala Belliona bardzo się zmieniła przez ten czas.

Po raz drugi Margaux nie wytrzymuje:

– Martial opuścił hotelowy ogród piętnaście minut po wyjściu Liane. Chyłkiem. Wszyscy spali na leżankach, tylko ja pokonywałam kilka długości basenu. Może sądził, że nikt tego nie zauważy. Wrócił po półgodzinie, posiedział z nami około dwudziestu minut, po czym znowu poszedł na górę, tym razem ostentacyjnie, a przedtem poprosił, żebyśmy popilnowali Sofy.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie. Najpierw przyszło mi do głowy, że idzie do żony poswawolić w czasie sjesty, i pomyślałam, że ta kobieta to ma szczęście.

Słuchaj tych słów, adwokaciku, prawy sierpowy...

– Potem upłynęło sporo czasu, więc pomyślałam sobie, że ona naprawdę ma dużo szczęścia.

Lewy sierpowy...

Christos uśmiecha się. Gdyby tak troszkę pogmerać, to ta nijaka Margaux Jourdain nawet mogłaby być ponętna. Jacques Jourdain ciągle ma na ustach ten swój uśmieszek sądowy.

– No ale sama widzisz, kochanie, w sumie nie za bardzo miała to szczęście.

Unik i hak adwokata.

Spojrzenie paniusi nagle mętnieje; pyta szczerze:

– Panie komisarzu? Naprawdę pan sądzi, że Martial zabił tę kobietę i tego... eee... tubylca?

Uwaga, ślicznotko, robi się ślisko. Nigdy, przenigdy nie używamy na wyspie tego słowa. Twój mąż adwokat wyjaśni ci to lepiej niż ja. Pod kołderką, zasłużyłaś na to.

– Jest taka możliwość, proszę pani. Ale mam nadzieję, że nie pozostawi za sobą następnych trupów.

Godzina 17.33

Martial usiadł na krześle i ukrył twarz za biuletynem informacyjnym z Saint-Gilles – niewielką czterostronicową gazetką drukowaną na błyszczącym papierze – na wypadek gdyby dziewczyna z recepcji uniosła wzrok znad swego iPhone’a. To raczej się nie zdarzy, stuka w telefon z zapamiętaniem genialnego pianisty grającego Mozarta w Royal Albert Hall.

Uwagę Martiala przyciągnął tytuł widniejący na pierwszej stronie informatora miejskiego.

„Zniesienie dopłat emerytalnych na Reunionie. Zastój na rynku nieruchomości w Saint-Gilles-les-Bains”.

Z tego zwyczajnego tytułu wykiełkował zarys strategii, ale Martial musi dowiedzieć się czegoś więcej. Jak wszyscy na wyspie słyszał o dyskusjach na temat czasowych rekompensat emerytalnych, ale nie może narażać się na najmniejsze choćby ryzyko, musi zebrać jak najwięcej informacji.

Na chwilę opuszcza gazetkę i upewnia się, że Sofa jest w ogrodzie. Pozostawiła już kameleona lamparciego na łodyżce, teraz jej uwagę przykuwają motyle. Stara się nadążać wzrokiem za pomarańczowo-czarną szatą motyla monarchy, który krąży między dwiema orchideami.

Uspokojony Martial pograża się w lekturze artykułu. Od roku 1952 każdy francuski pracownik, który pobiera emeryturę na Reunionie, pod jednym jedynym warunkiem, że wyjedzie z wyspy najwyżej na czterdzieści dni w roku, dostaje dopłatę 35%. Ponad trzydzieści tysięcy beneficjentów, w tym kilkuset takich, którzy nie mieszkają na wyspie wcale albo prawie wcale. Reforma Jégo z roku 2008 zniesie ten przywilej najwcześniej, na oko, za dwadzieścia lat... Nie ma mowy, aby zbyt gwałtownie uciąć głowę kurze znoszącej złote jaja: emeryci to setki milionów euro wstrzykiwanych w reunionińską gospodarkę... a szczególnie w rynek nieruchomości w Saint-Gilles.

Martial jeszcze raz spogląda na Sofę. Wszystko w porządku. Znowu dręczy kameleona, wsuwa rękę za niego, aby przekonać się, czy zmieni kolor na różowy.

Ponownie skupia się na artykule. Prawdę mówiąc, nic go nie obchodzi szczegóły dotyczące przyszłości emerytów na wyspie. Ma na uwadze tylko jeden fakt: Saint-Gilles roi się od pustych mieszkań, teoretycznie zajętych ponad trzysta dni w roku przez przybyszy z metropolii, których stopa w rzeczywistości nigdy tam nie powstała. Martial przypuszcza, że niektórzy usiłują zarobić na tym podwójnie. Nie tylko pobierają podwyższone świadczenia emerytalne na mieszkanie, w którym nie przebywają albo przebywają krótko, ale dodatkowo wynajmują je lokatorom. Jakże oprzeć się takiej pokusie? Wolne mieszkanie w tropikach, tuż nad laguną. Skoro można komuś zrobić przysługę...

Martial odkłada gazetkę. Palce dziewczyny w recepcji dalej ślizgają się z olimpijską szybkością po dotykowym wyświetlaczu, podwójny axel, potrójny lutz. Nawet gdyby gliny chciały ją przesłuchać, nie ma obawy, nie wyciągną z niej najprostszego portretu pamięciowego jakiegokolwiek osoby zwiedzającej Eden tego dnia.

*

Martial znowu przechodzi pod pergolą i zagłębia się w ogród. Sofa, dziesięć metrów przed nim, błaga go spojrzeniem.

– Tato, mogę pójść jeszcze do mimozy?

– Tak, Sofo, ale pospiesz się. Nie zostaniemy tu długo.

Przez krótką chwilę zastanawia się, czy nie powinien zostawić tu Sofy i uciekać w pojedynkę. Ale czy jest w stanie przewidzieć, co się może wydarzyć w najbliższych godzinach? Czy potrafi przewidzieć własne reakcje? Liane nigdy nie pozwoliłaby mu zabrać Sofy. Od urodzenia ich córki zawsze się sprzeciwiała, z prostego powodu.

Strach...

Ale Liane już tu nie ma.

Krople potu spływają po skroniach Martiala. Nie wolno ulegać panice. Jego wahania są po prostu śmieszne, przecież nie ma wyboru, Sofa musi zostać z nim. Córka jest zakładnikiem. Posłusznym zakładnikiem, uległym i zgodnym.

Monetą przetargową, kiedy nadejdzie odpowiedni moment.

Martial wyjmując z kieszeni telefon komórkowy, Black- Berry Curve 9300. Kupił go trzy dni temu od Chińczyka w Saint-Denis, pokątnie, na ulicy Abbatoir, nawet nie podał swojego nazwiska, nie ma najmniejszego ryzyka, że gliniarze go zlokalizują. Dobre łączenie z internetem. Szybko wybiera adres: www.papvacances.fr.

Strona otwiera się na pięćdziesięciu tysiącach ogłoszeń o wynajmie bez pośredników. Rozwijane menu proponuje szukanie na całym świecie.

„W mieście czy poza miastem?”

Kciukiem naciska klawisze.

SAINT-GILLES-LES-BAINS.

Wybieranie trwa zaledwie cztery sekundy. Czterdzieści siedem ogłoszeń. Martial szybko je przegląda. Większość dotyczy mieszkań. Wzdycha. Zbyt duże ryzyko. Powraca do poprzedniego menu.

„Jaki rodzaj obiektu?”

Martial zawęża kryteria wyszukiwania.

DOMEK CZY WILLA.

Tym razem trzy sekundy. Pozostało osiemnaście ogłoszeń.

Martial gorączkowo klika w ikonę „Wybierz szczegóły”. Dzięki georeferencji Google Earth zintegrowanej ze stroną sprawdza lokalizację każdego domu, potem wpatruje się w adres e-mail właścicieli. Zajmuje mu to niespełna minutę. Przy dwunastym ogłoszeniu trafia na to, czego szukał. Dom znajduje się niecałe trzysta metrów od ogrodu Eden, przy ulicy Maldives. Cztery zdjęcia dołączone do oferty dają pełniejszy obraz obiektu: mały, niewidoczny ogródek otoczony betonowym murem, oszklona weranda.

Ideał...

Kontakt: Chantall95@yahoo.fr.

Jest nawet adres w metropolii:

Chantal Letellier

13 rue de Clairvaux

Montmorency.

Martial jeszcze raz upewnia się, czy dom jest do wynajęcia. Jest otwarty i udostępniany pięć tygodni w roku... Dokładnie te pięć tygodni, które właśnie się zaczynają. Wszystko jak wymarzone, Martial nie może tu zdać się na przypadek.

Wraca na poprzednią stronę: www.google.fr.

„Obrazy”.

Naciska klawisze, zwracając baczna uwagę na pisownię.

„Chantal Letellier Montmorency”.

Po sekundzie ukazuje się piętnaście miniaturowych fotografii uśmiechniętej kobiety, sześćdziesięciolatki o błękitnych włosach.

Martial klika w pierwsze zdjęcie.

„Copainsdavant.linternaute.com”.

Otwiera całą biografię Chantal Letellier. Jest krótka. Przez trzydzieści osiem lat pielęgniarka w szpitalu Bichat. Klika w drugie zdjęcie i trafia na Facebooka. Chantal błękitnowłosa wytapetowała swój profil fotografiami wnuków. Najwyraźniej nie ma żadnego dziadka.

Martial z trudem opanowuje ekscytację. Wymarzony cel! Chantal Letellier przez pięć tygodni w roku wynajmuje swoje mieszkanie na Reunionie... Jeśli pielęgniarka jest uczciwa, to znaczy, że chodzi tu o legalny okres, na który wyjeżdża do metropolii do wnuków... Jeśli kombinuje, nigdy nie zjawia się w tropikach i wynajmuje dom na pięć tygodni, które przesuwają się na jej stronie przez okrągły rok.

Tak czy inaczej, dom jest pusty, położony blisko, na uboczu...

Bez zarzutu.

Zapisuje w pamięci telefonu adres, rue des Maldives 3, po czym unosi wzrok.

Sofa? Gdzie jest Sofa?

Przy mimozach ani śladu dziewczynki!

Sofa?

Martial wpada w panikę. Zapytać kogoś zwiedzającego byłoby zbyt wielkim ryzykiem, a jeszcze większym zawołanie córki po imieniu. Wkłada telefon do kieszeni i rusza biegiem.

Alejka, dwie alejki. Depcze rośliny. Nie powinien zostawiać jej bez opieki. Liane miała rację. Jest rozkojarzony. W głębi ogrodu jest jakaś sadzawka. Stawek pełen węgorzy, gupików i innych ryb wszelkiego rodzaju. Mogła...

No, jest.

Ze zdziwieniem wpatruje się w ogródek zen.

Osobliwa cisza tego miejsca kontrastuje ze śpiewem ptaków, dochodzącym

z pozostałych części ogrodu. Brunatnożółta ziemia. Szary, wygrabiony żwir. Smugi białych, gładkich kamyczków pomiędzy krągłymi wzniesieniami czarnego piasku. Martial łagodnie kładzie dłoń na ramieniu Sofy, bez słowa.

Oczy dziewczynki patrzą prosząco.

– Tato, zostaniemy tu jeszcze trochę?

– Nie, Sofo, już idziemy.

Uśmiecha się do niego. Na chwilę zapomniała o nieszczęściu. O policyjnych syrenach. O pościgu samochodowym.

O mamie.

Na chwilę.

SPOTKANIE W LE TAMPON

Godzina 18.12

Aja parkuje auto przed cmentarzem Bras de Pontho. Groby znajdują się na łagodnym zboczu, równomiernie rozmieszczone, tak jakby każdy na wieczność musiał mieć widok na Bras de la Plaine – jar porosły drzewami cytrynowymi i naturalną kaplicę z bazaltowych kolumn.

Jest ciepło; ogromny cień Piton des Neiges stwarza złudzenie zmierzchu, który zapada tu nie tak gwałtownie jak gdzie indziej.

Aja patrzy na zegarek i przeklina. Za niecały kwadrans Komenda Główna weźmie sprawę w swoje łapy, liczy się każda minuta, a ona jest zablokowana w tej dziurze, bo musi czekać na zidiociałego gliniarza, który się spóźnia i który na pewno niepotrzebnie zawraca jej głowę.

18.25

Gildas Yacou wreszcie się zjawia. Wysiada z żółtego jeepa z plandeką. Rozpięta koszula. Kwiecisty krawat. Coś w rodzaju *Hawaii Five-O* w wersji Bollywood.

Grubas obejmuje w talii bojaźliwą młodziutką policjantkę, Kreolkę, niezbyt ładną, z wyjątkiem długich rzęs, trzepoczących jak motyle skrzydła. Na szczęście ma się ochotę patrzeć tylko na te rzęsy. Flora wbija wzrok w kamienie.

– Floro, przedstawiam ci Aję. Znam ją od dzieciństwa, tak jak ciebie. Odbyla u mnie pierwsze praktyki. Bojowa dziewczyna. – Gildas posyła Aji uśmiezek, jak mu się zdaje porozumiewawczy, i mówi dalej: – Trochę upierdliwa, bardziej nerwowa niż Francuz zaraz po wylądowaniu na wyspie, ale to przyzwoita dziewczyna.

Stopa Aji wznieca kurz.

– Skończyłeś już te swoje wygłupy?

– Taaak...

– No to ruszamy. Gdyby nie twoje głupoty, byłabym już w Saint-Gilles.

– Spokojnie, Aju, spokojnie. To nie wina tej małej...

– Nie mam pretensji do małej. Ale mam do ciebie...

Oczy Gildasa iskrzą jak oczy rybaka, którego już nie przeraża nawet sztorm.

– Uspokój się, Aju. Ta mała jest tu od dwóch miesięcy. Pochodzi z gór, z Hell-Bourg. Ciężko pracowała, żeby tu się znaleźć, chyba rozumiesz... No więc wypytaj ją, tylko się nad nią nie znęcaj.

Gliniarz ojcowskim gestem obejmuje Florę za ramiona. Dziewczyna trochę drży. Aji trudno odgadnąć, czy to z powodu dotyku szefa, opinii dręczycielki, jaką przykleił Aji... czy może tego, co ta mała ma do powiedzenia.

Zwraca się do Flory:

– No więc widziałaś Liane Bellion?

Praktykantka waha się, wije.

– Tak... We wtorek. Pięć dni temu...

Gildas przyciska swoje brzuszysko do brzucha Flory i szepcze jej do ucha:

– No, dalej, kochaniutka, przecież ona cię nie zje.

Aja usiłuje skupić myśli. Ci dwoje coś przed nią ukrywają. Mała popełniła jakąś głupotę, a ten wieprz Gildas stara się ją kryć.

W pełnym znaczeniu tego słowa...

Flora szepcze raczej, niż mówi:

– Ona... przyszła na posterunek w Saint-Benoît.

– Co takiego?

W Aji budzi się pitbull. Trzeba się uspokoić. Pozwolić mówić tej małej.

Flora bierze rozpęd i mechanicznie wyrzuca z siebie słowa, które nabierają prędkości, jakby staczały się po stoku.

– Siedziałam w dyżurce. Sama. Przyszła rano, zaraz po otwarciu, około dziewiątej. Prosiła o coś dziwnego. To było jakieś takie bezładne, ale w końcu zrozumiałam, że chciała dostać ochronę.

Aja z trudem powstrzymuje brytana przed atakiem. Hamuje się, aby nie wrzeszczeć.

– Przyszła na policję prosić o ochronę. A ty to nazywasz czymś dziwnym?

Palce Gildasa łapią talię młodej, głaszczą plecy pod koszulą, tak jakby brajlem przekazywał jej odpowiedzi. Flora jest wytrącona z równowagi.

– Nie, pani komisarz. Nie... Nie to chciałam powiedzieć. Liane Bellion nie tak to sformułowała. Raczej pytała, czy policja może chronić pojedynczych ludzi...

konkretne osoby...

– Ale czy mówiła o sobie?

– Tak... To było dość oczywiste.

Aja stara się kontrolować wzbierającą w niej adrenalinę.

– Nie jesteś głupia. Chyba postarałaś się coś z niej wyciągnąć?

– Oczywiście, pani komisarz, próbowałam pociągnąć ją za język. Spytałam, zachowując urzędową formę, „ochronę dla kogo? przeciw czemu?”. Wtedy właśnie Liane Bellion się zacięła. Odpowiedziała coś w rodzaju: „ochronę osób, które nie mogą wyjawić, co im zagraża”.

– Co takiego?

Flora nabiera coraz większej pewności siebie. Podeszła o metr bliżej, więc ręce Gildasa nie dają rady jej obmacywać.

– No właśnie tak, pani komisarz... „Co takiego?”. Ja też tak odpowiedziałam na słowa Liane Bellion. Od tej chwili zaczęła się plątać w wyjaśnieniach i mówiła w pierwszej osobie. Jej wywód to było błędne koło. „Boję się – mówiła. I dlatego że się boję, nie mogę nic więcej powiedzieć”. Potem spytała, co policja zrobi, jeśli ona wyjawi coś więcej.

– A ty co odpowiedziałaś?

– Że sprawdzimy fakty! Cóż innego miałam powiedzieć? Wtedy się zdenerwowała. „To najgorsze, co można zrobić! – krzyknęła. Nie rozumie pani? Musicie mi zaufać. Jeśli nie wierzycie mi na słowo, jeśli zaczniecie dochodzenie, to groźba już nie będzie tylko groźbą”.

Aja zamierza zadać pytanie. Gildas chce posunąć się do przodu, żeby chwycić rękę Flory, połączyć koszuli, choćby kawałek ciała. Flora podnosi rękę władcym ruchem, żeby jej nie przerywano.

– Nalegałam, pani komisarz. Proszę mi wierzyć, drażnyłam temat. „Niech mi pani powie coś więcej – prosiłam Liane Bellion. Jak mamy interweniować, skoro nie podaje pani żadnego szczegółu?”. Wtedy Liane Bellion nie wytrzymała. To piękna kobieta, wyglądała na dość pewną siebie, ale w tamtej chwili straciła nad sobą kontrolę. Prawie krzyczała: „Nie zrozumiała mnie pani? Czy pani mnie chociaż słucha? Nie mogę nic powiedzieć! Chcę tylko, żebyście mnie chronili!”.

Flora nagle milknie, dwa czarne motyle, które oddają swe skrzydła jej lęklwym powiekom, zwracają się w stronę Piton des Neiges, po czym wlatują ku szczytom. Aja usiłuje przybrać jak najłagodniejszy ton głosu.

– A jak potem pokierowałaś rozmową?

– Staralam się dalej pytać o szczegóły, zdobyć jakiś punkt zaczepienia, coś namacalnego. Liane Bellion stopniowo się uspokajała. Nie chciała nic więcej zdradzić, jedynie trzymała się tego dziwnego pomysłu, aby dać jej ochronę osobistą albo dyskretną załogę bezpośredniej ochrony, ale żeby nie musiała nic mówić na temat zagrażającego jej niebezpieczeństwa. Po kilkuminutowej dyskusji postanowiła skrócić rozmowę, tak jakby w końcu zaczęła żałować, że w ogóle przyszła. Ostatecznie wyszła, mówiąc mniej więcej tak: „To nic takiego, pewnie niepotrzebnie panikuję, nieważne”.

I nic więcej?

Aja w duchu przeklina tę młodą naiwniaczkę. Z trudem udaje jej się opanować złość.

– Floro, pozwoliłaś jej odejść? Uwierzyłaś jej?

– Nie... Nie, pani komisarz... Nie całkiem, ale... Co innego mogłam zrobić? Nie chciała wnosić skargi, nie chciała nic powiedzieć, przepraszała, że niepokoi mnie w tak błahej sprawie...

Policyjna adeptka nagle zalewa się łzami. Gildas nie przepuszcza okazji. Znowu się do niej przykleja, przewracając w stronę Aji oczami rozgniewanego tatusia. Miał przynajmniej na tyle taktu, że już nic nie dopowiedział.

Flora się zachłystuje.

– Pani komisarz... Pani... pani myśli, że to przeze mnie? Że nie odważyła się powiedzieć, że czuje się zagrożona ze strony własnego męża, że boi się o siebie?

Odpowiedź Aji jest oschła i stanowcza:

– Nie o siebie. Bała się o córkę.

Łzy popłynęły ze zdwojoną siłą. Przebijają się przez nie prawie niesłyszalne słowa:

– Gdybym... gdybym...

Gildas przyjmuje funkcję psychologa:

– Ależ nie, moja kochaniutka, ależ nie...

Aja woli już nie pogarszać sytuacji. Po co? Czy tragedii można by uniknąć, gdyby Flora nie potraktowała Liane Bellion jak mitomanki? Odpowiedź nie ma żadnego znaczenia... Świadcstwo Flory wnosi jedynie kolejny element do listy faktów obciążających Martiala Belliona.

Spojrzenie Aji błądzi po cmentarzu. Większość grobów nie ma ani steli ani marmurowej tablicy. Zmarli zadowalają się prostokątną klatką stojącą w trawie, ze zdobionymi tu i ówdzie prętami, często zardzewiałymi. Aja odwraca się znowu

w stronę pary policjantów.

– Dlaczego waszym zdaniem Liane Bellion pojechała ze skargą do Saint-Benoît, na drugi koniec wyspy?

Gildas zabiera głos. Jego koszula jest mokra od mieszaniny potu i łez Flory.

– Chodzi o anonimowość, Aju. Maltretowane kobiety rzadko kiedy wnoszą skargę w komisariacie dzielnicowym...

Zgadza się, Gildas.

Gildas jest obmierzłym draniem o natrętnych łapskach, doświadczyła tego, gdy była w wieku Flory, ale jest niezłym gliniarzem.

Flora dalej pochlipuje. Źródło jej wstydu tryska bez końca...

– Ja... ja nie mogłam przewidzieć, pani komisarz...

Aja już nic nie odpowiada. Pod maską rzetelności sama w gruncie rzeczy jest pozorantką. Czuje się tak samo odpowiedzialna jak Flora. Pozwoliła, by Martial Bellion wymknął im się z rąk. Brnie w gmatwaniu faktów. Śledztwo także. Błąd tej stażystki jest niczym wobec jej niekompetencji...

Patrzy na zegarek, potem na telefon. Nic nowego. Poniosła klęskę. Komenda Główna i ten dureń Laroche lada chwila odbiorą jej dochodzenie.

A przecież to rzecz oczywista, Liane Bellion bała się o siebie. I bała się o córkę.

Wzrok Aji nie może oderwać się od małych ukwieconych klatek rozproszonych tu i ówdzie na cmentarzu, od cienkich prostokątnych prętów, ozdób z kutego cynowanego żelaza. Aja nie widzi już żadnego grobu, lecz dziesiątki dziecięcych łóżeczek; sypialnia pod gołym niebem, w której śpią żywcem pogrzebane niemowlęta.

DOM STARSZEJ PANI

Godzina 19.50

Poprzez szparę między zasłonami Martial dyskretnie obserwuje domy przy ulicy Maldives. Lampa halogenowa nastawiona na minimalną jasność roztacza w pokoju przytłumione światło niewidoczne z zewnątrz.

Wejście do domu Chantal Letellier okazało się trochę łatwiejsze, niż można się było spodziewać. Dom opisano w najdrobniejszych szczegółach na stronie www.papvacances.fr. Sądząc po planie i zdjęciach, okno w łazience było najmniej widoczne i zarazem najłatwiejsze do sforsowania. Najtrudniej wytłumaczyć włamanie Sofie.

„Jedna starsza pani pożycza nam swój dom, skarbie... ale zapomniała zostawić dla nas klucze”.

Nic nie powiedziała. Po prostu czekała, aż otworzy jej oszklone drzwi werandy, potem omiotła spojrzeniem ściany, z ciekawością obejrzała fotografie tej nieznaney babci z błękitnymi włosami w otoczeniu jasnowłosych, opalonych wnuczków; jeden chłopiec dziesięcioletni, a drugi mniej więcej w jej wieku. Wesole fotografie chłopców pozujących w Croc Parc, w rezerwacie krokodyli w L'Etang-Salé, przy srebrnych smugach wodospadu Voile de la Mariée, na plantacji trzciny cukrowej trzy razy wyższej niż oni.

Martial nie przestaje śledzić najmniejszych odgłosów życia w opustoszałych pobliskich zabudowaniach. Jakiś cień pod drzewem kazuaryny, podmuch na powierzchni wody w basenie, echo kroków na chodniku. W tej prawie niezamieszkaney dzielnicy emerytów nieliczni stali rezydenci spędzają czas zapewne na tropieniu każdego niecodziennego szczegółu. Tacy ludzie od razu telefonują na policję, gdy tylko zobaczą ruszającą się zasłonę, niezgaszone światło...

Otwartą bramę garażową...

Martial zdecydował się powziąć ryzyko, zostawił uchyloną metalową bramę garażu na tyle, by z ulicy można było stwierdzić, że garaż jest pusty. Dwie godziny wcześniej dostrzegł dwóch policjantów na drugim krańcu osiedla. Wyglądało, jakby otwierali garaże domów na chybił trafił, zapewne w poszukiwaniu szarego clio z wypożyczalni. Jeśli będą przejeżdżać obok domu Chantal Letellier i zobaczą, że jest zamknięta, pogrążony w ciszy, ciemny, z pustym garażem, nie zatrzymają się.

Przynajmniej taką ma nadzieję...

Martial cofa się i bierze pilota od małego telewizora. Nastawia dźwięk jak najciszej i włącza. Opada na kanapę.

Sofa śpi obok, w pokoju wnuka Chantal Letellier, ładnej kliteczce o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych, w której pełno jest rozmaitych ozdób: kreolskich laleczek, skorup morskich rozgwiazd, latawców i małych żaglówek.

Sofa była bardzo grzeczna. Za bardzo. Prawie milcząca. Prawdę mówiąc, Martial nie ma żadnego porównania, bo po raz pierwszy został z nią sam na sam. Jakie myśli mogą kłębić się w głowie tej dziewczynki, od urodzenia chronionej jak porcelanowa laleczka? Jaką ma w sobie siłę, by odpierać tę lawinę wydarzeń? Oczywiście, pocałowała go, uśmiechnęła się, odpowiedziała „Tak, tatusiu” na jego niezręczne „Dobranoc, malutka”.

Ale w głębi duszy co może sobie o nim myśleć?

20.45

Na kanale Réunion 1 od godziny w kółko nadawany jest dziennik telewizyjny. Po raz trzeci Martial widzi na ekranie zdjęcie Liane, a w następnym ujęciu zapowiedź ogłoszenia planu „Jastrząb”. Numer telefonu Komendy Głównej przesuwa się na pasku w dole ekranu, wyżej ukazuje się zdjęcie jego, a później Sofy. Głos komentatora zza kadru wylicza decydujące argumenty. Podwójne morderstwo. Niezbite dowody... Niebezpieczny i być może uzbrojony... Wzywa się świadków...

Portrety Martiala i Sofy wreszcie znikają, by ustąpić miejsca zmartwionemu dziennikarzowi, który przy każdym kolejnym doniesieniu coraz bardziej

dramatyzuje: w trybie natychmiastowym, czujność, środki ostrożności...

Martial głębiej usadza się na kanapie, opiera nogi na stojącym przed nim stoliku. Czuje się dziwnie spokojny, jak ktoś postronny wobec tego zamieszania, które wywołał, a z którego straszliwych konsekwencji powinien zdawać sobie sprawę. Zupełnie jak nieświadomy smarkacz, który potarł zapalną na polu pełnym słomy albo rzucił kamień na autostradę w dzień masowych wyjazdów... I który wie, czym to grozi, ale nie jest w stanie zmienić biegu wydarzeń.

20.51

Tata zabił mamę!

Tak podejrzewałam już wtedy, gdy powiedziały mi dzieci na basenie, ale teraz jestem pewna. Podali w telewizyjnych wiadomościach, kilka razy. Tatuś nastawił telewizor cichutko, ale ja i tak słyszałam.

Były też nasze zdjęcia.

Tata zabił mamę.

Wydaje mi się, że już wiele godzin tak stoję za otwartymi drzwiami do salonu. Próbowałam zasnąć, naprawdę, bardzo długo, ale mi się nie udało.

To niemożliwe.

Wstałam z łóżka i podeszłam cicho, bez hałasu. Tata prosił, żeby nie mówić głośno, niczego nie wywrócić, nie zapalać światła.

Tatuś siedzi na kanapie, ale z miejsca, w którym stoję, widzę tylko czubki jego butów na stoliku. Chyba że wstaje, podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz przez zasłonę.

Tak jak teraz. Warkot samochodu na ulicy nagle staje się głośniejszy niż to, co mówią w telewizji. Przez pokój przelatuje jakby błysk reflektorów, a potem nic, samochód pojechał dalej.

Tatuś ciągle wypatruje.

Nie będę mówić głośno, tylko tak, żeby usłyszał mnie bardziej niż tych spikerów w telewizorze.

– Tatusiu, czy mamę bolało, kiedy ją zabiłeś?

20.52

Martial odwraca się gwałtownie jak rażony prądem. Jedyna odpowiedź to położenie palca na ustach. W najbliższym domu zapalają się światła. Na pewno wracają sąsiedzi. Martial trzyma w ręce pilota, wyłącza dźwięk.

– Cicho, Sofo.

Odwraca się. Wszystko runęło.

Nie może ustać na nogach.

Sofa leży na posadzce. Strużka krwi cieknie po jej czole.

Godzina 21.02

Aja rozsiadła się na werandzie z tyłu posterunku. Ciemna noc okryła wewnętrzne podwórko, z wyjątkiem stołu oświetlanego słabą żarówką, która zwisa na drucie nawiniętym na belkę sufitową. Panuje niesamowity upał. Aja bardzo lubi w ten sposób podsumowywać dzień, postawić laptopa w altanie, podłączyć Wi-Fi. Wystarczy jej minimalne oświetlenie i błękitny blask ekranu. Słucha śpiewu ptaków, pełnych niepokoju treli, tak jakby po raz pierwszy zaskoczył je zmierzch. Ojciec nauczył ją rozpoznawać śpiew kruczyn, kłaskawek, muchodławek, ale przede wszystkim jej ulubionych salangan, które pokazują się jedynie nocą, a namierzyć je można tylko po odgłosie śpiewu.

Słowa płyną na ekranie. Aja pisze na kilometry, nawet nie sprawdzając, inspektor Laroche oczekuje jej raportu przed północą, zaznaczył, że zajmie się rozsyłaniem go do różnych formacji Komendy Głównej.

Decyzja sztabu głównego zapadła ze szwajcarską precyzją – o godzinie dwudziestej wprowadzenie planu „Jastrząb”. Komenda Główna zajmie się koordynacją pościgu za Martialem Bellionem, planem współpracy z mediami i listem gończym ogłoszonym we wszystkich kanałach telewizyjnych i radiowych, kontaktami z metropolią, łącznością pomiędzy poszczególnymi brygadami na wyspie, mobilizacją jednostek interwencyjnych.

Wielka gra...

Aja nawet nie musiała pertraktować, Laroche do rana pozostawia jej prowadzenie dochodzenia w strefie Saint--Gilles, ustawienie zapór przy wyjeździe z miasta i przeszukiwanie domów. On dowodzi całą resztą do następnego rozkazu.

Aja słyszy dochodzące z tyłu, z wnętrza posterunku, trzaski radia na różnych częstotliwościach. Niewyraźne rozkazy. Jakieś śmiechy, najczęściej przekleństwa przemęczonych policjantów. Przy wyjeździe z Saint-Gilles, przed ostatnim punktem kontrolnym, korki spowodowane metodycznym przeszukiwaniem

każdego samochodu osiagają kilka kilometrów. Nieszczęśni policjanci, którzy bawią się w celników, muszą znosić grad wyzwisk. Piętnastu innych dokładnie przeszukuje domy z garażami, wybrane na chybił trafił. Na razie bez konkretnych wskazań.

Żadnego punktu zaczepienia.

Aja przemyka oczy i rozpoznaje dochodzący z oddali, gdzieś znad stromych wybrzeży, krzyk faetonów broniących swych gniazd. Z pewnością coś przeoczyła.

Za młoda, za bardzo kobieca, za bardzo kreolska. Potrójna przeszkoda. Jutro rano dadzą jej to do zrozumienia.

Z zawziętością bierze się do raportu.

Budujące.

Wtorek 26 marca. Fakt udowodniony. Liane Bellion udaje się do Saint-Benoît, aby prosić policję o ochronę. Czuje się zagrożona.

Piątek 29 marca, godzina 15.00. Fakt udowodniony. Liane Bellion opuszcza ogród hotelu Alamanda i udaje się do swego pokoju. Potwierdzają to wszyscy goście i personel hotelu. Eve-Marie Nativel jest pewna, Liane Bellion nie wychodziła z pokoju.

15.15. Fakt już potwierdzony. Martial Bellion idzie za żoną do pokoju. Potwierdzają to zeznania małżeństwa Jourdainów i pracowników hotelu.

15.25. Fakt częściowo potwierdzony. Martial Bellion wychodzi z pokoju hotelowego, pchając przed sobą wózek na bieliznę, w którym może znajdować się ciało. Idzie na parking z tyłu hotelu. Zbieżne zeznania Eve-Marie Nativel, hotelowego ogrodnika Tanguya Dijoux i dzieci bawiących się na parkingu. Fakt potwierdzony także zeznaniami Martiala Belliona.

15.45. Fakt potwierdzony. Martial Bellion wraca nad hotelowy basen.

16.00. Fakt potwierdzony. Martial Bellion znowu idzie do pokoju. Zbieżne zeznania hotelowego personelu. W pokoju znaleziono ślady walki oraz krwi należącej do Liane Bellion.

Między 15.00 a 16.00 Amaury Hoarau, zwany Rodinem, zostaje zamordowany w porcie w Saint-Gilles, około kilometra od hotelu. Narzędzie zbrodni, nóż, należy do Martiala Belliona. Analizy nie pozostawiają żadnej wątpliwości: na ostrzu są ślady krwi należącej do Liane Bellion. Jedyne odciski palców znalezione na rękocyści to odciski Martiala Belliona.

Niedziela 31 marca, godzina 16.00, tuż przed zatrzymaniem Martial Bellion ucieka z hotelu Alamanda szarym wynajętym samochodem marki Renault Clio, zabiera ze sobą córkę Josaphę.

Od tego czasu jest nieuchwytny.

Wątpliwości co do winy Martiala Belliona: żadnych.

Fakty nieznanne: brak wyraźnego motywu zbrodni. Brak ciała Liane Bellion.

Najbardziej prawdopodobna hipoteza: spór, który przybrał zły obrót, pomiędzy Martialem Bellionem a jego żoną. Przypadkowa śmierć. Martial Bellion wpada w popłoch, a potem daje się wciągnąć w morderczą spiralę, która go przerosła.

Pytanie uzupełniające: jak daleko posunie się w tym szaleństwie?

Aja unosi wzrok. Zatrzymuje się na ostatnim zdaniu. „Szaleństwo”. Dla Komendy Głównej wolałaby jakieś inne określenie, ale nic lepszego nie przychodzi jej do głowy.

Pierwsze wyniki śledztwa przeprowadzonego w metropolii ukazują bezproblemową parę małżeńską. Martial Bellion pracuje jako portier w ośrodku sportowym w miejscowości Deuil-la-Barre. Od ośmiu lat jest mężem Liane. Ona od razu przerwała studia z socjolingwistyki, aby zajmować się ich córką o imieniu Josapha.

Na belce pod sufitem, obok drutu od żarówki, gekon udaje linoskoczka, chcąc zbliżyć się do światła. Ikar bez piór.

Aja zmusza się do uśmiechu.

Nikt nie staje się mordercą przez przypadek. W przeszłości Martiala Belliona musi być jakaś rysa. Komisariat w Deuil-la-Barre ma przysłać w nocy wszystkie informacje, jakie uda się zdobyć na temat małżeństwa Bellionów. Chłopcy się tam uwijają, jak widać, chociaż w metropolii jest już prawie dziewiętnasta, a jak na razie Komenda Główna nie bierze pod uwagę psychologicznego aspektu sprawy. A raczej ma go gdzieś. Wystarczy im wytłumaczenie, że to małżeńska sprzeczka, która obróciła się w tragedię. Najpierw złapać faceta, zanim znowu zabije. A potem znajdą się ewentualne okoliczności łagodzące...

Chyba że chodzi o coś zupełnie innego. Aja dwukrotnie spotkała Martiala Belliona. Coś tu nie pasuje. Człowiek, który przez przypadek zabił żonę, potem uległ panice, już dawno dałby się złapać. Ale dlaczego zawiadomił policję, z własnej woli poszedł na posterunek, przyznał się, a potem uciekł? Cała ta zabawa

wygląda jak inscenizacja przygotowana w jakimś konkretnym celu.

Jakim?

Trudno w raporcie umieścić intuicję, natychmiast zwałą na Aję całą winę, powiedzą, że chroni siebie samą, że wymyśla sobie jakiegoś makiawelicznego przeciwnika, żeby tylko nie przyznać, że dała się przechytrzyć amatorowi.

Nie przejmuje się tym.

Wszystkie wyrazy na ekranie są podkreślone na czerwono lub na zielono. Aja wzdycha głęboko. Są ważniejsze rzeczy do zrobienia niż poprawianie błędów ortograficznych ku uciesze francuskiej administracji... A jednak, choć ma tej całej biurokracji po dziurki w nosie, skrupulatnie się do tego przyłoży.

Kwestia ambicji.

21.05

– Dobranoc, Gabin!

Barman odwraca się; nie wie, czy podać swą czarną jak węgiel rękę. Już od ponad kwadransa z uporem szoruje ogromny grill z kamienia łupkowego w hotelu Alamanda. O menu hotelowej restauracji Grain de Sable decyduje Armand Zuttur. W dni grillowania oprócz przygotowywania ponczu Gabin musi jeszcze wykonać pracę kominiarza. Rozkaz to rozkaz...

Patrzy na Eve-Marie Nativel. Sprzątaczką stoi przed nim, ręce zaciska na płóciennej torbie. Najwidoczniej idzie już do domu.

– Nie podam ci ręki, Eve-Marie! Do jutra.

Stara Kreolka posyła mu uśmiech spod niebieskiej chustki. Nie odchodzi. Powoli odwraca głowę i sprawdza, czy nikt z gości ich nie podsłucha. W większości oddalili się od basenu, uciekając przed komarami.

– Nie – odpowiada Eve-Marie. – Jutro pracuję u białego. Taki głupek, jeszcze gorszy niż Zuttur, ale płaci mi cztery razy więcej...

– No, to wesołych świąt wielkanocnych...

Barman z rezygnacją spogląda w dół na brudne od sadzy ręce. Oczyszczenie poczerńałego paleniska zajmie mu jeszcze dłuższą chwilę. On, artysta koktajli, jest zmuszony niszczyć sobie skórę i gardło w chmurze popiołu... Rozbrzmiewa w nim blues trębacza zmuszonego do polerowania blachy.

Eve-Marie nie ruszyła się z miejsca. Wydaje się, że przeżuwa jakieś słowo w ustach, tak jak żuje się w nieskończoność lodygę trzciny cukrowej.

– Co powiedziałaś glinom?

Gabin o mało nie przysiada na węglach.

– Glinom?

– Taaak, tej małej Aji i prorokowi, co im dokładnie opowiedziałaś?

Gabin usiłuje odpowiedzieć bez namysłu.

– To, co się zdarzyło. Co widziałem zza baru. A co innego miałem gadać?

Stara Kreolka zamyka oczy. Trudno wyczuć, czy to zmęczenie, czy irytacja. Kiedy je otwiera, błękitne spojrzenie piorunuje barmana.

– Na przykład coś o przeszłości. O przeszłości Martiala Belliona.

Gabin bez pośpiechu wyjmuje z kieszeni marlboro.

– Nie, Eve-Marie. Gliny wcale o to nie pytały. Jestem zdyscyplinowanym chłopakiem, odpowiadam tylko na zadawane pytania.

– Bajery, Gabin! To tylko kwestia paru godzin. Policja na pewno wszystko sprawdzi.

Barman pochyła się nad grillem i dmucha na ostatnie żarzące się węgle, żeby odpalić od nich papierosa.

– Zobaczymy. Coś wymyślimy. Mam wprawę.

– Ja nie.

Eve-Marie jeszcze bardziej się pochyliła, jakby drewniany krzyżyk, który nosi na szyi, ważył tonę, po czym dodała cichutko:

– Ja... ja mam więcej do stracenia niż ty.

Barman głęboko zaciąga się papierosem. Dym z marlboro wije się w niebo, wokół Krzyża Południa.

Eve-Marie Nativel znowu przymyka oczy, potem patrzy na grill jak wróżka, która potrafi wyczytać przyszłość z wołowego tłuszczu.

– Liczę na ciebie, Gabin. Gliniarze będą grzebać w popiele. Dmuchać na węgle. Nie chciałabym, żeby imię Aloé było w to wszystko zamieszane. Poświęciłam długie lata, aby ją chronić. Rozumiesz, o co mi chodzi, Gabin? Pchły uciekają z martwego psa, nieszczęścia oddalają przyjaciół.

Gabin prztyczkiem wyrzuca niedopałek do paleniska.

– Rozumiem. Tylko że Aja jest zawzięta. Dobrze zna teren, lepiej niż ktokolwiek inny.

Eve-Marie powoli kieruje się w stronę wyjścia.

- Nie zawieź mnie, Gabin. Przekaż wiadomość Tanguyowi, Naivowi i reszcie... Barman patrzy za oddalającą się starą Kreolką. Szuka jakiegoś słowa, aby dowieść, że jest po jej stronie, a nie po stronie policji.
- Nie martw się, Eve-Marie. W końcu najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że Bellion dostanie kulkę w łeb, pójdzie od razu do piachu, a my nie będziemy już musieli dokopywać się do czegokolwiek.

21.09

Christos wchodzi na werandę posterunku z piwem Dodo w ręce. Aja ledwo unosi wzrok znad komputera.

- Dobra robota, Chris, zeznania Jourdainów.

Christos opróżnia puszkę, obojętny na komplement.

- Coś nowego?

– Nie, nic...

Klika w laptopa. Pokazuje się mapa Saint-Gilles, na której są zaznaczone domy sprawdzane przez policjantów.

- Posuwamy się jednak naprzód, Chris, będziemy go mieli. W strefie Carosse jest tylko dwóch ludzi, praktykantów. Mógłbyś ich wzmocnić...

Puszka po piwie ląduje w koszu. Christos przeciąga się.

- Ja już uciekam, Aju. Wracam do domu.

Aja opuszcza ręce na uda. Nawet nie stara się ukryć zdumienia.

- W co ty się ze mną bawisz, Chris? Mamy czas tylko do jutra rana, żeby namierzyć tego gościa. Bo potem ludzie...

- Nie, Aju... przykro mi. Pracujemy na zmiany. Tak to się zawsze odbywa.

- Do cholery, Christos, mamy mordercę na wolności...

- I to nie jego jednego. Handlarzy narkotykami też. I pedofilów. Wszelkiego rodzaju psycholi. Wdowy, które trzeba chronić. Znam moją robotę. Moi koledzy też.

Aja się wyprostowuje. Jej gęste brwi przybrały kształt ciemnej, prostej linii.

- Nie masz wyboru, Christos. Jesteś powołany. Jak wszyscy. Operacja „Jastrząb”
- mówi ci to coś?

- Czego ty ode mnie chcesz, Aju? Chcesz mi dać nagane? Będę tu jutro rano. Wcześniej. Idę spać. Zresztą powinnaś zrobić to samo.

Aja, zbita z tropu, słucha dziwnej mieszaniny gwizdu ptaków i brzęczenia policyjnego radia. Uśmiecha się ze znużeniem i odpowiada:

– Jesteś totalnie nieodpowiedzialny...

Christos poprzestaje na cynicznym uśmiešku i robi dwa kroki w stronę ogrodu.

– Niczego nie musisz udowadniać, Aju. Nikomu. Nawet jeśli złapiesz Belliona, to nie wiem, czy spotka cię za to jakieś uznanie...

Aja wybucha:

– Chcę złapać tego typa, zanim znowu kogoś zabije! Koniec, kropka. Reszta mnie nie obchodzi.

Christos cicho klaszcze w ciemności.

– Szacun, Aju. Jesteś aniołem... Nie zapomnij zadzwonić do swojego faceta i dzieciaków.

Aja unosi wzrok i aż parzy ją w oczy błysk nieosłoniętej żarówki. Jak błyskawica przeszła jej przez głowę myśl o Tomie, o ich córkach, Jade i Loli. Lola jest zaledwie o trzy miesiące starsza niż Josapha Bellion. Tom przysłał jej esemesa zaraz po ogłoszeniu planu „Jastrząb” na kanale Réunion 1. Aja nie miała czasu, by mu odpowiedzieć. Tak czy inaczej, domyślił się, że nie wróci na noc. Wszystko wytłumaczył dziewczynkom, a potem opowiedział bajkę i położył spać. Tom jest facetem idealnym.

Aja mruży oczy, patrząc w kierunku Christosa. Jej źrenice drżą jeszcze przez chwilę od zielonych rozbłysków.

– Przez ciebie tracę czas, Christosie. Masz rację, lepiej, żebyś się stąd zmył.

Godzina 21.13

Opatrunek w kolorze cielistym jest ledwo widoczny na czole Sofy. Jutro nie będzie już ani śladu po guzie i zadrapaniu. Martial siedzi obok Sofy na łóżku. Odsunął haftowane poduszki i pluszaki. Sofa posłusznie się poddała. Umyta. Przebrana. Położona do łóżka. Martial na nowo odkrył pewne ojcowskie gesty, niemal nierzeczywiste, tak jakby wykonywał je dla wprawy na nieżywej lalce.

Zesztywniała lalka.

Wyłączył telewizor. Sofa nie wypowiedziała już żadnych słów. Ostatnie jeszcze tłuką mu się po głowie.

Czy mamę bolało, kiedy ją zabiłeś?

Martial ściska w ręku książkę z bajkami, ma głupią minę. Przeczytanie bajki – czy to odpowiedni sposób, aby porozumieć się z córką? Niemal od urodzenia Sofy co wieczór Liane spędzała długie chwile na opowiadaniu jej bajek.

Niekończący się rytuał.

Mordęga.

Martial nienawidził tych intymnych chwil przed spaniem, z których był wykluczony, czuł się jak szpieg, gdy je podsłuchiwał, jak obcy, gdy trzymał się na uboczu. Podnosi się, aby odłożyć książkę z bajkami na półkę zastawioną muszlami. Potem znowu bardzo ostrożnie siada na łóżku.

– Opowiem ci coś, Sofo. Nawet więcej, wyjawię ci pewną tajemnicę.

Żadnej odpowiedzi. Sofa kuli się pod kołdrą w pastelowych barwach.

Martial próbuje jeszcze raz spokojnym, kojącym głosem.

– Wiesz, dlaczego masz takie dziwne imię, Josapha?

I tym razem nie ma żadnej odpowiedzi, ale oddech Sofy nieco przyspieszył.

– Jestem pewien, że mama nigdy ci o tym nie mówiła...

Spod kołdry wysuwa się głowa. Ciekawość bierze górę, powieki Sofy wyrażają to alfabetem Morse'a. Martial się uśmiecha.

– Widzisz, Sofo, tata i mama chcieli mieć dziecko. Bardzo, bardzo chcieli. Żeby mieć dziecko, tata i mama muszą się całować, obejmować tak mocno, jak mocno chcą dziecka. Rozumiesz?

Oczy Sofy rozszerzają się, są jak dwie szklane kulki. W ramach wiszących na ścianach pokoju chłopczyk w jej wieku głaszcze ogromny pancerz żółwia, na jasnych włosach ma czapkę z napisem „Rezerwat Corail”; na innym zdjęciu babcia sadza go na sankach na letnim torze w parku Maïdo. Wymarzone wakacje. Niczym niezmałcone szczęście.

Głos Martiala jest trochę drżący.

– Tamtego dnia mama i tata postanowili wyjechać na wakacje, niedaleko, nie na długo, nad najbliższe morze. Do Deauville w Normandii. Byliśmy tam w zeszłym roku, pamiętasz tę plażę z kolorowymi parasolami, gdzie woda wydała ci się taka zimna?

Sofa krzywi się na to wspomnienie. Rozchyła usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

– Ale teraz mówię o dniu na długo przed twoim urodzeniem. Tatuś zarezerwował pokój w hotelu dla siebie i dla mamy. Z okna był widok na morze. To miała być niespodzianka na urodziny mamy. Pojechaliśmy citroenem picasso, z tyłu nie było jeszcze twojego fotelika. Do Normandii trzeba jechać autostradą, to nie jest długa droga, ale często bywa tłok. W tamten wieczór tata i mama wyjechali późno, prawie już w nocy, żeby uniknąć korków. Mama chciała jak najszybciej dojechać do hotelu, obojgu nam się spieszyło, żeby się całować, mocno do siebie przytulać, żeby dziecko jak najszybciej się urodziło...

Sofa pełźnie pod kołdrą. Jej ręka dotyka teraz ramienia ojca.

– Przy autostradzie, już po opłatach, jest parking, jedyny w drodze nad morze. Tacie i mamie tak się spieszyło, żeby mieć dziecko, że nie mogli się doczekać przyjazdu do hotelu, więc zatrzymali się na tym parkingu przy autostradzie... Wiesz, Sofo, jak nazywa się to miejsce?

Usta poruszają się jak zdrętwiałe.

– Nnnie – szepcze wreszcie.

Gwałtowna fala gorąca ogarnęła Martiala.

– Nazywa się Skwerek Josaphy. Nie wiem, dlaczego nazwano to miejsce takim ładnym imieniem. Wokół nic nie ma, żadnej wioski, żadnych domów, tylko zwyczajny ponury parking i kilka drzew. Właśnie tam tata i mama wywołali cię z nieba, kochanie. Kiedy odjechaliśmy samochodem, mama mocno uścisnęła mi

rękę i powiedziała czule: „Nie uważasz, że Josapha to bardzo ładne imię?”.

Rączka Sofy wsuwa się w dłoń ojca. Wilgotna. Ciepła. Martial pochyla się, jego głos jest teraz ledwo słyszalny.

– Jesteś jedyną osobą na świecie, która nosi to imię. To skarb. Skarb, którego tajemnicę zna tylko tata, mama i ty. Rozumiesz, kochanie, miliony aut, ciężarówek przejeżdżają obok tablicy z napisem „Skwerek Josaphy” i nikt się nie domyśla, że to jest imię najpiękniejszej dziewczynki na świecie.

Po policzku Sofy spływa łezka.

Ciągle nie ma odwagi mówić, ale wpatruje się w ojca.

Martial rozumie bez słów. Sofa jest zagubiona.

No to dlaczego zabiłeś mamusię? – pytają załzawione oczy. Dlaczego, skoro ją kochałeś?

Martial zauważył jeszcze jedno zdjęcie szczęścia wiszące na ścianie. Zakochana we wnuku babcia zwiedza z nim reunionские Muzeum Wanilii. Dłoń Sofy jest miękka. Jej goła ręka trochę drży, pokryta gęsią skórą. Martial wydycha powietrze, odwraca wzrok i rusza do natarcia.

– Musisz mi ufać, Sofo. Musisz mi wierzyć.

Kaszle, żeby sobie przetrzeć głos.

– Ja... ja nie zabiłem mamy. Nikogo nie zabiłem, skarbie. Nikogo!

Ręka Sofy jest już tylko mydełkiem, które rozpuszcza się w jego dłoni. Martial patrzy na ścianę, na fotografię, niezdolny do jakiegokolwiek innej czułości, nie potrafi wziąć jej w ramiona, mocno przytulić do siebie, wsunąć palce w jej długie włosy.

Unika nawet spojrzenia Sofy. Trzy krótkie zdania, natarczywe, migają mu przed oczami.

Spotkanie jutro.

Anse des Cascades.

Z córką.

Przystępuje do rzeczy. Zdaje sobie sprawę, że pocieszenie Sofy to dopiero pierwszy etap. Potem będzie musiał ją przekonać. Potrzebuje jej.

– Sofo, musisz być odważna. Czy przypominasz sobie, co było napisane na szybie samochodu, wczoraj, na parkingu przy hotelu? To wiadomość o spotkaniu na drugim krańcu wyspy, pod wielkim wulkanem, w miejscu, które nazywa się Zatoka Kaskad. – Martial ściska w swojej dłoni pięć drobnych mokrych paluszków;

są jak gąbka nasiąknięta łzami. – Musimy tam dotrzeć, Sofo. Jutro. To będzie trudne, bardzo trudne, wszędzie są policjanci, którzy nas poszukują, ale musimy tam się przedostać...

Sofa pociąga nosem. Jąkając się, wydusza z siebie cztery słowa:

– Żeby odnaleźć mamę żywą?

Długie wahanie, prawie wieczność.

– Bardzo chciałbym, Sofo, bardzo...

21.34

Martial otworzył okno w łazience, to, które wychodzi na wewnętrzne patio niewidoczne z ulicy. Uchylił je tylko na kilka centymetrów, aby dym mógł ulecieć w rozgwieżdżone niebo.

Martial mocno trzyma w palcach naprędcę skręconego papierosa. Od lat już nie palił trawy. Kupił ją od Chińczyka na ulicy Abattoir, tego samego, który sprzedał mu telefon.

Kupować trawkę...

Śmiechu warte. Poczul się jak emerytowany piekarz, który co rano idzie kupować pieczywo. Mógłby udzielać temu Chińczykowi rad na temat jego handelku.

Zaciąga się po raz drugi. Gwiazdy na niebie na chwilę stają się przymglone, po czym mnożą się jak w kalejdoskopie poprzez pękniętą szybę okna.

Z patio dochodzi śpiew kilku ptaków. Martial zapomniał ich nazwy, pamięta tylko głos szarych wróbli na paryskim przedmieściu.

Zapomniał prawie wszystko.

Kiedy udał się na ulicę Abattoir przed trzema dniami, przejeżdżał obok dawnego dworca autobusowego. Około dziesięciu prostytutek czekało pod latarniami przed ogromnym malowidłem na murze. Martial odruchowo zwolnił.

Wzrokiem szukał Aloé wśród ciemnoskórych. Nie było jej. Jego spojrzenie padło na chyba nieletnie dziewczyny, Kreolki o platynowych włosach, grubaski w obcisłych ubraniach, ale żadna z nich nie była podobna do Aloé. A może jej nie rozpoznał. Ostatnie wieści od niej miał ponad pięć lat temu. Wie, że zmieniła nazwisko. Może i kolor włosów. Może nawet ma jakieś dzieci.

Następne zaciągnięcie się dymem.

Jakie życie miałyby Aloé, gdyby nie spotkała go na swej drodze? Gdyby nie była

tak przywiązana do Alexa?

Trzy dni temu mówił o niej Liane. Pokłócili się, tak jak zawsze, gdy wspomina tę część swego życia. A przynajmniej to, co jej z tego życia ujawnia.

Kłótnia...

Dzisiaj wszystko wydaje mu się takie nieistotne...

To było w sytuacji, gdy miał jeszcze możliwość odwrotu.

Martial gasi niedopalek o okno.

Tak bardzo przyzwyczał się do kłamstw. Okłamywał Aloé w poprzednim życiu. Liane – w tym tygodniu. Policjantów od trzech dni. A teraz córkę.

Ukryć się. Kłamać. Uciekać. Zabijać.

Czy ma jakiś wybór?

GROTA PIERWSZYCH FRANCUZÓW

Godzina 21.26

Stara renówka 5 Christosa powoli jedzie w kierunku wyższych partii obwodu Saint-Louis. Zwalnia na ostrym zakręcie ulicy Combavas. Stojąca niemal na środku drogi grupka ciemnoskórych z piwem w rękach czeka przed barobusem, aż zwolni się biały plastikowy stolik pod tęczowym baldachimem, rozciągniętym między dwiema palmami.

Rainbow nation, co za bajery – filozofuje Christos.

Jeszcze trzy zakosy.

Kilka wysokich zabudowań ustępuje miejsca małym domkom – to blaszane sześciany otoczone ogródkami--śmietnikami. Przerdzewiałe rowery. Zmarniałe kwiaty. Gruz i stare żelastwo.

Slumsy. A i tak drzewa kazuaryny zasłaniają to, co najgorsze.

Christos ścina jak najostrzej następny zakręt. Tak naprawdę zrozumiał wyspę Reunion dopiero wtedy, gdy ujrzał ją z wysokości; nie z helikoptera, nie ma takiej potrzeby, po prostu w internecie na Google Maps. Odkrył wówczas wyspę rozplaszczoną przez widok satelitarny, pokrytą tysiącami malutkich białych kwadracików, jednakowych domków w otoczeniu tej samej tropikalnej przyrody, ozłoconych tym samym słońcem, a odróżnić je można wyłącznie po jednym szczególe: gdzieniegdzie do białych kwadratów przylega mały niebieski owal, a gdzieniegdzie nie... Gdy patrzy się z góry, zasada jest prosta: im bliżej wybrzeża, laguny, tej, w której można się kąpać, bez skał, bez rekinów, bez prądów, tym więcej obejść ma niebieski krążek. Determinizm nie znosi przypadków – zagęszczenie basenów na wyspie jest dokładną odwrotnością teoretycznej potrzeby...

Na posterunku Christos pokazał mapę Aji, która tylko wzruszyła ramionami. Odpowiedziała mu nad wyraz znaczącą metaforą. „Jedna wyspa, cały świat” – głosi turystyczne hasło Reunionu. W końcu nie takie głupie. W samym Saint-Gilles na

czterdziestu kilometrach kwadratowych zebrała się reprezentatywna próbka nierówności pomiędzy ludami pięciu kontynentów.

Laboratorium ludzkości.

Ta wyspa jest tarasem ustawionym na krańcu świata, aby z niego obserwować przyszłość rodzaju ludzkiego. W cieniu, w klapkach na nogach, ze szklanką ponczu w ręce.

Christos parkuje na Michou-Fontaine, uliczce łagodnie opadającej, zastawionej pordzewiałymi samochodami. Wygląda jak jakieś złomowisko, a to po prostu zwykły parking. Dom Imeldy jest czwarty z kolei. Trójka młodych ludzi pali na progu, siedzą na trzech spróchniałych deskach służących za schodki.

Nazir to najstarszy syn Imeldy. Piętnastolatek. Długie nogi jak bocian w krótkich spodenkach. Spluwa i spogląda w górę, na Christosa.

– A, to ty, Derrick. Jak tam, nie łapiesz wroga publicznego numer jeden?

Odbiornik radiowy stojący na plastikowym kanistrze ryczy z odległości pięciu metrów. Pościg za Martialem Bellionem jest tematem wieczornej audycji.

Nazir zaciąga się dymem z niedopałka i dalej drąży:

– A ja myślałem, że jesteś taki jak James Bond...

Christos opiera stopę na schodku.

– Odpoczywam, smarkaczu. Wiesz, Derrick też śpi, żre, sra. Tak samo James Bond.

Dwaj koledzy Nazira wybuchają śmiechem. Nazir nie. Szpanuje.

– Nie wiem, co matka w tobie widzi. Żabojad, gliniarz. I dureń.

Christos wchodzi na dwa stopnie, spogląda w dół na maślaka.

– Ale za to romantyk. Zapamiętaj sobie, smarkaczu. Spać, srać, ale z romantyzmem. To cała tajemnica. O, młody, daj się sztachnąć...

Nazir trzyma niedopałek dwoma palcami i chowa za plecy.

– Nie dotykaj, facet, zakazana substancja...

– Tym bardziej daj. Nie zapominaj, że rozmawiasz z funkcjonariuszem zaprzysiężonym.

Oczy chłopaka błyszczą prowokująco.

– Taaak?

– Tak! No to zapomnij o pecie i oddaj tę działkę schowaną w kieszeni. Konfiskata!

Niespeszony Nazir wyciąga z kieszeni spodni zwinięte w kulkę, zapakowane liście. Macha nimi policjantowi przed nosem.

– O tym mówisz, koleś? Sprzedam ci za sto pięćdziesiąt euro. Warte dwa razy tyle, ale jesteś jak rodzina, co nie?

Christos wyciąga rękę.

– Sprzedane. Forsę zostawię matce.

– Akurat...

Plastikowy pakiecik wraca do kieszeni spodni. Nazir przytrzymał jeden listek między kciukiem a palcem wskazującym.

– No, trzymaj, Derrick. Prezent od firmy! Konopie z ogródka, zerwane dziś rano...

Gdy Christos wchodzi do domu z papierosem w ręce, Imelda stoi tyłem do niego, pochylona nad zlewem. Troje dzieci: Dorian, Joly i Amic, siedzą przy stole.

– Christos, kurde! – krzyczy Imelda, nawet się nie odwracając. – Papieros!

Policjant wzdycha.

– Nie przy dzieciakach! I to samo z Nazirem, wszystko słyszałam. Nie powinienes go zachęcać, ma dopiero piętnaście lat. Jesteś dla niego wzorem...

Christos chrząka.

– Wzorem, nie przesadzajmy! Jeśli już, to jestem jego przybranym ojcem. Imelda, tylko bez taniego szantażu psychologicznego.

Naczynia obijają się o wyszczerbiony fajansowy zlew. Sztućce wpadają do miski jak żelazny wodospad.

– Na razie zgaś peta. A jutro zabierzesz mu tę paczkę konopi, a potem powyrywasz rośliny w ogrodzie. Jeśli nie chcesz udawać ojca, poudawaj chociaż gliniarza.

Christos rozgniata niedopałek na podłodze. Zanim opadnie na drewniany stołek, zdąży jeszcze chwycić butelkę rumu.

– Cholera, mam wolny wieczór...

Imelda odwraca się i precyzyjnym ruchem zbiera ze stołu szklanki i talerze, z których jadły dzieci.

– Słyszałam wiadomości. Ale się dzieje w Saint-Gilles! Nie sądziłam, że tak wcześniej wrócisz.

Biały rum parzy podniebienie podkomisarza.

– Jeden idiota zabawiający się w chowanego więcej czy jeden mniej, co za różnica...

Imelda wzrusza ramionami. Pociera zapałkę i zapala gaz pod aluminiowym garnkiem.

– Założę się, że nic nie jadłeś.

Christos tylko potrząsa głową. Uwielbia tę czarnoskórą boginię. Uwielbia jej kari. Uwielbia przyjść i klapnąć sobie w tym marniejącym domu.

Ledwo wypił szklaneczkę, a już mała Joly wskakuje mu na kolana. Jej długie kędzierzawe włosy pachną kokosowym szamponem.

– Opowiesz mi bajkę o złym człowieku?

Christos odsuwa butelkę poza zasięg małej.

– Prawdziwie złym?

– Taaak.

– O złym człowieku, który wielkim nożem zabija Kreolów. Który zabija swoją żonę, żeby mieć córeczkę tylko dla siebie?

Joly wybucha śmiechem.

– O, taaak!

Imelda ustawia naczynia w kredensie z płyt laminowanych. Przez deformujące szkło butelki Christos widzi tylko jej królewski tyłeczek. Ma na nią wielką ochotę, tu i teraz. Ciało Imeldy jest stworzone do pozycji na pieszka.

Joly pociąga go za rękaw.

– Och, Jezusie, patrzysz na pupę mamy czy opowiadasz mi tę bajkę?

To dopiero mała diabliska!

Christos zabawia się huśtaniem dziewczynki. Mała pęka ze śmiechu. Dorian i Amic wykorzystują moment i znowu zaczynają się boksować, by odrobić codzienną porcję walki.

– Uwaga, gorące – uprzedza Imelda, stawiając przed Christosem talerz. – No jazda, wynocha, dzieciaki, spać!

Czarnula ucisza protesty jednym groźnym ruchem ścierki. Znowu odwraca się w stronę Christosa.

– Za chwilę, kiedy już będziemy sami, muszę z tobą porozmawiać. Poważnie...

– No to zostaw już to wszystko i chodź...

Imelda mówi dalej tym samym tonem, może z nutą dodatkowego podekscytowania:

– Porozmawiać o tej aferze z uciekającym zabójcą, idioto! Jest coś, co mi nie

daje spokoju w tej sprawie, o której nie przestają gadać w telewizji. Coś dziwnego, o czym – rzecz zaskakująca – absolutnie nikt nie pomyślał...

21.53

Dwadzieścia minut przerwy. Na taką chwilę wytchnienia Aja może sobie pozwolić.

Z zegarkiem w ręku.

Wolała oddalić się od Saint-Gilles. Nieraz, gdy musi przemyśleć jakąś sprawę, rusza swoim peugeotem do Saint-Paul, aby w zapadającym zmierzchu maszerować obrzeżem opuszczonego Cmentarza Morskiego, wzdłuż pustego placu targowego, koło Groty Pierwszych Francuzów, ukrytej pomiędzy drzewami.

Zatelefonowała do domu. Wszystko w porządku. Tom zajmuje się Jade i Lolą. Aja nie lubi dzwonić do nich naprędce, streszczać cały dzień w trzech zdaniach, szybko kończyć rozmowę, żeby nie zajmować linii, a potem układać sobie w jakimś porządku rzucane w słuchawkę słowa współczującego męża i dwóch podekscytowanych córeczek.

Uważaj na siebie, kochanie! Mamo, widziałyśmy cię w telewizji... Nie martw się, kochana, wszystko ogarniam. Mamusiu, kiedy wracasz? Dziewczynki czekały na twój telefon, nie chciały wcześniej gasić światła. Tatuś nam czytał *Ti-Jeana*, mamo, a potem znalazł kameleona ukrytego pod kamieniami za domem... No, uściskajcie mamę, dziewczynki, mama nie ma czasu...

Tom jest nienaganny.

Od sześciu lat pracuje w szkole, w wyżej położonej części Saint-Gilles. Jest też wychowawcą starszaków w przedszkolu. Opanowany. Rozsądny. Łagodny. Aja często go pyta, dlaczego ktoś tak doskonały znosi kobietę tak uciążliwą jak ona.

Nie, nie uciążliwą – odpowiada niezmiennie. Totalną.

Totalną...

Aja czasem ma wrażenie, że żyje z workiem treningowym, dobrze osadzonym na swojej podstawie: im mocniej się w niego bije, tym szybciej powraca do pionu. Nienaruszalny. Piękny punching-ball z czarnego weluru. Doskonały ojciec. Czują kochanek.

Aja nie lubi sypiać bez Toma.

Chyba że morderca krąży po wyspie z dziewczynką w wieku Loli.

Patrzy na zegarek w telefonie komórkowym. Zostało jej siedem minut. Nie ma najmniejszego powodu do niepokoju, Morez dostał specjalny rozkaz, żeby natychmiast ją wezwać, gdy tylko wydarzy się coś nowego. Na razie radio milczy.

Aja idzie w kierunku Groty Pierwszych Francuzów. W dali majaczy port Pointe-des-Galets... To tutaj, jak mówi legenda, przypłynęli pierwsi mieszkańcy wyspy. Wyspa Bourbon, jak nazywano ją wtedy, była niezamieszkała. Nie było tubylców do zmasakrowania przez kolonistów. Wyspa była po prostu kamieniem pośrodku oceanu, nienależącym do nikogo. Albo należącym do wszystkich...

Aja wędruje wzdłuż Cmentarza Morskiego. Samochód jest zaparkowany na samym końcu drogi. Niedawno dowiedziała się, że pochowany jest tam jej prapradziadek, w małym grobie pośród mogił piratów. Abhi Purvi, praprzodek, przybył na wyspę w roku 1861, w okresie „pracy kontraktowej” – to poprawny politycznie termin na określenie niewolnictwa po jego zniesieniu przez Republikę Francuską. Oprócz Afrykanów i Tamilów sprowadzono na wyspę tysiące Hindusów z północno-zachodnich Indii do pracy na plantacjach trzciny cukrowej... Na krótko przed odkryciem w metropolii cukru z buraka i niemal natychmiastową ruiną gospodarki na wyspie. Ironia rodzącej się ekonomicznej mondializacji – tysiące niewolników utraciło pracę. Prapradziadek Aji, jak wielu przybyszy z Indii, usiłował wzbogacić się na handlu tkaninami. Solidarność etniczna. W końcu wpasował się w lukę: wyrabiał plecionkę ze słomy kolczocha na kapelusze. Pozwoliło mu to przetrwać trochę lepiej niż większości Kreolów, którzy przymierali głodem.

Jalad, syn Abhiego Purwiego, przejął ojcowski interes. Kolczochoy, słoma, kapelusze – będzie na nie popyt, dopóki tropikalne słońce przypieka głowy. Ożenił się w roku 1906 w Noor-al-Islam w Saint-Denis, najstarszym meczecie we Francji. Kupił skrawek ziemi w Saint-Gilles, nie mógł przewidzieć, że dokładnie naprzeciw tej kamienistej parceli ciągnącej się wzdłuż zachwaszczonego wąwozu Francuzi zbudują stację kolejową Saint-Denis. W pierwszym odruchu chciał się wyprowadzić z powodu hałasu, tłumów ludzi i dymu. Potem się przyzwyczył. W końcu wynajął dom mieszkańcom Saint-Denis, którzy spędzali weekendy z dala od miasta, nad morzem. Pięć lat później, w roku 1912, zakończył wyplatanie kolczocha i zbudował siedmiopokojowy pensjonat.

Faris, dziadek Aji, urodził się w 1915 w dużym domu w stylu kolonialnym,

w wyżej położonej części Saint-Gilles. Interesy rodziny Purvi rozkwiły w najlepsze. Pociągi, ale także statki przybijające do portu Pointe des Galets, nieustannie przywoziły masy doborowych turystów, szefów firm, rodziny bogatych mieszczan tęskniących za egzotyką. W 1937 roku Faris położył kamień węgielny pod budowę reunionńskiego hotelu, godnego tej nazwy, który otworzył podwoje dwa lata później. Pierwsi goście zostali dłużej, niż przewidywali: byli to bogaci Europejczycy uciekający przed nazizmem, w większości Żydzi. Jedyna religia, której dotąd brakowało na wyspie!

Ojciec Aji, Rahim, pojawił się na świecie w tym samym czasie co hotel Nad Laguną, w roku 1939. Jedynak, znalazł sobie siostrzyczkę równolatkę, Sarę Abramoff, córkę żydowskiego przedsiębiorcy, który w hotelu przeczekiwał wojnę, a po roku 1945 nie porzucił życia w tropikach – nie udał się do młodziutkiego państwa Izrael. Byli nierozłączni, razem wzrastali pomiędzy hotelowymi korytarzami a brzegiem morza. Dla Farisa, dziadka Aji, ich małżeństwo było oczywistością. Jego smykałka do interesów w połączeniu z rachunkiem bankowym teścia wykreowałyby żydowsko--muzułmańską *succes story*, jaka mogła się wydarzyć tylko na wyspie Reunion. Zapowiedź turystycznego imperium wiodącego prym na Maskarenach. Gdy osiągnęli pełnoletniość, Rahim i Sara zostali wysłani do Stanów Zjednoczonych na studia z zakresu handlu międzynarodowego. Ta sama uczelnia, ten sam rok. Rahim był nieśmiały i uległy, ale mniej pociągał go rodzinny biznes, a bardziej własne uzdolnienia artystyczne, wyrażające się w sztuce zdobienia ceramiki. Sara natomiast bardzo szybko porzuciła swój ulubiony od dzieciństwa *zouk* dla muzyki rockowej Beach Boysów. Nigdy już nie wróciła. Złapała jakiegoś blond Kalifornijczyka i zamieszkała w San Diego. Ulotniło się marzenie o hotelowym kompleksie na Oceanie Indyjskim... Jej ojciec, Natane Abramoff, opuścił Reunion w roku 1967 i udał się do Tel Awiwu. Rahim wrócił ze Stanów sam, bez dolara w kieszeni i nawet bez dyplomu. A już szczytem wszystkiego było to, że ów wyrodny syn zaraz po powrocie otrząsnął się ze swych niepowodzeń i zakochał w najładniejszej dziewczynie w hotelu, ledwie pełnoletniej, niepiśmiennej Kreolce Laïli, która sprzątała toalety. Rozgoryczenie ojca, złość, groźby nic nie pomogły. Rahim, który nawet się nie spodziewał, że tak piękna dziewczyna na niego spojrzy, po raz pierwszy sprzeciwił się ojcu. Chcąc uniknąć rodzinnych gromów i sarkazmów kasty hinduskiej, odpłynął wraz z Laïlą na Madagaskar, aby zbić majątek na zdobieniu fajansów, jak się spodziewał. I po raz kolejny mu się nie powiodło. Utrzymał się z wożenia kamieni na budowę

zapory na jeziorze Alaotra. Na Reunion wrócił sześć lat później, po śmierci ojca. Laïla była wtedy w ciąży, spodziewała się Aji. Bez pieniędzy. Bez pracy.

Rahima przyjęto jak trędowatego. Po jego wyjeździe hotel Nad Laguną był na skraju bankructwa i został odkupiony przez międzynarodowe konsorcjum Marriot Corporation, którego, o ironio losu, Natane Abramoff był jednym z akcjonariuszy. Menedżer Hotelu Nad Laguną, teraz zwanego Alamanda, pewien Belg szczącący się wieloma dyplomami, nie przejmował się rodzinnym dziedzictwem. Zatrudnił matkę Aji, bo była ładna, może także dlatego, że dobrze wykonywała swoje zajęcie i знаła miejsce. Gdy nadarzała się okazja, na prośbę Laïli zatrudnił także Rahima, zgodnie z jego specjalnością – ceramiką: łazienki, basen, toalety. Aja dobrze pamięta, że gdy nieraz grzecznie czekała na rodziców w hotelowym korytarzu, inni pracownicy bez żenady upokarzali przy niej syna dawnego szefa. Wszystkie chwytły dozwolone! Faris Purvi nie bawił się w sentymenty wobec niższego personelu, a wyspiarze pochodzenia hinduskiego rzadko kiedy doznają niepowodzeń w interesach. Zrozumiała to znacznie później, wszyscy traktowali Rahima jak końcówkę kalekiej rasy, związanego z najpiękniejszą dziewczyną wyspy w celu odnowienia dynastii... Do dziesiątego roku życia mieszkała z rodzicami w Plateau Caillou, dzielnicy kilku nędznych budynków, odgradzonych od Saint-Paul i Saint-Gilles falezą wysoką na osiemdziesiąt metrów, potem przeprowadzili się trochę dalej, do Fleurimont do małego domu. Rahim zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. Aja miała wtedy siedemnaście lat. Zostawił biedną rodzinę i przedziwny dom, cały w kafelkach. Lokalna ciekawostka. Jej matka ciągle tam mieszka.

Aja wpada do niej rzadziej niż raz na miesiąc. Tego wieczoru matka zapewne nie uroniła ani słowa z wiadomości telewizyjnych, dumna, że jednostka jej córki jest na pierwszej linii, i na pewno zdziwiona tym niepokojącym zbiegiem okoliczności, że to hotel Alamanda jest scenerią zbrodni.

Aja idzie na parking. Za kilka godzin, jak co rano, rozłoży się tu najwspanialszy bazarek na wyspie. W powietrzu, a może tylko w jej wyobraźni, czuć już zapach przypraw, kardamonu, gałki muszkatołowej, kurkumy...

Telefon dzwoni w chwili, gdy Aja wsiada do samochodu.

Morez.

Coś nowego?

– Aja?

– Tak. Co tam, Morez?

– Jest coś nowego!
– Cholera, nie wierzę! Złapaliście Belliona?
– Nie... Nie. Nie podniecaj się. Ale mamy pewne informacje na temat jego przeszłości. Wyobraź sobie, że Bellion ma na sumieniu jeszcze jednego trupa... W mordę jeża, jeśli coś go gniecie, to chyba bardzo mocno.

22.13

Christos zwinnie porusza się pod kołdrą. Ciało Imeldy jest ciepłe, fałdy skóry jak materacyk z pierza, z listków, jak pianka; zanurza się w gęstym morzu, poruszany falami, które wylewają się i rozchodzą po pościeli; kąpie się w oceanie wód płodowych. Gdy jest w niej, staje się jednocześnie kochankiem i embrionem. Mógłby trwać tak godzinami, w podnieceniu, poruszając się w rytmie kołysanki.

Raj pierwotny.

– Mogę włączyć telewizor?

Christos nie zdążył odpowiedzieć: Imelda, nie zmieniając pozycji ciała unieruchomionego pod ciałem policjanta, wyciąga rękę i bierze pilota.

– Ciebie to też trochę dotyczy – szepcze. – We wszystkich programach na wyspie dziś wieczorem jednostka z Saint-Gilles zastępuje *Kryminalne zagadki Miami...*

Niewątpliwie.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, że kochasz się z Horatiem Caine'em?

Imelda nastawia głośniej.

– Nie powinieneś tam być?

– Nie... działamy na zmiany, chyba wiesz. Idę jutro wcześniej rano. Będę w formie. Aja wymaga, żeby jej ludzie byli wypoczęci...

Horatio Caine wykonuje długi, silny ruch lędźwi.

– Rzeczywiście, odpoczywasz...

Christos opiera się na łokciach i dalej wślizguje się w rozkoszne ciało. Telewizja jest nielojalną konkurentką, ale policjant nie przestaje działać...

– Dziewczynka jest w niebezpieczeństwie, Christosie.

– Taaak, są też handlarze narkotykami, pedofile, dzieci umierające z głodu w górach, zwolennicy niewolnictwa, a jeśli zostanie trochę czasu, to i pijani motocykliści oraz stręczyciele pod szkołami. To się nigdy nie kończy. Kiedy ja mam spać, może mi powiesz?

Imelda trochę pojękuje. Jej ręka wypuszcza pilota, oczy błędzą po suficie. Christos przyspiesza rytm. Podkomisarz zna każdy pomruk partnerki, jeszcze kilka sekund do wybuchu. Uwielbia, gdy ciało Imeldy zaczyna szykować się do erupcji.

– On... on jest niebezpieczny – szepcze Imelda pomiędzy westchnieniami. – Niebezpieczny dla swojej córeczki. On... on zabił już jednego chłopca... To było...

Głowa Christosa nagle wyłania się z pościeli...

– Co? Jakiego chłopca?

Imelda bierze głęboki oddech. Ciśnienie spada.

– Chłopca z Boucan Canot. Wiele lat temu. Nie przypominasz sobie?

Nie, Christos sobie nie przypomina. Tylko prawdziwi Reuniończycy archiwizują gdzieś w zakamarkach mózgu wydarzenia opisywane w gazetach, które nawarstwiają się tydzień po tygodniu.

– Więcej szczegółów, kochana...

– Powiem, co zapamiętałam. To było jakieś osiem lat temu. Wieczorem, jak mi się zdaje. Ojciec pilnował synka na plaży w Boucan Canot. A przynajmniej miał pilnować. Sześcioletniego chłopca znaleziono następnego dnia rano, utopionego w oceanie. Nigdy nie wyjaśniono, co tak naprawdę się wydarzyło.

Christos czuje, że podniecenie topnieje, jak lody na patyku zostawione na osłonecznionym tarasie.

– Ja pierniczę, jesteś pewna, że ten ojciec to Martial Bellion?

– Absolutnie pewna. To samo nazwisko, ten sam człowiek.

Gliniarz robi skrzywioną minę, jakby w to nie wierzył. Imelda ciągnie:

– Nikt w policji nie skojarzył?

– Wzięli Belliona za turystę...

Takie usprawiedliwienie wydaje się niemal nierealne. Milczą przez chwilę, a ciszę w domu wypełnia jazgot telewizyjnych reklam. Ręka Christosa trzyma czarną pierś, jego wargi drażnią różowy sutek.

Imelda protestuje ospale:

– Niech to szlag, Christos, nie dzwonisz do kolegów?

Christos znowu czuje rosnące podniecenie. Ta kobieta jest czarownicą, już sam dotyk jej ciała wywołuje w nim młodzieńczą sztywność. Chyba chowa pod łóżkiem czarne zarżnięte koguty, topi wosk w skorupach kokosów, przed jego przyjściem pali kamforę, odprawia całą gamę magii białej, malbarskiej i komoryjskiej.

– Jutro. Jutro z samego rana. Obiecuję.

Wślizguje się w nią.

– Jesteś pomyłony – szepcze Imelda. – Przynosisz wstyd policji na wyspie.

– Wręcz przeciwnie, mam zasady. Odpoczynek zalecany przez związki zawodowe! To nic nie zmieni: czy powiem im o tym dziś wieczorem, czy jutro rano. Ten facet ucieka w plenerze...

Kładzie głowę na wygodnym ramieniu jak dziecko, które się tuli, podczas gdy łądzwie podciągają się, a penis błądzi w labiryncie tajemnic ciała Imeldy. Wilgotna, dzika pieczara, w której nigdy nie zagłębił się żaden Francuz.

22.32

Imelda głaszcząc włosy Christosa. Zasnął zaraz po orgazmie jak zwykle. Ona koniuszkami palców masuje mu głowę, a lewą ręką chwyta książkę leżącą na nocnym stoliku. Pożółkła i zabrudzona. *Nemesis*. Agata Christie. Przewraca kartki, ale nie może się skupić. Znowu myśli o tamtej sprawie. Co mówią w telewizji, co opowiedział jej Christos, zniknięcie tej kobiety, śmierć Rodina, ucieczka tego typa, zeznania pracowników hotelu. Wszystko zbiega się w jednym punkcie.

Zniszczone kartki książki z trudem się rozdzielają. Coś nie pasuje w tych zeznaniach. Już wtedy, gdy chłopiec utonął w oceanie, zastanowiły ją niektóre szczegóły. Musi sobie przypomnieć. Może odnaleźć gazety z tamtego czasu? Staruszka Marie-Colette z ulicy Jana XXIII przechowuje wszystkie dzienniki z Reunionu z ostatnich trzydziestu paru lat.

Jakże on się nazywał, ten chłopiec, który się utopił?

Przewraca kartki *Nemesis*. Tę książkę Nazir wynalazł dla niej na pchlim targu w Saint-Joseph. Christos lubi nazywać Imeldę czarną Miss Marple. Nawet nie wie, jak dobrze trafił, ona pochłania ponad sto powieści rocznie. Cała dzielnica przynosi jej stare książki, w co drugiej brakuje ostatniego rozdziału. Sprawa tego chłopca przypomina jej powieść, którą czytała dziesięć lat temu, *Kabului Bay*, taka sama historia jak *Belliona*, chociaż działa się na Hawajach. Wszystkie fakty przemawiały za winą tego człowieka... Tylko że była jeszcze jedna osoba, świadek, który pojawił się w sprawie znacznie później i który wpłynął na zmianę biegu wydarzeń. Jak zawsze, mimo wysiłków autora, aby ją wpuścić w maliny, Imelda zwęszyła podstęp na długo przed zakończeniem.

Christos chrapie jak mały kot.

Imelda usiłuje rozbudzić swój umysł. Trzeba zacząć od tego, co najprostsze. Sięgnąć do swojej nadzwyczajnej pamięci.

Jak on się nazywał, ten sześćioletni chłopiec?

Poniedziałek 1 kwietnia 2013

20

BRACISZEK

Godzina 7.21

W lustrzanym odbiciu dostrzegam lśniące ostrze w ręku taty.

Bardzo ostre. Spiczaste.

Przybliża je do mojej szyi, wyczuwam ostrość i chłód.

Zagryzam wargę aż do krwi.

Drzę ze strachu, ale boję się wypowiedzieć choć słowo. Tatuś stoi za mną. Chyba musi czuć mój strach, dygot, widzieć gęsią skórę na całym ciele.

Tata ciągle przybliża ostrze. Tym razem czubek dotyka mojej szyi. Jest lodowaty. Ostrze przesuwają się do lewego ucha.

Powstrzymuję się od najdrobniejszego gestu, muszę siedzieć nieruchomo. Nie krzyczeć. Nie panikować.

Tata może mi zrobić krzywdę.

Może mnie zranić, niechcący.

Mój tatuś nie jest zbyt utalentowany.

Do umywalki spadają kolejne pasma włosów.

Z kącików oczu zaczynają mi kapać łzy. Obiecałam tacie, że nie będę płakać, ale to nie takie łatwe.

*

Wprawdzie tatuś wyjaśnił, że aby odnaleźć mamę, musimy wstać bardzo wcześnie, wyjechać jak najszybciej na jakieś spotkanie na drugim końcu wyspy. Powiedział też, że muszę być najbardziej odważna ze wszystkich małych dziewczynek.

Jestem odważna, będę, obiecałam, żeby tylko znaleźć mamę. Ale te włosy. Marzyłam, że urosną aż do pupy, że będą tak piękne jak włosy mamy, byłam gotowa czekać na to jeszcze długie lata, co rano spędzać dużo czasu na

rozczesywaniu.

Tatuś obciął wszystko pięcioma ruchami nożyczek. Jak ja teraz wyglądam...

Co za dziwny pomysł zamienić mnie w chłopca! Przyszło mu to do głowy, kiedy oglądał zdjęcia. Chłopczyk prawie w moim wieku mieszka tutaj od czasu do czasu, podczas wakacji u babci. To musi być bardzo przyjemne – mieć babcię, która mieszka na Reunionie. Lepiej niż w hotelu. W dodatku ona wygląda na bardzo miłą; trochę śmieszna z tymi niebieskimi włosami; na zdjęciach zawsze ma na szyi duże korale z muszelek albo z zębów krokodyla.

„Mogłabyś włożyć chłopięce ubranie – powiedział tatuś. – Tak jakbyś była przebrana”.

Zmusił się do śmiechu. Ja nie. Kiedy tatuś usiłuje być zabawny, to nie zawsze jest śmieszne.

Ostrze nożyczek wślizguje się za uszy, ścina jeszcze krócej.

Prawdę mówiąc, wiem, dlaczego tatuś chce przebrać mnie za chłopca. Nie po to, żeby mnie nie rozpoznano. Nie tylko dlatego.

Postanowiłam tatę zaskoczyć, więc odwracam się twarzą do niego:

– Tato, powiedz, to prawda, że miałam braciszka? Dawno temu. I nie znam go dlatego, że umarł?

Tata o mało nie upuścił nożyczek. Złapał je w ostatniej chwili, ale i tak ukłuł mnie powyżej szyi. Prawie nic nie poczułam, byłam za bardzo skupiona na oczekiwaniu odpowiedzi.

Tylko że tata nie odpowiedział.

7.24

Martial odczekał długie minuty, zanim znowu przemówił, tak jakby miał nadzieję, że znużona milczeniem Sofa zapomni o pytaniu.

– Kochanie, bardzo ładnie wyglądasz jako chłopiec.

W swym lustrzanym odbiciu pokazuję mu język.

Jeszcze kilka ostatnich ruchów nożyczek. Grzywkę wyrównać, jak tylko się da. Skoncentrować się na tej amatorskiej robocie, chociaż myśli tylko o jednym.

Wypuścić córkę na zewnątrz, samą, to posunięcie samobójcze. Jednak nie ma innego rozwiązania.

– Wszystko dobrze zrozumiałaś, kochanie? Zrobiłem listę, a ty tylko ją pokażesz temu panu.

– Nie mogę mu przeczytać? Umiem czytać, przecież wiesz, tato!

Pochyliła się nad szyją córki jak unizony fryzjer.

– Mów jak najmniej. Nikt nie powinien się zorientować, że jesteś dziewczynką. No więc pokażesz mu listę, a potem tylko sprawdzisz, czy wszystko jest. Mapa 1:25 000.

– Oj, to trudne...

– Kompas.

– Resztę wiem. Owoce i kanapki.

– A jeśli zapytają, powiesz, że się nazywasz...?

– Paul!

– OK.

Usiłuje się zaśmiać. Sam. Nigdy nie udało mu się rozśmieszyć Sofy.

– Wy tłumaczyłem ci, jak masz iść: najpierw w stronę morza, prosto w dół szeroką aleją. Tam są wszystkie sklepy. Odzywasz się tylko do sprzedawców. Do nikogo innego, rozumiesz?

– Rozumiem. Nie jestem już dzieckiem.

Martial zdejmuje z ramion córki ręcznik pełen włosów. Sofa przygląda się sobie w lustrze, nie może uwierzyć, że jest ostrzyżona jak spod garnka. Obsmyczona.

– Na liście zakupów mama zawsze dopisuje dwie linijki na końcu. Niespodzianka dla ukochanej córeczki i niespodzianka dla ukochanego mężczyzny.

Zgadza się. Liane miała tę ogromną zaletę, że każde prozaiczne zajęcie zamieniała w zabawę. Martial ociąga się z odpowiedzią:

– Najlepsza niespodzianka będzie wtedy, kochanie, gdy szybko, bardzo szybko wrócisz.

Idzie w stronę drzwi, uchyla je, obserwuje pustą ulicę.

– Poczekaj, Sofo, jeszcze coś.

Pochyliła się i wkłada jej na nos okulary przeciwsłoneczne, które znalazł w komodzie przy wejściu.

– Posłuchaj uważnie, Sofo: kiedy wrócisz, być może będzie ci trudno mnie rozpoznać. Ja też się przebiorę, zetnę włosy, ogolę brodę. Rozumiesz?

– Tak...

Trudno wyczytać cokolwiek z oczu Sofy.

Strach? Zaskoczenie? Poekscytowanie na myśl o czymś, co traktuje jako zabawę?

Martial przeciąga ręką po krótkich włosach córki. Niezliczona ilość drobniutkich

włosków zostaje mu na palcach.

– No już, ruszaj, mała.

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE

Godzina 7.51

– Kochanie, może herbatki?

Najpierw poruszają się nozdrza Aji, wciągają ciepły dymek. Potem otwierają się oczy. Taca. Nakrycie do herbaty. Trzy rogaliki w koszyczku.

Christos ma w ustach czwarty rogalik, a na brodzie pełno okruchów.

– Aju, spałaś? Wyglądasz jak cierpiąca na bezsenność staruszka.

– Dziękuję, Chris. Uwielbiam poranne komplementy. Taaak, chyba spałam z godzinę, w dziesięciominutowych odcinkach.

– Jadąc tu, słuchałem Radia Glina. Czyli dalej nic nowego?

– Nic. Bellion się chyba ulotnił. Rozmawiałam przez telefon z Laroche'em, szefem operacji „Jastrząb”. Sześć helikopterów zaczęło latać prawie wszędzie nad wyspą, gdy tylko wzeszło słońce. Ani śladu szarego clio, Belliona czy jego córki. Laroche jest na Reunione od sześciu miesięcy. Zadzwoń do mnie, jak tylko omówi sprawę z prefektem policji. Zdaje się, że to kompetentny gość.

Aja przeciąga się i obejmuje dłońmi gorącą filiżankę. Christos przysiada na parapecie.

– Ja za to mam coś nowego, Aju. Coś ciężkiej wagi...

Spojrzenie Aji roziskrzyło się. Ostatnie gwiazdy nocy między snem a przebudzeniem.

– Naprawdę? Nawet w łóżku pracujesz?

– Trafiałaś w samo sedno. Dowiedziałem się od przyjaciółki. Ma mózg jak procesor Intel Core podłączony do pamięci słońca, jak twardy dysk o pojemności trzech terabajtów, nakierowany wyłącznie na odbiór kroniki sensacyjnych zdarzeń na Reunione od samego początku. Jednym słowem, moja nieślubna zapewniła mnie, że Bellion przed kilku laty był zamieszany w mroczną sprawę – chłopiec utopiony w Boucan Canot.

Spojrzenie Aji pociemniało. Krzyż Południa zniknął w bladym porannym słońcu.

– Nie wierzysz? – pyta Christos, zawiedziony.

– Wierzę... Od wczoraj mieliśmy siedem telefonów od osób, które opowiedziały tę samą historię. Mieszkańcy Reunionu mają cholernie dobrą pamięć, jeśli chodzi o najbardziej odrażające miejscowe wypadki... Lepszą niż my w każdym razie. Ani jeden gliniarz na wyspie nie skojarzył osoby francuskiego turysty uciekiniera z tą starą historią utonięcia. Jak wiesz, rozpoczęto wtedy dochodzenie, dostałam e-maile z metropolii, muszę je dokładnie przeczytać; krótko mówiąc, Martial Bellion stracił swoje pierwsze dziecko, które miał z pierwszą żoną, tą przed Liane. Alex. Sześć lat. Utonął w oceanie. Niedopilnowanie przez Belliona, dziecko było pod jego opieką. Na razie nie widzę związku z podwójnym morderstwem w Saint-Gilles. Ale przede wszystkim zdaję sobie sprawę, że nasz turysta, zagubiony we wrogim otoczeniu, w rzeczywistości ma w małym palcu topografię wyspy.

– Trzeba rozpatrywać sprawę od dobrej strony, Aju – ironizuje Christos. – Nieźle zrobił nas w konia, ale mamy okoliczności łagodzące.

– Bellion mieszkał na wyspie dziewięć lat – Aja nie reaguje na jego słowa. – Od 1994 do 2003. Pracował w klubie żeglarskim Bourbon w Saint-Gilles. Jak raczyła mnie poinformować Komenda Główna, Bellion ma jeszcze na wyspie kilka dawnych znajomości. Kolega od nurkowania w Langevin, plantator trzciny w Rivière du Mât, była żona w Ravine à Malheur. Wszyscy twierdzą, że stracili z nim wszelki kontakt, gdy wrócił do metropolii, nawet się z nim nie widzieli, od kiedy jest znowu na wyspie. Mimo to wszyscy są dyskretnie obserwowani, podsłuchiwani, śledzeni i te rzeczy... Ale Bellion nie dał znaku życia.

Christos pochłania drugiego rogalika.

– To cwaniak. Przepraszam za fałszywy cynk, kochaniutka...

– Nie ma za co. Wybacz, że wczoraj cię wywaliłam...

– Należało mi się. A ty byłaś wykończona. Nadal jesteś... Powinnaś pospać godzinę lub dwie...

Aja dmucha na za gorącą herbatę.

– O nie, stary. Czuję, że wszystko się rozegra w najbliższych godzinach. Bellion zadekował się gdzieś na noc, ale w końcu wyjdzie, to nieuniknione. Jak gryzoń, musi przecież poszukać jakiegoś żarcia... On nie uciekł ot tak sobie, Christos, ma jakiś cel. Precyzyjny cel.

– Gdybym zaproponował ci pomoc, powiedzmy: trochę taką... *borderline*, zgodziłabyś się, Aju?

– W obecnej sytuacji...

– Moja nieślubna, czarnuszka Intel Core, przez całą noc główkowała nad tą sprawą. Ona też uważa, że jest w tym coś mętnego. Jakaś logika drugiego dna.

– To wielka zaleta zdobyć się na przekazanie komuś swoich obowiązków, Christosie. Ta twoja przyjaciółka zajmuje się wróżbiarstwem komoryjskim? Fusy z kawy bourbon czy bebechy kozła?

– Raczej klimaty Harlana Cobena. Jasnowidzenie już trzy rozdziały przed końcem...

Aja parzy gardło gorącą herbatą, krzywi się i decyduje:

– No dobrze, w końcu dlaczego nie? Powiedz jej, żeby wpadła, to nic nie kosztuje...

Christos uśmiecha się.

– Miło z twojej strony, szefowo. Nie zawiedziesz się. Imelda to chodzące archiwum.

Wyciąga z kieszeni torebkę trawki, skręca papierosa. Aja się obrusza.

– Christos! Czy ja dobrze widzę? Chyba nie będziesz palił trawy? Do cholery, tu jest posterunek policji. Zwłaszcza dzisiaj, zaraz u nas będzie Komenda Główna w komplecie...

– Spokojnie, Aju. Jesteśmy na werandzie. I nad morzem, pasat wszystko wywieje... A poza tym działam w dobrej sprawie, przed wyjściem z domu skonfiskowałem paczuszkę młodemu!

Aja wzdycha z rezygnacją.

– Męczysz mnie! Nie mam ochoty pyszczyć tu z tobą cały ranek.

Christos zaciąga się.

– A oprócz tego, kochanie, nic nowego?

– Owszem, co chwilę coś jest... przecież operacja „Jastrząb” to dziesiątki ludzi jednocześnie tutaj i w metropolii.

– No to zrób przesiew. Podaj mi wyłącznie smaczne kąski.

– Akurat nieźle trafiłeś. Z ostatnich doniesień: analitycy z Komendy Głównej podrażyli trochę w sprawie Jourdainów. Potwierdzili, że nie znali Belliona wcześniej, poznali się dopiero na wyspie, kilka dni temu. Ale za to...

Podkomisarz przygryza wargę na papierosie. Zgaduje już, że dalszy ciąg mu się spodoba.

– Za to?...

– Za to wpadli na pomysł, żeby sprawdzić Jourdainów w internecie. Szczególnie Jacques’a Jourdaina. Zgadnij, co ten chomiczek trzyma na swoim Picasie.

– To taki program do gromadzenia zdjęć?

– Bingo, Chris. Jacques Jourdain zbiera robione ukradkiem zdjęcia młodych i ładnych turystek w topless: od nieostrych, wykonanych na plaży z bliska telefonem komórkowym, po takie w stylu paparazzi aparatem Konica Minolta z zoomem.

– O! Zaskakuje mnie adwokacik. Można go za to zapudłować?

– To nie takie proste. A w dodatku w galerii dziewczyn wystawionych na jego koncie jest około dziesięciu zdjęć Liane Bellion. Najwyraźniej pięknotka lubi się opalać bez śladów kostiumu na ciele...

Christos się rozpromienia, skręt tkwi między dwoma zębami z jakąś zadziwiającą równowagą.

– Mam! Już wiem! Można zerknąć na te zdjęcia?

Aja wybucha śmiechem.

– Komenda Główna ma już kilku policjantów, takich samych maniaków jak ty, którzy zgłosili się na ochotnika. Nie trzeba było dezerterować, kochany...

Christos wypluwa skręta.

– Tak jak ty nienawidzę tych typków z Komendy Głównej! Myślisz, że Jacques Jourdain trochę stracił głowę dla ślicznotki Belliona?

– A jak myślisz...

Pani komisarz bez pośpiechu opróżnia do dna filiżankę herbaty, po czym znowu unosi wzrok na Christosa.

– Mam dla ciebie coś jeszcze. Jak już jesteś taki ranny ptaszek, to może zechcesz się na coś przydać?

– Po to wstałem wcześniej, kochaniutka! Żeby przyjść punktualnie, darowałem sobie nawet poranny numerek na pieska...

Aja odstawia filiżankę i wzdycha.

– Jest jeszcze jeden trop do sprawdzenia! Telefon, dziś w nocy, po skrócie wiadomości telewizyjnych. Dziewczyna, Charline Tai-Leung, która pracuje jako stewardesa obsługi naziemnej na lotnisku w Saint-Denis. Jak powiedziała nam przez telefon, Martial Bellion był u niej pięć dni temu, czterdzieści osiem godzin przed podwójnym morderstwem, aby przebukować bilet na samolot. Jeśli to się potwierdzi, do wszystkich obciążających go zarzutów będzie można dorzucić premedytację. Dziewczyna ma dzisiaj wolne. Mieszka w Roquefeuil. Czeka w domu na policjanta, który przyjmie jej zeznania.

Aja podaje kartkę z nabazgranym w pośpiechu adresem. Podkomisarz nogą

rozgniała niedopałek.

– Grasz na moich sentymentach... Uwiielbiam stewardesy.

I widząc znużenie na twarzy przełożonej, dodaje:

– Dobrze jest, Aju. Obręcz się zaciska. Będziemy go mieli, na pewno będziemy go mieli.

Godzina 8.04

Idę szeroką aleją, w kierunku morza. Po obu stronach stoją domy-sześciiany, pomalowane na pastelowe kolory, jak nowe domki dla lalek, których ściany i dach można zdemontować. Odczytuję nazwę alei z tabliczki wiszącej pod zielonym krzyżem apteki. „Mail de Rodrigues”.

Od chwili gdy tatuś zamknął za mną drzwi, zastosowałam się do wszystkich jego poleceń. Grzecznie. Nie biec. Iść chodnikiem. Zejść po schodach. Przejść na drugą stronę. Gdy znajdę się na szerokiej alei bez samochodów – dalej iść bez pośpiechu.

Dobrze zapamiętałam, co trzeba robić potem. W każdym sklepie pokazywać sprzedawcy listę zakupów.

Czekać. Zapłacić.

Łatwe, chociaż kiedy idę w cieniu, nic nie widzę przez duże przeciwsłoneczne okulary.

Tata był jednak nieugięty. Nie wolno ich zdejmować!

Tam na końcu ulicy, przy plaży, stoi policjant w mundurze. Jest sam. Stoi wyprostowany, tylko oczy obracają się na wszystkie strony jak u leniwego kota, który czatuje na wróble.

Teraz na mnie patrzy. Na pewno zrobiłam jakiś ruch, który go zastanowił. Na szczęście nie krzyknęłam, nic takiego, powstrzymałam się, jak tylko umiałam. Ale w mojej głowie wszystko zawirowało.

To ja jestem w gazecie!

W ogromnym powiększeniu, na pierwszej stronie, z tatą i z mamą. Przed prawie każdym sklepem leży sterta gazet. Muszę jednak iść dalej normalnie, tak jak mówił tata. Mam być sprytna. Na zdjęciu w gazecie mam żółtą sukienkę, długie włosy, widać też moje oczy. Nikt mnie nie rozpozna. A już na pewno nie ten policjant kocur.

Wchodzę prosto do sklepu spożywczego.

– Czym mogę służyć, mały?

Udaję niemowę i daję spis kobiecie schowanej za skrzynkami. Chleb, szynka, ciasteczka i banany. Pani chyba z godzinę wkłada wszystko do torebek. Kiedy już skończyła i przez drugą godzinę wydaje mi resztę, ja mówię tylko cichutko, prawie szeptem:

– Dziękuję.

Tata nie kazał zmieniać głosu, tylko mówić jak najciszej, tak jakbym była nieśmiała.

Wychodzę. Policjant kocur ciągle stoi, nie porusza się, ale jakby się przybliżył, jak w grze „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy”.

Idę przed siebie, jakby nigdy nic.

Cztery sklepy. Dwa z ubraniami, jedna kwaciarnia, jeden bar z naleśnikami.

Przechodzę obok. Zmuszam się, żeby iść powoli.

Księgarnia.

Wchodzę.

– Co chcesz kupić, chłopcze?

Unoszę wzrok. Od razu czuję przypływ strachu.

Chińczyk.

Boję się Chińczyków; wzbudzają we mnie największy strach po olbrzymach pożerających ludzi i piratach z Karaibów. Nawet w Paryżu się ich boję, w restauracjach. Mama lubi jeść na mieście, kiedy jesteśmy na zakupach, ale ja nie lubię. W szkole Timéo opowiada, że oni zjadają jakieś dziwne rzeczy, bezdomne psy, pająki, ryby bez oczu. Tutaj są za to oślizgłe ogórki. Powoli rozwijam karteczkę taty, a w głowie wymyślam sobie od idiotek.

Dobrze wiem, że Timéo opowiada bzdury. A poza tym ten Chińczyk sprzedaje książki...

I gazety.

Tutaj też jest moje zdjęcie, mam je przed nosem, dokładnie na wysokości oczu. W głowie odczytuję wielkie litery.

UCIECZKA ZABÓJCZY.

– Chcesz kupić gazetę, chłopcze? Umiesz już czytać?

Opuszczam głowę, marszczę czoło, wpatruję się w moje chłopięce sandały. Mam tu kupić tylko jedną rzecz, ale żeby o nią poprosić, muszę przeczytać z kartki, a w sklepie jest za ciemno, gorzej niż w jaskini trolli. Trudno, nie mogę inaczej, zdejmuję okulary i odczytuję wyraźnie:

– Mapa w skali jeden do dwudziestu pięciu tysięcy. Cztery tysiące czterysta sześć RT.

Chińczyk waha się chwilę, a potem podaje niebieską mapę, złożoną w prostokąt.

– Jedziesz z rodzicami na piknik w góry, chłopczyku?

Nie odpowiadam, podaję banknot, opuszczam głowę, sandały są okropnie brzydkie. W sumie nawet lepiej, że trafiłam na Chińczyka. Pewno myśli, że się boję. Musiał już widzieć takie rzeczy...

Mam wszystko. Wychodzę.

Policjant znowu zmienił miejsce. Oszukuje, idzie deptakiem, teraz jest wyżej. Będę musiała go minąć w drodze do domu tej pani o niebieskich włosach, gdzie czeka na mnie tatuś.

Nic nie szkodzi. Nie szkodzi. To nic takiego.

Przecież mnie nie rozpozna!

Jeszcze dwadzieścia metrów.

No to gramy w co innego, „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy” skończone, teraz gramy w berka. Jestem bardzo dobra w berka. Sztuka polega na tym, żeby przebiegając z jednej strony na drugą, nie dać się złapać. Nie przebiegać bez sensu, jak to robią chłopcy, którzy myślą, że są w tym dobrzy, i zawsze dają się schwytać przede mną.

Przechodzę obok policjanta, nie zmieniając tempa, nawet nie odwracam głowy. Może na mnie patrzy, może jego spojrzenie mnie ogarnia, może nawet zatrzyma się dłużej na moich plecach. Mało mnie to obchodzi, nic mnie nie obchodzi, nie może mnie rozpoznać, nie umie grać w berka.

Jeszcze trzydzieści metrów.

Muszę już tylko przejść na drugą stronę. Teraz mogę się obejrzeć.

Gliniarz jest daleko, na drugim końcu ulicy, idzie w stronę plaży.

Jestem bardzo dobra!

Po przejściu ulicy mam tylko dwadzieścia stopni do pokonania, a potem będę mogła biec, biec, szybko, bardzo szybko, mam na to ogromną ochotę. Muszę tylko przepuścić jadące samochody.

Jest tylko jeden. Duży, czarny, z wysokim zawieszeniem, do jeżdżenia po górskich drogach. Zwalnia. Zatrzymuje się, żeby mnie przepuścić.

Stawiam stopę na przejściu dla pieszych, odruchowo odwracam głowę.

Mężczyzna za kierownicą jest okropnie dziwaczny! Ma ogorzałą cerę, prawie

pomarańczową, indiańską koszulę, a na głowie zieloną czapkę z wyhaftowanym dużym tygrysem. Malbar, tata ich tak nazywa, jeden taki kosił trawę koło hotelu. On też ma okulary przeciwsłoneczne.

Głowa pomarańczowego mężczyzny obraca się w moją stronę, w miarę jak przechodzę na drugą stronę drogi, wchodzę po schodach, omijając palmę rosnącą pośrodku. Mam okropne odczucia, drzę na całym ciele, rozszalałe mrówki biegają mi po nogach, nie widzę oczu tego człowieka, ale jestem prawie pewna... zauważył moje przebranie.

Wie, że jestem dziewczynką! Nie dał się nabrać jak ten głupol policjant czy Chińczyk potwór z księgarni.

Tak sobie pomyślałam w pośpiechu, że bardziej boję się tych Malbarów niż Chińczyków.

Nogi mi się trzęsą, tak jakby ulica z trzema palmami była dłuższa niż las, w którym straszy.

Głupia jestem. Już prawie doszłam. Tam czeka na mnie tata, za zakrętem, nawet widzę nasz dom. Teraz biegnę chodnikiem, nie odwracając się w stronę dużego czarnego auta, które zapewne już ruszyło.

Tato!

Drzwi domu się otwierają, rozpoznaję tatę, chociaż dziwacznie wygląda z króciutko ostrzyżonymi włosami i małutkimi ustami bez wąsów i brody. Wpadam do przedpokoju, tata zamyka drzwi i obejmuje mnie.

Uwielbiam, gdy tata mnie przytula. Nie zdarza się to często. Lubię też, w końcu, zostawać sama z tatą. Robimy o wiele zabawniejsze rzeczy niż z mamą. Mamy zupełnie nowe gry.

Gry, w których jestem lepsza! Daję tacie torby, wygrałam to poszukiwanie skarbu i nie dałam się złapać. No i przede wszystkim dziś po południu odnajdziemy mamę.

Tata zagląda do pierwszej torby, jest zadowolony, bardzo ze mnie dumny, wsuwa mi rękę we włosy, jakby chciał je potargać.

Mam ochotę płakać z powodu włosów. Teraz myślę, że nie trzeba było ich ścinać. Wystarczyłaby czapka z daszkiem, duża, zielona z tygrysem, jak czapka Malbara.

*

Tata przejrzał zawartość ostatniej torby z zakupami, tej, gdzie była mapa.

– Jesteś mistrzynią, skarbie.

– To teraz pojedziemy odnaleźć mamę?

Przytula mnie.

– Posłuchaj uważnie, Sofo. Zamknę na klucz drzwi wejściowe. Włączę ci telewizor. Nastawisz dźwięk jak najciszej, a przede wszystkim nikomu nie otwieraj. Nie ruszaj się z kanapy. Teraz, jak już wróciłaś, pójdę wziąć prysznic. To potrwa pięć minut, a potem zmykamy...

8.21

Oglądam *Titeufa* od dwóch minut, nie dłużej, gdy słyszę odgłos samochodu, tuż przed domem. Nie wiem, czy mam wstać.

Jeszcze bardziej ściszam dźwięk w telewizorze. Wcałe nie słychać *Titeufa*!

Słychać za to jakiś hałas z garażu, z tego garażu, którego tata nie zamknął.

Tak jakby wjechał tam jakiś samochód.

Chciałabym chociaż podejść do okna, żeby sprawdzić. Naprawdę mam wrażenie, że ten samochód nie parkuje na ulicy. Jest tutaj, blisko, słyszę warkot silnika.

Między garażem a domem są drzwi. Akurat są otwarte.

Ktoś może wejść.

Nie wiem, dlaczego znowu myślę o Malbarze, o tej pomarańczowej twarzy w czarnym aucie na ogromnych kołach. Muszę zawołać tatę, ale powiedział, żebym się starała nie robić hałasu. A przecież powinnam krzyczeć głośno, żeby usłyszał mnie pod prysznicem. Nie mogę wejść do łazienki, nie wolno mi nawet ruszyć się z kanapy.

Chyba że...

Podnoszę się z miejsca. Cichutko podchodzę do drzwi łazienki, gruba wykładzina pochłania moje stopy.

Nic. Już nic. Nie słyszę żadnego odgłosu.

Ani *Titeufa*, ani *Nadii*, milczących w telewizji.

Ani z garażu.

Nie słyszę nawet plusku wody pod prysznicem.

Godzina 8.32

– Na litość boską, panie inspektorze, czy pan nie rozumie? Zdjęcie zapory byłoby największą głupotą.

Aja walczy przez telefon. Laroche zadzwonił do niej zaraz po rozmowie z prefektem policji. Rozmawiali najwyżej dziesięć minut; prefekt na pewno miał przedtem wideokonferencję z jakimś ministrem, spraw wewnętrznych albo departamentów zamorskich. Najwyżej dwie minuty. Wygląda na to, że zrobiło się gorąco... kaskadowo. Biurokratyczny strumień rozszerzał się na każdym kolejnym szczeblu administracyjnym, aby chlusnąć na nią ustami inspektora Laroche:

– Pani komisarz Purvi, te wasze cholerne zapory unieruchomiły mi trzydziestu ludzi od wczorajszego wieczora... A jedynym tego rezultatem jest burdel, jakiego wyspa Reunion nie widziała od czasu osuwiska na nadmorskiej drodze w lutym dwa tysiące szóstego roku.

– Panie inspektorze, trochę zaufania! Bellion niedługo wyjdzie z nory, zadekował się na noc, żeby córka mogła pospać, nie miał wyboru, ale teraz na pewno się ruszy... To tylko kwestia cierpliwości.

Aja wpatruje się w mapę Saint-Gilles wyświetloną na ścianie. Przynajmniej jedna trzecia tamtejszych domów została przeszukana.

– Chyba że Bellion jest już po drugiej stronie wyspy...

Laroche rzucił te słowa spokojnie. Na zimno. Bez agresji.

Aja wybucha.

– Niemożliwe! Bellion jest złapany na lasso. Wystarczy lekko zacisnąć pętlę. Znam teren, panie inspektorze...

– Nie wątpię, pani komisarz. Lepiej niż ja, jeśli to pani chce powiedzieć. Ale ja za to wiem, co do mnie należy, i mam kompetentnych współpracowników. Jest poniedziałek wielkanocny, dzień tradycyjnych kreolskich pikników w górach. Miasta pustoszeją. Te pani zapory spowodują dziejowy zamęt w gastronomicznej

tradycji wyspiarzy.

– No właśnie, panie inspektorze, Bellion o tym wie. Będzie próbował to wykorzystać, żeby przedostać się przez oka sieci.

Laroche milknie na chwilę, tak jakby się zastanawiał. Zgodnie z logiką Aja powinna mu powiedzieć o stewardesie, z którą rozmawiał Martial Bellion na Lotnisku Rolanda Garrosa. Zatajenie takiej informacji jest błędem w sztuce, Aja ma tego świadomość. Chyba że nie jest to zatajenie, tylko krótkie odsunięcie w czasie, na jakie może sobie pozwolić. Gdy tylko Christos przedstawi raport, Aja przekaże go dalej. Jeśli to takie ważne...

Laroche wzdycha po drugiej stronie.

– OK, pani komisarz. Zostawiamy zapory wokół Saint-Gilles jeszcze przez kilka godzin. Będą protesty aż po plac Beauvau, ale na razie nie mamy żadnego innego tropu.

Aja opiera się plecami o białą ścianę. Wygrała.

– Dziękuję, panie inspektorze. Ludzie tutaj są przemęczeni. Czuwali przez całą noc, ale nie odpuszczają; jeśli im powiem, że mają wytrzymać, to nie odpuszczają...

– Nie przesadzajcie tam, pani komisarz...

– Jak to nie przesadzajcie?

Laroche nie jest zirytowany. Aja domyśla się, że ma u siebie fiszki wszystkich funkcjonariuszy z wyspy, cechy charakteru komisarz Aji Purvi na pewno są tam wymienione. Podkreślone na czerwono.

– Jak to pani wyjaśnić...? Najprościej będzie, gdy nawiążę do metafory, którą pani sformułowała: ta zaciskająca się pętla lassa, pamięta pani? Pani metafora jest interesująca, ale błędna. Niepełna, żeby wyrazić się dokładniej. Plan „Jastrząb” jest operacją potwornie skomplikowaną, nawet na wyspie takiej jak Reunion. My nie zarzucamy lassa, lecz sieć, która składa się z wielu połączonych ze sobą lin. A najważniejszy jest tu sposób wiązania węzłów, pani komisarz. Nie chodzi o zwykłą kanwę, ale o wiele zapętleń: połączonych z sobą od pierwszego, najprostszego, biegnącego kilkaset metrów wokół miejsca, z którego Bellion się ulotnił, do wielu innych, bardziej złożonych, które wymagają działania mnóstwa osób, różnych rodzajów transportu, siatki punktów obserwacyjnych, wyspecjalizowanych brygad interwencyjnych...

Do czego ten głupek zmierza?

– Zapewniam panią, że mamy do pani pełne zaufanie...

Milczenie. Tym razem wykalkulowane.

– ...jeśli chodzi o pokierowanie pierwszą pętlą...

Aja wyobraża sobie judaszowy uśmieszek Laroche'a. Nie wiadomo, czy inspektor domyśla się, że pani komisarz pokazuje mu środkowy palec.

8.36

Aja usadowiła się w hamaku wiszącym pomiędzy dwoma drzewami kazuaryny, z laptopem na kolanach. Ten hamak na policyjnym parkingu zawsze wydawał jej się śmieszny; to kolejny pomysł Christosa, ale przecież nie będzie w tak błahej sprawie robić sobie wrogów ze wszystkich kolegów policjantów... Dzisiaj, po nocy prawie bez snu, myśli, że to nawet jest przyjemne – tak huśtać się, czytając jednocześnie e-maile.

Niskie już słońce, oceaniczny wiatr spoza domów, cień palm zapewniają idealne warunki dla wytchnienia od pościgu i skupienia się na profilu psychologicznym Martiala Belliona, chociaż Aja nie wierzy za bardzo w te mętne teorie na temat wielokrotnych zabójców, wymyślane w szkołach policyjnych przez rzekomych profilerów: *modus operandi*, podpis, narcystyczne zboczenie, kryzys katatymiczny i inne głupoty tego rodzaju. Zawsze uważała, że takim bajdurzeniem ci gliniarze maskują swoją niekompetencję, trochę tak jak belfrzy niezdolni do nauczania, których odsyła się do instytutów kształcenia nauczycieli.

Komenda Główna się ruszyła: do wszystkich jednostek trzymających po jednym ze sznurków słynnej sieci Laroche'a wysłała szyfrowany e-mail z czterema załącznikami. Aja otwiera pierwszy z nich. Napisany naprędce przez komisariat w Deuil-la-Barre. Zawiera krótki *curriculum vitae* Martiala Belliona.

Urodził się w Palaiseau w roku 1973. Dzieciństwo w Orsay, potem w Ulis.

Po dwóch latach nauki na wydziale wychowania fizycznego i sportu Uniwersytetu Paris-Sud 11 rzuca studia, rezygnując z dyplomu, i pozostaje jedynie z certyfikatami ratownika i przewodnika wypraw kajakowych, po czym wyjeżdża na Reunion. Ma dwadzieścia jeden lat. Zostaje instruktorem sportowym w klubie żeglarskim Bourbon w Saint-Gilles. Będzie tam pracował przez dziewięć lat. We wrześniu 1996 roku żeni się z Graziellą Doré prowadzącą bar-restaurację Cap Champagne przy plaży Boucan Canot. Graziella była w trzecim miesiącu ciąży. Mały Alex przychodzi na świat 11 marca 1997 roku. Jego rodzice rozwiodą się osiemnaście miesięcy później, opieka nad dzieckiem zostanie przyznana obojgu. Co drugi weekend... W niedzielę 4 maja 2003, w weekend Martiala, turyści znaleźli

ciało Alexa utopionego w oceanie. Zdarzenie to przez kilka dni nie będzie schodzić z pierwszych stron gazet. Sędzia śledczy długo wahał się między kwalifikacją nieumyślnego zabójstwa a zabójstwem przypadkowym. Po długich dyskusjach przyjęto w końcu zabójstwo przypadkowe, dzięki czemu Martial uniknął sądu poprawczego, co z kolei tłumaczy, dlaczego w kartotece policyjnej nie ma żadnego śladu tej sprawy.

Martial Bellion opuszcza Reunion parę miesięcy później. Wraca do Francji. W roku 2005 poznaje Liane Armati. Josapha przychodzi na świat w styczniu 2007. Rok później Martial i Liane biorą ślub. Od roku 2009 Martial pracuje jako portier w ośrodku sportowym w Deuil-la-Barre w regionie paryskim. Liane Bellion przerwała studia, aby zająć się wychowywaniem córki.

To wszystko.

Aja ziewa. Słońce prześwituje przez liście i grzeje ją w kark. Hamak się huśta. Aja ma wrażenie, że unosi się na dmuchanym materacu na wodach oceanu.

Ocean, na którym można podłączyć się do Wi-Fi.

Znowu ziewa, po czym klika w drugi załącznik.

Ma przed oczami krótkie sprawozdanie z wypadku Alexa Belliona; napisał je prowadzący śledztwo sędzia Martin-Gaillard.

W wieczór tragedii Alex był pod opieką Martiala Belliona. Wszystko rozegrało się na plaży Boucan Canot między dwudziestą drugą, gdy Martial Bellion odebrał syna od matki, a szóstą rano następnego dnia, gdy ciało sześciolatniego Alexa zostało znalezione na skraju plaży. Dochodzenie sędziego obciąża Belliona i z całą pewnością ustala, że miało miejsce zaniedbanie przez ojca obowiązku opieki. Wszyscy klienci baru Bambou, sto metrów od plaży Boucan Canot, potwierdzili, że Martial Bellion pił tam rum za rumem w porze, gdy jego syn się topił. Martial Bellion nie wszczął alarmu, to fakt obciążający. Dopiero następnego dnia rano policjanci przyszli do jego domu w Saint-Paul, by przekazać mu tę porażającą wiadomość. Martial Bellion miał 1,2 grama alkoholu we krwi i 150 nanogramów marihuany w moczu.

O, cholera jasna...

Aja przymyka oczy. Oczywiście myśli o Jade i Loli.

Jak rodzice mogą dalej żyć po takiej tragedii?

Czy da się jeszcze cokolwiek zbudować na nowo?

Martial Bellion stał się potworem przez zaniedbanie? A może był to, powiedzmy, przypadek? Aja wyobraża sobie bieg zdarzeń, bezsensowny,

makabryczny. „Nie ruszaj się stąd, Alex, tatuś pojedzie tylko zapalić papierosa i napić się czegoś tam na końcu plaży, zaraz wróci, to nie jest odpowiednie miejsce dla dzieci...”.

Czy po paru kieliszkach za dużo wszystko może runąć? Najpierw jedno życie, potem następne...

Liane Bellion. Rodin. Sofa Bellion.

Aja klika w trzeci załączony plik – ukazuje się kopia PDF artykułu z dziennika wychodzącego na wyspie Reunion z 1 lipca 2003 roku, czyli dwa miesiące po wypadku. Wzmianka informuje o zamknięciu baru-restauracji Cap Champagne prowadzonego przez Graziellę Doré. Aby wycisnąć łzy tutejszym mieszkańcom, dziennikarz nie odmawia sobie przyjemności opowiedzenia o dramatycznej śmierci Alexa. Rozumie, że Grazielli Doré bardzo trudno jest żyć dalej ze wspomnieniem fał, które wyrzuciły martwe ciało jej syna, ale konsekwencje zamknięcia restauracji są wręcz dramatyczne: siedmiu Kreolów z dnia na dzień wyrzuconych na bruk! Barman, kelnerzy, kucharze...

...sprzątaczkę...

Aja dostrzega tu dziwną zbieżność. Jej rodzice przez lata pracowali w hotelu Alamanda. Zatrudnienie niepewne, tak jak w przypadku siedmiu Kreolów, o których mówi artykuł. Aja, poruszona, posuwa się jeszcze dalej w swym rozumowaniu: być może wśród tych Kreolów nagle pozbawionych pracy z powodu śmierci Alexa Belliona są tacy, którzy starali się potem o pracę w Alamandzie. A jednak żaden z pracowników hotelu, przesłuchiwanym po zniknięciu Liane Bellion, nie wspomniał o tamtej dawnej sprawie.

Gabin Payet.

Eve-Marie Nativel.

Naivo Randrianasoloarimino.

Tanguy Dijoux.

Dlaczego?

Gdzieś w zakamarkach pamięci Aja notuje, że trzeba sprawdzić tożsamość siedmiu pracowników baru-restauracji Cap Champagne. Od początku całe jej dochodzenie opiera się na podstawowym założeniu: Martial Bellion jest jedynym

hipotetycznym winnym. Są przecież zeznania pięciu osób przeciw jednej, w tym świadectwo Eve--Marie Nativel, która twierdzi, że Liane Bellion na pewno nie wyszła z pokoju 38. Aja pamięta słowo w słowo swoje podsumowanie przetestowane na Christosie: „Trudno sobie wyobrazić, że wszyscy pracownicy hotelu zawiązali koalicję, aby się sprzymierzyć przeciw jednemu człowiekowi. Z jakiego powodu, do diabła, mieliby to zrobić?”.

Zeznania pięciu osób przeciw jednej.

Brednie!

Powinna się przespać.

Ciało tego żąda. Uporczywie. Z wyjątkiem palców, które pływają po klawiszach, wszystkie inne członki i narządy funkcjonują jakby w zwolnionym tempie, ledwo czuwają. Myśli unoszą się ku Boucan Canot. Nie potrafi nie myśleć o dziwnym losie tej plaży symbolicznej dla wyspy. Swą atrakcyjność zawdzięcza niebezpieczeństwu, deniwelacji i martwej fali – Boucan Canot to nie laguna, lecz po prostu wspaniałe fale dla surferów o różnym poziomie umiejętności. Do września 2011 roku, gdy najsłynniejszy bodyboarder, mieszkaniec wyspy, zginął po ataku rekina, piętnaście metrów od plaży... Szok dla turystów, katastrofa dla hoteli, restauracji i handlu, zdarzenie kompletnie niewspółmierne z przypadkowym utonięciem, dziesięć lat wcześniej, przez wszystkich już zapomnianym...

Aja ziewa. Walczy z sennością, gdy otwiera czwarty załącznik.

Ukazuje się długa rozmowa z Agnès Sourisseau, nauczycielką Alexa Belliona. To najwidoczniej inny plik dołączony do akt przez sędziego Martina-Gaillarda.

Pytanie sędziego:

„Jakim ojcem był Martial Bellion?”.

Aja pobieżnie przebiega wzrokiem długą odpowiedź nauczycielki.

Martial Bellion był ojcem raczej nieobecnym, niestałym, niezbyt zaangażowanym. Graziella Bellion, wręcz przeciwnie, mocno stąpała po ziemi. Sama zajmowała się wychowaniem Alexa. Według nauczycielki typowe relacje małżeńskie. Martial Bellion po prostu nie był gotowy do roli ojca. Nie dojrzał do zrezygnowania dla dziecka ze swych upodobań.

„Upodobań?”.

Sport, koledzy, alkohol, marihuana... kobiety.

„Kobiety?”.

Martial Bellion był ładnym młodzieńcem. Wysportowany. Surfował z jednej imprezy na drugą. Wystarczyło, że kiwnie palcem, i chociaż wydaje mi się, że kilka miesięcy przed śmiercią Alexa trochę się ustatkował, pozostawał niejako w związku z młodą Kreolką.

„Czy to znaczy, że ta tragedia pani nie zaskoczyła?”

Nie, nie. Tego nie powiedziałam. Martial Bellion nie był zbyt rozsądnym ojcem, ale od tego jeszcze daleko do podobnego wypadku...

„No właśnie. Co tam mogło się wydarzyć?”

Któż to może wiedzieć? Boucan Canot w przeciwieństwie do plaż nad laguną jest niebezpieczna z powodu nagle opadającego dna, tam od razu traci się grunt pod nogami. Mały Alex tego nie wiedział. To był chłopiec, który uwielbiał pływanie, tak jak starsi. To straszne, co powiem, ale on bardzo podziwiał ojca. Zawsze rysował go pływającego na desce z żaglem albo jak surfuje wśród ryb. Natomiast Martial Bellion, jak już powiedziałam, wolał przyjaciół, ładne dziewczyny, nocne rozrywki... Nie był złym człowiekiem, po prostu to raczej starszy brat niż ojciec... Tylko że... to, co teraz mówię, człowiek układa sobie po kolei, żeby wytłumaczyć już po wszystkim. Ale gdyby zadano mi pytanie przed tragedią, oświadczyłabym, że Alex to chłopiec całkiem zrównoważony, który pomimo rozvodu rodziców będzie rósł na wyspie jak w bajce, korzystając jednocześnie z mądrości i autorytetu matki i szczypty fantazji ojca...

„Jak dzieci w szkole zareagowały na śmierć Alexa?”

Aja nie przeczyta już odpowiedzi.

A przynajmniej nie od razu.

Spokojnie zasnęła, ukołysana wiatrem i bujaniem hamaka.

DRZWI DO GARAŻU

Godzina 8.47

Boję się.

Nie słychać żadnych odgłosów ani w domu, ani w garażu. Słyszę tylko moją małą piąstkę uderzającą w drzwi do łazienki.

Coraz mocniej.

Tata wreszcie wychodzi spod prysznic. Przebrał się. Obejmuje mnie.

– Jestem, skarbie. Jestem tutaj.

Dziwne, nie pyta, dlaczego waliłam w drzwi jak jakaś wariatka. A ja nie mam odwagi powiedzieć mu o tym, że słyszałam, jak samochód wjeżdża do garażu. Tuż obok, tuż za drzwiami. Myślę o czymś innym, o czymś jeszcze bardziej dziwnym. Tatuś nie ma mokrych włosów. Musiał je wysuszyć, a może nawet nie włożył głowy pod wodę. Ja to najbardziej lubię – włożyć głowę pod prysznic.

– Idziemy, kochanie? Teraz już nie możemy zwlekać.

Tata wrzuca ubrania do dużej torby: adidas, spodnie, swetry. Zdaje się, że tam, gdzie jedziemy, jest zimno. Nie mogę w to uwierzyć. Od początku pobytu tutaj, na wyspie Reunion, jest mi tak ciepło jak nigdy dotąd. W dodatku chłopiec z tego domu, którego szorty i koszulę mam na sobie, jest ode mnie trochę większy, więc chciałabym mieć więcej czasu na wybranie i przymierzenie innych ubrań.

– Może być – powiedział tata.

Powiedział też, że nie powinnam utrudniać, że starsza pani z niebieskimi włosami jest i tak miła, że pożyczyła nam te wszystkie rzeczy, no i dom...

Tatuś opróżnił szafkę nad zlewem. Wziął całe opakowania ciasteczek, włożył je do torby.

Jeszcze grymaszę.

– Nie, tato, te chyba nie są dobre...

Tata nic nie mówi. Wyciąga ciastka i odkłada na stół. Jest zdenerwowany. Patrzy na mnie, robiąc dziwną minę, taką jak przed chwilą, gdy wychodził spod prysznic. Może to z powodu mojego starszego brata, który nie żyje. Na pewno mój starszy brat był do mnie trochę podobny i dlatego tatuś prosił, żebym przebrała się za chłopca.

Bardzo chciałabym mieć zdjęcie starszego braciszka...

Tata bierze torbę. Unoszę wzrok i patrzę na niego.

– Tatusiu, daleko jedziemy?

W głosie taty także słyszę zdenerwowanie.

– Tak, przecież ci mówiłem... Na drugi koniec wyspy, żeby odnaleźć mamę.

Idzie w stronę drzwi do garażu. Waham się chwilę, w końcu nie wytrzymuję.

– Tatusiu... Słyszałam przed chwilą warkot samochodu, kiedy brałeś prysznic. Zdawało mi się, że zatrzymał się tuż obok... W... w garażu.

Tata obrzuca mnie przerażonym spojrzeniem, tak jakbym mu powiedziała, że zadzwoniłam na policję powiedzieć, gdzie jesteśmy.

– Czy... czy coś widziałaś?

– Nie, tato. Zupełnie nic. Drzwi do garażu były zamknięte. Nikt nie wchodził...

Tata wielkimi krokami przemierza dom. Ja idę za nim małymi kroczkami. Tata uchyla drzwi do garażu i odwraca się do mnie.

– Zostań tutaj, moja mała, pójdę sprawdzić...

Zamyka za sobą drzwi.

Spodziewam się, że to potrwa bardzo długo, ale tata zaraz wraca. Uśmiecha się do mnie, widzę jednak, że się do tego zmusza.

– No i co?

– Nic takiego, Sofo. Chyba... musiało ci się coś pomylić... Tam... nie ma nikogo.

Tata kłamie. W dodatku nieumiejętnie. Wiem o tym, ale udaję małą, grzeczną dziewczynkę.

– To dobrze, tatusiu, trochę się bałam...

– Zostań tu, Sofo, pójdę zerknąć na ogród i upewnię się, czy droga wolna. Przyjdziesz, jak cię zawołam.

– Uważaj, żeby policjanci cię nie rozpoznali...

– Jesteś taka miła, kochanie.

Całuje mnie. Wychodzi.

Co tam jest, w tym garażu?

Co jeszcze tata przede mną ukrywa?

Muszę to wiedzieć...

Otwieram drzwi.

W garażu stoi żółty samochód. Mały, kształtny i lśniący. Nie znam takiej marki.

Idę przed siebie.

Ktoś siedzi za kierownicą.

Podchodzę bliżej. Natychmiast ją rozpoznaję.

To starsza pani z niebieskimi włosami.

*

Siedzi sztywno na fotelu kierowcy. Jej niebieskie okulary leżą na ziemi. Podchodzę jeszcze bliżej, cichutko. Wydaje się, że babcia zasnęła...

Kładę rękę na żółtych drzwiach, wspinam się na palcach.

I natychmiast tego żałuję.

Przez krótką chwilę moje oczy nie wierzą w to, co widzą.

Zaraz potem zaczynam krzyczeć!

Starsza pani o niebieskich włosach ma nóż wbity w dolną część szyi!

Krew spływa po szyi, także z podbródka, na piersi jak u osoby, która nieładnie je. Niebieska sukienka, którą ma na sobie, jest cała mokra, prawie fioletowa, tego samego koloru co jej kręcone niebieskie włosy, zamoczone w gęstej krwi.

Mam zamiar znowu krzyczeć, tak żeby obudzić całą dzielnicę, gdy jakaś ręka zatyka mi usta.

Potężna męska włochata ręka, ale widzę tylko jej cień.

Godzina 8.49

Christos parkuje mazdę pick-upa pod podcieniami nowiutkiego domu w Terrasses de Roquefeuil, nowej dzielnicy Saint-Gilles wzniesionej dwa kroki od laguny. Roquefeuil ma być doskonałym przykładem urbanizmu zrównoważonego, mądrego połączenia domów z basenami dla bogatych, otoczonych murem i kratami, oraz mieszkań socjalnych, stłoczonych na kilku piętrach; wszyscy zaś mieszkańcy mają chodzić do tych samych szkół, sklepów i parków.

Taaak – myśli Christos, nie do końca przekonany do takiej fasadowej koegzystencji. Według jego osobistego przekonania jest tylko jedno jedyne miejsce na wyspie, gdzie miesza się wszystkie rasy – plaża! Wszyscy są nadzy, wszyscy równi. Co ciekawe, im bardziej odsłania się kolor skóry, tym bardziej się o nim zapomina.

Podkomisarz pokonuje trzy schodki, wchodzi do holu budynku i czyta nazwiska wyryte na małych miedzianych tabliczkach.

Charline Tai-Leung. Wejście B. Drugie piętro. Numer 11.

Mniej niż jeden procent mieszkańców Reunionu z chęcią rezygnuje z domów lub willi, aby gnieść się w większych budynkach, więc bardzo się tu o nich troszczą; budowanie piętrowców to jedyne rozwiązanie pozwalające porozmieszczać dziesięć tysięcy dodatkowych lokatorów rocznie i powstrzymać chaotyczną urbanizację, która trawi naturalne obszary wyspy w sposób skuteczniejszy niż pożary lasów.

Cicha winda. Różowa wycieraczka. Czerwone drzwi. Żłocisty dzwonek.

Co za klasa!

Między jednym a drugim przyciśnięciem dzwonka Christos przywołuje w wyobraźni fantazje na temat azjatyckich stewardes wyciąganych z łóżka wczesnym rankiem.

Wreszcie drzwi się otwierają, ukazując seksbombę metr sześćdziesiąt, która

patrzy na policjanta dużymi, ledwo rozbudzonymi oczami jak z karykaturalnego rysunku. Jej krągła twarz jest okolona czarnymi prostymi włosami, jakby prosto z kreskówki *Dora poznaje świat*. Christos dokłada starań, by nie sięgać wzrokiem jeszcze niżej: T-shirt dziewczyny ledwo sięga ud, wydaje się, że przy każdym oddechu jej drobne sterczące piersi uniosą tkaninę i odkryją łono.

Pokazuje legitymację. Dziewczyna pociera oczy i przeszukuje swoją zaspaną pamięć.

– Ach tak, rzeczywiście, ten człowiek z lotniska. Proszę wejść.

Frywolna Dora najpierw proponuje mu kanapę, potem kawę.

Christos na wszystko przystaje. Delektuje się pięknym panoramicznym widokiem na Ocean Indyjski albo, jeśli się trochę obróci, przedziałkiem między krągłymi, śniadymi pośladkami Charline, gdy ta pochyła się, stawiając tacę ze śniadaniem. Kawa, herbatniki, miód.

– Jesteście ranne ptaszki w tej policji!

Christos udaje powagę władzy:

– Siła wyższa, proszę pani. Mamy zabójcę, który ucieka. Rozumie pani grozę sytuacji. Liczy się każda minuta...

Tak, rozumie. Także siada na kanapie, krzyżując nogi. T-shirt podjeżdża aż po pępek. Dora odgrywa Sharon Stone. Christos zagryza usta, aby wypadający język nie wpadł mu do gorącej kawy. Piękność uśmiecha się bez żenady, raczej rozbawiona zakłopotaniem gliniarza.

– Poczekaj pan małą chwileczkę? Włożę coś na siebie.

Szkoda...

Charline znika w sypialni. Christos ledwo zdążył ochłonać, gdy dziewczyna wraca. Narzuciła na siebie lekką sukienkę z różowej popeliny, która zakrywa jej nagie uda o jeden centymetr niżej...

Skromność według Dory.

Grzeczna, okrągła góra T-shirta została zastąpiona ryzykownym wycięciem sukienki: dwa cienkie ramiączka, które walczą z zapalem śniadych piersi do korzystania ze wstającego dnia.

Christos odwraca spojrzenie w stronę morza. Deska surfingowa zajmuje cały balkon.

W dodatku sportsmenka...

Podkomisarz kaszle.

– A więc spotkała pani Martiala Belliona na Lotnisku Rolanda Garrosa? Pięć dni

temu?

Charline zachichotała.

– Tak... wróg publiczny numer jeden. Przystojny facet, prawdę mówiąc. Gdyby był gwałcicielem, a nie mordercą, chętnie uprawiałabym jogging w okolicy Saint-Gilles...

Znowu pakuje się na kanapę, metr od Christosa, i przyjmuje pozę lolitki. Kolana przy piersi.

Ta dziewczucha go podnieca! A może ma do czynienia ze smarkatą, która fantazjuje na temat bohaterских przedstawicieli sił porządkowych? Waha się co do diagnozy i chwilowo poprzestaje na skrzyżowaniu rąk na podbrzuszu, żeby zamaskować erekcję.

– Co chciał Martial Bellion?

– Nic takiego. Chciał po prostu zmienić datę biletu powrotnego.

– Powiedział pani dlaczego?

– Respektować życie prywatne naszych klientów to podstawowy punkt regulaminu linii Corsair.

Na te słowa Christos skrzywił się z niechęcią.

– I w końcu udało mu się zmienić bilet?

– Nie, to niemożliwe! Chciał jak najwcześniej odlecieć do Paryża, ale nie było wolnych miejsc. Trzeba czekać co najmniej tydzień na lot bezpośredni, czyli byłoby to akurat w dzień jego powrotu zabukowanego na siódmy kwietnia.

– Jak zareagował?

– Panika na pokładzie. Upierał się. Próbowaliśmy wszystkich możliwości... Raczej skomplikowana sprawa, bo nie miał paszportu. Jedyna możliwość to lot łamany albo przez Sydney, albo przez Delhi. Trzy razy drożej.

– No i?

– Zdecydował, że nie... Ale się wahał.

– Aha...

Christos usiłuje skupić się bardziej na ciemnych stronach śledztwa niż na strefach pomiędzy sukienką Charline Tai-Leung a jej kroczem. Martial Bellion cichaczem szykował się do wcześniejszego wyjazdu! Niemal za każdą cenę. Z punktu widzenia prokuratora może to oznaczać, że zabójstwo żony nie było zwyczajnym wypadkiem, ale zaplanowaną zbrodnią... Dlaczego w takim razie uciekać do Francji? Bo w metropolii łatwiej się ukryć niż na wyspie? Taaak...

– Martial Bellion nic więcej pani nie mówił?

– Nie. Wyglądał na sympatycznego gościa. Był trochę wkurzony, ale sympatyczny.

W akrobatycznej pozycji na kanapie dziewczyna, roześmiana, pochyła się, aby wziąć herbatnika. Sukienka podciąga się na pośladkach aż po kość ogonową, podczas gdy drobne piersi odłączają się od tkaniny i pląsają pod nosem podkomisarza. Pozostać jak marmurowy posąg byłoby najgorszą z nieprzyzwoitości. Christos wyciąga rękę w stronę tacy ze śniadaniem, muska pierś.

– Życzy pan sobie jeszcze coś, panie inspektorze?

Smarkata nie drgnęła ani o centymetr. Ciało przy ciele. Christos bełkocze:

– Mmm... miodu...

Trudno być większym durniem.

W chwili gdy się waha, czy rzucić jakąś bardziej bezpośrednią, figlarną aluzję i śmiało położyć dłoń na zuchwałej piersi, odgłos spuszczonej wody zagłusza jego wyuzdane myśli. Odkręcany i zakręcany kran. Skrzypiące drzwi.

Jakiś facet w szarawarach wchodzi do pokoju. Goły tors, cały w mięśniach, jasne włosy na modłę potarganego Małego Księcia. Taki, co całą noc uprawia seks. A w pozostałym czasie uprawia surfing.

– Miodu, panie inspektorze? – pyta ta szelma Dora.

– Dziękuję...

Słodki smak rozprasza uczucie przykrości.

Surfer nie jest rozmowny. Miętko opada na krzesło i pochłania litr wody.

– Proszę pani – bełkocze Christos – czy Martial Bellion wyglądał na kogoś, kto chciał uciec?

– Co pan rozumie dokładnie przez słowo „uciec”?

– No, wydawało się, że za wszelką cenę chciał opuścić wyspę... Jak pani sądzi, czy on się czegoś bał?

Surfer wstaje, drapie się w krocze wewnątrz szarawarów. Charline rzuca mu spojrzenie pełne miłości, a potem zwraca w stronę Christosa swoje wielkie oczy lalki.

– Tak, panie inspektorze. On się czegoś bał, to właśnie to.

MIEJSCE ŚMIERCI

Godzina 9.03

Dusi mnie owłosiona ręka, która zasłoniła mi usta.

Nie mogę już oddychać.

Duszę się. Od łez. Ze strachu. Chciałabym ugryźć tę rękę, pożreć ją zębami jak dzikie zwierzę, rozerwać i wypluwać każdy palec po kolei.

Potwór oddycha za moimi plecami, sapie w szyję parzącym powietrzem.

– Cicho, Sofo. Nie możesz krzyczeć. Nie możesz...

Tata?

Ręka zwalnia ucisk. Odwracam się, nic nie rozumiejąc.

Tata?

Tata stoi przede mną. Kuca, żeby znaleźć się na mojej wysokości. Patrzy mi prosto w oczy.

– Uspokój się, kochanie, przybiegłem, jak tylko usłyszałem twój krzyk. Nie krzycz więcej. Nigdy. Zamknąłem drzwi do garażu, ale sąsiedzi mogą nas usłyszeć. Mogą zawiadomić policję. Mogą...

Nie chcę już słuchać taty, zatykam uszy rękami i dalej krzyczę.

– Tato, ona nie żyje! Stara pani z niebieskimi włosami nie żyje...

Tata wsuwa mi rękę we włosy, zimną i owłosioną jak pająk.

– Cichutko, Sofo. Nie myśl o tym. Musimy wyjechać. Szybko.

Ogromny, zabójczy pająk.

– Starsza pani ma nóż wbity w szyję, tato. To ty ją zabiłeś!

Patrzemy sobie prosto w oczy.

– Zabiłeś ją, tato. Na pewno ty ją zabiłeś!

Tata podchodzi jeszcze bliżej.

Pająk kładzie się na moim ramieniu, jego odnóża pełzają mi po szyi.

– Ależ nie, Sofo! Jak możesz wierzyć w coś takiego? Nigdy więcej nie powtarzaj takich rzeczy, Sofo. Słyszysz? Nigdy. Musisz mieć do mnie zaufanie, zawsze,

zawsze, pomimo tego, co ci powiedzą, pomimo tego, co zobaczysz. No chodź, teraz musimy już jechać, idziemy po torbę i ruszamy.

Trzęsę się. Wszystko mi jedno. Nie ruszę się stąd.

– Wiem, że ty ją zabiłeś, tato. Tylko my jesteśmy w tym domu.

– Nie opowiadaj głupstw, Sofo, przecież cały czas byłem z tobą.

Pająk schodzi w stronę serca, ale przez chwilę znowu pełza mi we włosach. Drzę. Płaczę. Wiem, że mam rację.

– Nie brałeś prysznic! Zabiłeś panią, żeby zabrać jej samochód. I zabrać jej dom. I jej rzeczy. I ubrania chłopca, te, które mam na sobie.

Zdaję sobie sprawę, że krzyczę coraz głośniejsze. Pająk wzlatuje nagle nad moim policzkiem. Nie od razu rozumiem, o co chodzi.

Uderzenie w policzek rozrywa mi twarz.

Cofam się, zaskoczona, nagle milknę.

– Dość już tego, Sofo! Nie mamy czasu do stracenia! Odwróć się!

– Nie!

Pająk znowu się unosi, złowrogi.

Tym razem ulegam.

Tata otwiera drzwi od strony pasażera w żółtym samochodzie. Cichutko, prawie bezgłośnie.

Chociaż nie widzę taty, wiem, co robi.

Wyciąga starą panią z samochodu. Nic sobie nie robi z krwi, która cieknie na siedzenie. Nic sobie nie robi z tego, że babcia nie żyje. Nic sobie nie robi z tego, że już nigdy nie będzie bawić się z wnukiem, z chłopcem, od którego pożyczyłam szorty, koszulę i adidas.

Nic sobie nie robi z niczego.

Chce tylko jednego – samochodu, żeby policja go nie złapała. Bo zabił mamę, teraz już jestem pewna.

Zabił ją i nie chce pójść do więzienia.

9.11

– Możesz się odwrócić, Sofo.

Tata ma wszędzie krew – na całej niebieskiej koszuli.

Widzę stopy starszej pani wystające zza dwóch starych opon, a obok kosiarkę.

– Wsiadaj do auta, Sofo. Przepraszam za uderzenie w policzek, ale nie miałem wyboru. Jesteś jeszcze mała, ale powinnaś coś zrozumieć. Musimy jechać dalej za wszelką cenę. Zobaczysz, Sofo, pokażę ci wspaniałe widoki, pejzaże, jakich nigdy dotąd nie oglądałaś...

Ładne pejzaże?

Siedzę na tylnym siedzeniu samochodu. Samochodu zmarłej.

Tata zwariował.

– Mam gdzieś oglądanie widoków. Chcę do mamy!

Tata już się uspokoił.

– Musisz więc ze mną jechać, Sofo. I ufać mi. Jeśli chcesz zobaczyć mamę, musimy być po południu na drugim końcu wyspy.

– Obiecujesz?

Nie wiem, dlaczego pytam. I tak mu nie uwierzę...

– Tak, kochanie. Tak. Obiecuję ci.

9.17

Martial nerwowo porusza głową, patrząc na zmianę w lusterko wsteczne, aby pilnować Sofy na tylnym siedzeniu żółtego nissana micra, i prosto przed siebie, by wypatrzeć najdrobniejszy podejrzaný ślad. Na razie drogi w Ermitage-les-Bains są raczej puste.

Martial przejeżdża zaledwie kilometr.

Nie więcej.

Palce zaciskają się na kierownicy.

Droga do Saint-Pierre jest zamknięta. Kilkusetmetrowy sznur samochodów ciągnie się przed policyjną zaporą, tuż przed rondem, od którego odchodzi Chemin Bruniquel. Martial zjeżdża trochę na prawo i obserwuje. Policjanci zatrzymują wszystkie samochody, sprawdzają dokumenty kierowcy, przyglądają się każdemu pasażerowi, otwierają bagażniki. Nie ma najmniejszej szansy na przejechanie, chociaż Sofa jest przebrana za chłopca, chociaż on sam, tak jak potrafił, zmienił swoją twarz, zgolił brodę i brwi, włożył grube okulary optyczne, a na głowę naciągnął kaszkiet z dużym daszkiem.

Ojciec i sześćioletni synek.

Bez dokumentów.

Na pewno zaczną coś podejrzewać.

To już koniec. Złapani w pułapkę...

Z tyłu, za nim, trąbi samochód terenowy. Zjeżdża więc głębiej na pobocze, niszcząc korzenie powietrzne pandanów.

Martial ukradkiem patrzy na markotną Sofę siedzącą z tyłu, a w głowie przerabia w kółko równanie nie do rozwiązania.

Gliniarze szukają ojca z sześciioletnią córką.

Jest tylko jeden sposób rozwiązania tego równania. Dla Sofy straszny, bardziej przerażający niż wszystko to, do czego zmuszał ją dotychczas, bardziej wstrząsający niż bliskie spotkanie z trupem tej starszej kobiety.

A jednak po raz kolejny nie ma wyboru.

Sofa wybałusza zdziwione oczy, gdy Martial manewruje autem z jak największą ostrożnością.

– Tato, dlaczego zawracamy?

Godzina 9.19

– Aju! Aju!

Pani komisarz wreszcie się budzi. Twarze Christosa i Moreza kiwają się na tle nieba jak anioły na sprężynach. Aja potrzebuje kilku sekund, aby uzmysłwić sobie, że to ona się buja, leżąc w hamaku, a laptop ześlizgnął jej się pod kark i zastąpił poduszkę. Ostrożnie schodzi z hamaka. Christos podaje jej rękę, ona na to przyzwala.

– Coś nowego? – niepokoje się, patrząc na zegarek, aby zorientować się, ile czasu spała.

Osiemnaście po drugiej. Rozsądnie, ale i zbyt długo.

Morez odpowiada pierwszy:

– Tak i nie. Nie za bardzo wiemy, dlatego właśnie postanowiliśmy cię obudzić. Zawiadomiono nas o zniknięciu niejakiej Chantal Letellier, lat sześćdziesiąt osiem, zamieszkałej przy ulicy Maldives w dzielnicy Ermitage. Według jej przyjaciela, u którego spała, miała tylko na chwilę skoczyć do domu, dziś rano około ósmej, a potem przyjechać do La Saline razem z innymi emerytami. Wszyscy należą do jednego klubu gry w go. „Go i Dodo”. Autentyk! Klub ciągle na nią czeka... Od pół godziny do niej telefonują. Nikt nie odbiera...

Aja przeciąga się, wyraźnie rozczarowana. Dotyka palcami twarzy, wydaje jej się, że po drzemce na sznurach hamaku ma twarz pokrytą bruzdami w romby.

– No taaak... Babcia na pewno tkwi gdzieś w korkach... Albo przysnęła. Czy to ma jakiś związek z Bellionem?

– Mizerny – precyzuje Morez.

Duże niewyspane oczy starszego aspiranta są przekrwione. Morez bez przerwy mruga, tak jakby powieki miały nie więcej siły do walki z oceanicznym wiatrem niż dwa płatki kwiatu bugenwilli.

– Ma związek... naciągany, Aju. Chantal Letellier mieszka tuż obok ogrodu

botanicznego Eden. Tymczasem wczoraj późnym wieczorem hostessa z Edenu zadzwoniła do nas, aby powiedzieć, że po południu przebywały tam dwie osoby, które mogłyby być podobne do Belliona i jego córki.

Aja zaczyna wprowadzać swoją mózgową maszynę na najwyższe obroty. Spała pełne dwie godziny, teraz trzeba nadrobić stracony czas. Termin przyznany jej przez Laroche'a niebawem upłynie. Musi uzyskać dowód, że Bellion nie zdołał przekroczyć zapór wokół Saint-Gilles, zanim Komenda Główna zacznie pyszczyć.

– Morez, czy to ty przyjąłeś telefon od hostessy z Edenu?

– Taaak, ale dziewczyna nie była całkiem pewna. Ojciec z córką, dwie nieokreślone postaci, lalunia tylko tyle potrafiła powiedzieć. Od wczorajszego wieczora mieliśmy z pięćdziesiąt takich rysopisów...

Aja klepie się w policzki, aby obudzić się na dobre. Komiczne odgniecenia ustępują. Morez i Christos czekają na jej reakcję. Aja nagle wybucha:

– Chłopaki, bywa i tak, że dwa słabe sygnały razem wzięte składają się na jeden cholernie mocny! Ulica Maldives, tak? Zasuwamy tam!

9.27

Aja chodzi po pustym salonie. Wczuwa się w panujący tu porządek, trochę starodawne, przyciężkie umeblowanie, chwilowy spokój, ma świadomość, że za kilka minut dom stanie się miejscem zbrodni, którego każdy metr kwadratowy, każdy mebel, każdy bibelot będzie rozłożony na części i drobiazgowo przeanalizowany przez armię ekspertów policji kryminalnej. Przesuwa palcem po tapecie i uważnie przygląda się fotografii Chantal Letellier. Starsza pani ma dziwne niebieskie włosy. Ekscentryczka zapewne. Babcia, którą wnuki musiały uwielbiać...

Morez wpada jak bomba. Jego szeroko otwarte oczy zdecydowanie stały się żółte i mrugają z prędkością trzepotu skrzydełek ważki albo jak dwie rozszalałe latarnie morskie.

– Szukaliśmy wszędzie, Aju. W garażu znaleźliśmy litry krwi. Na ziemi. Na kosiarce, na oponach, na zbiornikach. Jednak ani śladu ciała...

– Kurde, co to ma znaczyć?

Aja przygryza wargę.

Christos spędził piętnaście minut na rozmowie z przyjacielem Chantal Letellier. Przedstawia zarys jego wyjaśnień. Chantal Letellier przez cały rok mieszka na

wyspie, ale najczęściej przebywała u swego przyjaciela, emeryta, jak i ona, lekarza, którego poznała w klubie gry w go w Saint-Paul. On mieszka przy ulicy Scalaires w La Saline, trzy kilometry stąd. Ponieważ dom Chantal często bywał niezamieszkały, postanowiła zgłosić go do wynajęcia na portalu „bez pośredników”, z wyjątkiem okresu, gdy przyjeżdżały do niej dzieci i wnuki. Bellion musiał wchodzić na ten portal; po przeczytaniu ogłoszenia sądził zapewne, że Chantal Letellier przebywa w metropolii, a jej dom stoi pusty.

Był pusty. Prawie.

Przed wyjazdem, jak co rano, do klubu gry w go Chantal Letellier wstąpiła do domu około ósmej. Nie miała takiego zwyczaju, ale sąsiad zadzwonił do niej, gdy była w domu przyjaciela, że zapomniała zamknąć bramę do garażu! Zdziwiło ją to, na razie jednak nie straciła głowy, sądziła, że zamknęła tę paskudną bramę... Z powodu tej historii z uciekającym mordercą wolą jednak sprawdzić.

Aja zdejmując ze ściany zdjęcie, to trochę nieostre, na którym Chantal Letellier pozuje przy wodospadzie Voile de la Mariée.

Los bywa okrutny. Fatalny wybór Chantal Letellier... Otwarta brama garażowa jest oznaką, która pozwoliłaby schwytać Belliona. Wystarczyłby jeden telefon na policję.

Pani komisarz stawia fotografię na stole. Poprosi Moreza, żeby ją przefaksował do wszystkich posterunków na wyspie. Na wypadek gdyby... Nie znaleziono ciała Chantal Letellier, jest więc niewielka szansa, że Bellion jej nie zgładził, że wziął ją jako zakładniczkę.

Litry krwi w garażu...

Niewielka szansa.

Aja nie ma jeszcze żadnej analizy DNA ani odcisków palców, zajmą się tym specjaliści, ale wszystkie poszlaki się zbiegają. W łazience nawet znaleziono niedopałek skręta z marihuaną. Aja nie ma najmniejszej wątpliwości.

Martial Bellion i jego córka spędzili noc w tym domu.

Przed kilkoma minutami skontaktowała się z inspektorem Laroche'em. Cała wierchuszka Komendy Głównej natychmiast stawiała się w Saint-Gilles helikopterem.

Ogon pod siebie, ze wstydu.

Aja od początku miała rację, rybka wpadła do sieci. Była tak wściekła, że gdyby tylko mogła, trzasnęłaby w Laroche'a słuchawką, dając mu do zrozumienia, ile energii i czasu stracił przez zarządzanie pogoni na całej wyspie.

Christos wraca do pokoju z okolicznościowym uśmiechem na ustach, pół cynicznym, pół lekceważącym, wyrażającym postawę, której Aja nienawidzi u swego podwładnego.

– Ciągłe żadnego śladu ciała Chantal Letellier?

– Nie... ale znalazłem coś innego.

Koniuszkami palców trzyma plastikową torebkę. Szybkim ruchem, bez zbędnych słów, wysypuje zawartość na stolik tuż przed Ają. Pokażna ilość włosów unosi się w powietrzu przez kilka sekund, po czym opada na stolik i wokół niego, a posadzka zamienia się w salon fryzjerski dla kobiet.

Długie jasne pasma. Cienkie. Niemal jak sztuczne.

Tak jakby jakiś wariat ogolił głowy setce lalek Barbie.

Albo tylko jedną. Dziewczynki o złocistych lokach.

Spojrzenie Aji znowu pada na zdjęcia w ramach na ścianie, tym razem nie na babcię, ale na sześciolatniego chłopczyka obok niej, w czapce i kraciastej koszuli, przyglądającego się krokodyłom.

Zrozumiała.

– Do cholery! – wrzeszczy nagle. – Nie mogą nam uciec!

MARZENIE STRAŻAKA

Godzina 9.29

– Proszę, tu są dokumenty mojej mamy.

Martial otwiera portfel i wyjmuje dowód osobisty, dowód rejestracyjny samochodu, ubezpieczenie. Gliniarz się uśmiecha. Rutyna. Od rana musiał skontrolować kilkaset aut. Zagląda do żółtego nissana. Na fotelu pasażera śpi starsza pani, kolana ma przykryte kocem, szalik na szyi, tak jakby było jej zimno nawet w trzydziestostopniowym upale; z tyłu dąsa się chłopiec, siedzi pomiędzy hamakiem a zestawem naczyń przygotowanych na kreolski piknik.

Teraz już nawet Francuzi to załapały...

Gliniarz, skrupulatny pomimo zmęczenia, uważnie ogląda dokumenty samochodu.

– Ma pan swoje dokumenty? – pyta w końcu.

Martial opuszcza głowę i robi przeproszącą minę.

– Niestety, nie... Wieziemy babcię, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza w górach. Wie pan, gdyby miała czapkę, myślę, że i ją by włożyła.

Policjant pęka ze śmiechu, łatwa publiczność. Jest Kreolem. Współczuje. Zwraca dokumenty.

– U mnie jest podobnie, przysługuje mi co drugi weekend... Ale mam mniej szczęścia niż pan. Czwooro starszków do wożenia.

Jeszcze raz ogląda wnętrze samochodu. Chłopak jest niemożliwie naburmuszony, nawet chyba beczał. Gliniarz porozumiewawczo mruga do Martiala.

– To jest udręka przede wszystkim dla dzieci. Woli lagunę, co? Tak jak moje! No, w drogę, miłej wycieczki!

Martial spokojnie naciska pedał gazu.

Udało się!

Najpierw jedzie powoli w kierunku Saint-Pierre, do drogi Trou d'Eau. Zapory

mają ten plus, że przynajmniej filtrują ruch, na drodze nie ma nikogo, więc będzie mógł szybko się oddalić.

Jedzie wzdłuż oceanu w stronę Saint-Leu, przekracza kolejno ujścia rzek: Trois Bassins, Grande Ravine i Ravine Fontaine, rzucając krótkie spojrzenia na ogromne mosty wantowe na Route des Tamarins, kilometr w głąb lądu. Odpowiednik trzech estakad w Millau na przestrzeni niecałych dziesięciu kilometrów... Samochody na drodze szybkiego ruchu poruszają się płynnie. Zbyt płynnie. Łatwo dać się przyłapać.

Nagle Martial ostro skręca. Zaskoczyło go wirujące światło przy wjeździe do Saint-Leu pomiędzy karłowatymi palmami a olbrzymimi kaktusami. Ciało Chantal Letellier, pomimo przytrzymującego je pasa bezpieczeństwa, przesuwa się na fotelu pasażera. Powoli bezwładna głowa kładzie się na ramieniu Martiala.

Wstrząsa nim dygot. Ręka zaciska się na kierownicy, jest jak skostniała; kontakt z bezwolnym ciałem przyprawia go o mdłości, ożywia w nim wspomnienia nie do wytrzymania. Kiedy wyjeżdżali gdzieś z Liane samochodem, nawet na krótką przejażdżkę, ona zawsze zasypiała już po paru kilometrach, a jej miękkie jasne włosy opadały na jego ramię.

W takiej samej pozie pełnej czułości jak ten trup.

Trup, który znowu ocieka krwią.

Jego koszula znowu jest mokra.

Sofa płacze na tylnym siedzeniu.

Z wyjątkiem kilku minut postoju przed zaporą, przy policjancie, nie przestała lkać od wyjazdu. Martial nie ma jednak wyboru, musi jechać dalej, chociaż zdaje sobie sprawę, że ciało zarżniętej nożem starej kobiety umalowanej tak, aby wyglądała na zmęczoną babcię, siedzące na miejscu matki będzie prześladowało córkę. Przez całe życie.

Przez całe lata... Albo kilka godzin.

Kto to może wiedzieć?

On już nad niczym nie panuje.

9.37

Martial wyjeżdża z Etang-Salé. Po pokonaniu paru kilometrów, za Saint-Louis, będzie musiał wybrać, czy dalej jechać wzdłuż oceanu, czy skręcić w głąb wyspy, w stronę Le Tampon. Jego decyzja zależy od pytań, na które nie zna odpowiedzi.

Ile czasu potrzebuje policja, aby odkryć zniknięcie Chantal Letellier? Zidentyfikować samochód? Ile czasu potrzebuje policjant, który go przepuścił, na skojarzenie faktów? A policja na wydanie listu gończego? Minuty? Godziny?

Chwila wahania. Nadbrzeżna droga jest najkrótsza do Anse des Cascades. Saint-Pierre. Saint-Joseph. Saint-Philippe. Niemal nieprzerwany ciąg domów, rond, przejść dla pieszych, trzykolorowych świateł i radarów. Na tej drodze będzie najbardziej narażony, to jakby lejek pomiędzy górami a morzem. Złapanie go stanie się dla policji dziecinnie proste, gdy tylko dowiedzą się, którędy wyjechał z Saint-Gilles.

Kierunek „Le Tampon” jest zaznaczony na krajowej jedynce. Prosto. Odruchowo przyspiesza. Przez pewien czas będzie jechał w kierunku Entre-Deux aż do Plaine des Cafres. Potem ma do wyboru co najmniej trzy różne szlaki prowadzące do Chemin du Volcan, która wije się pod Piton de la Fournaise.

Ślepy zaulek. Wyzwanie!

Setki turystów wchodzi tam codziennie, fotografują wulkan. A potem schodzą tą samą drogą. Jeśli jest jakaś droga, na której gliniarze nie będą go szukać, to właśnie tam.

9.42

Nissan micra pokonuje pierwsze agrafki Chemin du Volcan. Łany bujnej trawy miękko falujące na zboczach są ogrodzone drewnianymi słupkami. Białe i beżowe krowy wystawiają głowy ponad druty kolczaste, żeby lepiej przyjrzeć się turystom. Domki ze spadzistymi dachami przybierają wygląd różnobarwnych szałasów.

Jeden z najbardziej oryginalnych widoków na tej wyspie. Trudno sobie wyobrazić, że kilkadziesiąt metrów niżej pozostały palmy kokosowe, kaktusy i spiekota.

Martial zerka w lusterko wsteczne. Sofa ciągle jest przygnębiona.

– Widziałaś, kochanie, jak pejzaż się zmienia. Zupełnie jak w Szwajcarii...

Cisza.

Sofa pociąga nosem.

Martial po raz kolejny odpycha ciało Chantal Letellier, które osuwa na niego przy każdym ostrym skręcie w prawo. Bezwładny manekin całkiem się wykrwawił, jest już tylko bladym widmem, niemal przezroczystym, którego ciało powoli staje się niebieskie, tego samego koloru co ufarbowane włosy.

Fantom, który zaczyna gnić.

Na każdym zakręcie ciało przesuwają się przed oczami Sofy. Dziewczynka nic nie mówi, ale Martial widzi, że przygryza wargę, przewraca oczami.

Trauma!

Do cholery!

Powinien się zatrzymać i wyrzucić trupa na pobocze, to jedyne, co można by zrobić, aby córka całkiem nie zwariowała. Albo przynajmniej zatrzymać się, wyjąć ciało i włożyć je do bagażnika.

Jednak byłoby to zbyt wyraźną prowokacją względem policji... i stratą tak cennego czasu.

I cholernym ryzykiem.

Ryzykiem, że wszystko pójdzie na marne.

Nie może do tego dopuścić. Musi działać do samego końca w tym swoim obłądnie.

9.45

Sofa zaczęła drżeć.

Od dłuższej chwili Chantal się nie przewraca. Gwałtownym ruchem ramienia Martial odepchnął ją na drzwi od strony pasażera. Usta przyłgnęły do drzwi, tak jakby i ona podziwiała widoki. Tyle że pozostawia na szybie zielonkawą wydzielinę podbarwioną skrzepami krwi.

Kolejny wiraż.

Martial pamięta tę drogę, jest długa, jeszcze co najmniej godzinę, dziesiątki ostrych zakrętów. Sofa tego nie wytrzyma. Martial musi coś postanowić. Cokolwiek. Czuje ogromną kulę zatykającą gardło. Kilka razy odkasłuje, po czym przerywa milczenie:

– Sofo, skarbie, przed chwilą zadałaś mi pytanie. Chciałaś wiedzieć, czy jesteś podobna do twojego starszego brata? Pamiętasz? Alex. Twój starszy brat, który... który umarł, zanim się urodziłaś.

Spojrzenie w lusterko. Żadnej widocznej reakcji dziewczynki.

– Teraz mam czas, mogę ci odpowiedzieć, jeśli chcesz. Tak, kochanie, jesteś do niego podobna. Oczywiście jesteś podobna do mamy. Ale także bardzo podobna do Alexa.

Sofa uniosła głowę. Nieobecny wzrok błądzi gdzieś indziej.

– Powiem ci coś w zaufaniu, Sofo, jadę tą drogą po raz drugi. Pierwszy raz to było ponad dziesięć lat temu. Alex... Alex siedział dokładnie na tym samym miejscu. Z tyłu. Był mniej więcej w twoim wieku, może o dwa miesiące młodszy. Tylko my dwaj byliśmy w samochodzie. Chciałem mu pokazać wulkan...

Sofa słucha. Martial to wyczuwa. Musi dalej mówić, żeby jego umysł nie zapuszczał się już w otchłań obłędu.

– Największy wulkan wyspy, Fournaise, po raz kolejny zaczął się burzyć. W takim przypadku wszystkie gazety i stacje telewizyjne ostrzegają, by nie zbliżać się do wulkanu. Mimo to mieszkańcy wyspy jak jeden mąż robią coś dokładnie przeciwnego, spieszą, aby ujrzeć to widowisko. Najpiękniejsze fajerwerki, jakie człowiek może podziwiać...

Żółty nissan micra mija altany piknikowe rozmieszczone przy drodze co dwieście metrów. Ostatnia, poniżej szczytu Nez de Boeuf, znika w chmurze grillowego dymu, dodatkowo przymglona przez ściekającą po szybie wydzielinę z ciała Chantal Letellier.

– Chciałem zrobić Alexowi niespodziankę. Nic mu nie powiedziałem. Jego matce także nie, oczywiście. Nie znasz jej, była surowa i poważna, nigdy by na to nie pozwoliła, powiedziałaaby, że jestem nieodpowiedzialny, wyobraź sobie – zabrać sześciolatnie dziecko na oglądanie wybuchu wulkanu, podczas gdy wszyscy rozsądni rodzice na wyspie starają się dzieciom tego zabronić... Może nie zgodzisz się ze mną, Sofo, ale pewnych rzeczy matki nie są w stanie zrozumieć.

Nic. Ani jedna rzęsa nie drgnie.

Martial mówi dalej, chociaż Sofa zamknęła się w sobie, zatrzasnęła na cztery spusty drzwi do swojego wnętrza, wsłuchuje się we własną muzykę przez wyimaginowane słuchawki empetrójki. A on teraz już opowiada to wszystko raczej sobie niż córce.

– W tamtym czasie czytywałem już Alexowi przygody Ti-Jeana. Te same książki, które czytam tobie! Wiesz, Baba Kalle i jej przyjaciel Wielki Diabeł mieszkają gdzieś pod wulkaniczną lawą, dlatego Alex trochę się bał, jadąc tą drogą. Ty się nie boisz, prawda, kochanie? – Martial w duchu złorzeczy na swoją głupotę. Czy naprawdę trzeba dodawać jeszcze tę diabelską historię do całej reszty? I szybko powraca do swej opowieści, żeby tylko milczenie znowu nie zwyciężyło. – Opowiem ci jeszcze coś, Sofo. Kiedy Alex był całkiem mały, miał ulubioną zabawkę, z którą się nigdy nie rozstawał, mały strażacki samochód znaleziony na plaży. Wyobrażasz sobie, Sofo, malutki metalowy samochodzik, który mieścił mu

się w dłoni. Nie był zbyt ładny. Trochę zardzewiały. Wszędzie go ze sobą zabierał, zrobił z niego auto terenowe. Fałdy pościeli w łóżku. Piaskownica. Trawa. Żwir. Wysoki stołek i brzeg stołu. Siedzenie samochodowe... Rozumiesz, moja mała? Alex miał zaledwie sześć lat, a jego strażacki samochodzik przejechał już kilometry. Kiedy dotarliśmy do Pas de Bellecombe, na samą górę, na parking u stóp rozszalałego wulkanu, nie dało się już iść dalej. Droga była zamknięta. Wiesz, co najbardziej fascynowało Alexa?

W lusterku wstecznym twarz Sofy pozostaje nieprzenikniona, lecz poruszyła się jej ręka, tak jakby dziewczynka, słysząc opis zabawki, także poszukiwała jakiegoś przyjaciela, przytulanki, pluszaka... Najdrobniejszego przedmiotu, na który mogłaby przerzucić swoje demony.

– Nie uwierzysz, Sofo! Alexa nie interesowały te nieprawdopodobne fontanny płomieni wulkanu, iskry, które buchały w ciemne niebo jak węgle. Nie! Jego uwagę przykuły strażackie wozy! Szereg samochodów strażackich, które blokowały drogę, i dziesiątki strażaków rozbieganych jak Marsjanie w swoich azbestowych strojach! Szybko wysiedliśmy z auta. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, od krateru dzieliło nas wiele kilometrów, chociaż panował piekielny żar. Nie byliśmy sami. Otaczały nas setki ludzi z aparatami fotograficznymi, kamerami, lornetkami. Nie dało się podejść do barierek, żeby lepiej widzieć. Jakaś gruba pani w końcu przepuściła Alexa. To była Kreolka z ogromnym krzyżem na szyi. „To diabeł kaszle, chłopczyku – powiedziała do Alexa. Zapamiętaj sobie. Diabeł złości się na ludzi!”. Alex nie zwracał uwagi na te słowa, patrzył na lawę spływającą z wulkanu jak niekończący się ognisty wąż. Wierz mi, Sofo, nigdy nie widziałem jego oczu tak błyszczących. Ale stara Keolka dalej opowiadała te swoje boże historie. „Chłopczyku, wiesz, co trzeba robić, żeby nie pozwolić diabłu się złościć? Tatuś ci nie powiedział? Trzeba się modlić, mały, modlić się do wszystkich świętych wyspy. Diabeł się ich boi”. – Martial milknie na chwilę i zerka w stronę szczytu Piton de la Fournaise. Ponad kraterem Dolomieu niebo jest nieopisanie błękitne, niezależnie od ledwo dostrzegalnej mgiełki upału. W jego umyśle rodzi się pewna niesprecyzowana na razie myśl, zamazany obraz wyrwy na końcu tego ślepego zaułka, wąskiego, ale wystarczającego, by wśliznąć się tam w dwie osoby. Dlaczego nie? Musi się nad tym zastanowić, przemyśleć to później, bo teraz powinien się skupić na historii, którą opowiada, nie pozostawiać Sofy tak w pół zdania. – Alex nie miał pojęcia o świętych, kochanie, tak samo jak ty, przecież nigdy nie byłaś w kościele, ale był grzecznym chłopcem, więc słuchał

starszej pani, która dalej mówiła, tak jakby sam Pan Bóg przemawiał przez jej usta. „Mówię prawdę, chłopcze, słuchaj uważnie, pomiędzy wulkanem a morzem jest wioska, Sainte-Rose, a w niej mały kościółek Najświętszej Panny. Podczas wybuchu w roku 1977 lawa wulkanu wszystko pokryła: plantacje trzciny cukrowej, domy, drogi. Wszyscy mieszkańcy osady schronili się w kościele i modlili się do świętych, aby ocaleć przed śmiercią w gorącej lawie. I wiesz, co się wtedy stało, chłopczyku?”. Alex zaprzeczył ruchem głowy. Nie, nie wiedział, nie interesowało go to, przyglądał się strażakom, którzy podchodzili do krateru w tych swoich niesamowitych kombinezonach, jak kosmonauci. Stara pani ciągle opowiadała: „No więc, mój chłopcze, święci byli silniejsi niż sam diabeł. Diabeł się bał. Lawa zatrzymała się tuż przed kościołem. Nikt nie zginął! Od tego czasu kościół jest pod wezwaniem Matki Boskiej od Wulkanów! Można jeszcze obejrzeć wyschniętą lawę wpełzającą na pierwsze schodki kaplicy; zatrzymała się tam, tak jakby nie ważyła się wejść. Jeśli mi nie wierzysz, mały, poproś ojca, aby cię tam zawiózł”. W tym momencie Alex odwrócił się i spytał grubej pani: „Czy ci święci mieli czerwony samochód, żeby zatrzymać lawę?”. Wyobrażasz sobie taką scenę, Sofo? Gruba Kreolka była zaskoczona, zaśmiała się, trochę speszona: „Nie, chłopczyku, oczywiście, że święci nie mają samochodu”. „A może błyszczący kask?” – pytał Alex. „Nie...”. „A może ubiór kosmonauty? Wielką strzelbę, która strzela wodą?”. „Nie, chłopcze, trochę fantazjujesz, święci w kombinezonach kosmonautów ze strzelbą...?”. W oddali ludzie w mundurach biegali, jakby liczyła się każda sekunda, a mieli tylko pilnować sunącej lawy. Alex wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem do Kreolki. „To nic nie znaczy być świętym!”. Wpatrywał się w wulkan i ścisnął w dłoni mały czerwony samochodzik. „Jak będę duży, to zostanę strażakiem”.

Ponowne spojrzenie w lusterko wsteczne.

Sofa nie zareagowała. Ani śmiechu, ani uśmiechu.

Chantal Letellier też nie. Wygląda, jakby znalazła najwygodniejszą pozycję i zasnęła. Szarpnięcie samochodu zamknęło jej usta.

Martial nie daje za wygraną:

– Wierz mi, Sofo, zostałby strażakiem. Miał sześć lat, ale był już bardzo odważny. Nawet więcej, nieulekły. Zostałby najsilniejszym strażakiem świata.

Mijają altany, wszystkie pozajmowane przez kreolskie rodziny, pełno tam menażek z jasnego metalu, składanych krzeseł, ręczników, porozwieszanych dla ochrony najmłodszych i najstarszych przed słońcem w porze sjesty. Roztacza się

widok na wulkan: rozlewisko Scories, Piton Textor, zbocze Zézé, oglądane przez przednią szybę, także się zamazują w wilgotnej mgle.

Nie tylko z powodu wydzielin Chantal Letellier. Martial nie może powstrzymać łez, które napływają mu do oczu.

Wykorzystuje kawałek prostej drogi, by odwrócić się do Sofy. Ona także płacze. Martial trzyma jedną rękę na kierownicy, drugą wyciąga do tyłu. Czuje paluszki Sofy dotykające jego dłoni. Jak pięć wiotkich owadów, które łapie z ogromną delikatnością.

– Szkoda, że twój starszy braciszek umarł tak wcześnie. Uratowałby niejedną osobę, wiele osób. Byłabyś z niego bardzo dumna, kochanie.

Pięć owadów drży lekko w jego ciepłej dłoni, tak jakby rosły im skrzydełka. Martial zapragnął, aby ta chwila trwała w nieskończoność.

Ponad nimi, na tle nieba, przelatuje helikopter.

IMELDA W LODÓWCE

Godzina 9.50

Quentin Patché stoi na parkingu przed posterunkiem w Saint-Gilles ze wzrokiem wbitym w ziemię jak uczeń zaskoczony na paleniu papierosów w toalecie. A przecież mierzy metr osiemdziesiąt, ma trzy dany w aikido i żadnej skazy na sumieniu przez dwadzieścia jeden lat pracy w policji na wyspie. Dziewczyna stojąca naprzeciw niego jest o dziesięć lat młodsza i ma dwadzieścia centymetrów i trzydzieści kilo mniej niż on.

A jednak nie stanął na wysokości zadania.

– Samotny facet, do jasnej cholery! – wrzeszczy Aja. – Z sześciolatnim chłopcem z tyłu. Bez dokumentów! I przepuściłeś go!

Quentin Patché bełkocze jakieś słowa przeprosin. Aja nie pozwala mu na to ani przez chwilę. Zna już tę śpiewkę: trup babci na przednim siedzeniu, Sofa przebrana za chłopca, kierowca o nijakim wyglądzie, tak naprawdę niepodobny do Belliona z fotografii... Radiowy komunikat policyjny wysłany do wszystkich patroli dotarł o kilka minut za późno, większość gliniarzy dała się podejść, tak jak ten dureń Patché. Ale to i tak nie powstrzyma pani komisarz przed wymyśleniem mu.

– Już go mieliśmy. Wystarczyło szerzej otworzyć oczy...

Patché jest dobrze wytresowanym gliniarzem. W policji, tak jak i w klubie aikido, nauczył się znosić ciosy bez jednego mrugnięcia. Aja bombarduje go wyrzutami jeszcze przez dłuższy czas.

Musi się wyładować.

A przede wszystkim wyrzucić wrażenie na inspektorze Laroche'u.

Inspektor stoi nieopodal w cieniu drzewa kazuaryny. Przyleciał dziesięć minut temu nowiutkim śmigłowcem Ecureuil AS350 B, który wzniecił burzę piaskową podczas lądowania na plaży, skąd parę minut wcześniej policja wszystkich usunęła.

Christos milcząco przysłuchuje się scenie od samego początku. W końcu postanawia wkroczyć w sposób dosyć oględny. Pochyla się do ucha pani komisarz

i szepcze:

– No, wystarczy, Aju. Myślę, że już dostał za swoje. Quentin jest na pierwszej linii od trzynastu godzin. Chyba może mieć dosyć?

Aja kiwa głową twierdząco.

Odwraca się w stronę Laroche'a, podczas gdy Quentin Patché odchodzi. W porównaniu z wizerunkiem, jaki Aja stworzyła sobie po rozmowie telefonicznej, inspektor jest o wiele wyższy. Także bardziej pociągający. Wygląda na interesującego czterdziestolatka, gładkiego i zadbanego, ze szczyptą poczucia humoru w spojrzeniu, co pozwala dostrzec w nim zręcznego dyplomatę ukrytego pod formalistycznym chłodem. Powierzchnowość działacza organizacji pozarządowej, bankiera w mikrofinansach, socjalistycznego przewodniczącego rady generalnej.

Inteligentny. Energiczny. Wzbudzający zaufanie.

Denerwujący.

Laroche czeka, aż Patché wejdzie do budynku, i dopiero wtedy mówi:

– Co się stało, to się nie odstanie, pani komisarz. Przez aspiranta Patchého straciliśmy tylko kilka minut. Komunikat został już rozesłany: żółty nissan micra, na zmianę tablic rejestracyjnych Bellion praktycznie nie miał czasu. Nie zajedzie daleko, zmobilizowaliśmy wszystkie helikoptery z Komendy Głównej, jedenaście EC 145 przeczesuje niebo nad wyspą. Wykonaliście dobrą robotę, Purvi, mówię szczerze. Najpierw go osaczyć, potem zmusić do wyjścia z nory. Ma zaledwie trzydzieści minut przewagi. Nie ma najmniejszej szansy.

Mówiąc to, Laroche rysuje butem małe kółka na żwirze wtopionym w smołowatą powierzchnię parkingu. Pomimo jego pozornej pewności siebie Aja wyczuwa w nim pewne oznaki nerwowości. Zanim wszedł do helikoptera, włożył drelichowe wojskowe spodnie, kamizelkę kuloodporną i ochronne buty. Całość w stylu: „Ken jedzie na wojnę”. Musiała to być dla niego egzotyka – zrzucić z siebie krawat i galony, aby przeżyć chrzest bojowy w śmigłowcu Ecureuil i wizytę u tubylców... Ale w gruncie rzeczy na pewno nie spodziewał się operacji „Jastrząb” jako prezentu powitalnego.

Aja marszczy brwi, aż się ze sobą łączą, chce pokazać, że nie da się udobruchać kilkoma okolicznościowymi komplementami.

– A co przez ten czas, inspektorze? W oczekiwaniu na powrót helikopterów? Wypełniamy jakoś ciszę, wyciągamy głośniki i puszczamy *Cwałowanie walkirii*?

Laroche prezentuje pani komisarz swoje doskonale uzębienie. Uśmiech, który

można nazwać szczerym i porozumiewawczym.

– Milczymy i modlimy się do świętego Ekspedyta, pani komisarz. Tak się tu mówi, prawda?

9.57

– Aju, mogę z tobą porozmawiać? Sam na sam.

Christos ciągnie Aję za rękaw, na bok.

– Czy to coś ważnego?

– Tak.

Christos obserwuje Laroche'a stojącego trzy metry dalej, zajętego szukaniem najlepszego miejsca na parkingu, w którym można złapać sieć na iPhonie.

– Sam na sam – nalega Christos. – Nie przy Laroche'u. Ty to zrozumiesz. On nie... Idziemy do lodówki?

Lodówka to mały pokoik bez okna, dziesięć metrów kwadratowych, gdzie wokół dwóch metalowych krzeseł i stołu piętrzy się trzydzieści lat policyjnych archiwów. Policjanci z Saint-Gilles tak go nazwali, bo to najchłodniejsze pomieszczenie w budynku, ale przede wszystkim dlatego, że brak okna stwarza okazję do przestudzenia niektórych niezbyt rozmownych delikwentów, tymczasowo tu aresztowanych.

Christos zamyka drzwi. Przyciska włącznik światła. To nowoczesna lodówka, w której światło zapala się od wewnątrz, gdy człowiek już się w niej zamknie...

W środku czeka kobieta o śniadej cerze. Wysoka. Korpulentna. Umalowana po kreolsku, z gustem, karminowa szminka na ustach, powieki indygo.

Christos przystępuje do prezentacji.

– Aja, Imelda. Przyjaciółka. Rano ci o niej mówiłem. Powiedziałaś, że może wpaść, pamiętasz? Posłuchaj, co ma do powiedzenia, dużo myślała o tej sprawie. Ma do tego większy dystans niż my, wiesz, o co chodzi... Nie ma...

– Pamiętam – przerywa Aja, zwracając się bezpośrednio do Imeldy. – To pani jest tą jedyną kobietą na świecie, która potrafi zmusić do nadliczbowych godzin proroka libertarianina Christosa Konstantinova. Jeśli mam dobrą pamięć, błyskotliwa amatorka kryminalnej dedukcji. Ktoś taki jak Harlan Coben? Bardzo panią przepraszam, proszę wybaczyć Christosowi, powinien się był porozumieć ze

mną wcześniej, powiedziałabym mu, że nie ma pani po co przyjeżdżać. A na pewno nie natychmiast. Martial Bellion jest teraz śledzony przez dziesięć helikopterów. Wszystko może się rozpętać lada chwila...

Christos nalega:

– Naprawdę, powinnaś posłuchać...

– Nudzisz, Christos.

Aja chodzi po pokoju, odruchowo poprawia krzywo leżące pudło z archiwaliami. Obrzuca kobietę współczującym spojrzeniem.

– Przykro mi, Imeldo, nie mam do pani pretensji. Ale...

– Nic nie szkodzi – uśmiecha się Imelda. – Proszę się nie przejmować, rozumiem. W moim wieku już nie jestem skora do złości.

Podnosi się z miejsca i zwraca do Christosa:

– Twoja szefowa ma rację, już sobie idę. Mówiłam ci, że nic tu po mnie. Dzieciaki czekają w domu, mam trzy tony prania, w Saint-Paul muszę kupić warzywa na kari, no i...

Christos ze wzrokiem uniesionym na wybrzuszony sufit nagle wali pięścią w stół. W pokoju unosi się obłok kurzu.

– Co jest, do jasnej... Aju, co ci szkodzi posłuchać jej przez pięć minut? Imelda jest świadkiem, po prostu zwykłym świadkiem. Obserwowała i chomikowała w pamięci najdrobniejsze sensacyjne zdarzenia na wyspie długo przedtem, nim wymyślono twarde dyski i wyszukiwarki...

Aja wzdycha, patrzy na zegarek.

– Dobrze, pięć minut, ani chwili dłużej.

Christos przyciąga do siebie krzesło, wyciera je wierzchem rękawa. Znowu wzlatuje kurz, tworząc przelotny obłok, prawie niewidoczny w świetle słonecznym. Aja kaszle. Christos odchrząkuje. W tej lodówce jest wszystko oprócz piwa i kostek lodu.

– Mów, Imeldo...

Imelda podchodzi bliżej. Gdy stoi pod jedyną tutaj żarówką, jej potężna sylwetka, w półcieniu, przytłacza Aję.

– Od początku tej całej afery jestem przekonana, że zachowanie Martiala Belliona jest nielogiczne.

Twarz Aji raz jest w cieniu, raz w świetle w rytm przemieszczania się Imeldy, tak jakby to ona, Aja, była przesłuchiwana.

– Proszę to sprecyzować.

– No więc wydaje się, jak by to powiedzieć, że mamy do czynienia z dwoma różnymi mężczyznami. Według tego, co pisze prasa. I według tego, co mówił mi Christos.

Aja marszczy czoło, brwi są teraz poziomo jak czarny znak zakazu zagrażający spojrzenie, ale nie przerywa Imeldzie.

– Po pierwsze, wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z banalną sprawą. Klótnia. Wypadek. Martial Bellion panikuje, wzywa policję, zaczyna zeznawać...

– OK – niecierpliwi się Aja. – OK.

– A potem obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Bellion ucieka. Wymyka się policji. Zamienia się w niedościgłego kryminalistę działającego w sposób metodyczny, tak jakby postępował według planu starannie przygotowanego z góry albo co najmniej zgodnie z wyraźnie określonym celem...

– OK, Imeldo, wybacz, że mówię prosto z mostu, ale o tym wszystkim już pomyśleliśmy...

Christos opiera się o poślódkę archiwalia. Jego spojrzenie przeskakuje z jednej kobiety na drugą.

– Nie wątpię – przeprosza Imelda skwapliwie. – Oczywiście, proszę pani. Więc będę mówić krótko, sprowadzę wszystko do jednego pytania: co się wydarzyło między piątkiem dwudziestego dziewiątego marca o szesnastej a niedzielą trzydziestego pierwszego marca, dokładnie czterdzieści osiem godzin później?

Po chwili zaskoczenia Aja odpowiada szorstko:

– Nic! Kompletnie nic. Dopiero później wszystko nabrało przyspieszenia, kiedy chcieliśmy przyskrzynić Belliona.

Imelda nie obrusza się. Kontynuuje swoją argumentację, wygrywając elokwencją:

– Wytlumaczę moje rozumowanie. W piątek od szesnastej, zaraz po zniknięciu Liane, Martial Bellion współpracuje z policją, prosi, żeby odnaleźli jego żonę, nawet zabiega o ochronę. Następnego dnia – metamorfoza...

Aja z irytacją zerka na zegarek.

– W międzyczasie, Imeldo, wie pani o tym, bo Christos, jak się zdaje, nie odróżnia tajemnicy zawodowej od zwierzeń łóżkowych, zgromadziliśmy dowody. Krew. DNA. Zabójstwo Amaury'ego Hoarau. Narzędzie zbrodni... Bellion zostaje przyparty do muru...

– Był już przedtem, proszę pani. Jeszcze jak! Bellion nie jest głupi, on już

wiedział, że na pewno na uchwycie noża znajdą krew, DNA i odciski palców. Podtrzymuję to, co już powiedziałam, pani komisarz, Bellion radykalnie zmienił strategię, a my nie wiemy, jaki był powód takiego rozdwojenia. Jeśli mam być całkiem szczerą, ta historia przypomina mi incydent z moim najstarszym synem. Trzy lata temu zadzwonili do mnie ze szkoły Jean-Lafosse'a, bo Nazir ukradł koledze empetrójkę.

Aja nerwowo patrzy na zegarek, ale Christos daje jej znak, by cierpliwie poczekała.

– Na początku Nazir był łagodny jak baranek wobec wychowawców szkolnych, nawet przyznał, że to była kradzież. Aż do chwili, gdy jeden z kolegów się wygadał: Nazir nie tylko ukradł empetrójkę. Organizował w szkole prawdziwy handel. Empetrójki, empeczwórki, telefony komórkowe, konsole, trawka... Kiedy mój chłopak dowiedział się, że jego współnik zaczął sypać, uciekł aż na Plaine des Makes. Miał tylko dwanaście lat. Policja szukała go trzy dni...

Aja wstała, wreszcie zainteresowana. Usiłuje porównać ten wywód z ciemnymi plamami dochodzenia. Skarga Liane Bellion na posterunku w Saint-Philippe, przyjazd na lotnisko i nieudana próba zmiany daty lotu powrotnego. Także przeszłość Belliona, ładne dziewczyny, alkohol, trawka...

– Co chce pani przez to powiedzieć, Imeldo? Że Martial Bellion coś przed nami ukrywa? Coś gorszego niż to, o co jest obwiniany? Że uciekł, żeby tego nie odkryto?

Szeroko uśmiechnięty Christos gwizdże między zębami, dumny, że Aja dała się wciągnąć w te dociekania.

– Coś gorszego niż trzy morderstwa... Ciekawe, co. Warto by pogrzebać głębiej w przeszłości Belliona.

Imelda w teatralnym geście podnosi ręce do góry. Nie zdoła jednak dodać ani słowa, bo drzwi lodówki nagle otwierają się z hukiem.

Ukazuje się Laroche, trochę potargany. W kamizelce kuloodpornej zapiętej pod szyję.

– Purvi! Namierzyliśmy ich!

– Co?

– Za Plaine des Cafres, na drodze do Piton de la Fournaise.

– To ślepa droga! Mamy ich. Już idę.

Metalowe krzesło przewraca się w tumanie kurzu. Laroche słucha echa objającego się o cztery ściany.

Najwyraźniej jest wkurzony.

– Pani komisarz, wszystkie helikoptery są zajęte. Nie... nie przewidziano miejsca dla pani! Ludzie, którzy przypuszczą atak, to zawodowcy, oddział lotniczy i pluton policji górskiej. Wasza brygada musi dalej prowadzić dochodzenie w Saint-Gilles... To rzecz zasadnicza, jest jeszcze sporo luk w tej sprawie. Zabójstwo Chantal Letellier, ale także...

Aja wybucha:

– Pan sobie ze mnie robi jaja?

Z tyłu, za Laroche'em, dwa umundurowane typy, szersze niż drzwi, drepczą, jakby chciało im się sikać.

– Pani komisarz, dwanaście helikopterów uderzy na samochód Belliona. Trzydziestu ludzi. W większości strzelcy wyborowi. Każdy z nich jest tylko trybikiem w planie „Jastrząb”, doskonale wyszkolonym, bez żadnego ego. Bez żadnego ego, rozumie to pani, Purvi? Muszę już iść...

Odgłosy stukania obcasów oddalają się, zostają drzwi lodówki, otwarte na pustkę i ciszę. Christos przygryza wargę, Imelda cofa się aż pod regał z pudłami starych akt. Oboje mają ten sam wyraz twarzy, uzewnętrzniający rozgoryczenie.

Metalowy stół nagle wzlatuje i w straszliwym łomocie odbija się od metalowych podpór regału.

– Co za skurczysyny!

Aja rzuca się do wyjścia, do głównego pomieszczenia budynku. Morez usuwa się przed szefową z elegancją środkowego obrońcy, który nie chce spowodować faulu w polu karnym. Aja nie zauważa przewodu elektrycznego ciągnącego się przez całe pomieszczenie albo szkoda jej czasu na obejście go, idzie więc prosto przed siebie. Chwilę później komputerowy projektor podłączony do prowizorycznego rozgałęziacza wybucha na posadzce. Setki żółtych i pomarańczowych domów w Saint-Gilles walą się w nicość.

Osiemset sześćdziesiąt euro. Jedna czwarta rocznych zarobków funkcjonariusza policji.

– Co za banda skurwysynów! – komentuje Aja.

I wybiega na policyjny parking.

Burza piaskowa i żwirowa.

Helikopter Ecureuil AS350 B Laroche'a, który przedtem stał na plaży, przelatuje

na wysokości mniejszej niż trzydzieści metrów nad jej głową, co wywołuje drżenie liści kazuaryn i piętnastosekundowy cyklon.

– Sukinsyny!

Aja wiedzie wzrokiem za helikopterem i pokazuje w jego kierunku środkowy palec.

10.14

Helikopter Laroche'a jest już tylko muszką na horyzoncie. Aja chodzi w kółko, wykopując butami tyle kamyczków, ile ogier chodzący w kieracie. Żaden z policjantów nie ma odwagi się odezwać. Christos opiera się o drzewo i zapala papierosa, czeka na odpowiednią chwilę, aby taktownie przerwać milczenie.

Przeczekać nawałnicę.

Od dłuższego czasu pani komisarz wpatruje się w puste niebo, tak zdesperowana jak ptak przykuty do gniazda. Nagle unosi telefon. Wrzeszczy bez najmniejszej samokontroli:

– Jipé? Tak, tu Aja! Absolutnie pilne! Masz jeszcze jakiś wolny helikopter?

Milczenie trwa zaledwie kilka sekund, po czym Aja znowu wrzeszczy:

– Masz jeden! Genialnie, jesteś cudowny! Na... na taki specjalny przelot. Nie ruszaj się, zadzwonię za dwie minuty.

Aja wyłącza telefon.

Christos patrzy na nią z niedowierzaniem.

– Co to za jeden, ten Jipé? Jakiś były?

– Prawie. Facet, z którym miałam najwyższe uniesienia w życiu.

– Kochanek?

– Nie. Mój instruktor lotniczy...

OTWARTY GROBOWIEC

Godzina 10.17

Wiązanka kwiatów we wszystkich kolorach – powiedział tata. Największa, jaka jest! Dla starej pani z niebieskimi włosami, która nie żyje. Jak na cmentarzach. Zmarli bardzo lubią kwiaty.

Tata powiedział, żebym zbierała je pod drzewami, nie bardzo się oddalała i żebym nie chodziła za blisko dziury. To nawet więcej niż dziura, to coś w rodzaju ogromnej studni, która chyba sięga aż do środka kuli ziemskiej. Superniebezpieczna! Drewniana barierka jest zniszczona. Są za to plastikowe pomarańczowe taśmy i duże żółte trójkaty.

Odwracam się, bo nie chcę zabłądzić w gęstych zaroślach. Tata stoi przy żółtym samochodzie, trzydzieści metrów ode mnie.

Zrozumiałam.

Tata zjechał z drogi, gdy tylko zobaczył helikopter. Od razu skręcił, a potem jechał bitą drogą, uważając, żeby nie wyjechać spod drzew. Helikopter nie mógł za nami lecieć, a może musiał wylądować, w każdym razie byliśmy już daleko. Tata zaparkował koło dziury. Tuż przy tablicy wiszącej na zniszczonej barierce. Rozpoznałam słowa. „Krater Commerson”.

Jesteśmy tu sami.

Wysiedliśmy z samochodu, tata i ja, oczywiście stara pani nie. Od razu chciałam podejść blisko krawędzi, ale tata mi nie pozwolił.

– To jest prawie trzystumetrowa otchłań – wyjaśnił. – Gdyby tam wsadzić wieżę Eiffla, prawie by nie wystawała, może najwyżej czubek...

Nie mogłam w to uwierzyć, ale bez wychylenia się nie widać nic oprócz krawędzi czeluści i czarnych podziurkowanych skał, podobnych do wyschniętych gąbek.

Potem tata wysłał mnie po kwiatki...

Już nazbierałam dosyć, trudno mi nawet utrzymać wszystkie łodygi dwiema

rękami. Idę w stronę żółtego samochodu, cały czas uważam, żeby być pod drzewami. Tata zdjął górną część ubrania. Rzeczywiście, nawet tutaj na górze jest superupał, jeszcze większy niż na brzegu laguny, prawie nie ma wiatru. Tata wyjął wszystkie rzeczy z samochodu. Torbę, wodę, mapę.

Dziwne.

Mam wrażenie, że samochód się poruszył.

Idę w kierunku auta z kwiatami w ręce.

– Zatrzymaj się, Sofo!

– Tato, co ty robisz?

Tata ocieka potem. Ręce opiera na samochodzie.

– Tato, co robisz?

Tata przykuca, żeby znaleźć się na wysokości moich oczu, i dopiero wtedy odpowiada. Lubię, jak tak robi.

– Sofo, widziałaś już kiedyś groby na cmentarzu? Wykopuje się doły, aby zmarłe osoby mogły spać nieniekajone hałasem, deszczem, słońcem... Spać już na zawsze, rozumiesz?

Kiwam głową. Rozumiem. Umrzeć to nie znaczy spać, to znaczy nigdy się nie obudzić.

– Na tej wyspie, kochanie, nie trzeba kopać w ziemi, tu już są ogromne dziury, kratery, utworzone przez wulkan. Pięciogwiazdkowe grobowce, jak pokoje w hotelu, rozumiesz?

Potakuję ruchem głowy.

– Cofnij się, Sofo...

Tata przestawia żółte trójkąty, potem zaczyna popychać samochód. Nie pcha go na drewnianą barierkę, ale trochę niżej, prosto do dziury, przez krzaki. Z całych sił. Samochód sunie powoli...

Stara pani jest w środku, widzę jeszcze jej niebieskie włosy.

Tata jedną ręką zrywa plastikową żółtą taśmę. Ostatni wysięk. Auto stacza się w dół.

Dziwna rzecz, na początku nie ma żadnego odgłosu, tak jakby naprawdę dziura nie miała dna; jak Alicja spadała w głąb nory królika, to leciała długie godziny, bez końca...

A potem, nagle, wszystko wybuchła. Tak głośno jak piorun, kiedy uderza blisko,

chwile po błyskawicy, gdy nikt się tego już nie spodziewa. Wydaje mi się nawet, że od tego wstrząsu oderwą się skały i dziura zatka samą siebie.

Robię dwa kroki do tyłu. Nie jestem tak odważna jak Alicja.

10.22

Martial każe Sofie jeszcze się cofnąć pod osłonę krzewów i unosi wzrok ku górze. Dostrzega trzy helikoptery, ale dość daleko: dwa lecą nad Piton de la Fournaise, a jeden w stronę przeciwną, nad Piton des Neiges. Wyobraża sobie policjantów wychylonych w dół, z lornetkami przy oczach, poszukujących jakiegokolwiek wskazówki, która pozwoliłaby odnaleźć ich w krzewach lub w lesie Tamarins. Samochód, dwoje uciekinierów, gdzieś między stokami wulkanów a Rivière des Remparts: strefa poszukiwań znacznie się zawężyła.

Taki był jego plan!

Przyciągnąć helikoptery jak muchy, wjeżdżając dobrze widocznym nissanem na drogę wiodącą ku wulkanom. Machać czerwoną szmatą, żeby je podrażnić. Potem, tak jak w Saint-Gilles, nagle pozbyć się samochodu, zatrzeć ślady, dalej pójść pieszo... Przerzucić się na drugą stronę wulkanu, w kierunku Piton Sainte-Rose, oceanu, Anse des Cascades.

Martial uśmiecha się do Sofy, potem wkłada rzeczy do torby i usiłuje zapamiętać każdy szczegół topograficzny na mapie, różnice wysokości, tereny zalesione, wąwozy i zwizualizować rzut 3D na podstawie poziomic.

Kiedy opuszczają już krater Commerson, napotkają dwa ogromne problemy.

Przede wszystkim przejście Plaine des Sables: dwa kilometry czarnych popiołów, w słońcu, bez ani jednego ocienionego miejsca, przy rekordowym albedo, pochłaniających w całości promieniowanie słoneczne, bez odbicia. Ogromny grill wielkości pięciuset piłkarskich boisk, tak rozległy, że można by tam piec kiełbaski dla wszystkich mieszkańców wyspy przez cały wiek. W czasie przejścia przez Plaine des Sables będą całkowicie odsłonięci, tak widoczni jak mrówki na białej serwecie.

Jeśli jakimś cudem wyjdą z tego cało, czeka ich schodzenie zboczami wulkanu aż do oceanu. Piętnaście kilometrów. Tysiąc siedemset metrów różnicy wysokości. Sofa na pewno tego nie przeżyje...

10.25

– Podejź tutaj, kochanie, teraz. Ten bukiet jest wspaniały.

Waham się. Przyciskam kwiaty do piersi. Wydaje mi się, że dziura ciągle jeszcze drży.

– Podejź, kochanie, nie kręci ci się w głowie?

– Nie...

– Podaj mi rękę. Rzucisz bukiet do krateru, aby stara pani z niebieskimi włosami poszła do raju.

Mam ochotę powiedzieć tacie, że jeśli nie zabił tej babci, to cały ten cyrk nie ma sensu, raj, kwiaty, wrzucanie tam auta, ale nie chcę, żeby się znowu złościł.

Posuwam się do przodu. Moje stopy znajdują się dziesięć centymetrów od dziury.

Dłoń taty jest wilgotna.

Dziura przypomina olbrzymie usta. Usta głodne, które nie tylko chcą chapnąć mój bukiet, ale także mnie, jak te ogromne zębiska koni, kiedy podaje im się trawę przez ogrodzenie.

Chcą też zjeść palce. Rękę. Ramię.

Opieram się o skały, tuż przy brzegu dziury, chciałabym, żeby kwiaty opadły na samo dno.

– Tato, trzymasz mnie mocno?

Mama nigdy nie pozwoliłaby mi na coś takiego.

Pochylam się, jestem już prawie nad samą dziurą. Tata trzyma moją lewą rękę, a prawa kręci młynki i nagle rzucam bukiet.

Kwiaty rozsypują się.

Spadają bez hałasu. Opuszczam głowę, chciałabym patrzeć za nimi jak najdalej, aż do środka ziemi.

Słyszę podmuch wiatru w liściach i brzęczenie owadów, gdzieś daleko w górze; a może to są helikoptery.

– Trzymaj mnie mocno, tato, dobrze?

Godzina 10.32

Wszyscy polecieeli...

Christos pozostał sam do pilnowania ścian posterunku w Saint-Gilles jak jakiś ciołek, jak kot w sierpniu, gdy jego właściciele wyjechali na wakacje. Wielki dom i ogród są tylko dla niego.

Sam, ale nie całkiem.

Jest jeszcze Imelda. Siedzi w jego biurze i przegląda pismo „Policjant na Reunionie”, miesięcznik wydawany przez Komendę Główną; kilka stron pisanych przez natchnione aspirantki ku chwale Republiki, policji zamorskiej i jej wyższych rangą funkcjonariuszy... Christos nigdy chyba do tego pisma nie zajrzał. Na wyspie jest tyle gazetek z laskami w topless na okładce... Komu chciałoby się czytać żółto-zieloną gazetę, która w najlepszym razie wychwala ostatni model minispódniczek policjantek...

Tego ranka Christos ma lubieżne myśli. Rozochociła go ta stewardesa... Patrzy na hamak i usiłuje wyobrazić sobie, że jakiś cud grawitacyjny przenosi tam Imeldę, a potem drugi cud sprawia, że on dzieli z nią ten hamak, leżąc na niej... Tak tylko, żeby był *fun*.

Nie upierał się, żeby wsiąść razem z Ają do helikoptera wspaniałego Jipégo. Chociaż była to niezła okazja, by zabawić się w turystę, przelecieć nad tą zadziwiającą wyspą: Żelazna Dziura, płaskowyż Maïdo, Mafate i Salazie...

Unikatowe spotkanie człowieka z dziką przyrodą.

Za friko!

Ale ktoś musiał zostać, by pilnować dobytku... A przede wszystkim Christos nie miał najmniejszej ochoty asystować jako widz przy zaplanowanych co do milimetra wyczynach strzelców wyborowych Laroche'a. Trzydziestu facetów uzbrojonych jak na safari. Prosto z nieba, jak aniołowie zagłady.

A na dole ten nieszczęśnik z sześciioletnią córeczką...

Christosa raczej to nie pociąga.

Idzie do lodówki po piwo Dodo, do prawdziwej lodówki, tej w kuchence. Potem dołącza do Imeldy siedzącej w pomieszczeniu, które Christos zwykle dzieli z Ają. Czarnuszka odłożyła policyjną gazetę na rzecz dokumentów kryminologicznych. Czyta jak urzeczona.

– Mogę?

– Nie krępuj się. Dziś jest dzień otwarty... Biblioteka ogólnodostępna.

Imelda się nie krępuje! Christos nie wie, co ze sobą zrobić, został trochę odsunięty na bok. Musi zdać sobie sprawę z tego, że perspektywa zabawy w misjonarza w hamaku staje się w najwyższym stopniu wątpliwa. Pozostaje jednak kilka rozsądnych propozycji. Kajdanki w pierwszej szufladzie po prawej, kraty w celi – pierwszy pokój po lewej idąc do wyjścia, są różne sposoby dodania pikanterii do zaimprovizowanego numerka na pieska, takiego jak rano...

– Christosie, o czym ty myślisz?

– O niczym.

Imelda odkłada książkę z pozaginanymi rogami, *Mémoires du RAID*, i pożądlivym wzrokiem wskazuje dokumenty piętrzące się na biurku Aji. Christos wypija piwo do dna i odpowiada ze znużonym wyrazem twarzy:

– Proszę bardzo, możesz zajrzeć. Mamy dziś *open bar*.

10.45

Imelda usiadła w skórzanym fotelu Aji. Ma przed oczami, po prawej stronie, dwie śmiejące się dziewczynki w prostokątnej ramce. Córeczki pani komisarz, zapewne. Takie same buźki jak u jej dziewczynek, z jedną dość dużą różnicą – te dziewczynki mają tatę, do którego z radością się przytulają.

Przed jej oczami przesuwają się dowody rzeczowe zebrane przez policjantów z tej jednostki. Imelda uważnie przegląda wszystko po kolei. Rozmowy z gośćmi i pracownikami hotelu Alamanda. Zeznania świadków mających większy lub mniejszy związek z osobą Martiala Belliona. Analizy DNA. Fotografie domniemanych miejsc zbrodni, pokoju 38, domu Chantal Letellier; są inne jeszcze zdjęcia dostarczone przez amatorów: parking hotelu Alamanda po południu w dzień zniknięcia Liane Bellion, port w Saint-Gilles w domniemanej porze zabójstwa Rodina, ogród Eden, gdzie Bellion z córką prawdopodobnie ukrywali się przez kilka godzin...

Imelda stara się wszystko utrwalić w pamięci. Nigdy nie sądziła, przeciwnie niż myśli Christos, że dysponuje jakimś szczególnym zmysłem dedukcji. Po prostu niczego nie zapomina. Kumuluje, segreguje, klasyfikuje, a potem bardzo szybko odnajduje w razie potrzeby.

Christos zapada w drzemkę. Wypada mu z rąk środkowa strona „Policjanta na Reunionie”, gdzie dumnie pozują nieliczne kobiety z morskiej jednostki interwencyjnej. Już się pogodził z sytuacją. Imelda jest namiętna, figlarna, zmysłowa... ale tradycjonalistka. Zabawić się z nią poza łóżkiem to *mission impossible*...

Co do spraw zawodowych, od dwudziestu minut na posterunku nie dzwonił telefon. Wszyscy się zmyli. Nikt się niczym nie przejmuje.

10.51

W tym momencie wszedł on.

Po pierwszym spojrzenia Christos go nie rozpoznał: okulary ray-ban na nosie, biały lniany garnitur i krople potu upiększające kępkę szpakowatych włosów pod brodą.

– Chciałbym rozmawiać z panią komisarz Ają Purvi.

Podkomisarz natychmiast identyfikuje głos. Armand Zuttor, dyrektor hotelu Alamanda.

– Przykro mi, musiała wyjść...

Christos robi ruch ręką, który tylko on może zinterpretować jako start helikoptera.

– A niech to szlag... – rzuca Zuttor.

– Co się stało? Stracił pan kolejną klientkę?

Dyrektor pociera brodę dłonią.

– Dwoje!

Christos opada na najbliższe krzesło.

– Na Boga... Tylko tego brakowało. Znamy ich?

– Trochę. To Margaux i Jacques Jourdainowie!

Ręce podkomisarza zaciskają się na błyszczącym papierze „Policjanta na Reunionie”. Rzuca spojrzenie pełne niezrozumienia w stronę Imeldy, podczas gdy Zuttor nawet chyba nie zauważył jej obecności w pokoju.

– Jourdainowie zniknęli? – powtarza bezmyślnie Christos.

Zuttur nie wygląda na przerażonego. Siada, bardzo powoli zdejmuje ray-bany, wyciąga jedwabną beżową chusteczkę i osusza sobie skronie.

– Nie, nie całkiem tak, panie komisarzu. Dokładniej mówiąc, opuścili hotel Alamanda. Powiadomili mnie, że postanowili resztę wakacji spędzić na Mauritiusie.

Christos wznosi wzrok do nieba, „Policjant na Reunionie” w jego rękach jest tak sztywny jak policyjna pałka.

– Trzeba ich zrozumieć – mówi dyrektor hotelu tym samym obojętnym tonem. – Plan „Jastrząb” właściwie nie był proponowany w przewodnikach jako turystyczna atrakcja wyspy.

– Sukinsyny – odzywa się Christos.

Arman Zuttur uśmiecha się, a podkomisarz rozmyśla o ulubionym zajęciu Jacques’a Jourdaina – o zbieraniu prowokujących zdjęć napotykanym dziewczynom, w tym fotografii Liane Bellion. Nagle odzyskuje werwę.

– Adwokat czy nie adwokat, Jacques Jourdain i jego żona mogą sobie włożyć tam, gdzie myślę, te ich wakacje na Mauritiusie. Są kluczowymi świadkami. Dopóki Bellion będzie uciekał, nie ruszą się z wyspy.

Dyrektor hotelu kiwa głową, jakby wahał się pomiędzy zażenowaniem a odczuciem ulgi.

– Tanguy Dijoux, ogrodnik, dzisiaj rano odwiózł ich na lotnisko.

Milknie na chwilę i patrzy na zegarek.

– Są już w samolocie. Nie mają sobie nic do...

– To dopiero sukinsyn! – przerywa Christos.

Pełen zadowolenia uśmiech Armanda Zuttora zamiera. Jak gwałtowna ulewa w górskim potoku krople potu znowu perlą się w każdej bruzdzie jego twarzy.

Podkomisarz dąży dalej:

– Ile panu zapłacili, żeby nie puścił pan dalej tej wiadomości przed wylotem samolotu?

Cienka beżowa chusteczka Zuttora jest już tylko ścierką osuszającą jego szpakowate skronie i włosy na brodzie. Podkomisarz pochyła się w stronę dyrektora hotelu, jest od niego wyższy o głowę.

– Klient nasz pan, zrozumiałem, niech pan mi oszczędzi śpiewki o kryzysie. I proszę się nie przejmować, poczekamy na nich na płycie Lotniska Sir Seewoo czy jak tam... Lepiej, żeby ten adwokacik i jego blond lalka współpracowali z policją, jeśli nie chcą mieć na karku drugiej wersji operacji „Jastrząb”, tym razem na

Mauritiusie.

Zuttur znowu patrzy na zegarek.

– Musi się pan pospieszyć, komisarzy. Lądują za dziesięć minut.

Podkomisarz gwizdże przez zęby i robi minę, jakby mu wieszował.

– Nic dodać, nic ująć, panie Zuttur, co za synchronizacja!

– Wyspa Mauritius jest niezależną republiką, która raczej chroni swoich zamożnych zagranicznych turystów.

Christos jak oszczepem trafia do metalowego kosza gazetą „Policjant na Reunionie”.

Trrrach.

Z powrotem odwraca się do dyrektora Alamandy.

– Tylko że Mauritius to także nie są Kajmany. Na wszystkich Maskarenach mamy porozumienie o zwalczaniu nielegalnej imigracji. Współpracują tu sędziowie i gliniarze. Niech te pańskie nierozłączki nie mają żadnych złudzeń, dostaniemy wszelkie zezwolenia, aby jutro rano podać im śniadanie do łóżka. Wie pan, gdzie będą spać na Mauritiusie?

Zuttur krzywi się. Palcami wygina swoje ray-bany.

– Hotel Blue Bay. Ja znalazłem im tam miejsce.

– Dlaczego akurat tam?

– Blue Bay to pięćdziesiąt chatek na palach, stojących w lagunie. Moi klienci nie wahali się długo.

– Poniedziałek wielkanocny. Były jeszcze wolne miejsca?

– Dyrektorzy hoteli przychodzą sobie z pomocą...

Christos ma dziką chęć posadzenia dyrektora dla ochłody na kilka godzin w lodówce, a potem przemaglowania go powolutku, tak dla przyjemności, ale czas nagli...

– OK. Proszę o adres i telefon Hotelu Blue Bay, a potem niech pan znika.

Zuttur wstaje i opieszale wkłada okulary przeciwsłoneczne. Dopiero teraz zauważa obecność Imeldy siedzącej za biurkiem. Wpatruje się w nią.

– A ona to...?

Pytanie sformułowane w ten sposób nie podoba się Christosowi. W hotelach nad laguną dyrektorzy zapewne większą uwagę zwracają na palmy, leżaki i parasole niż na Murzynów, Malgaszów czy Komoryjczyków, którzy pracują nad utrzymaniem w odpowiednim stanie luksusowych wnętrz. Jak niewidzialne cienie. Christos postanawia więc trochę ubarwić odpowiedź:

– Aspirant Imelda Cadjee. Niech pana nie zmyli jej milczenie, to mózg całej brygady...

Zuttor patrzy na nią podejrzliwie.

Po chwili wychodzi.

11.09

– Hotel Blue Bay? *You speak french?*

Osobnik po drugiej stronie przybiera akcent *british*, akcent studenta na Erasmusie, zagubionego w Dzielnicy Łacińskiej.

– Tak. Troszeczkę, proszę pana. Do usług. Co mogę dla pana zrobić?

– Przyprowadzić do telefonu dyrektora hotelu!

Osobnik się zawahał, potem się mizdrzy:

– Mógłby pan powiedzieć mi, w jakiej sprawie...?

– Policja Saint-Gilles na Reunionie! Kwestia życia lub śmierci. Mamy tu ukrywającego się zabójcę, wprowadzono plan „Jastrząb”, chyba dotarły do pana informacje na ten temat?

Nie słychać, żeby zrobiło to wrażenie na recepcjoniście z Mauritiusa.

– Oczywiście, proszę pana, zaraz się dowiem, czy pani dyrektor nie jest zajęta.

Jego opieszałość drażni Christosa. W słuchawce słychać, jak zwraca się do drugiego mężczyzny, najwyraźniej równie rozgarniętego.

– *Mike, is Miss Doré in the office?*

Nagłe olśnienie!

Christos wrzeszczy w słuchawkę:

– Graziella Doré? To ona jest dyrektorką Blue Bay?

– *Yes, mister, but...*

– O, w mordę! Dawajcie ją natychmiast!

Tym razem w słuchawce rozlegają się odgłosy spanikowanych kroków. Oddalających się. Christos wygląda przez okno. Nie ma już śladu po tej kanalii Zuttorze.

Czeka niespełna minutę.

Powoli zbliżają się inne kroki, lżejsze niż poprzednie. Christos rozpoznaje odgłos wysokich obcasów na posadzce, być może marmurowej. Zatrzymują się. Przez chwilę panuje cisza, nagle przzerwana oschłym głosem:

– Słucham?

– Graziella Doré?

– We własnej osobie.

– Podkomisarz Christos Konstantinov. Prowadzę śledztwo w sprawie pani byłego męża, Martiala Belliona.

Pełne irytacji westchnienie poprzedza odpowiedź Grazielli Doré.

– Wczoraj wszystko powiedziałam człowiekowi z konsulatu, który przesłuchiwał mnie w hotelu. Twierdził, że współpracuje z Komendą Główną na Reunionie.

Christos daje znak Imeldzie, by podsunęła mu akta sprawy Belliona. Jedną ręką przewraca kartki. Niemal od razu trafia na trzy spięte strony. Zeznania Grazielli Doré, spisane przez funkcjonariusza państwowego Daniela Colençon w niedzielę 31 marca o godzinie dwudziestej pierwszej siedemnaście w hotelu Blue Bay na Mauritiusie. Daniel Colençon... Christos słyszał o nim, to były policjant z głównego komisariatu w Saint-Denis, który popadł w depresję po rozruchach w dzielnicy Chaudron i który w końcu znalazł ciepłą posadkę w konsulacie na Mauritiusie. Tekst nadszedł rano faksem, wysłany przez Komendę Główną, tuż przed atakiem na dom Chantal Letellier. Nikt go nie czytał. Z braku czasu. Po prostu włączono go do dokumentacji... Wszyscy mieli to gdzieś. Bellion jest winny. Liczy się tylko obława.

– Jest pan tam, komisarzu?

Christos uznosi wzrok znad zeznania. Te wszystkie papierzyska go wnerwiają. Musi zyskać na czasie.

– Co ci Jourdainowie tam u was robią?

Znowu westchnienie, tym razem spowodowane zaskoczeniem Grazielli Doré.

– Jacy jesteście bezpośredni w tej waszej policji!

– Chodzi raczej o pośpiech.

– Państwo Jourdain, paryski adwokat i jego żona? Armand Zuttor do mnie dzwonił, to stary przyjaciel, zwolniłam dla niego jeden pokój. Wzajemne przysługi. Nie powinnam była?

– Nie, nie. Tylko że taki zbieg okoliczności wydaje mi się trochę dziwny.

Jednocześnie dedukuje, że Armand Zuttor kierował hotelem Alamanda zapewne już wtedy, gdy Graziella Doré prowadziła restaurację Cap Champagne w Boucan Canot. Jedna sitwa...

Christos wodzi palcem po kartce leżącej na biurku. Linijki migają mu przed oczami.

– Pani Doré, może mi pani streścić to, co pani wczoraj mówiła przedstawicielowi

konsulatu, panu Colençonowi?

– Ciekawe... Czy wy tam w policji czasem się porozumiewacie?

– Przykro mi, od dwóch dni jesteśmy zawałeni pracą. No to jaka jest pani wersja?

– Słucham?

– Śledziła pani w telewizji ucieczkę byłego męża, jak sędzę. Na razie jesteśmy po trzech trupach.

– Chce pan znać moje zdanie? Czy tak?

– Właśnie tak.

– Powiedziałam to wczoraj temu panu z konsulatu. Jesteście w błędzie. Mylicie się na całej linii. Martial nie ma nic wspólnego z tymi zabójstwami, on nie skrzywdziłby nawet muchy.

Martial Bellion?

Nie skrzywdziłby nawet muchy?

Christos przeklina. Powinien był znaleźć czas na przeczytanie zeznań Grazielli Doré. Ten Daniel Colençon to na pozór taka roślinka, która grzeje się w słońcu, ale Christos pamięta, że kiedy przesłuchiwał świadków, robił to z głową.

– Pani były mąż był skazany za przypadkowe zabójstwo waszego syna.

Po raz pierwszy Graziella Doré podniosła głos, stał się ostry jak źle ustawiony mikrofon podczas sprzężenia.

– Co pan czytał? Raport sędziego Martina-Gaillarda? Gazety z tamtego czasu? Co pan może wiedzieć o tym, co się wtedy zdarzyło? Na jakich zeznaniach pan się opiera?

Christos zwleka z odpowiedzią. Ma dziwne wrażenie, że całe dochodzenie się wali. Waży słowa:

– Martial Bellion nie jest odpowiedzialny za śmierć waszego syna Alexa. To właśnie chce pani mi powiedzieć?

– Powiedziałam już wczoraj pańskiemu koledze. Martial nie ma z tym nic wspólnego. Wziął wszystko na siebie. Musiał się znaleźć ktoś winny...

Christos usiłuje myśleć jak najszybciej. A jeśli od samego początku rozumowali na opak? Jeśli Martial nie był odpowiedzialny za śmierć synka, lecz wręcz przeciwnie, usiłował się zemścić, postąpić w stylu hrabiego Monte Christo? A jeśli przyjechał na wyspę właśnie po to? Christos chciałby mieć wolną chwilę, aby

spytać o radę Imeldę.

– Czy... czy był jeszcze ktoś na plaży Boucan Canot?

– To stara historia, komisarzu. Długo trwało, zanim rana się zabiłiła.

– Pani Doré, musi mi pani powiedzieć o tym coś więcej.

– A co to zmieni? Czy prawda o śmierci Alexa wpłynie jakoś na tę pańską operację „Jastrząb”?

– Proszę pani, musimy ustalić powiązania między przeszłością a terażniejszością. Nie odpowiedziała pani. Czy na plaży Boucan Canot był ktoś jeszcze?

– Wszystko już powiedziałam temu człowiekowi z konsulatu, wczoraj.

Christos zamyka dokumentację Belliona. Gdyby w zeznaniach Grazielli Doré był jakiś interesujący szczegół, Komenda Główna dałaby im znać.

– Nic mu pani nie powiedziała! Nic na temat pracowników Cap Champagne. Nic o domniemanych świadkach śmierci Alexa. Nic o powodach, które sprawiły, że zamknęła pani restaurację dwa miesiące po tragedii, a kilka tygodni później opuściła wyspę.

– Pan zajmuje się psychologią?

Christos uśmiecha się porozumiewawczo do Imeldy.

– Próbuję. Chodzę na kursy wieczorowe.

– To dobrze, komisarzu, proszę tak dalej. Mogę tylko panu powiedzieć po raz trzeci, że idziecie fałszywym tropem. Martial nikogo nie zabił. Nie byłby do tego zdolny.

– Pani Doré, muszę wiedzieć więcej, żeby oczyścić z oskarżeń pani byłego męża. Teraz, dokładnie w tej chwili, jedenaście helikopterów i ponad trzydziestu ludzi stara się go wysledzić.

– Z siatką na motyle? Pańscy ludzie ścigają człowieka tak niebezpiecznego jak motyl.

– Z karabinami, pani Doré. W żaden sposób nie mogą ryzykować. Zabiją go.

Po raz pierwszy Graziella Doré jakby się zawahała. Christos orientuje się, że powinien podsunąć jej jakieś koło ratunkowe. Przypomniał sobie kilka kuriozalnych hipotez, które omawiali z Ają.

– Proszę pani, czy może pani po prostu podać mi nazwiska osób zatrudnionych w Cap Champagne, tych, które były tam obecne w czasie, gdy Alex utonął?

– To tak dawno... Było ich wiele.

– Odnajdziemy te nazwiska, proszę pani, w taki czy inny sposób.

- Szybko pan kojarzy, komisarzu. Bardzo szybko.
- Więc teraz pani kolej. Komenda Główna zwinie tego pani motyla w ciągu najbliższych minut.
- Przemyślę to. Proszę mi zostawić pańskie namiary.
- Było siedem osób, pani Doré. Potrzebuję siedmiu nazwisk.
- Zgadza się, panie komisarzu. Siedmiu Kreolów. Jest pan lepiej poinformowany niż ten wczorajszy gliniarz.
- To nasza praca. Grzebiemy, ryjemy, posuwamy się naprzód. Jeszcze jedno. Ma pani jakieś wieści o Jourdainach?
- Nie. Na razie nic. Dwie szklanki ponczu waniliowego i bukiet anturium czekają na nich na szklanym stoliku w ich chacie...
- Prawdziwy raj! Gdy tylko państwo Jourdain się zjawia, proszę zawiadomić Colençona, policjanta z konsulatu. W przeciwnym razie dachy pani chatki mogą zostać zdmuchnięte przez helikoptery tych groźnych potworów z Komendy Głównej...
- Głos Grazielli Doré odzyskuje obojętny i zimny ton dyrektorki luksusowego hotelu:
- Wezmę to pod uwagę, panie komisarzu.

11.11

- No i co, kochanie, co o tym sądzisz?
- Christos odłożył słuchawkę i niecierpliwie czeka na diagnozę Imeldy, która wysłuchiwała całej rozmowy przez głośnik.
- Wygląda całkiem nieźle...
- Podkomisarz szeroko otworzył zdziwione oczy.
- Co takiego?
- Blue Bay! Chaty na palach w lagunie. Bukiet anturium. Fantastyczne. Mógłbyś mnie tam zabrać...
- Na Mauritius?
- Christos przysiadł na biurku, za którym siedzi Imelda.
- Czy to nie jest przypadkiem miejsce dla młodych zakochanych par?
- Imelda chwytając z biurka gumkę i rzuca w Christosa. Podkomisarz uchyla się ze śmiechem.
- I bez dzieciaków!

Gdy Imelda szuka innego pocisku, Christos zatapia wzrok w zakamarkach jej hebanowego ciała, znikających w dekolcie rozpiętej sukienki. Zna sposób na udobruchanie swej czarnej Miss Marple.

– No i co ze sprawą Belliona, kochanie? Masz jakiś punkt zaczepienia, żeby rozplątać to cholerne kłębowisko żmij?

Imelda rezygnuje z bitwy i myśli głośno:

– Nie wiem, muszę wszystko posegregować. Państwo Jourdain, Armand Zuttur, pracownicy Cap Champagne sprzed dziesięciu lat, pracownicy Alamandy dzisiaj, relacje Martiala Belliona z byłą żoną, z nową żoną. Z Alexem, Sofą...

Christos korzysta z okazji i wyciąga rękę. Przenika go na wskroś chęć rozpięcia guziczka lub nawet dwóch przy sukience Imeldy dla samej przyjemności popatrzenia. Ona zaś niczego nie dostrzega, zatopiona w swoich przypuszczeniach.

– Jest coś, co łączy to wszystko – mówi dalej. – Przemoc nie rodzi się z przypadku, zawsze musi być grunt sprzyjający jej narastaniu.

Podkomisarz pochyla się niżej i dmucha w szyję Imeldy.

– A tutaj nie brakuje pożywki. Źle rozdzielane pieniądze. Ogólne bezrobocie. A nawet rasizm, jeśli pogrzebać głębiej.

– Nie, właśnie nie. Tu się mylicie! Nie to jest siłą sprawczą przemocy na wyspie.

Christos odpowiada machinalnie, z nosem niemal wlepionym w piersi kochanki. Ma ochotę dorzucić jeszcze seks do długiej listy tutejszych motywów zabijania bliźniego.

– No więc co, kochanie?

– Nie wiem... Codziennie studiuję kronikę wypadków w „Quotidien”. Wszędzie są zbrodnie, porzucone dzieci, bite kobiety, sąsiedzi mordujący się brzytwami... ale przyczyny leżą gdzieś indziej... Są ukryte.

Imelda kontynuuje ten wątek swego rozumowania, przez chwilę wspomina w myślach kolejnych ojców swoich dzieci. Zwyczajna spirala, zawsze ta sama. Bezczyność. Bieda. Pijaństwo. Brak życzliwości. Podczas gdy tutejsze kobiety pobierają i wydają zasiłki rodzinne, ojcowie i ojczymowie stopniowo tracą wszelką godność osobistą.

Imelda mówi prawie szeptem, jakby przekazywała jakąś tajemnicę:

– To siedzi w każdym mężczyźnie.

Christos nie usłyszał. Podnosi drugą rękę i pochyla się; jego palce sięgają pierwszego guzika dekoltu, ale pośladki ześlizgują się ze stołu. Zachowuje równowagę tylko dlatego, że zdołał podeprzeć się prawą ręką na ramieniu Imeldy,

lewą na piersi.

Imelda odchyła się do tyłu.

– Zabieraj łapy, zboreźniku. I tak już się tu zasiedziałam. Dzieciaki czekają na kari...

11.23

Imelda zaparkowała swoje polo nieopodal parkingu poczty, za bulwarem Rolanda Garrosa, pięćdziesiąt metrów od budynku policji. Idąc, liczy pieniądze w torebce. Prawie co dzień stary Kreol z Grand-Fond stawia tu swoją półciężarówkę i sprzedaje kolczochoy w cenie stanowiącej wyzwanie dla wszelkiej konkurencji. Turyści dają się nabrać jeden raz... Przeważnie nienawidzą kolczochoy w takim stopniu, w jakim tutejsi mieszkańcy go uwielbiają.

Imelda przechodzi przez ulicę.

Trzy samochody są zaparkowane tuż przy poczcie. Półciężarówka rolnika. Niebieski citroen picasso. Terenowy chevrolet captiva. Czarny.

Imelda nie może oderwać oczu od terenowego samochodu: auta tej klasy są raczej rzadkie na wyspie, a zwłaszcza takie jak to, z podwójną rurą wydechową i chromowanym orurowaniem przedniego zderzaka, reflektorów i maski.

Imelda drżącą ręką zamyka torebkę. Choć to rzecz nie do uwierzenia, jej pamięć wzrokowa nie pozostawia najmniejszej wątpliwości.

Widziała już to auto terenowe. Przed niecałą godziną, na fotografii, w dokumentacji Belliona u pani komisarz Purvi.

Instyktownie zbacza o krok, aby schować się za drzewem ognistym, której cień obejmuje róg ulicy. Pod kapeluszem sprzedawcy kolczochoy widać zastygły bezzębny uśmiech; rolnik przygląda jej się ze zdziwieniem. Uzależniająca lektura powieści kryminalnych nauczyła Imeldę, że nigdy nie należy wierzyć w zbiegi okoliczności... Teraz ma tego namacalny dowód.

Chevrolet, który stoi zaparkowany tuż przed nią, kilka kroków od posterunku policji w Saint-Gilles, stał na parkingu hotelu Alamanda przed trzema dniami, po południu, dokładnie w tym miejscu, gdzie zniknęło ciało Liane Bellion i gdzie zamordowany został Rodin.

PLAINE DES SABLES

Godzina 11.24

– Musimy iść dalej, kochanie.

Martial mruży oczy i wpatruje się w horyzont. Jak okiem sięgnąć, widać tylko księżycowy pejzaż, ocean popiołów poprzecinany wysepkami lawy ognistej barwy i bazaltowych głazów w kształcie skamieniałych potworów. Precyzyjnie wymierzył odległość na mapie. Nawet idąc na skróty, w najprostszej linii po przekątnej, droga przez Plaine des Sables ma dwa kilometry. Dwa kilometry bez żadnej osłony, aby opuścić obszar Plaine des Remparts i dojść do Savane Cimetière.

Ich stopy pozostawiają ślady wgniecionego popiołu. Wiatr nie unosi pyłu w takim stopniu, by zakryć odbicia podszew, ale wieje na tyle mocno, że smaga ich nozdrza, oczy – każdy otwór ciała. Posuwają się do przodu z zamkniętymi ustami.

Martial dostrzega przed sobą drogę wijącą się pośrodku tej równiny. Czerwone drobinki osiadają na nasypie, pokrywają asfalt, nadając drodze wygląd ogromnej płyty z zardzewiałego żelaza.

Muszą ją przekroczyć. Potem iść dalej. Prosto przed siebie.

– Tato, jest mi tak gorąco...

Sofę zatrzymuje wiatr. Dziewczynka kaszle. Nie chce iść dalej. Martial rozumie, że to już nie jest jej kaprys, to naprawdę szaleństwo proponować dziecku przejście przez pustynię.

– Musimy iść dalej, Sofo. Trzeba iść...

Iść dalej, ale dokąd?

Rozciągająca się przed nimi czarna ziemia wydaje się spustoszona pożarem lasu, wszystkie drzewa są powyrywane, zwęglone, najmniejsza wypukłość zrównana z ziemią. Tak jakby rozgniewany Bóg chciał mieć pewność, że żadna istota nigdy nie będzie mogła żyć na tej równinie ani przejść przez nią, profanując ciszę. Sofa wrzeszczy, jakby chciała rzucić wyzwanie niebu:

– Tato, nie mogę już oddychać!

– Kochanie, poniosę cię. Poniosę cię na barana. Musimy przejść... Kiedy dojdziemy do drzew, będziemy uratowani...

– Nie ma drzew!

Po lewej stronie, ponad nimi, jak sądzi Martial, znajduje się parking Pas de Bellecombe. Czerwona droga ginie tam, na obrzeżu kaldery wulkanu: dalej przez trzysta metrów ciągnie się koryto Enclos Fouqué, pośrodku którego zionie ogniem krater Dolomieu. Pół godziny drogi od tego miejsca Martial widział trzy helikoptery lądujące na parkingu. Czwarty przeczesuje niebo w oddali, za Piton des Neiges.

Martial oblewa się wielkimi kroplami potu pod kaszkietem z napisem „974”, naciągniętym głęboko, by zakryć twarz. Nad Pas de Bellecombe dziesiątki błyszczących gwiazdeczek odbijają promienie słońca.

Oszklone drzwi? Lornetki? Karabiny z celownikiem optycznym?

Martial wyciąga rękę do Sofy.

– Musimy iść dalej, Sofo, jeśli chcesz odnaleźć mamę. Pamiętasz? Nie możemy spóźnić się na spotkanie.

11.26

Inspektor Laroche opuszcza lornetkę na pierś. Gołym okiem dostrzega Martiala Belliona i jego córkę. Odwraca się do Andrieux, dowódcy brygady interwencyjnej, który ma pod swoją komendą szesnastu strzelców wyborowych czekających na parkingu Pas de Bellecombe. Turyści musieli zostać nieco dalej, za helikopterami, nieopodal szarego domku, w którym mieści się bar, salka do przygotowania własnego posiłku i toaleta. Kolejni już nie napływają, bo zamknięto drogę w Bourg-Murat. Dowódca Andrieux ustawia karabin SAKO TRG-42 wycelowany w kierunku równiny Sables.

– Bellion chyba nie jest uzbrojony. Z tej odległości mogę go zabić i nie drasnąć nawet dziewczynki. Wszystko będzie skończone, zanim sobie z tego zda sprawę.

Laroche wodzi wzrokiem po okolicy kaldery Enclos Fouqué, wpatruje się w mały wulkan Formica Leo. Trzy razy obleciał świat, w miarę jak go przenoszono, ale wyspa Reunion jest zupełnie niepodobna do tego, co dotychczas widział. Szary pył, kaniony, skały klastyczne – wszystko to przypomina pejzaż z westernów albo, co gorsza, z postapokaliptycznych thrillerów. Laroche przygląda

się po kolei każdemu z szesnastu policjantów kurczowo trzymających karabiny snajperskie. Najtrudniejsze będzie nie schwytywanie Martiala Belliona, lecz uniknięcie błędu.

– Spokojnie, Andrieux. Dziewczynka nie jest zakładnikiem Belliona, to jego córka. Jeśli zabijemy ojca na jej oczach, możemy narobić sporo spustoszeń w jej mózgu... A nie mówię tu tylko o zabłąkanej kulce. Jest nas kilkudziesięciu, mamy Belliona na celowniku w terenie odkrytym i opustoszałym, o powierzchni pięciu kilometrów kwadratowych. Wystarczy ich otoczyć i schwytać żywcem.

11.29

„Musimy iść dalej, jeśli chcesz odnaleźć mamę” – powiedział tata.

Musimy iść dalej jeśli chcesz odnaleźć mamę!

To nieprawda. Tata jest kłamczuchem!

Nie mogę iść. Jest mi za gorąco, nie mam już siły, zatrzymuję się i krzyczę:

– Tato, już ci nie wierzę. Kłamiesz! Cały czas kłamiesz. Mama nie żyje, zabiłeś ją, tak jak zabiłeś starą panią z niebieskimi włosami. Co teraz zrobisz? Mnie też zabijesz, bo nie mogę już dalej iść?

Tata wyciąga ramiona, jakby chciał mnie wziąć na ręce.

Nie pozwolę.

Siadam, odrzucam buty i stawiam gołe stopy na czarnym piasku. Opieram też ręce.

Piasek jest gorący! Mam wrażenie, że skóra stopi się aż do kości. Nie przejmuję się. Czarne ziarenka szczypią tak, jakbym siedziała na tysiącach mrówek. Nie ruszam się. Czeka, aż mnie pożą. To potrwa tylko kilka sekund.

Chciałabym umrzeć...

Chciałabym...

Nie uświadamiam sobie tego, że wzlatuję.

Znalazłam się na plecach taty.

Kopię nogami, ale tata się nie przejmuje. Pochyliła się, podnosi moje buty. Idzie wielkimi krokami, niemal skacząc, jak astronauta na Księżycu.

Mówi, zdyszany:

– Musisz mi wierzyć, Sofo. Nikogo nie zabiłem, przysięgam.

– No to dlaczego oni cię ścigają?

Przelatują dwa następne helikoptery.

Ze wszystkich stron, tak jakby kamienie się przebudziły, poruszają się czarne cienie, krążą wokół nas.

Tata zwariował z tym spotkaniem. Jesteśmy zgubieni. Policjanci nigdy nie pozwolą nam przejść.

– Tato, boli mnie, za mocno ściskasz.

– Musimy iść jeszcze szybciej, Sofo. Popatrz, są już bardzo blisko...

Nie odpowiadam, kopię go w brzuch. Chciałabym zadać mu jak największy ból.

11.33

Stopy Martiala zapadają się w popiołach jak w wilgotnym piasku. Oblewa go pot. Sofa jest za ciężka, za bardzo się rusza, nie będzie mógł nieść jej zbyt długo. Jeśli chcą mieć jeszcze jakąkolwiek szansę, za wszelką cenę musi ją przekonać, by mu zaufała i szła na własnych nogach.

Zyskać na czasie.

– Posłuchaj mnie, Sofo. Jeśli policjanci nas zatrzymają, nigdy nie zobaczysz mamy. Nigdy.

Stopy Sofy odpowiadają kopniakami.

– Kłamczuch! Kłamczuch!

Martial obserwuje horyzont, gdzie kłębią się ciemne mundury. Nie ma wyboru. Delikatnie stawia dziewczynkę na ziemi. Sofa szarpie się, kuca i patrzy mu prosto w oczy. Martial wie, że nie wolno mu popełnić błędu.

Jednak blefuje. Nie ma nic w ręku, żadnej mocnej karty, choćby pary.

Stawiam wszystko!

– Posłuchaj, Sofo. Posłuchaj uważnie. Mama nie umarła. Jeśli miniemy wulkan, jeśli przejdziemy na drugą stronę, ona będzie tam na ciebie czekać. Słyszysz, ona na ciebie czeka. Żywa!

Sofa znieruchomiała. Nie dowierza mu.

Przelatują trzy kolejne helikoptery.

Równina się zwęża, głązy osaczają ich, odcinając wszelkie wyjścia.

Martial podkreśla z naciskiem:
– Ona żyje, Sofo, daję ci słowo.

A w duchu modli się, żeby to była prawda.

Godzina 11.34

Nad Oceanem Indyjskim wisi bazaltowa grotka. Martwa fala wpada na czarną skałę, nieustępliwie, jakby ocean się uwziął, aby zdobyć kilka metrów ziemi, wrywanej przy każdym wybuchu wulkanu. Co pewien czas fale się podnoszą i kilka spienionych, bardziej zuchwałych kropeł wpada do wnętrza wulkanicznej kawerny. Gdy tylko padają na kamienie, wysychają, tworząc obłok pary wodnej.

Odwieczna walka wody z ogniem.

Sauna Danaid.

Liane tutaj umrze.

Liane ma ręce związane na plecach, a stopy spętane drutem. Tak się obudziła, w tej grocie nad oceanem. W najlepszym razie może się przyczepić do wejścia, uklęknąć i zobaczyć ocean aż po widnokrąg. Zwalić się do wody – to byłoby samobójstwo, fale roztrzaskałyby ją w kilka sekund, rzucając o skały.

To położyłoby kres jej męczarni.

Mimo wszystko musi wytrwać.

Dla Sofy.

Od chwili przebudzenia nie przestała rozmyślać. Prawdopodobnie znajduje się między Sainte-Rose a Saint-Philippe, na wschodzie, w jednej ze szczelin dostępnych wyłącznie od strony oceanu, ukształtowanych przez lawę wulkaniczną, która spływała aż do morza po przerwaniu drogi nadbrzeżnej. Ostatnia erupcja miała miejsce w grudniu 2010 roku. Żaden kartograf nie zabawia się rysowaniem map terenów o tak nietrwałym ukształtowaniu.

Liane może krzyczeć, wrzeszczeć i tak nikt nie usłyszy. Nieprzerwane uderzenia fal zagłuszają każdy inny dźwięk. Mimo to próbowała, godzinami. Nie ma już siły. Gardło jest tylko piekącym kominem, opary dwutlenku siarki drażnią jej krtań przy każdym oddechu.

Jaka może być temperatura? Pięćdziesiąt stopni? Może więcej? Gorący pot bez

przerwy ścieka po jej nagim ciele. A przecież stara się nie ruszać. Usiłuje zachować trzeźwość umysłu. Zadawać sobie odpowiednie pytania.

Tak naprawdę jedno jedyne.

Gdzie jest Sofa?

Czy Martial jest z nią? Sam?

Sofa jest w niebezpieczeństwie. Liane wielokroć powracała w pamięci do biegu wydarzeń, dziesięć razy, sto razy. Teraz wszystko jest jasne. Jej życie się nie liczy. Jej śmierć jest tylko pretekstem. Ciało jedynie przynętą, kawałkiem zepsutego mięsa, które gnije w pułapce.

Prawdziwym celem jest Sofa.

Liane może umrzeć, ale wścieka się na myśl, że umrze tutaj, zupełnie bezradna. Musi jeszcze wytrzymać, dopóki istnieje choć mała szansa.

Gdzie jest Sofa?

Przeżyła te ostatnie godziny tylko po to, by poznać odpowiedź. Położyła się na rozgrzanych głazach i stopami zrzuciła do oceanu najbardziej kruche kamyki, po jednym, centymetr za centymetrem, drążąc mały rowek, który powoli poszerzała w małe koryto. Potem zaczynała od nowa i powstało w ten sposób około dziesięciu zagłębień w skale.

I czekała.

Gdy uderzyły najsilniejsze fale, zalewając grotę bryzgami, które natychmiast zamieniały się w gorące opary, pojedyncze krople pozostawały w pułapce z wydrążonego kamienia, tworzyły małe kałuże o głębokości kilku milimetrów. Liane przykładła do nich twarz, usta, nozdrza, oczy, łapała cieniutką powierzchnię, zanim wyparuje. Powtarzała to raz, dziesięć razy, aby jej skóra nie popękała jak zbyt wypalona glina.

Daremny trud. Szybko zrozumiała, że to nie wystarczy. Woda, chociaż zatrzymana, zbyt szybko uciekała poprzez szczelinki skały. Tak jakby gasić płomień strzykawką. Te parę chwilowych bajerek pozwoli jej przeżyć tylko kilka dodatkowych godzin.

Liane usiadła, żeby się zastanowić, znaleźć jakiś inny pomysł, zanim całkiem oszaleje.

Gdzie jest Sofa?

Zdzierała ubranie zębami i związanymi na plecach rękami: spódnicę solejkę, białą bawełnianą bluzeczkę, stanik. Gimnastykowała się przez dłuższy czas. Jedwabne majtki podarły się na strzępy od ocierania o kamienie. Liane została

naga, jedynie ostatnie skrawki materiału przylepiły jej się do ciała, stopione w zastygłą magmę, jak papierek pergaminowy na cukierku zapomnianym głęboko w kieszeni.

Podpełzła do wejścia. Na chwilę wystawiła swą nagość na powiew świeżego powietrza, potem położyła strzępy ubrania w skalnych zagłębieniach. Ubranie stopniowo zamokło, przez kilka dodatkowych minut zachowywało nawet mazistą wilgotność, ale woda szybko wyciekła w głąb bazaltu. Liane natychmiast przyłożyła namokniętą tkaninę na powieki, między piersi, na podbrzusze, zanim te strzępy znowu wyschną i zeszywnieją.

I zaczynała wszystko od nowa. Powtarzała w nieskończoność te same mechaniczne ruchy. Poźniej dodała inne. Żeby tylko nie oszaleć.

Wyginając ciało, zdołała ukruszyć kawałek skały w kształcie iglicy, coś na kształt stalagmitu. Szybko zrezygnowała z pomysłu przepiłowania drucianych więzów tym kamiennym prętem, ale zaczęła nieprzerwanie pocierać nim o skałę, aby go zaostrzyć. Wykombinowała, że długi na niecałe dziesięć centymetrów szpic można trzymać w dłoni tak, żeby nie był widoczny.

Broń...

Gdyby ją uwolniono, może zdołałaby się nim posłużyć. Usiłuje w to uwierzyć, żeby się nie załamać.

Gdzie jest Sofa?

Liane zdaje sobie sprawę, że dokonała złego wyboru, że te wszystkie wysiłki tylko przyspieszą jej agonię. Ta groteskowa broń jest doprawdy śmiesznym pomysłem; przez ostrzenie szpica zaczęły jej obficie krwawić nadgarstki. Nie powinna też była się rozbierać. Strzępy tkaniny stają się bezkształtną masą za każdym razem, gdy Liane dociska je do ciała przy bezsensownych skrętach tułowia. Teraz każde przytknięcie nagiego ciała do skały staje się torturą.

Poparzona.

Jej stopy są poranione jak po sparzeniu rozżarzonymi węglami. Pot spływający po ciele żłobi parzące bruzdy. Przyrodzenie płonie, rozpalone od środka.

Czy zanim ściągnęła ubranie, było gorzej? Już nie pamięta.

Mimo wszystko musi wytrzymać.

Otrzymać odpowiedź.

Musi odnaleźć Sofę.

Żywą.

Godzina 11.35

– Tam!

Jipé pokazuje palcem dwie sylwetki: dużą i małą, odcinające się na tle piaszczystego oceanu. Chwilę później eurocopter colibri zatacza krótki łuk, po czym pikuje w stronę wulkanu.

Ręka Aji zaciska się na uchwycie nad drzwiami. Od dawna już nie leciała helikopterem. Dokładnie siedem lat i sześć miesięcy, od dnia, w którym dowiedziała się, że jest w ciąży z Jade. Jipé wielokrotnie nalegał, aby ta uparciucha znowu z nim latała. Poznała go w szkole podstawowej w Plateau Caillou, gdzie częściej łąził po tamaryndowcach albo dachach domów niż po szkolnym boisku. Założył spółkę „Wysokie Loty” w wieku dwudziestu lat, wtedy gdy Aja studiowała prawo w metropolii. Przez kilka lat, przy pomocy grona kolegów, Jean-Pierre Grandin proponował żądnym silnych wrażeń turystom całą gamę lotów nad wyspą: szybowce, lekkie dwuosobowe samoloty, lotnie, parolotnie, motolotnie... i oczywiście obowiązkowo... lot helikopterem.

Colibri zlatuje nagle w prawo. Prosto na krater wulkanu Dolomieu. Aja nie pamięta takiego zawrotu głowy. Pod każdym kominem wulkanicznym są przecież zięjące żarem komory, to tak jakby lecieli nad smoczymi jamami, nad Mordorem Saurona, zakazaną krainą, z której w każdej chwili może buchnąć śmiercionośny ogień.

Jipé poprawia okulary przeciwsłoneczne i żartuje:

– Bez paniki, Aju. Wulkan jeszcze śpi. Za to dzisiaj jest tu jak na miejskiej obwodnicy...

Wskazuje spojrzeniem trzy śmigłowce Ecureuil z brygady interwencyjnej, które w oddali krążą nad Plaine des Palmistes.

– Nie będę podlatywał za blisko, żeby ich nie drażnić. Z wielką radością zabraliby mi licencję...

Aja rozumie, o co chodzi. Lotami helikopterem nad wyspą zajmują się dwie firmy oficjalne, które w porozumieniu uzgodniły wygórowane ceny... Ponad tysiąc euro za godzinę lotu... Za niezapomniane wrażenia cena z góry ustalona. Natomiast Jean-Pierre i jego spółka obniżają stawkę. „Wysokie Loty” nie mają celu komercyjnego, Jean-Pierre po prostu zabiera przyjaciół na oglądanie wyspy z własnego helikoptera, tak jak inni obwożą ich samochodami – członków lub donatorów spółki – płacących średnio około stu euro. Sąd handlowy w Saint-Denis, pomimo nacisków oficjalnych firm stawiających zarzut nieuczciwej konkurencji, nie dopatrywał się tu żadnej nieprawidłowości... Sędzia nie drążył sprawy głębiej, „Wysokie Loty” to spółka dobrze widziana przez mieszkańców Les Hauts i ich przedstawicieli. W czasie ostatnich cyklonów, Dina i Gamède, Jean-Pierre Grandin był jednym z nielicznych pilotów, którzy ryzykowali życie, latając z zaopatrzeniem do osad w kotlinie Mafate, niewielkich wiosek leżących parę godzin marszu od najbliższej szosy, odizolowanych od świata, jeśli nie brać pod uwagę nieprzerwanego tańca helikopterów z turystami kurczowo uczeponymi zoomów swoich nikonów.

– Aju, odstawię cię na parking Pas de Bellecombe. Coś mi się wydaje, że twoi przyjaciele nie będą zwlekać z włączeniem się do gry...

Colibri zatacza koło w lewo.

Aja zaciska zęby. Szyby helikoptera umożliwiają oglądanie wspaniałego widoku w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Pod nimi widać pięć maszyn Ecureuil AS350 i cztery policyjne furgony czekające na parkingu. W pobliżu krząta się około dziesięciu uzbrojonych ludzi, dwudziestu innych rozbiega się po Plaine des Sables, aby osaczyć parę uciekinierów. Aja rozpoznaje, w środku, Martiala Belliona, trzymającego Sofę za rękę.

– Już po nich – szepcze.

Nie pamięta w tej chwili o trzech zabójstwach popełnionych przez Belliona, nie może przestać myśleć o ucieczce tego człowieka i jego córki jako o czymś wzniosłym: dwie wyczerpane gazy otoczone przez dzikie bestie, które mają na tyle inteligencji, że chcą wykończyć swoje ofiary w nieosłoniętym terenie i odciąć wszelkie drogi odwrotu. Uciekinierzy mają jeszcze kilkaset metrów do pierwszych zarośli, gdzie mogliby się ukryć; drogę zagraża im dwudziestu ludzi uzbrojonych w karabiny dalekiego zasięgu. Jeden rozkaz Laroche’a wystarczy, by ta rozpaczliwa ucieczka nagle się zakończyła.

To już tylko kwestia sekund – myśli Aja. Laroche nie jest taki głupi, chce ich

dostać żywych...

Odwraca się do pilota.

– Koniec zabawy, Jipé. Przykro mi, że ci zawracam głowę, ale wolę, żebyś podrzucił mnie do domu. Jakoś nie bardzo mam ochotę lądować tu tylko po to, żeby pogratulować temu durnowatemu inspektorowi.

– Jak sobie życzysz, najdroższa...

Helikopter nabiera wysokości. Aja łapie za uchwyt i dywaguje, zdumiona:

– Swoją drogą, to bardzo dziwne, że Bellion znalazł się tu, osaczony, na zboczach wulkanu, pośrodku Plaine des Sables... Ma przecież tysiąc innych miejsc, żeby się schować, jak okiem sięgnąć są lasy, a on wybrał najbardziej odkrytą przestrzeń na całej wyspie...

Jipé uśmiecha się.

– Twój uciekinier jest przyjezdny, czy zna Reunion?

– Jedno i drugie... Ale sądząc po CV, raczej dobrze zna wyspę.

– Zaskakujesz mnie...

Pilot unosi okulary przeciwsłoneczne i mruży duże jasne oczy. Nagle robi bardzo rozbawioną minę i z podziwem obserwuje sylwetki Belliona i Sofy.

– Jipé, co to znaczy „zaskakujesz mnie”?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, wasz wróg publiczny numer jeden zastawił na was piękną pułapkę i wszyscy gliniarze z wyspy w nią się wpakowali.

Aja uważnie obserwuje zbocza wulkanu. Dziesiątki ludzi na swoich stanowiskach. W środku samotny Bellion. Aja nic nie rozumie.

Jipé wznosi się jeszcze wyżej.

– Nie nad nami, kochana. Za nami, z tyłu.

Aja odwraca głowę. Dostrzega koryto Rivière des Remparts. Jej spojrzenie przenosi się na ujście, na cypel Cayenne, na działki w Saint-Joseph, które stopniowo wchłaniają każdy skrawek ziemi między oceanem a wąwozami.

Nagle zaczyna rozumieć.

Nieruchomieje, nie mogąc oderwać wzroku od dna największego wąwozu wyspy, głębokiego na prawie dwa tysiące metrów.

Na litość boską... Martial Bellion wszystko wykalkulował: ściśle określone miejsce, dokładna pora ucieczki. Sprawił, że helikoptery wylądowały w miejscu, które starannie wybrał. Skupił ścigających go gliniarzy w jednym punkcie, jednym jedynym punkcie. Dureń Laroche rzucił się w pogoń na ślepo, on i horda tych jego zabojadów. Martial poszedł na całość, ale tylko on znał zasady tej gry.

Aja wrzeszczy w kokpicie:

– Musimy lądować, Jipé! Musimy natychmiast wylądować i ich uprzedzić.

– Rozkaz wykonany, moja śliczna...

Helikopter pikuje prosto na wulkan. Aja oblicza w duchu. Ile czasu jeszcze zostało?

Maksimum kilka minut.

A potem pułapka zastawiona przez Belliona zatrzaśnie się na ludziach Laroche'a, zanim zdążą się zorientować.

PRZYPADKI NIE ISTNIEJĄ

Godzina 11.36

Od ponad dziesięciu minut Imelda nie ruszyła się z miejsca. Ciągłe stoi w cieniu drzewa ognistego, w skupieniu obserwuje czarny terenowy samochód.

Sprzedawca kolczochów patrzy na nią podejrzliwie z przeciwległego chodnika. Imelda udaje, że szuka komórki w torebce, a potem przegląda coś w internecie. Nikt by nawet nie zgadł, że jej stary telefon jest w stanie tylko połączyć dwie osoby, które chcą porozmawiać.

Imelda rozważa sytuację. Stojący przed nią chevrolet captiva w piątek znajdował się na parkingu hotelu Alamanda w porze zniknięcia Liane Bellion. Imelda z doświadczenia nie wierzy w przypadki. Każde zdarzenie ma jakąś przyczynę. Każde pojawienie się człowieka w określonym miejscu także.

Ciepława obudowa telefonu komorkowego rozgrzewa jej dłoń. Imelda waha się. Zgodnie z logiką powinna zadzwonić do Christosa, wszystko mu wyjaśnić, podać numer rejestracyjny auta. Sprawa zostanie załatwiona i będzie można wyrzucić ją z głowy.

Christos będzie z niej drwił, ale jeśli ona się uprze, zacznie sprawę badać. Christos nie jest złym człowiekiem. To nawet najlepszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek знаła. Chyba największy wałkoń, najbardziej niewierny, także najstarszy, najszybciej dochodzący do orgazmu, a potem najszybciej zasypiający facet, największy pijak, największy ćpun, najbardziej biały... A jednak nie ma tu miejsca na przypadek. Zwróciła uwagę, że czasem – kiedy nie udaje macho, zblazowanego gliniarza albo cynicznego kochanka – odruchowo podnosi lalkę Joly, przelotnym spojrzeniem sprawdza stan skutera Nazira, czasem też Imelda, czytając, czuje na sobie jego wzrok.

I nie jest to spojrzenie mężczyzny, którego roznamiętnia słońce i alkohol.

To spojrzenie nieujawnianej czułości.

Tak, gdy się dobrze przyjrzeć, Christos jest mężczyzną, który zasługuje na to, by

być kochanym.

Chevrolet captiva mruga oczami.

Reflektory zamigały trzykrotnie. Imelda cofa się bardziej za pień drzewa, obserwując parking. Mężczyzna kieruje elektroniczny kluczyk w stronę auta, to Malbar o wyglądzie beczki opakowanej ciasnym kaftanem, na głowie ma kaszkiet z wizerunkiem głowy czerwonego tygrysa. Waży chyba tyle co ona, ale jest niższy o jakieś dwadzieścia centymetrów. Pod lewą pachą trzyma brązową torbę po brzegi wypełnioną wiktuałami kupionymi w Case à Pain.

Po chwili znika w samochodzie.

Imelda musi natychmiast coś postanowić.

Zatelefonować do Christosa... i zrobić z siebie idiotkę.

Odpuścić... i nieustannie o tym rozmyślać.

Pobiec do starego polo zaparkowanego dziesięć metrów dalej i ruszyć za terenówką. Tak tylko, żeby spróbować trafić po nitce do kłębka.

Przypadki nie istnieją.

11.37

„Drukuj”.

Christos pochyla się nad komputerem i klika w ikonkę.

Stara drukarka z trudem wypluwa czerwone litery na kartkę formatu A4. Christos musiał zmienić kolor pliku PDF, który Graziella Doré wysłała mu e-mailem, bo nie ma już czarnego tonera, a nigdy nie nauczył się zmieniać wkładu. Dyrektorka hotelu Blue Bay potrzebowała niecałych trzydziestu minut na powzięcie decyzji i wysłanie listy osób zatrudnionych w Cap Champagne. Przed dziesięcioma laty.

Siedem nazwisk.

Plik nosi datę. Ma pieczętkę i podpis.

Christos wie, że trzeba będzie poświęcić sporo czasu na sprawdzenie tej listy, zestawienie jej z dokumentacją ubezpieczeń społecznych, że trzeba nawiązać kontakt z każdym świadkiem, uzgodnić wersje.

Później...

Jego busołą jest intuicja Imeldy. Powinien ustalić związek pomiędzy

przeszłością i terażniejszością, pomiędzy pracownikami Cap Champagne i osobami zatrudnionymi obecnie w hotelu Alamanda.

Christos wrywa kartkę z drukarki i klnie. Kolor czerwony zmienił się w jasnoróżowy. Kolorowy toner też się kończy...

Dwa zestawy głośników podłączone do jednego komputera bez przerwy nadają na falach ultrakrótkich komunikaty, jakie wymieniają między sobą brygady Komendy Głównej. Christos może niemal na bieżąco śledzić pościg za Bellionem, jego rychłe już aresztowanie, rozkazy dyrygujące płasami helikopterów... Wszyscy, zarówno Aja jak i Laroche, mają co innego do roboty, niż zajmować się przebrzmiałym wypadkiem sprzed dziesięciu lat i kreolskimi świadkami, o których nawet nie wiadomo, czy mają cokolwiek do powiedzenia.

Christos unosi kartkę do oczu. Chociaż nazwiska są częściowo zamazane, udaje mu się je odczytać:

Mohamed Dindane;

Renée-Paule Grégoire;

Patricia Toquet;

Aloé Nativel;

Joël Joyeux;

Marie-Joseph Insoudou;

François Calixte.

A może „Françoise Calixte...”.

Podkomisarz odczytuje listę po raz drugi, zatrzymuje się chwilę przy czwartym nazwisku, marszczy czoło w cztery fałdki, co oznacza, że się zastanawia, po czym składa kartkę na czworo i chowa do kieszeni spodni.

Powziął decyzję.

Nie ma nic lepszego do roboty, pójdzie więc odwiedzić Armanda Zuttora i jego pracowników. Nawet w poniedziałek wielkanocny powinno być kilku na miejscu, na dyżurze przy ostatnich hotelowych gościach. To zaledwie kilometr od posterunku policji, no i serwują tam doskonały rum...

Czarne terenowe auto zatrzymało się przed znakiem pierwszeństwa przejazdu przy wyjeździe z Ermitage-les--Bains. Imelda przepuściła trzy samochody, chcąc, by znalazły się między jej polo i chevroletem. Jechała za nim, ciekawość była silniejsza! Zresztą zdaje sobie sprawę, że śledzenie na wyspie nie jest zbyt trudne: tylko jedna droga prowadzi wzdłuż wybrzeża, przez wiele kilometrów samochody jadą gęsiego, bez wyprzedzania. I całe szczęście! Stare czerwone polo Imeldy zwraca szczególną uwagę, bo ma pomarańczowe tylne lewe drzwi z autoszrotu Source. Christos nigdy nie znalazł czasu, by je polakierować.

Auto terenowe mijają Les Avirons. Pod drogą, która przebiega nad wąwozem, nieliczne kozy skubią rzadkie kępki trawy. Imelda przeklina. Czy ten Malbar będzie tak jechał aż do północno-wschodniego nawietrznego wybrzeża?

Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wybiera numer telefonu domowego.

– Nazir? Tu mama.

– Gdzie się podziewasz? Czekaemy na ciebie!

– Trochę się spóźnię.

– Ale wrócisz chyba na obiad?

– Może nie wrócę. Przypilnujesz Dorianą, Amicą i maluchów?

– Nie.

Imelda tłumi przekleństwo. Chevrolet jedzie powoli przez L'Etang-Salé. Wyobraziła sobie Nazira ze skrzykiem w ustach, niezdolnego do najmniejszego wysiłku. Podnosi głos.

– Tak, zrobisz to, kochany. Kurczak kari jest w lodówce. Jest go za mało, więc dodasz warzywa. Idź zobacz, co tam jest w ogrodzie.

Terenowe auto wjeżdża do Saint-Pierre i skręca w osiedle Ligne Paradis. Nazir kaszle w słuchawkę.

– Cholera jasna, to jakiś obłąd...

– Tym razem musisz sobie poradzić. Poproś Joly, żeby ci pomogła.

Milczenie.

Tym razem – powtarza Imelda w duchu. Doskonale potrafią obyć się bez niej. Czuje się jak małolata, która bez pozwolenia wymyka się do dyskoteki, zakochana małolata, której serce wali jak młotem. Musi się uspokoić.

– Poradzisz sobie, mój mały?

– Jesteś jakaś podniecona, mamó. Znalazłaś sobie faceta, czy jak? Prawdziwego?

Czarnego?

W miarę jak dojeżdżają do osiedla Ligne Paradis, ruch samochodowy rzadnie. Imelda musi zachować czujność, jeśli nie chce wpaść. Zwalnia.

– Muszę kończyć, Nazir. Nie jesteś głupi, poradzisz sobie.

Wyłącza komórkę i kładzie między kolanami.

Chevrolet skręca w lewo, potem w prawo. Kilka sekund po nim Imelda dostaje się w labirynt brudnych uliczek. W końcu terenówka wjeżdża w Chemin Sapan. Ślepy zaułek! Imelda zatrzymuje poło na skraju chodnika. Wychudzony pies podchodzi i wacha oponę. Naprzeciwko rozsuwa się zasłona, patrzy na nią stara kobieta w peniuarze. Między dwoma śmietnikami chłopcy kopią piłkę.

Osiedle. Dokładnie takie samo jak jej w Saint-Louis. Nie czuje się tu obco. Wsiada z auta i idzie pieszo do wejścia w ślepy zaułek.

Chevrolet zaparkował przed niewielkim domkiem z blaszanym dachem. Luksus lśniącego samochodu terenowego kontrastuje z nędzą domku, ale Imelda wie, że niektórzy Kreole wolą żyć pod gołym niebem niż zrezygnować z nowego samochodu.

Malbar wysiada. Znika w domu.

Imelda czeka. Minutę. Dzwoni telefon.

– Mamo, tu Nazir.

Imelda wznosi oczy ku górze.

– Jestem zajęta!

– Mamo, czy możemy zrobić ryż zamiast tych cholernych jarzyn z ogrodu?

Dorian, Amic i Joly się zgadzają.

To dopiero!

– Jestem zajęta, synku.

– Rozumiem, mamo. No to zgadzasz się?

Imelda wzdycha.

– OK. Ale teraz posłuchaj uważnie, co ci powiem, Nazir. Więcej do mnie nie dzwonicz. Jakby było coś pilnego, wysyłasz esemesa. Kumasz?

– Kumam! Cieszę się, że się dobrze bawisz, mamo. Korzystaj z okazji...

Głupek!

Nazir odkłada słuchawkę.

Jeszcze minutę. Imelda znowu się waha, nie wie, czy zatelefonować do Christosa. Gdy czyta powieści kryminalne, złości się na bohaterów, którzy z nie wiadomo jakich powodów nie chcą wzywać policji na pomoc... i przez to ściągają

sobie na łeb najgorsze kłopoty, a czasem padają ofiarą zabójstwa.

A tutaj i ona jest tak samo bezradna...

Malbar wychodzi z domu. Na ramieniu ma torbę prawie tak dużą jak jego obwód w pasie. Wrzuca ją do bagażnika chevroleta. Chwilę później samochód zaczyna się trząść i z podwójnej rury wydechowej wyrzusza dwutlenek węgla.

Imelda nie może się zdecydować, czy wsiąść do poła i pojechać za nim, czy zostać i przepatrzeć dom. Chęć obejrzenia domu okazuje się silniejsza. Zresztą chevrolet znika już na końcu drogi.

Imelda odczekuje kilka długich minut. A jeśli to pułapka? Malbar mógł zauważyć jej auto, tak jak i inni mieszkańcy osiedla, staruszka przyklejona do okna, pies, któremu spodobały się trzy następne opony, czy chłopcy, którzy trzykrotnie o mało nie strzelili gola w karoserię. Ale grają coraz lepiej...

*

Imelda wysiada z samochodu.

Postanowiła wejść tylko do ogrodu, ewentualnie przez okno rzucić okiem do wnętrza domu, jeśli tam cokolwiek można dojrzeć. Zatelefonuje do Christosa, gdyby zaintrygował ją jakiś szczegół.

Furtka skrzypi przy otwieraniu. Imelda odsuwa gałąź wyschłego eukaliptusa. Idzie przed siebie, szyby w oknach są tak brudne, że właściwie nie da się dojrzeć niczego wewnątrz.

Zresztą nie trzeba nawet zaglądać.

Drzwi wejściowe nie są zamknięte. Są uchylone. Zardzewiały zamek chyba od lat nie był używany.

Imelda doskonale zdaje sobie sprawę, że wejście tam byłoby najwyższą głupotą. Tysiące razy o tym czytała, zbyt ciekawscy świadkowie zawsze w ten sposób dają się podejść, przez nadmiar pewności siebie.

Obserwuje ulicę.

Co może jej się stać w tej dzielnicy? W biały dzień. Wzrastała na osiedlu takim jak to, zawsze tam mieszkała, zna wszystkie kody, rytuały, szpiegujące staruszki, dzieciaki piszczące na ulicy, mężczyzn niewidzialnych przed zachodem słońca.

Imelda ściska w dłoni telefon komórkowy i sprawdza, czy jest zasięg.

Po chwili lekko popycha drzwi wejściowe.

INWERSJA TERMICZNA

Godzina 11.40

Głos wzmocniony megafonem syczy na Plaine des Sables:

– Bellion! Jesteś otoczony. Odsuń się od córki i unieś ręce w górę.

Martial mruży oczy. Za szarą aureolą pyłu z popiołów dostrzega około dwudziestu ludzi rozstawionych co trzydzieści metrów, wyprostowanych, nieruchomych jak ustawione rzędem totemy na odkrytej równinie. Wszyscy celują w niego z karabinów snajperskich.

Drobna dłoń Sofy zaciska się na jego palcu wskazującym; dziewczynka mówi cicho:

– Tatusiu, oni nas zabiją?

Martial przykuca.

– Nie, kochanie. Nic się nie bój. Trzymaj mnie za rękę. I przede wszystkim nie puszczaj.

Martial rzuca w stronę gliniarzy wyzywające spojrzenie. Im bliżej do bezpośredniego starcia, tym bardziej czuje się niesiony przez jakąś dziwną moc, upajające poczucie niezniszczalności, które potęguje w nim determinację. Na przykład chęć ustawienia się pomiędzy karabinami a córką, żeby obronić ją przed tymi żołdakami.

Martial bardziej pochyla się nad Sofą. Nie powinien dać się ponieść euforii, ten ojcowski poryw jest tylko odruchem, zwierzęcym instynktem przeżycia, złudzeniem, które ma zakamuflować rzeczywistość.

Nigdy dotąd nie był tak bardzo nieodpowiedzialny. Pierwszy z brzegu gliniarz może stracić zimną krew i pociągnąć za spust.

Szepcze córce do ucha:

– Córeczko, umiesz szybko biegać?

Sofa najpierw jest niezdecydowana, potem się uśmiecha.

– Tak! Jestem najszybsza w szkole. Nawet chłopcy nigdy nie mogą mnie złapać,

kiedy bawimy się w berka.

– Dobrze, wierzę ci. Musisz pobiec jeszcze szybciej. Ale dopiero wtedy, gdy dam ci znak.

Megafon grzmi po raz drugi:

– Bellion! Tu inspektor Laroche, kieruję Komendą Główną Policji na wyspie. Nie zmuszaj nas do otwarcia ognia. Oddal się od córki i podnieś ręce. Jest w ciebie wycelowanych dwadzieścia karabinów...

Martial musi grać na zwłokę. Jeszcze kilka sekund.

Z tyłu za policjantami wulkan jest spokojny. Z tej strony nie należy się niczego spodziewać, Piton de la Fournaise ma najbardziej strzeżony krater na świecie. Zapowiedź jego przebudzenia jest zwykle przedmiotem sensacyjnych artykułów prasowych, co wyklucza jakąkolwiek niespodziankę.

– Sofo, rób tak jak ja...

Martial podnosi lewą rękę ostentacyjnie, powoli, ale prawą ciągle trzyma dłoń córki.

Megafon twierdzi, że to nie wystarczy.

– OK, Bellion. Jeśli nie chcesz zrozumieć, to my po ciebie przyjdziemy. Jeśli zrobisz najmniejszy krok, wpakujemy ci kulkę w głowę. Na oczach córki. Zrozumiano?

Martial dostrzega w oddali, na parkingu Pas de Bellecombe, helikopter, który właśnie wylądował. Załoga wysiada i oddala się biegiem. Wydaje mu się, że rozpoznaje panią komisarz Purvi, policjantkę z Saint-Gilles.

Krótką chwilą.

I nie widać już nic.

Najpierw znikają helikoptery, wraz z nimi przepada wulkan.

Pięć sekund później stojący przed nim policjanci także zostają pochłonięci.

Następne pięć sekund i dalej niż na trzy metry nie widać już nic.

Jeszcze jedna sekunda, Bellion nie widzi swoich stóp ani Sofy. Czuje tylko jej ciepłą rączkę w swojej dłoni.

– Sofo, teraz! Prosto przed siebie!

Ruszają sprintem przez mgłę.

Orzeł lub reszka.

Martial dziesiątki razy wędrował po zboczach wulkanu i za każdym razem

zaskakiwało go to zdumiewające miejscowe zjawisko inwersji termicznej. Nagłe przejście, w kilka chwil, od rażącego słońca na lazurowym niebie do kłębow mgły niesionej przez morskie wiatry, która najpierw zatrzymuje się w korycie Rivière des Remparts, a potem wylania się jak rój pszczoł i uniemożliwia wszelką widoczność na kilka kilometrów wokół. Martial widział wielu turystów w T-shirtach, trzęsących się naraz z zimna w wilgotnej mgle, z idiotycznym aparatem fotograficznym w ręku; wielu rozczarowanych tą papką prowadził na oglądanie panoramy z miejsc widokowych w Les Makes, Maïdo, Pas de Bellecombe...

*

Przytłumione dźwięki rozchodzą się we mgle. Nieskładne rozkazy. Odgłosy kroków, zagłuszające kroki jego i Sofy.

Nie będą strzelać.

Martial wie, że musi biec jeszcze szybciej, mgła na Plaine des Sables może rozstać się w każdej chwili. W każdym miejscu. Uratowani będą dopiero wtedy, gdy dobiegną do zarośli, bo w górskim gąszczu mgła osiada przez kilka godzin. Dość długo będą niewidoczni, zyskają więc sporo czasu. A potem rozplyną się w górzystych okolicach Sainte-Rose. Policja w żaden sposób nie zorientuje się, w jakim kierunku uciekają.

– Nie rozchodźcie się! – wrzeszczy Laroche przez megafon. – Idźcie rzędem! Bellion nie może się wymknąć.

Martial wyobraża sobie policjantów po omacku wyciągających ręce do przodu jak dzieciaki bawiące się w ciuciubabkę nad przepaścią.

Uspokajają go zadrapania na ciele. Ma nawet ochotę płakać ze szczęścia.

Dotarli do zarośli!

Słyszy obok przyspieszony oddech Sofy. Nie powinni wypowiadać ani jednego słowa, iść dalej, ciągle dalej, zanurzyć się w gąszczu.

Martial wolną ręką odgarnia niewidoczne we mgle gałęzie, które smagają im twarze. Posuwają się do przodu tak szybko, jak to jest możliwe.

Odeszli daleko, nie słyszą już pokrzykiwań policjantów.

Wygrali!

Teraz trzeba tylko zejść w stronę oceanu; dotrzeć do Anse des Cascades.

Przyjdą na spotkanie punktualnie.

Będą...

Nagle Martial potyka się. Chwila dekoncentracji. Korzeń, złe podparcie, stąpięcie w bok dla odzyskania równowagi.

Wilgotna rączka Sofy wysliznęła się z jego dłoni.

Przygryzł wargę, po czym cicho wycedził przez zęby:

– Sofa?

W żadnym wypadku nie wołać. A nawet nie mówić głośno. To byłaby głupota. Sofa tu jest, kilka metrów od niego.

Tylko szept, w tę bezbarwną noc.

– Sofa?

Brak odpowiedzi. Ręce Martiala szukają po omacku. Białe kolce haratają skórę.

Głos z jego gardła wrywa się nagle. Najciszej jak potrafi.

– Córeczko, idę po ciebie, tylko się nie ruszaj.

Natomiast myśli Martiala szaleją. Zna teren. Wąwóz Savane Cimetièrre jest pełen powyrywanych drzew, kamieni o ostrych krawędziach, rozpadlin. Sofa może się zgubić w parę sekund, tak szybko jak przewodnik karawany zaskoczony na pustyni przez burzę piaskową.

– Sofo, jestem tutaj, idę po ciebie. Na litość, nie oddalaj się.

Zawołał głośniej, lekceważąc środki ostrożności.

Żadnej odpowiedzi. Nie słychać nawet echa w zasnutym krajobrazie.

Martial powstrzymuje się, żeby nie krzyknąć. Przeżywa swój największy koszmar.

Stoi przy plaży. Sam.

Krzyczy do opustoszałego morza.

Wykrzykuje imię swojego dziecka.

– Alex...

Godzina 11.41

Zachęcona światłem słońca w zenicie, Liane porusza małymi białymi piersiami nad trzydniową brodą Martiala. Ślicznotka dosiada męża, mięśnie jej długich nóg są tak napięte, że zaraz chyba pękną czerwone stringi. Szczęśliwy ten Martial, leży sobie pod nią, wygląda, jakby już nie wiedział, na jakiej części ciała ma położyć ręce. Na tym płaskim brzuchu? Na plecach mokrych od olejku i potu? Na krągłych pośladkach? A może pomóc sobie ustami i, tracąc oddech, całować te sterczące sutki lub usta, przesłonięte kaskadą jasnych włosów?

Martial przeżywa orgazm, fotografia powiększona do formatu A3 nie pozostawia najmniejszej wątpliwości w tej kwestii.

Mała Sofa bawi się w piasku, dwa metry dalej, w cieniu palmy. Bellionowie są sami na plaży z czarnego piasku w Etang-Salé, Imelda natychmiast rozpoznała miejsce.

Migawka ze szczęścia.

Kto mógł zrobić zdjęcie?

Imelda cofa się o metr i powtarza w myśli to proste pytanie.

Kto mógł zrobić to zdjęcie, tak jak i dziesięć innych fotografii rodziny Bellionów, przypiętych pinezkami do ściany tak zapuszczonego domu?

Imelda naliczyła trzydzieści siedem fotografii wydrukowanych w formacie A4 i A3. Patrząc na tę dziwną ekspozycję, ma się wrażenie, że jakiś paparazzo podpatrywał każdą chwilę życia Bellionów od dnia ich przybycia na wyspę Reunion. Widać, że fotografie zostały zrobione potężnym zoomem bez wiedzy Martiala i Liane. Na tarasie restauracji w Saint-Gilles, przy Place du Marché; przed hinduską świątynią Kolosa w Saint-André; przy stojaku z kartami pocztowymi na głównej ulicy w Hell-Bourg... Najczęściej jednak anonimowego fotografa interesowały zbliżenia małej Sofy. Bliskie, niepokojące ujęcia jej niebieskich oczu

jak u lalki, jej piegów, zarysowujących się dołeczków w policzkach. Jak każde inne dziecko ofiara wynalazku cyfrowego aparatu fotograficznego – myśli Imelda. Tyle że autor tych zdjęć nie zadał sobie trudu, żeby poprosić Sofę o pozwanie...

Dlaczego?

Snując takie rozważania, Imelda jednocześnie sprawdza przez okno, czy na ulicy nic się nie dzieje, a potem robi obchód domu. Ta kryjówka Malbara wydaje się mieszkaniem zdobytym naprędce. Dwa pokoje, łazienka i sypialnia bardzo skąpo umeblowane: dwa składane krzesła i stół z laminatu, materac rzucony na podłogę, zakupy stłoczone na półce schowka zakrytego brudną zasłonką, konserwy, makarony, ryż. Kuchenka gazowa stojąca chybotliwie na zlewie... Z przepełnionego kubła na śmieci wypadają pudełka po pizzy i puste butelki po napojach.

Pod ścianą w rzędzie stoi około dziesięciu kanistrów z benzyną. Do czego? – zastanawia się Imelda. Silnik helikoptera? Silnik auta terenowego, które tygodniami będzie się błąkać po górach?

To jest meta ukrywającego się przestępcy! Niemal typowa... Z wyjątkiem tych fotografii.

Wszystko wskazuje na to, że Malbar bawił się w paparazzo. Miała rację, jego czarny chevrolet captiva wcale nie przypadkowo znajdował się na parkingu hotelu Alamanda w dzień morderstw. Imelda czuje wzbierającą ekscytację, uwielbia ten moment, w którym musi uporządkować wszystkie informacje. Potrzebuje właśnie chwili skupienia, aby ułożyć puzzle.

Nic z tego!

Krótki ostry sygnał telefonu zawiadamia, że dostała esemesa.

Przeklina, potem czyta.

„Mama, jest okey. W najlepszym porzo. Zapędziłem Dori i Jol do kuchni. Nie spiesz się. ????”.

Imelda uśmiecha się, niemal rozczarowana, że jej dzieciarnia tak dobrze sobie radzi bez niej. Nadaje krótką odpowiedź i z powrotem skupia się na sprawie Belliona.

Malbar działa na własny rachunek? Czy ktoś mu płaci za śledzenie obojga Bellionów? Na przykład jakiś prywatny detektyw? Nieważne, prawdziwy problem leży gdzie indziej. Z jakiego powodu szpiegować Bellionów? Żeby ich szantażować? Z pragnienia zemsty? Z zazdrości? Zakres możliwości jest nieskończony, tak jak i tożsamość zleceniodawcy: ktoś z rodziny? ktoś chory

umysłowo, z kim mieli kontakt? A dlaczego nie Liane Bellion we własnej osobie? Jest mnóstwo powodów, które skłaniają kobietę do śledzenia męża, zwłaszcza kiedy ten ma niejasną przeszłość i potępienia godną reputację.

Imelda wpatruje się w zdjęcie Liane Bellion siedzącej na kawiarnianym tarasie, zapewne w porcie w Saint-Gilles. Krótka spódniczka z madrasu, obnażone plecy, jasne włosy odsłaniające kark, zebrane w naprędcie spięty kok. Ponętna...

Możliwe też, że jest zupełnie na odwrót – rozmyśla Imelda. Może Martial Bellion miał podejrzenia co do wierności małżonki... Ale dlaczego miałby prosić detektywa o fotografowanie rodziny? Dlaczego prosić o to Malbara? Malbara, który mieszka w tak podłej dzielnicy?

Imelda znowu rozmyśla o dokumentacji, którą czytała na posterunku policji, o zbieżnych zeznaniach pracowników hotelu Alamanda przeciw Bellionowi. Hotel Alamanda został stworzony przez Malbarów, rodzinę Purvi, klan, którego ostatnim potomkiem jest pani komisarz prowadząca śledztwo.

I to także jest zbiegiem okoliczności?

Przed pójściem do drugiego pokoju, pokoju bez okien, Imelda znowu obserwuje ulicę. Wszystko wydaje się normalne. Pies dalej się włóczy, węszy i dodaje swoją urynę do wszechobecnego tu brudu. Dzieci grające w piłkę nożną w głębi zaułka zaczynają trzynastą część meczu.

Imelda nagle drgnęła.

Sygnał telefonu. Nowa wiadomość.

„Obieramy warzywa. Będzie kari na wieczór. Jesteś zszokowana, co nie? Baw się jak najlepiej”.

Imelda aż drży, gdy odczytuje wiadomość. W gruncie rzeczy Nazir to dzielny chłopak. Brakuje mu tylko ojca, który czasem kopnąłby go w tyłek. Ostrożnie pochyła się i unosi brudną pościel, a potem materac.

Poczucie zwycięstwa rozrywa ją od środka: między łóżkiem a załamaniem ściany jest ukryta damska torebka! Raczej nie należy do Malbara...

Imelda otwiera ją gorączkowo. Jej palce i oczy sporządzają inwentarz. Karminowa szminka, tubka błyszczyka, portfel marki Lancel, którego zawartość wysypała się... Ręce Imeldy grzebią, buszują po omacku, wyciągają dowód osobisty, kartę płatniczą, kartę miejską.

Wszystko na nazwisko Liane Bellion...

W mózgu Imeldy łączą się neurony. Otwierają się szufladki, aby posegregować hipotezy. Czy Martial Bellion ukrył tutaj zwłoki żony? Czy zlecił tę ohydłą robotę Malbarowi? A może wszyscy się mylą od samego początku? Liane Bellion nie została zamordowana w hotelu, ucieczkę upozowała na morderstwo i schroniła się tutaj, w tej budzie, podczas gdy wszystkie oddziały policji z wyspy poszukują jej trupa.

Ale po co? Czekala tu na kogoś? Żeby znowu zniknąć? Gdzie?

Palce Imeldy chcą szukać w torebce innych wskazówek, lecz nagle nieruchomieją.

Na ulicy zaszczekał pies!

Chwilę później słyszy warkot silnika samochodu zwalniającego przed domem. Wyraźnie rozpoznaje odgłos maszyny o dużej objętości skokowej, z podwójną rurą wydechową.

Auto terenowe.

Nie potrzeba zerkać przez okno, aby odgadnąć, że auto jest czarne, a prowadzi je Malbar w czapeczce koloru khaki. Imelda w pośpiechu odkłada torebkę tam, gdzie była schowana, i rusza do pierwszego pokoju. Spojrzeniem dookoła sprawdza, czy niczego nie przestawiła, i szuka miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

Znajduje tylko jedno, wątpliwe.

Szafa.

Wściekłym ruchem rozsuwa zasłonę i wzrokiem ocenia wysoki, pionowy schowek na miotły. Imelda jest dwa razy za szeroka, ale mimo to, nie zastanawiając się, daje nura. Jej miękkie ciało ociera się o ścianki, obrzmiewa, blokuje się na oponach tłuszczu. Imelda, prawie płacząc, łapie się ściennego wieszaka i ciągnie z całych sił. Ciało trze o drewno, materiał sukienki przedziera się tu i ówdzie, ale centymetr po centymetrze w końcu wsuwa się cała, spłaszcza między zimnymi deskami jak wyrośnięte ciasto, które wciska się, aż do przelania, w naczynie nie dosyć głębokie.

Rozpaczliwym gestem zasuwa zasłonkę i z przerażeniem patrzy, jak tkanina porusza się przez kilka zbyt długich chwil.

Imelda powstrzymuje oddech.

Drzwi wejściowe otwierają się.

Poprzez półmrok zasłony dostrzega tylko krępy cień powoli idący przez pokój. Kolejne odgłosy są bardziej czytelne. Torba rzucona na stół, zamykane drzwi od toalety, spuszczenie wody, ciurkająca woda w zlewie, jeszcze kilka kropel i znowu

cisza.

Imelda wstrzymuje oddech.

Kroki krążą po pokoju; nie zwalniając, mijają zasłonkę, oddalają się w stronę sypialni.

Bezdech trwający prawie minutę... Imelda może odetchnąć. Jej pachy i łono spływają gryzącym potem. Nadstawia ucha, wydaje jej się, że słyszy pocieranie materiału, głuchy szmer spadających na podłogę ubrań, szybki, krótki odgłos zasuwania zamka błyskawicznego, być może od walizki.

Tak jakby Malbar się przebierał...

Mijają chwile, bez końca...

Odgłos kroków znowu jest coraz bliżej. Oddech. Zasłonka drży, ociera się o brzuch Imeldy.

Znowu woda w zlewie, dźwięk uderzenia szkłem o metal, poślizg torby na stole i kroki się oddalają...

Trzaśnięcie drzwiami.

Cisza.

Imelda czeka. Wszystkie zmysły przyczajone.

Długo. Wieczność. Dom pogrążony w ciszy, zdaje jej się chyba, że słyszy pokrzykiwania dzieci, z oddali, z ulicy.

Imelda ciągle trwa w bezruchu, nie usłyszała żadnego odgłosu silnika na ulicy. Malbar jest tutaj, gdzieś blisko, musi zostać w schowku za zasłonką. Z największą ostrożnością wyjmuje z kieszeni telefon komórkowy. Powzięła decyzję, skontaktuje się z Christosem. Niczego nie ryzykuje; gdy nadaje esemesa, telefon nie wydaje żadnego dźwięku.

Tylko wtedy, gdy przycho...

Nagle w pokoju rozlega się sygnał.

Oczy Imeldy patrzą w dół, znieruchomiałe, jak zahipnotyzowane przez podświetlony ekran.

„Wszystko posprzątałyśmy, jesteś z nas dumna, mamó? może wiesz, gdzie są ścierki? a klucze od domu? a trawka, którą schował Derrick?”.

Wiadomość wywołuje dziwny uśmieszek u Imeldy.

Myliła się, dzieciaki nie mogą się bez niej obejść.

Jej ostatnia myśl...

Nagle zasłonka się rozsuwa. Stoi przed nią cień z kuchennym nożem w ręce. Imelda usiłuje wydostać się ze schowka. Nadaremno.

Z własnej woli, żywa, weszła do zbyt wąskiej dla niej trumny.

Najpierw czuje ból w sercu, silny, krótki. Ręce starają się chwycić zasłonkę, ale zaciskają się w próżni. Przez długie chwile zaciskają się kurczowo, w końcu opadają, miękkie i bezwładne jak dwa zwiędłe liście na dwóch obumarłych gałęziach.

Godzina 11.43

– Tato?

To nie wołanie, to szept w białą noc.

Serce Martiala tętni radością. Sofa jest tuż-tuż, dwa metry od niego.

– Sofa?

Ich ręce spotykają się odruchowo. Nie mówią ani słowa. Martial ciągnie córkę, idąc pewnym krokiem. Ziemia pod ich stopami opada w dół. Im niżej schodzą, tym mgła wydaje się coraz gęstsza.

W zamglonym powietrzu coraz słabiej słyhać głosy policjantów, rozkazy wykrzykiwane w megafon, nawoływania, odgłosy bezładnej bieganiny. Policjanci to już tylko zjawy, niewidoczne, rozpraszane przez wiatr.

Oddalają się coraz bardziej. Martial doskonale zna topografię okolicy. Zapamiętał każdy centymetr kwadratowy mapy, ma dobry zmysł orientacji i w razie potrzeby busolę w kieszeni. Najpierw muszą posuwać się wzdłuż płaskowyżu Savane Cimetière. Ten obszar, od wschodniej strony, nie jest zbyt niebezpieczny. To przeważnie bagniste wrzosowiska, trochę porośnięte drzewami, tak że Martial i Sofa nie będą widoczni z góry, nawet jeśli mgła się rozproszy. Płaskowyż dochodzi do Rivière de l'Est. Będą więc musieli pójść na przełaj na wschód, poprzez Hauts de Sainte-Rose i las Bois Blanc. Las tamaryndowców i palmowców, poprzecinany szlakami wycieczkowymi, które powinni omijać, od dziesięcioleci atakowany przez strumień wystygłej lawy. Później podejda jak najbliżej Anse des Cascades. Górzyście okolice Sainte-Rose są obsadzone trzcina cukrową, wysoką na trzy metry, której plantacje sięgają aż po ocean.

Według obliczeń Martiala znajdują się około piętnastu kilometrów od wybrzeża, teraz już tylko schodzenie, pokonanie tysiąca siedemset metrów różnicy wysokości. Sofa może iść w takim tempie, na jakie ją stać. Będą robić przerwy. Weźmie ją na ręce.

Teraz już są tak blisko celu.

Uda im się.

Dla spokoju sumienia Martial wyjmuje z kieszeni busolę, po czym kieruje się na północny wschód, w stronę małego krateru, którego zarys można dojrzeć przez mgłę.

- Nie puszczaj mojej ręki, Sofo, będziemy tak schodzić przez długie godziny.
- Tam na dole czeka na nas mama?
- Mam nadzieję, córeczko. Nie mów za dużo, trzeba oszczędzać siły.

Martial wie, że za mniej więcej godzinę wyjdą już spod chmury mgły. Będą musieli zachowywać jeszcze większą czujność.

12.48

Tatuś popatrzył na zegarek i powiedział, że jesteśmy przed czasem, bo szłam szybko i nie narzekałam. Powiedział też, że jeszcze tylko musimy zejść na wielkie pole z trzcinami cztery razy wyższymi niż ja, a potem już dojdziemy na miejsce.

„Na spotkanie? – spytałam tatę. – Dojdziemy tam punktualnie?”

„Tak, jeśli dalej będziesz tak ładnie szła, córeczko”.

Nic nie odpowiedziałam, ciągle mam przed oczami tę wiadomość napisaną na samochodzie, przed hotelem.

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Jutro

o 16.

Przyjdź z córką.

Nie będzie łatwo...

Nie powiedziałam tacie, ale bolą mnie stopy, nogi, wszystko. Zresztą może tata się domyślił i dlatego zgodził się, byśmy odpoczęli nad rzeką.

To raczej koryto rzeki – wyjaśnił mi. Rzeka bez wody albo prawie bez wody, tylko kilka kropel, które płyną dnem. Są też owoce, tata powiedział, że można je

jeść, wystarczy zerwać z gałęzi drzew; kilka rozpoznałam, grejpfruty, klementynki. Wymienił też inne nazwy, limonki kaffir, gujawy.

Gdy zaczęliśmy schodzić, tata dużo do mnie mówił, długo objaśniał nazwy wszystkich drzew, kwiatów i owoców. Ale od chwili, gdy się zatrzymaliśmy, tata znowu odjechał. Nie żeby odjechał ode mnie, nie, nie o to mi chodzi, siedzi obok na kamieniu. Tyle że już o mnie nie myśli. To mu się często zdarza. Sądzę, że jest z moim starszym bratem, Alexem. Tym, który umarł. Tata ma trochę wilgotne kąciaki oczu.

Po tym poznaję, kiedy tata rozmawia w duchu z Alexem i także z innymi duchami z czasu przed moim urodzeniem.

13.03

Martial wstał, żeby zerwać gujawę z gałęzi, przekłuwających tu i ówdzie mgłę, która nie jest już tak bardzo gęsta. Zrzuca je na stos na ziemi, zaraz da Sofie spróbować. Patrzy na bawiącą się córkę. Dziewczynka usiłuje zbudować miniaturową tamę na rzeczce.

Ta mała kobietka go rozczula.

Zrozumiała już, kiedy może być małą uroczą szczebiotką, której nie da się uciszyć, a kiedy powinna uciec we własny wyimaginowany świat, jemu zaś pozwolić zagłębić się w swoim.

Martial wzdycha. Końcem palców maca kieszeń i odsuwa od siebie chęć zawinięcia kilku listków trawki w bibułkę papierosową. Nie tutaj. Nie teraz. Nie przy Sofie.

Unosi wzrok w stronę nieśmiałego skrawka błękitnego nieba, który wychyla się z chmury w kształcie serca przeciętego jedynie cienką białą kreską.

To po prostu samolot. A wyobraźnia niech dopowie resztę...

Nie wie dokładnie, dlaczego jego myśli szybują ku Aloé.

Dlaczego akurat teraz?

Dlaczego tutaj?

Z powodu tej białej strzałki? Przebitego serca?

To pytanie dręczy go od lat, jedno z wielu, a on nie ma najmniejszego pojęcia, jak odpowiedzieć.

Czy Alex pozostałby przy życiu, gdyby Martial nie pozwolił
Aloé wsiąść do samolotu?

KOSTKA LODU, DZIEWCZYNA

Godzina 13.05

Klak, klak, klak.

Christos potrząsa kostkami lodu w szklance z ponczem.

– No więc?

Wszyscy pracownicy hotelu Alamanda siedzą na wysokich stołkach z szarego plastiku imitującego rattan, półkolem przed barem, za którym stoi Christos. Brakuje tylko Eve-Marie Nativel, sprzątaczkę, i ogrodnika Tanguya Dijoux, który pojechał odwiedzić Jourdainów na lotnisko. Ciekawe, że jeszcze go nie ma – myśli Christos. Przecież droga powrotna z Saint-Denis nie trwa dwóch godzin.

Cień rzucany przez mur wokół hotelowego ogrodu, chroni ich przed słońcem w zenicie. Za nimi okropnie rozleniwieni nieliczni turyści wylegają się na leżakach w pewnej odległości od basenu, aby nie ochlapały ich dzieci, nieustannie skaczące do wody.

Armand Zuttor siedzi w takim samym oddaleniu od swoich pracowników jak i od hotelowych gości, w cieniu palmy, na krześle opartym o pień.

– No więc?

Christos po raz kolejny odczytuje siedem nazwisk. Cichym głosem. Niespiesznie wymawia każdą sylabę, jakby powtarzał zdanie dyktanda w klasie analfabetów:

Mohamed Dindane;

Renée-Paule Grégoire;

Patricia Toquet;

Aloé Nativel;

Joël Joyeux;

Marie-Joseph Insoudou;

François Calixte.

Albo „Françoise Calixte”...

Klak, klak, klak.

– Nigdy nie słyszeliście o tych pocziwych ludziach?

Zuttur, znużony, patrzy na zegarek, tak jakby wyliczał co do minuty czas, który pracownicy spędzają na przesłuchaniu.

W dodatku to dzień świąteczny.

Christos odwraca się w stronę baru, znowu nalewa sobie ponczu.

– Nie znacie nikogo z tych siedmiu osób? Przecież Reunion to nie Australia.

Stopniowo cień muru, osłaniający pracowników Alamandy, przesuwa się w stronę basenu. Christos tego nie przewidział, ale sądzi, że to ewentualnie pomoże rozwiązać języki. Ci, którzy nie odpowiedzą, usmażą się w słońcu.

Gabin Payet siedzący na stołku twarzą w twarz z podkomisarzem jest pierwszy do przypieczenia. W końcu się odzywa:

– To stara bajka, Christos. Prawie dziesięć lat. Przez ten czas zbudowało się wiele hoteli. Setki łóżek. Tysiące Kreolów, którzy zmieniali pościel, podawali śniadania, wozili wózkami stosy ręczników. Tydzień, miesiąc, umowa na czas określony i dziękujemy...

Naivo Randrianasoloarimino, w cieniu jeszcze przez kilka minut, wtrąca zapobiegawczą uwagę:

– W dodatku te nazwiska na Reunionie są wszystkie do siebie podobne. Hoarau. Payet. Dindane...

Christos łapie piłkę w locie:

– Nativel... Na wyspie jest dużo Nativelów?

Nagle podnosi się z miejsca Gabin ociekający potem, w kwiecistej koszuli przylepionej do ciała. Wchodzi za bar, otwiera butelkę wody Perrier, wrzuca do szklanki kostkę lodu i plasterek cytryny i wraca na stołek, nie patrząc na innych pracowników.

– To siostrzenica Eve-Marie!

Christos uśmiecha się szeroko.

Związek przeszłości z terażniejszością, nareszcie... Eve-Marie Nativel jest głównym świadkiem oskarżenia, jedynym, który może zaświadczyć, czy Liane

Bellion wyszła żywa z pokoju 38, czy nie.

– Co chcesz o niej wiedzieć, proroku?

– Wszystko. Gadaj, a ja zrobię przesiew.

– To nie będzie trudne. Nie ma tu wiele do gadania. Pracowałem wtedy w barze Bambou. Aloé była zatrudniona jako kelnerka w Cap Champagne na drugim końcu plaży Boucan Canot. Była bardzo ładna, nawet śliczna. Taki kwiatusek z wysp, wiesz, jaki to styl. Klienci ogromnie ją lubili. Martial Bellion także.

Cień muru jeszcze bardziej się wycofał. Teraz już wszyscy pracownicy pocą się obficie w tropikalnym słońcu. Tylko jeden Armand Zuttor siedzi w chłodzie pod palmą, ale i tak się boczy. Christos nie ma najmniejszego zamiaru przyspieszać godziny wspomnień, aby oszczędzić ludziom nasłonecznienia.

Wypija poncz do dna i zwraca się do Gabina:

– A więc od początku wiedziałeś, że Martial Bellion nie był zwykłym przyjezdnym turystą, ale francuskim mieszkańcem wyspy, który powrócił do metropolii. Zaoszczędzilibyśmy czasu, gdybyś nam o tym powiedział od razu...

– Nikt mnie o to nie pytał...

– Może złapałibyśmy Belliona wcześniej – mówi dalej Christos. – Chantal Letellier może by jeszcze żyła.

– Nie, no, jak to... Nie mogłem wiedzieć... To ty jesteś prorokiem...

Podkomisarz nie reaguje. Później Aja ureguluje rachunki. Dopasowuje do siebie strzępy informacji wydzielane przez Gabina i mówi:

– OK. Wróćmy do Aloé Nativel. Do jakiego stopnia Bellion ją lubił?

– Była jego kochanką – odpowiada barman, stawiając wodę Perrier na oparciu stołka. – Martial bardzo lubił oskubywać z płatków takie ładne kwiatuszki.

– Przed czy po rozstaniu z Graziellą Doré?

– Kilka lat później... Rozwiedli się w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a Aloé została zatrudniona w Cap Champagne w dwa tysiące drugim. Skończyła właśnie osiemnaście lat. Aloé była świetną dziewczyną. Zaradna, najstarsza z pięciorga czy sześciorga dzieci. Uwielbiała małego Alexa. Jego matka, szefowa, dużo pracowała. Młoda kelnereczka miała więcej czasu dla dziecka, które bawiło się między stolikami, na tarasie...

– A Martial Bellion? Pojawiał się czasem?

– Dwa razy w tygodniu przychodził do Cap Champagne po Alexa. Aloé zawsze tam była. Alex mówił ojcu o swojej dużej przyjaciółce... Krótko mówiąc, Bellion nie był głupi. Aloé Nativel miała dwie wielkie zalety, jak dla niego. Nosila bardzo

krótkie spódniczki, które tylko troszeczkę zasłaniały jej ponętny tyłeczek, i potrafiła zająć się dzieciakiem, trochę zanadto uciążliwym dla samotnego ojca.

– Nie miała faceta?

– Miała, takiego typka, który pracował w Pointe des Galets, częściej na morzu niż na lądzie... Aloé Nativel to była superniańka! Luksusowa baby-sitter, którą Bellion gościł u siebie tak często, jak tylko mógł. Wikt, opierunek, bara-bara...

Podczas gdy Gabin z zadowoloną miną wypija wodę Perrier, Christos usiłuje oszacować rozmaite możliwości, jakie otwierają rewelacje Gabina. Zuttor chyba się zdrzemnął za zasłoną okularów ray-ban. Naivo wstał i rozdaje kubeczki pracownikom Alamandy. Podkomisarz nie protestuje, skupiony na dialogu z Gabinem.

– Aloé Nativel była obecna tego wieczoru, gdy utopił się Alex?

Barman kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Nie siedziałem w ich łóżku. Trzeba spytać jej ciotkę...

Christos przeklina w duchu. Jakby przez przypadek Eve-Marie Nativel dzisiaj nie pracuje. Jak twierdzą inni pracownicy, w każdy poniedziałek sprząta u takiego jednego klienta. Na czarno. Nikt nie zna jego nazwiska. Eve--Marie nie ma telefonu komórkowego. Aby się z nią skontaktować, trzeba czekać, aż wróci do domu w dzielnicy Carosse, ale nie przed osiemnastą...

Do cholery...

– A Aloé? Co się z nią stało?

– Powiał zły wiatr dla tego kwiatuszka z wyspy. Najpierw ciężko przeżyła, jak inni, zbiorowe zwolnienie z pracy po zamknięciu Cap Champagne. Po śmierci Alexa Martial Bellion miał inne zmartwienia i nie potrzebował już niańki. Aloé wróciła do swojego marynarza...

– I co było dalej?

– Chodziły różne słuchy, rozwiązały się języki. Ten jej facet w końcu też ją puścił kantem. Ostatnia wiadomość sprzed bodaj pięciu lat jest taka, że pracuje jako prostytutka w Saint-Denis przed starym dworcem autobusowym. Gdybym ją zobaczył, nawet nie wiem, czybym ją poznał...

Christos w milczeniu rejestruje w głowie tę informację. Nie wie, dlaczego historia Aloé przywodzi mu na myśl dziewczynki Imeldy, Joly i Dolaine. Nazira i jego trawkę także. Na tej wyspie, czy się spadnie na jedną, czy na drugą stronę grani, to dzieło czystego przypadku. Urodzić się po stronie nawietrznej czy zawietrznej. Życ jak w cichej przystani albo przez całe życie dostawać w mordę.

Podkomisarz po raz ostatni potrząsa kostkami lodu w szklance.

Klak, klak, klak.

Zaczął się odliczanie. Musi przed szóstą odnaleźć Eve-Marie Nativel. Jeśli jej zeznania się posypią, runie wszystko. Możliwe, że Liane Bellion wyszła żywa z pokoju 38... Jeśli nie umarła, oskarżanie Belliona nie ma najmniejszego sensu, pomimo plam z krwi i odcisków palców na nożu.

Christos przestaje wreszcie piętrzyć hipotezy. To wszystko staje się zbyt skomplikowane. Jeśli zdąży, zadzwoni do Imeldy, opowie jej i wyrobi sobie opinię. Zwraca się do Gabina z ostatnim pytaniem:

– A tak przypadkiem może przypominasz sobie, jak się nazywał ten facet Aloé Nativel?

– Tak! Widuję go czasem. To taki osiłek. Zdarza mu się rozwozić palety z piwem do okolicznych lokali. Nazywa się Mourougaine Paniandy.

– Paniandy? To Malbar?

PRZYPOWIEŚĆ O PTAKACH DODO

Godzina 13.19

Laroche zachowuje się jak generał, którego przerósł niespodziewany rozwój batalii. Stoi na dachu policyjnego furgonu, a mgła nasuwająca się pasmami bieli mu włosy i dorabia brodę patriarchy. Lornetka na podczerwień do nocnych obserwacji, teoretycznie pozwalająca prowadzić pościg w ekstremalnych warunkach, nieużytecznie zwisa mu na szyi.

Dwudziestu policjantów kręci się w koło, ledwo się rozpoznają w mglistym woalu, który powoli rzednie, jak funkcjonariusze sił specjalnych pośród bomb łązających po rozpędzeniu manifestantów.

Podchodzi Aja w towarzystwie Jipégo, którego wyraźnie rozbawił spektakl. Jego swobodne zachowanie kontrastuje ze zdezorientowanymi minami policjantów. Laroche odwraca się i patrzy na nią z góry swojej grędy. Zrzucił zaskorupiałą powłokę niewzruszonego dyplomaty.

– Jeszcze tylko pani tu brakowało! Czy nie powinna pani raczej prowadzić dochodzenia w Saint-Gilles, zamiast wtykać swój nochal w naszą robotę?

W takiej sytuacji zwykle odpowiedziałyby, nie przebierając w słowach, ale inspektor wzbudza raczej jej litość, wygląda jak kogut na grzędzie, który wygdakuje rozkazy przerażonym kurom. Poinformował już na pewno najwyższe władze, być może nawet gabinet ministra, że ten typek, trzymając sześćioletnią córeczkę za rękę, przelazł im przez palce pomimo demonstracji siły nienotowanej w historii wyspy.

Żałosny Laroche. To pachnie przeniesieniem na Wyspy Kerguelena, Crozeta lub na Tromelin. Posterunek wyłącznie dla niego, pośród rybitw i pingwinów.

– To was bawi, Purvi?

Pani komisarz macha białą flagą.

– Nie, przepraszam, inspektorze. Przykro mi, że zbyt późno zrozumiałam podstępne posunięcie Belliona.

Laroche schyla się, zwinnie zeskakuje z furgonu, testując przyczepność swoich nowiutkich rangersów. Odgrywa nieustraszonego, tak jakby nadmiar autorytetu mógł wyrównać deficyt skuteczności.

– Proszę się nie martwić, inspektorze, wszyscy daliśmy się podejść.

Nerwowo zapala papierosa, a później ze zdziwieniem obserwuje pomarańczowy helikopter Jipégo. Napis „Wysokie Loty” w poprzek kadłuba i logo spółki, obok ptak w locie. Na koniec inspekcji zerka na rozpiętą koszulę Jipégo.

– Pani komisarz, czy pani przyleciała tu helikostopem? W samej rzeczy wyspiarze mają zadziwiające sposoby... I nie mówię tu tylko o tym durniu Bellionie...

Podchodzi do nich osobnik w białym kepi, trzymający w ręku rozłożoną mapę poszarpaną przez wiatr. Koła współśrodkowe są niezręcznie narysowane flamastrem. Laroche wskazuje palcem i wydaje rutynowe rozkazy. Rozlokowanie odśrodkowe, począwszy od wulkanu. Systematyczne przeczesywanie terenu. Kontakt radiowy.

Daremny trud – myśli Aja. Sto kilometrów kwadratowych lasu do przeszukania... I mówi:

– Inspektorze, interesuje się pan mieszkańcami wyspy? Jeśli pan chce, mam własną teorię na temat niebywalej siły psychicznej mieszkańców Reunionu. Nazywam to syndromem ptaka dodo.

– Ach tak?

Laroche patrzy, jak jego ludzie oddalają się poprzez mgielną zasłonę, przy dźwiękach ćwierkania elektronicznych cykad. Zaciąga się papierosem. Jeśli coś się wydarzy, on pierwszy zostanie zawiadomiony.

– Dobrze, Purvi, nie zaszkodzi, niech mi pani opowie coś o tej waszej wyspie. Co to takiego ten syndrom dodo?

Jipé z rozbawieniem puszcza oko do Aji. Pani kapitan nie daje się długo prosić:

– Przyjezdni często są zaskoczeni, gdy widzą tutejszych mieszkańców, którzy nie są na wakacjach, nie noszą na nogach japoniek, nie mają kwiecistych koszul rozpiętych na opalanej kłacie... Nawet gorzej, zdarzają się tacy, którzy przez cały dzień biegają w krawacie i z teczką w ręku, którzy przeklinają, stojąc w korku, ciskają się jak najbardziej zestresowani paryżanie. Syndrom dodo to właśnie to – powiedzmy, taka sobie historyjka, żeby zrozumiał pan, dlaczego tropikalna opieszałość, refleksyjne usposobienie Kreolów, wszystkie takie gadki, to tylko puste frazesy. Widział pan ptaka dodo, inspektorze? – Aja ciągnie, nie dając mu

czasu na odpowiedź:

– Widział pan chyba, jak wygląda, na etykiecie butelek piwa Bourbon... To maskotka wyspy! Dokładniej mówiąc, znawcy nazywają go tutaj samotnikiem. Dodo jest tym samym ptakiem, ale na Mauritiusie. Jednym słowem, znawcy sądzą, że dodo, albo samotnik, po prostu przyleciał na wyspę. I został. Niegłupie! Reunion to był eden, wyspa bez drapieżców. Żadnego ssaka. Nie było wielkich małąp ani zwierzyny płowej, ani ludzi... Nie było nawet węży czy pajaków. W tamtym czasie dodo wyglądał jak ibis. – Aja pokazuje palcem niedużego ptaszka namalowanego na helikopterze Jipégo, po czym mówi dalej:

– Według dogłębnych badań był to gatunek ptaka ponaddzwiękowego, o opływowej budowie, aby mógł latać nad oceanami. Jednak kilkaset tysięcy lat życia na rajskiej wyspie całkiem zmieniły tego interoceanicznego wyczynowca. Szkielety znalezione na wyspie są pod każdym względem zadziwiające. Bez czyhających wrogów nie ma potrzeby latania. Z pokolenia na pokolenie skrzydła ptaka dodo zanikały, aż stały się śmiesznymi, niepotrzebnymi wyrostkami. I po co biegać? Z czasem wysmukłe ibisy przekształciły się w grube gęsi. Po co się licznie rozmnażać? Coraz rzadziej znoszą jaja. Po co trzymać się razem? Zbiorowości ibisów rozbiły się na tysiące odosobnionych rodzin. Znalezione szkielety wskazują na identyczną ewolucję ptaków dodo z Mauritiusa, drontów samotnych z Reunionu, gołębi z wyspy Rodrigues...

Laroche z rozbawieniem słucha wyводу Aji, a jednocześnie bacznie obserwuje najdrobniejszą wibrację krótkofalówki.

– No i co, Purvi? Cóż można zarzucić tym ptakom? Odkrywają raj na ziemi na wyspach oddalonych od wszystkiego. Przez tysiące lat spokojnie sobie żyją. A co do tych pani osądów estetycznych na temat ich otyłości... Te pani kwoczki mają taką przewagę, że są jedynym gatunkiem na świecie.

Aja uśmiecha się. Larochie nie jest w sumie taki głupi. Tylko że ona nie ma najmniejszej ochoty grać w jego drużynie. Obserwuje ostatnich ludzi z jego jednostki, krzątających się na parkingu Pas de Bellecombe. Piloci helikopterów. Strzelcy wyborowi. Łącznościowcy. Wszyscy biali... bez wyjątku.

Aja patrzy Larochie'owi prosto w oczy.

– Ptaki dodo były wielkimi naiwniakami, zapomniały, że na ziemi nie istnieje raj. Nikt nigdy się nie dowie, ile tysięcy ich było. Kiedy w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym na wyspę przyplłynęli osadnicy, ptaki dodo nie uciekały przed nimi, wręcz przeciwnie. Nawet zapomniały o strachu... Kiedy go odkryły na

nowo w sposób gwałtowny, było za późno. Nie miały już skrzydeł do latania ani siły do ucieczki, nie miały odwagi, by się zjednoczyć. Zostały wymordowane w okresie jednego pokolenia. W końcu siedemnastego wieku na wszystkich Maskarenach nie pozostał ani jeden żywy ptak dodo.

Aja milknie. Laroche wypluwa niedopałek.

– I jaki z tego morał, pani komisarz? Przypuszczam, że jest jakiś morał.

– Ma pan wyższe studia, panie inspektorze. Nie muszę chyba stawiać kropki nad „i”. Wszystkie dominujące większości, wszystkie elity starają się przekształcić innych w ptaki dodo. Kurnik, a w nim posłuszne ptactwo. Wygoda, bezpieczeństwo, lenistwo. Projekt na miarę... Mieszkańcy Reunionu, którzy przeliczają swój zasilek socjalny na butelki rumu Charrette, nie zaprzeczą.

Laroche krzywi się. Jipé się śmieje. Po chwili wahania inspektor klaszcze w dłonie.

– OK, pani komisarz, zrozumiałem. Ptaki dodo, mieszkańcy zamorskich regionów peryferyjnych, kobiety w policji, taki sam los, taka sama walka. Dziękuję za lekcję geografii. Przy okazji będzie mi miło z panią porozmawiać. Trochę szwendałem się po kilku innych terytoriach zamorskich: Antyle, Mayotte czy Nowa Kaledonia, nie zdaje sobie pani sprawy, w jakim stopniu wasza wyspa jest idyllicznym ogrodem eden, chyba jedynym w świecie, bez rasizmu ani międzyetnicznych napięć.

Aja wytrzymuje wzrok inspektora. Nie potwierdza. Ani nie zaprzecza.

Laroche się uśmiecha, wzrusza ramionami i kładzie obie ręce na pasku. Jak jakiś samotny *ranger*, ale taki bardziej mózgowiec, jakby wyjęty prosto z filmu z Clintem Eastwoodem.

– Jeśli pani się zgodzi, pani komisarz, podyskutujemy o tym wszystkim trochę później. Jeszcze coś: nic nowego na temat zabójstwa Rodina i Chantal Letellier?

– Mam swoich ludzi, inspektorze – uśmiecha się Aja. – Gdy tylko będzie jakaś wiadomość, dostanie pan ją pierwszy.

Laroche na tym poprzestaje, odwraca się do technika ze słuchawkami, podczas gdy Aja odchodzi w stronę Jipégo. Sprawdza jeszcze, czy Laroche nie zwraca już na nią uwagi.

– Dręczy mnie jeden problem. Twoim zdaniem – po jaką cholere Bellion wdrapał się z córką aż tutaj?

– To chyba oczywiste, nie? Ze względu na mikroklimat! Na zboczach wulkanu mgła jest najbardziej intensywna i najszybciej się wznosi.

– No dobrze, ale jeśli Bellion chciał zniknąć w zaroślach, mógł porzucić nissana gdzie bądź i od razu wejść w pierwszy lepszy las. Bébour. Bélouve. Plaine des Lianes. Co tylko chciał, szeroki wybór. Bez żadnego ryzyka, nie dając nam żadnej wskazówki.

– Co masz na myśli, Aju?

– Wątkuję ten problem na wszystkie sposoby. Jeśli wszedł aż tutaj, jest tylko jedno wytłumaczenie. Chciał dostać się na drugą stronę wulkanu. Droga nadbrzeżną nie miałby najmniejszej szansy, od razu zostałby złapany. Miał tylko jedno wyjście, na przełaj przez góry i pieszko.

Jipé zastanawia się, jakby w myślach przeczesywał mapę wyspy.

– Jeśli dobrze rozumiem, Bellion celuje gdzieś między Saint-Benoît a Saint-Philippe? No to mamy do przerobienia jakieś sześćdziesiąt kilometrów wybrzeża.

– Za dużo. O wiele za dużo. Jestem pewna, że tak jak przedtem nagle gdzieś się pojawi... żeby potem znowu zniknąć.

Jipé unosi wzrok. Laroche z telefonem komórkowym przy uchu swoimi rangersami zdeptuje popiół na parkingu.

– Powiesz o tym *big bossowi*?

– Raczej zdechnę!

Chmury mgły zaczynają się rozpraszać nad połową gór. Aja wreszcie dostrzega skrawek oceanu, patrząc na wschód.

– Jipé, trzeba być w gotowości, jeśli Bellion się wyłoni... i trzeba działać szybko. Czy... możesz mi dostarczyć sprzęt?

– A dokładniej?

Aja waha się chwilę, ścisza głos i odciąga pilota nieco na bok.

– Sprzęt do pokonania terenu o dwóch tysiącach metrów przewyższenia w czasie krótszym niż jedna minuta. Nie muszę ci chyba dokładnie wyjaśniać. Lotnia, parolotnia...

Jipé przygryza wargę, potem spogląda na ostatnich komandosów na parkingu Pas de Bellecombe.

– Nie chciałbym ci robić przykrości, Aju, ale jeśli zawieszę tych X-Menów na kawałku płótna i puszczę ich na wiejący pasat, szybko znajdą się w środku krateru Dolomieu, upieczeni jak komary na reflektorze halogenowym.

Aja robi oko do pilota i jeszcze bardziej zniża głos:

– Jipé, nie mówię przecież o tych błaznach. Jeśli zajmiesz się dostarczeniem tu sprzętu jedną z twoich ciężarówek, ja – po przeglądzie jednostek na wyspie –

dostarczę ci dwunastu dobrze wyszkolonych i doświadczonych koleś.

Nagle niebo się odsłania. Słońce rozświetla krater. Jipé wprawnym gestem wkłada ciemne okulary.

– Nigdy nie odpuszczasz?

Aja się śmieje.

– Nie, kochany! Syndrom ptaka dodo! Nie chcę skończyć gruba i bez skrzydeł... Żeby mnie oskubali.

– Laroche nie będzie zadowolony...

– Wiesz, gdzie go mam?...

13.27

– Halo, Aja? Tu Christos! Ciągłe jesteś na Pas de Bellecombe?

– Tak. Słuchałeś radia? Dzwonisz, żeby się z nas nabijać?

– Raczej wręcz przeciwnie...

– Że co?

– Wstrzymajcie się jeszcze troszkę, zanim wykończycie Belliona. Chyba odgrzebałem głaz, to znaczy kamień węgielny, którego wyciągnięcie mogłoby zwalić katedrę...

– Christos, możesz mówić jaśniej?

– Mam pewne zastrzeżenia co do bezstronności Eve--Marie Nativel.

– Jasna cholera! Jakież szczegóły?

Podkomisarz opowiada o wizycie Armanda Zuttora na posterunku, o ucieczce Jourdainów na Mauritius, o rozmowie telefonicznej z Graziellą Doré, o liście siedmiu nazwisk pracowników, zaimprovizowanym przesłuchaniu w hotelu Alamanda, o tym, co mówił Gabin...

Aja syczy w telefon:

– Kurde... Jak to przełknie Komenda Główna? Laroche nie jest typem, który zmieni przekonania, gdy usłyszy o niejasnym powiązaniu pomiędzy kreolskimi świadkami w sprawie jakiegoś wypadku sprzed dziesięciu lat.

– Taaak. Ale gdyby sięgnąć w głąb mojej myśli, to jest jeszcze dziwniejsza rzecz. Wiemy, że Komenda Główna sporządzała listę możliwych kontaktów Martiala Belliona na wyspie, aby poddać go inwigilacji. Dlaczego więc nie umieściła na niej Aloé Nativel, jego ówczesnej przyjaciółki? Przecież na pewno wiedzą o jej istnieniu.

Aja przez chwilę się zastanawia, ale nie znajduje wytłumaczenia.

– Muszę tu tkwić, Christos. Bellion może w każdej chwili wyłonić się z mgły. Ale ty zrezygnujesz ze sjesty i do wieczora odnajdziesz mi Eve-Marie Nativel!

– Łatwo powiedzieć, najdroższa. Tamci mówili, że przez cały dzień pracuje na czarno u jakiegoś dzianego żabojada. Nie znajdziesz Kreola, który wydałby swojego pracodawcę...

Aja nie odpowiada. Christos słyszy w telefonie gwizd wiatru od wulkanu.

– Aja? Jesteś tam jeszcze?

– Wiesz co? Chyba mam pomysł.

– Znasz jakiegoś Kreola, który puściłby farbę na temat starej Nativel?

– Taaak... Laïla...

– Kto taki?

– Laïla Purvi. Moja matka!

PANI Z PARASOLKĄ

Godzina 15.27

Martial i Sofa rozgarniają wysokie łądygi trzciny cukrowej. Starają się ukrywać w trzcinie o wysokości prawie trzech metrów i pokonują pierwsze zbocza góry Moka.

– Odsuń się trochę, tato, nic nie widzę.

Jak okiem sięgnąć, zielone i żółte pola wąskimi pasami schodzą do oceanu, oddzielane cienkimi językami ciemnoszarej lawy. To na pewno najbardziej monotonny pejzaż tej wyspy... Tylko dzwonnica kościoła Matki Boskiej od Wulkanów wystaje ponad czubki trzcinowych łądyg jak miniaturowa replika katedry w Chartres.

Roślinny labirynt... Martial zatrzymał się, aby przestudiować mapę. Góra Moka jest starym, zerodowanym kraterem, który w najwyższym punkcie ma niecałe pięćset metrów. Nie może się równać z olbrzymem Dolomieu, który przytłacza go swym cieniem, ale z jego szczytu roztacza się widok na całe południowo-wschodnie wybrzeże wyspy.

Sofa, stojąc na palcach, szeroko otwiera oczy.

– Dlaczego niebieska pani, tam, trzyma parasolkę?

Martial wpatruje się w punkt wskazany przez córkę, tuż pod różową, przybrudzoną dzwonnica kościoła Matki Boskiej od Wulkanów znajduje się figura. Maryja w koronie modli się przy wjeździe do miasteczka Sainte-Rose, ze złożonymi rękami, zwyczajna, jeden tylko szczegół nie przystaje do reszty: Najświętsza Panna trzyma nad głową duży parasol w takim samym kolorze lazurowego błękitu jak Jej szata przetykana złotem.

– To Pani, która nas chroni przed wybuchami wulkanu, kochanie. Tutaj Ją uwielbiają. Widzisz kwiaty u Jej stóp? To kwiaty w podzięce.

– Dzięki niej policjanci nas nie złapali?

– Może...

– Ja też zaniosę Jej kwiaty. Z mamusią...

Martial czuje szybsze bicie serca. Pociąga córkę do tyłu, żeby zakryły ją zarośla. Na tej wysokości mgła całkiem już znikła. Wyjmuje z kieszeni mapę w skali 1:25 000, bardziej dla bezpieczeństwa niż z potrzeby. Zostaje im do przejścia niecały kilometr, wystarczy zejść do wybrzeża oceanu, idąc wzdłuż wąwozu Bambous.

– Kochanie, już doszliśmy! Popatrz tam, w dół, na te ogromne czarne skały wcinające się w morze. To Zatoka Kaskad.

– Tutaj czeka na nas ma...

Dłoń Martiala zakrywa twarz Sofy, zanim dziewczynka zdąży wypowiedzieć koniec zdania. Okropna mokra chustka szarpie jej wargi i wpycha się do ust.

15.41

– To mnie boli, tato...

Rozumiem, ta chusteczka to dlatego, że chciałam powiedzieć coś o mamie. Tata zawsze znajduje jakiś sposób, żeby nic mi nie odpowiedzieć, kiedy chcę o niej rozmawiać.

Tata w końcu wyciąga chustkę z mojej buzi i pokazuje mi ją.

Szybko się cofam. Ze strachu.

Chusteczka jest cała czerwona!

Dotykam palcem twarzy, nic nie rozumiem, nie boli mnie.

Tata ciągle się uśmiecha, tak jakby nic się nie stało. Dopiero po dłuższej chwili pojmuję. Prawda, prawie całkiem zapomniałam, trochę wyżej zerwaliśmy owoce z drzew. To się nazywa gujawa. Przepadam za tym! Opchałam się nimi, prawie tak jak wtedy, gdy chodzimy z mamą na jeżyny do lasu w Montmorency. Tata mi wytłumaczył, że tutaj gujawy tak szybko zajmują miejsce innych drzew, że ludzie, kiedy widzą młode pędy, to je wyrrywają.

Coś takiego!

– Już nie jestem zabrudzona, tato?

– Prawie nie. Wygląda, jakbyś pomalowała się szminką. Chcesz, żebym cię wziął na rękę?

– Nie jestem zmęczona...

I to jest prawda. Nie jestem zmęczona... Ja... jestem wyczerpana! Ale nie pokazuję tego po sobie! Nie po to schodziłam z góry, niemal z księżycą, żeby teraz

zasnąć. Kilka minut przed spotkaniem z mamą!

Tam, Zatoka Kaskad.

Jeśli tatuś nie kłamał od samego początku.

– Byłaś dojrzałą dziewczynką, niesłychanie odważną – powiedział. – Ale zanim zejdziemy nad morze, musimy przeciąć jeszcze jedną drogę i nikt nie powinien nas rozpoznać. Policjanci ciągle nas szukają. Teraz już wiedzą, że jesteś przebrana za chłopca.

– A co to zmieni, jeśli będziesz mnie niósł?

– Twój tatuś o wszystkim pomyślał...

Tata pochyła się i wyjmuje z plecaka okropny, brudny kocyk. Poznaje go. Wziął go z garażu tej pani z niebieskimi włosami, która razem z autem wpadła do dziury bez dna.

– Nakryję cię tym kocykiem, kochanie, i wezmę na ręce. Pomyślą, że niosę drewno, łądygi trzciny do spalenia albo liście pandanowca do wyplatania, tak ludzie tu robią.

Nie wszystko rozumiem. Tata wyciąga do mnie rękę.

– Hej hooop! Moja mała...

Długo się waham, w końcu zgadzam się. Wyciągam rękę do taty.

Gdy tylko moje stopy odrywają się od ziemi, odczuwam, jak ogarnia mnie zmęczenie, przenika całe ciało, jeszcze bardziej ciepłe i czarne od brudu niż ten cuchnący kocyk.

15.43

Martial rusza w drogę. Zejście wąwozem Bambous zajmuje mu niecałe dziesięć minut. Wycieńczona Sofa ziewa w jego ramionach. Kiedy dochodzi do nadbrzeżnej drogi, zasłania ją kocykiem.

Ostatnia przeszkoda do pokonania...

Droga krajowa wydaje się opustoszała. Martial się tego spodziewał, to odcinek najmniej uczęszczany na wyspie, około dziesięciu kilometrów wybrzeża bez jednego mieszkańca. W czasie ostatniego dziesięciolecia co dwa lata języki lawy spływały aż do oceanu, wypalając wszystko po drodze. Trzeba być szaleńcem, żeby zbudować tu sobie dom.

Martial, schowany na skraju trzcinowego pola, cierpliwie czeka i śledzi każdy najdrobniejszy szczegół. Musi być czujny, pomimo że policja nie ma żadnej

wskazówki co do kierunku jego ucieczki po przejściu przez Plaine des Sables. Sofa spokojnie zasypia w jego ramionach; ramionach, które teraz drżą, ale nie pod ciężarem córki.

Raczej z obawy.

Przywołuje w pamięci słowa pospiesznie wypisane na drzwiach szarego clio.

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Jutro

o 16.

Przyjdź z córką.

Tak blisko celu, a w głowie zakiełkowała myśl, że może najlepszym wyborem byłoby dać się złapać policji. Wszystko opowiedzieć... Usiłuje uratować Liane, ale czy nie wystawia Sofy na jeszcze większe niebezpieczeństwo? Martial lekko głaszcze kocyk, mrużąc przez zęby kreolską piosenkę.

Dzieci z gór.

Od dziesięciu lat jej nie śpiewał:

W górach można się zabłąkać

Mgła, ptaki, strumyki

Wołają Marłę,

Żeby tam pójść, potrzeba odwagi.

Sofa, ukołysana, zasnęła na dobre. Jej oddech staje się coraz bardziej regularny, spokojny, ufny.

Wołają Sofę. Żeby tam pójść, trzeba odwagi.

Patrzy na zegarek. Przyjdzie punktualnie.

Martial przepuszcza dwa samochody i furgonetkę z wypożyczalni, po czym przechodzi na drugą stronę szosy. Żadnego gliniarza na horyzoncie.

Nagle odsłania się przed nim zatoka, przepiękna. Wodna feeria w oprawie palm, migdałeczników i pandanowców, które wyglądają, jakby posadził je tutaj jakiś bardzo skrupulatny ogrodnik. Pejzaż jest obramowany wulkanicznymi szczytami, z których spada nieprzerwana kurtyna wodospadów. Woda odpływa strumieniem wijącym się pod mostem, w końcu wpada do morza, znika na plaży pod ogromnymi czarnymi otoczakami. W kontraście do zacisznej oazy tu fale z dziką siłą uderzają w skaliste wybrzeże tak mocno, że trudno sobie wyobrazić, by dziesiątka rybackich łodzi uwiązanych przy wątej przystani odważyła się wypłynąć na otwarty ocean.

Martial ostrożnie posuwa się naprzód. Piknikowicze wypełnili altany, zajęli drewniane stoły i ławy w cieniu lasu. Ich samochody stoją w równiutkich rzędach na krótko skoszonym trawniku, pełniącym rolę parkingu.

Tylko jedno auto złamało zakaz. Stoi zaparkowane w najbardziej niedostępnym miejscu, za przystanią, za kamiennym falochronem.

Czarny samochód terenowy. Chevrolet captiva.

Przed chevroletem stoi mężczyzna. Niski, korpulentny, ciemna cera, łeb tygrysa wyhaftowany na czapce koloru khaki naciągniętej na głowę.

Martial nic nie rozumie. Drżące palce zaciskają się na beżowym kocyku.

Idzie do przodu jeszcze dziesięć metrów.

Malbar wpatruje się w niego z uśmiechem na ustach, tak jakby na niego właśnie czekał. Martial nagle nieruchomieje. Jest jak porażony, a serce wali jak młotem.

Dopiero teraz go rozpoznał.

NIEBEZPIECZNIE JEST WSKRZESZAĆ PRZESZŁOŚĆ

Godzina 15.29

Stara Kreolka nie weszła na posterunek. Położyła dużą płócienną torbę na stopniu schodów i czeka przed progiem, aż ktoś ją zauważy.

Christos przechodzi koło niej w chwili, gdy idzie na parking zapalić: jak długo ta Kreolka tu stoi? Kilka minut? Godzinę?

– Podkomisarz Konstantinov? – pyta rozwlekle. – Matka pańskiej szefowej, Laïla Purvi, namówiła mnie, żebym tu przyszła. Spodziewam się, że to coś ważnego, bo pracodawcy nie za bardzo lubią, kiedy zostawia się werandę posprzataną tylko do połowy.

– To zależy od pani, Eve-Marie. Wyłącznie od pani. Proszę, niech pani wejdzie.

Christos wkłada do kieszeni paczkę papierosów. Eve--Marie stoi nieruchomo. Czy usłyszała, co powiedział?

– Nie – w końcu mówi cicho. – Nie. Ja nie przyszłam po to, żeby złożyć... jak wy to nazywacie...

– Zeznania?

– Właśnie... zeznanie. Przyszłam po prostu, bo...

Stara Kreolka wpatruje się w trójkolorową flagę luźno zwisającą nad posterunkiem, ale nie kończy zdania.

– Bo chce pani mi coś opowiedzieć? – podejmuje podkomisarz. – Historię pani siostrzenicy Aloé?

– No bo obiecałam to Laïli.

Christos unosi wzrok. Starsza kobieta ma oczy barwy morskiego błękitu, takiej samej jak kreolska chustka przykrywająca jej włosy. Pięćdziesiąt metrów dalej, pomiędzy domami, widać prawie pustą plażę.

– Może chce się pani przejść?

Eve-Marie uśmiecha się.

– Dobry pomysł, komisarzu. Poniesie mi pan torbę?

Idą obok siebie w stronę plaży, środkiem ulicy, żaden samochód nie zakłóca im spokoju. Przechodzą obok pomarańczowego szyldu „Mandarine Coiffure”.

– Jest pani bardzo skryta, Eve-Marie.

Kreolka dyszy przy każdym kroku.

– Powiedziałam policji wszystko to, co wydawało mi się potrzebne, komisarzu. Ani razu nie skłamałam.

– Utrzymuje pani, że Liane Bellion nie wychodziła z pokoju 38 w hotelu Alamanda?

Głęboki oddech.

– Tak.

– A wtedy, gdy Martial Bellion pożyczył od pani wózek na bieliznę?

Pauza. Sam środek jezdni. Tuż obok nich przejeżdżają dwa skutery i szybko znikają w porcie.

– Też nie. To było dokładnie tak, jak panu powiedziałam.

– Ale zapomniała pani powiedzieć, że pani знаła Martiala Belliona, kiedy mieszkał tu dziesięć lat temu z pani siostrzenicą, Aloé Nativel.

Idą dalej. Trzy kroki. Plaża jest prosto przed nimi, za restauracją Paul et Virginie. Trzydzieści metrów. Wieczność.

– Komisarzu, jaki związek może mieć ta stara historia ze zniknięciem Liane Bellion?

– To pani powinna mi powiedzieć. Pani powinna mi opowiedzieć historię siostrzenicy.

Stara Kreolka znowu przystanąła. Kilka łez spłynęło jej z oczu otoczonych zmarszczkami. Christos jak opiekuńczy szwagier bierze ją pod rękę. Podtrzymuje ją, gdy metr za metrem posuwają się w stronę piaszczystej plaży.

– Aloé to była złota dziewczyna, panie komisarzu. Cudowna dziewczyna, która nigdy się nie skarżąc, wychowywała swoje rodzeństwo – czworo braci i sióstr. Śliczna jak z obrazka. Cudownie pachniała. Wanilią. Wanilia zawsze rosła w moim ogrodzie w Carosse. Spędzała tam całe godziny, co wieczór po szkole. Dlatego nie mówiłam panu o niej. Niebezpiecznie jest wskrzeszać przeszłość, panie komisarzu...

Niebezpiecznie jest wskrzeszać przeszłość?

Schodzą po kamiennych schodkach na plażę, Eve-Marie zatrzymuje się prawie

na każdym z dziewięciu stopni. Na ostatnim opiera się na ramieniu komisarza i nieskończenie długo zdejmuje buty. Trzyma w ręku płócienne sandały i ostrożnie brnie w piasku.

– Eve-Marie, znam już tę historię – Christos szuka odpowiednich słów. – Los się na nią wziął, mężczyźni ją porzucają, Martial Bellion, Mourougaine Paniandy, Cap Champagne przestaje istnieć. Eve-Marie, muszę usłyszeć dokładną odpowiedź. Aloé była bardzo blisko z małym Alexem Bellionem. Zajmowała się nim więcej niż jego rodzice. Czy była w Boucan Canot tego wieczora, gdy Alex się utopił, trzeciego maja dwa tysiące trzeciego roku? Czy można ją uważać, w jakimkolwiek stopniu, za osobę odpowiedzialną za śmierć tego chłopca?

Eve-Marie zatrzymuje się w piasku. Bardzo długo obserwuje latającego nad nimi faetona, a potem odpowiada z nutą złości w głosie:

– A więc o to chodzi? To pana tak dręczy? Pan myśli, że kłamałam, aby ochronić siostrzenicę?

Urywany śmiech Eve-Marie wzlatuje nad laguną.

– Boże jedyny... Moja biedna Aloé...

Stara Kreolka siada na piasku i przesypuje tysiące ziarenek swymi pomarszczonymi rękami. Christos zastanawia się chwilę, po czym także siada.

– Aloé i Martial Bellion to była piękna para, byli o wiele lepiej dobrani niż z tym głupkowskim Mourougaine'em, chociaż Martial był od niego starszy, chociaż z tygodnia na tydzień coraz więcej zajmował się synem. Młoda i ładna kreolska niania była mu coraz mniej potrzebna. Opuściłby ją kiedyś dla innej, nie tak młodej, ale równie ładnej, Aloé to wiedziała.

– Eve-Marie, nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Martial Bellion odpowiadał za przypadkowe zabójstwo. Był jedyną osobą, którą sędzia Martin-Gaillard postawił w stan oskarżenia. Gdzie przebywała Aloé trzeciego maja dwa tysiące trzeciego roku, w dzień utonięcia Alexa?

– Daleko. Bardzo daleko.

Wzrok Eve-Marie gubi się gdzieś w górze.

– Jeszcze dalej niż tam, gdzie latają faetony.

Czy ona oszalała?

Kreolka uprzedza podejrzenia podkomisarza. Bierze jego dłoń. Jej ręka drży, niemal tak samo jak głos.

– Aloé myślała, że to jej życiowa szansa! Zgłosiła się na casting na plażowej estradzie w lecie dwa tysiące drugiego. Trzeba było zatańczyć w kostiumie

kąpielowym pod palmami kokosowymi na tle zachodzącego słońca. Coś w tym rodzaju... I potem wezwali ją jesienią. Zatrudnili przy kręceniu teledysku do piosenki w metropolii, żadna wyspiarska saga, tylko jakiś antylski zouk. Zapłacili podróż, hotel. Teledysk wiele razy był pokazywany w telewizji w tamtym czasie, przede wszystkim na szóstce. Widać było moją małą Aloé, tańczyła z tyłu, za czarnym piosenkarzem pięknym jak posąg, pośród piętnastu innych, też ciemnych dziewczyn w bikini, tak samo pięknych jak ona. Potem wróciła na Reunion i nigdy więcej jej nie wzywali.

– Trzeciego maja dwa tysiące trzeciego roku Aloé była w metropolii?

– Tak. To chyba nietrudno sprawdzić, na pewno jest jakaś dokumentacja.

Dziwny zbieg okoliczności... kolejny raz. Oczywiście, sprawdzą.

– Nie, nie trzeba – odpowiada jednak Christos. – Czy... czy można porozmawiać z Aloé?

Pomarszczona ręka porusza się jak kawałek suchego drewna. Oczy Eve-Marie znowu wilgotnieją.

– Jeszcze pan nie zrozumiał?

Christos głaszcze uwiędłe ramię starej Kreolki, delikatnie, tak jak uspokaja się bojaźliwą kląskawkę.

– Co miałem zrozumieć?

– Dlaczego w ogóle nie mówiłam o Aloé.

– Kiedy wszystko się zawaliło w jej życiu, sprzedała swoje ciało, tego nie chciała pani nam zdradzić?

Palce lewej ręki Eve-Marie rysują kółka na piasku.

– Przybrała imię Vanille. Klienci znają ją pod tym imieniem, dowiedziałam się o tym znacznie później. Nigdy więcej nie przyjechała do mnie do Carosse. Była rozchwytywana, jak się zdaje. Przez bogatych mężczyzn. Zarabiała dużo pieniędzy.

Jej dłoń zasypuje kółka nagłą burzą piaskową.

– Potem miała ich coraz mniej. Im więcej pieniędzy potrzebowała, tym mniej zarabiała.

– Trawka?

Eve-Marie uśmiecha się.

– Panie komisarzu, heroina. Siedemnastego listopada dwa tysiące dziewiątego roku znaleziono jej ciało w zbiorniku wodnym pod wodospadem Maniquet, powyżej Saint- -Denis. Przedawkowanie – stwierdzili lekarze sądowi. Tutejsze gazety zamieściły kilka linijek o śmierci prostytutki zwanej Vanille. Nikt nigdy nie

poznał jej prawdziwego nazwiska, oprócz policji, jej rodzeństwa, rodziców i mnie. Nawet Martial o tym nie wie.

– Przykro mi, Eve-Marie.

– Panie komisarzu, nie trzeba. Nic już nie może pan zrobić. Przynajmniej zrozumiał pan, dlaczego nie chciałam mówić o mojej małej Aloé. Na tej wyspie niełatwo ukryć rodzinne tajemnice.

Eve-Marie przesypuje między palcami ostatnie ziarenka piasku.

– Panie komisarzu, wracamy?

16.00

Christos i Eve-Marie stoją przed wejściem do budynku posterunku. Z plaży wracali niemal bez jednego słowa. Ani przez chwilę w głowie policjanta nie zaświtała myśl, że Eve-Marie mogłaby coś skłamać.

– Dziękuję za spacer, panie komisarzu.

– To była dla mnie przyjemność, Eve-Marie.

Christosa zaskakuje własna szczerść.

Eve-Marie bierze swoją torbę. Zanim powoli przejdzie przez parking, po raz ostatni odwraca się w stronę policjanta.

– Widzę, że dalej będzie pan sobie gimnastykował mózg, aby znaleźć osobę odpowiedzialną za śmierć małego Alexa. Panie komisarzu, niech pan sobie powie, że nikt nie jest winny. Że to był po prostu wypadek i nikt tu już nic nie zmieni. Wszelka nienawiść na świecie, wszystkie wojny rodzą się stąd, że musimy znaleźć winnych, zawsze, winnych wszystkim nieszczęściom tego świata. Nawet kiedy ich nie ma, nasz umysł ich wymyśla. Nie jest łatwo zgodzić się z tym – zwłaszcza jeśli jest się policjantem – że tak bardzo potrzebujemy winnych i że w końcu ich sobie wymyślamy.

Christos znieruchomiał, nie mógł przerwać tyrady starej Kreolki. Kobieta wbija swoje niebieskie spojrzenie w jego oczy.

– Panie komisarzu, nie trzeba mylić konsekwencji postępków z jego przyczyną. Rozumie pan? Kiedy jesteśmy nieszczęśliwi, przeżywamy to, mając pretensje do całego świata albo do kogoś, kogo mamy ochotę zatłuc, żeby poczuć się lepiej. Nie sądzi pan?

– Ja... Ja sam nie wiem. Mówi pani, że nikt nie jest odpowiedzialny za śmierć małego Alexa, ale mamy zabójcę na wolności, który krąży po wyspie...

Spojrzenie Eve-Marie, przepastne jak ocean, pochłania policjanta.

– Właśnie to staram się panu wytłumaczyć, panie komisarzu. Nie trzeba mylić konsekwencji czynu z jego przyczyną. Kiedy spada na nas nieszczęście, nie chcemy dopuścić myśli, że nie ma winnego do ukarania. Więc dla zmniejszenia cierpień wymyślamy sobie zemstę.

Wymyślamy sobie zemstę – powtarza w myśli Christos.

Czy ta stara Kreolka jest szalona, czy chce mu coś przekazać? Jakaś zakodowaną prawdę? Nazwisko mordercy, który nie jest Martialem Bellionem?

Kiedy plątanina sprzecznych hipotez gmatwa mu się w głowie, na posterunku rozlega się dzwonek telefonu.

Godzina 16.01

Martial zatrzymał się dwadzieścia metrów od Malbara. Nie może zrobić ani kroku więcej. Kładzie na ziemi kocyk, w który zawinięta jest śpiąca Sofa. Malbar stoi nieruchomo za czarnym autem, z twarzą ocienioną czapeczką khaki, i patrzy na Martiala. Za jego plecami fale biją w czarne skały Anse des Cascades, a potem wybuchają pianą.

Martial przez chwilę kalkuluje, czy pójść jeszcze do przodu, czy biec. A może uciekać.

Nie rusza się.

Uporczywie patrzy na Malbara i w myśli znowu odczytuje wiadomość.

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Uzmysłowił sobie, że nie można walczyć z własną pamięcią, która wylewa się, wydobywa na powierzchnię mózgu, elektryzuje każdy z jego zmysłów. Tym razem pozwala na zwycięstwo przeszłości.

Myśli szaleją, wynurzają się wspomnienia, Martial opowiada je samemu sobie, otwiera usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

*

Wszystko zawało się 3 maja 2003 roku.

Był wieczór, sobota, w ten dzień opieka nad synem przypadała Grazielli. Wyjątkowo byłem sam. Moja ówczesna dziewczyna Aloé poleciała do metropolii na casting. Taka krótka przerwa, akurat w dobrym momencie, oboje byliśmy tego świadomi. Każde z nas w swoją stronę, każde po swoją szansę...

16.02

Graziella Doré odgarnia za ucho kosmyk włosów trochę dłuższy niż inne, robi to ostrożnie, jakby się bała, że go uszkodzi, potem odwraca się w stronę Oceanu Indyjskiego.

Przez chwilę rozmyśla o telefonicznej rozmowie z tym gliniarzem. Czy on w ogóle jest w stanie cokolwiek zrozumieć? Nie, na pewno nie. Wygląda na to, że nie jest funkcjonariuszem nadgorliwcem. Czepia się byle czego, gdy tylko pomachać mu przed nosem jakąś marionetką.

Taki sympatyczny leniuszek.

Graziella musi się teraz skoncentrować, a nie bez przerwy wracać w myślach do tego samego filmu. Działać. Zareagować. Ale czy da się zapomnieć?

Każda fala oceanu, która zamiera pod stopami, przypomina jej Alexa.

Jak z tym walczyć?

Przytłaczają ją migawki obrazów. Laguna. Hotel Alamanda. Ucieczka Martiala. Zmarli... Ci niedawni i ci dawniejsi...

Nieżywi nas straszą, żeby o nich nie zapomnieć.

Tym razem Graziella ich nie odtrąca.

To było tak dawno temu...

*

Dokładnie 3 maja 2003 roku – myśli Graziella. Wtedy męczyła mnie tylko jedna obsesja.

Martial nie miał prawa mnie opuścić.

Mógł mnie zdradzać z innymi kobietami, ładniejszymi niż ja, z tą małą Aloé Nativel na przykład, mógł całe noce poświęcać na picie z mężczyznami, mógł przychodzić co drugi dzień, korzystać z mojej forsy, z kucharzy w mojej restauracji, z mojego łóżka, z mojego tyłka, ale nie miał prawa ode mnie odejść.

Nie miał prawa zakochać się w innej.

Zainwestowałam w niego wszystko, tak jak się stawia wszystkie oszczędności na jeden numer w kasynie, na konia, na biznesowy *start-up*, którego notowanie gwałtownie rośnie. Wybrałam go spośród dziesiątków innych pretendentów, byłam przekonana, że zdołam go zmienić, zresztą to mi się udało; był młody, podatny jak glina, jak samorodek do obrobienia, jak żyła cennego kruszcu, którą ja sama odkryłam i potrafiłam eksploatować. Wszystkie moje poświęcenia znosiłam łatwo dlatego, że nasz związek był dziełem perspektywicznym, którego siłę i równowagę

można ocenić dopiero po wielu latach. Cierpliwe, powolne budowanie.

Postawiłam na Martiala, odsuwając na bok wszystkie marzenia, moje inne pasje, nieskończone możliwości, jakie oferowało mi życie, jak studentka gotowa na odłożenie na bok młodości, na pracę dzień i noc w jednym jedynym celu, aby zdobyć nieosiągalny dyplom.

Wybrałam go na ojca mojego dziecka.

Nie, Martial nie miał prawa mnie opuścić dla pierwszej lepszej dziwki.

Dlatego właśnie tamtego dnia przyparłam go do muru...

16.30

Graziella zadzwoniła do mnie prawie trzy godziny po odjeździe Aloé. Odwiozłem Aloé na Lotnisko Rolanda Garrosa. Graziella dowiedziała się zapewne od wspólnych znajomych, którzy powiedzieli jej to w dobrej wierze, że młoda poleciała do Paryża na czas bliżej nieokreślony.

– Potrzebuję cię dzisiaj wieczorem do popilnowania Alexa. Tak, wiem, to mój dzień, ale... ale musisz przyjść. Mam spotkanie wieczorem, spotkanie z mężczyzną. To pierwszy raz, Martialu. Więc proszę, pofatyguj się, przyjdź do Cap Champagne, weź Alexa najpóźniej o dwudziestej drugiej.

Blefowała. Miałem pewność, że blefowała. Nie było żadnego innego mężczyzny, żadnego spotkania. Po raz kolejny używała Alexa jako pretekstu, żeby na mnie zagwizdać, kazać natychmiast przybiec, wykrzyzczyć mi w twarz moje rzekome obowiązki wobec niej i naszego syna. Spróbować jeszcze raz, bo wiedziała, że znowu jestem wolny.

16.04

Martial był zbyt dumny, aby w to uwierzyć, ale tamtego wieczoru nie blefowałam. Po raz pierwszy nie blefowałam. Rzeczywiście postanowiłam oddać się innemu mężczyźnie. Fabrice Martin był adwokatem w dziedzinie prawa ochrony środowiska. Był bogaty i z przekonaniem bronił biologicznej różnorodności wyspy, zabiegając o usunięcie z obszarów chronionych w środkowej, górzystej części Reunionu hodowców i rolników, mieszkających tam od pięciu pokoleń. Nie był za przystojny, jak teraz o nim myślę. Chociaż dwie godziny dziennie biegał w słońcu i gdy tylko miał możliwość, ściągał krawat

i koszulę, żebym podziwiała jego idealnie wymodelowany tors, wciąż miał wygląd wyłysiałego urzędnika z długim nosem doskonale przystosowanym do noszenia grubych okularów krótkowidza.

Tygodniami zebrał o kolację przy świecach. W tamten wieczór przyjąłem propozycję, żeby wzbudzić zazdrość Martiala, oczywiście. Ta mała Kreolka, ledwo pełnoletnia, wreszcie się wyniosła. Wiele miesięcy temu mogłam już ją wyrzucić z Cap Champagne, ale przyciągała klientów. No i dobrze opiekowała się Alexem. Martial nigdy nie potrafiłby tak się zajmować synem... Ale to się skończyło! Tym razem musiał wybierać...

Alex bawił się na plaży Boucan Canot, tak jak to często bywało pod wieczór. Pilnowałam go zza baru Cap Champagne, plaża była już ciemna i opustoszała. Postanowiłam zamknąć lokal najpóźniej o dwudziestej drugiej. Chociaż oficjalnie to nie był dzień Martiala, nie miał wyboru, musiał przyjść po Alexa. Dobrze wiedział, że nie daruję mu nawet najmniejszego spóźnienia... Świadectwo pracowników. Pismo do sędziego. Martial to chłopaczek, który wymaga kary. Byłam na dobrej drodze. Robił postępy. Gdyby do mnie wrócił, byłby doskonałym ojcem.

Tak, Martial przyjdzie po Alexa. Wtedy uświadomię mu, na czym polega jego odpowiedzialność. I przestanie ze mną grać. Teraz już będzie musiał wziąć pod uwagę konkurencję.

Fabrice był młodym, bogatym prawnikiem, wysportowanym, z głową na karku.

Martial mógł mnie stracić, definitywnie.

Nigdy by tego nie zniósł.

16.05

Gdybym nie przyszedł do Cap Champagne o dziesiątej wieczorem, ta wariatka Graziella znowu napisałaby sędziemu stek kłamstw. W takiej sytuacji słowo ojca liczy się tyle wobec argumentów matki, ile słowo czarnego niewolnika wobec jego nadzorca... Około wpół do dziesiątej postanowiłem pójść po Alexa.

Pojechałem do Boucan Canot. Byłem tam parę minut po dziesiątej. Słońce już zaszło, pozostało tylko czerwone niebo jak rozbudzony wulkan. Rozmyślnie zaparkowałem samochód pod kazuaryną, przy końcu plaży, w pewnej odległości od pierwszej latarni.

Szedłem w półmroku, wzdłuż czarnych skał, naprzeciw hotelu Boucan. Z tego

miejsca mogłem obserwować bar Cap Champagne, samemu nie będąc widzianym.

Ta jędza Graziella stała za barem, doglądała Alexa, który bawił się na plaży, dziesięć metrów od niej, w świetle lamp neonowych.

Tak jak się spodziewałem, jej pretekst, czyli elegancka randka, był tylko chimera, która miała mnie tu ściągnąć zaraz po wyjeździe Aloé. Podszedłem trochę bliżej w półmroku, ukucnąłem i przez kilka chwil patrzyłem na bawiącego się Alexa. Uwielbiałem patrzeć, jak wymyka się ze świata dorosłych. Rozmawia z wyimaginowanym stateczkiem, piratem, wymyśla różne fantastyczne skorupiaki. Graziella nie mogła znieść, kiedy w ten sposób trawił czas.

Nie do pogodzenia...

16.06

Martial daremnie ukrył samochód pod drzewem, schował się w półmroku plaży, tak czy owak, przyjechał po Alexa. Sądził zapewne, że go nie widzę, ale zdradzały go oświetlone okna hotelu Boucan za nim. Dyskretnie obserwowałam jego ciemną sylwetkę na ich tle, odwracałam spojrzenie w stronę Alexa, gdy tylko przekręcał głowę w moim kierunku.

Tym razem zrozumiałam. Martial wolał zabrać syna tak, żeby się ze mną nie spotkać, nie zapytać nawet, co u mnie słychać.

Klasyczne...

Sędzia Martin-Gaillard opowiadał mi, że niektórzy rozwiedzeni rodzice tak bardzo nie chcą się do siebie zbliżyć, tak się nienawidzą, że przekazują sobie dziecko, zostawiając je na kilka minut w bezpiecznym łączniku: na klatce schodowej, w parku, na tarasie kawiarni.

Martial tak dalece się nie posunął, ale wszystko było jasne. Nie chciał mnie widzieć. Nie był złym ojcem, nie był nawet niestałym mężem. Ale coś go ode mnie odpychało. Moje groźby, moje podstępny tylko pogarszały sprawę.

Postawiłam na zły numer. Przegrałam.

Nawet jeśli Fabrice Martin daruje sobie podczas kolacji elegancką strategię zbliżenia, dziś wieczorem mu się oddam. Może nawet go pokocham... Może Martial będzie go nienawidził... Nienawidził tak bardzo, że aż zakocha się we mnie na nowo.

Może nie wszystko stracone...

16.07

Przez kilka minut pozostałem w cieniu skał. Nie chciałem, żeby Alex mnie zobaczył. I tak to wszystko było już dla niego skomplikowane, sam fakt, że znalazł się pomiędzy moimi dniami opieki nad nim a dniami matki. Nie rozumiałby, co ja tam robię, w Boucan Canot, w weekend, gdy przebywał z Graziellą. Jeszcze mniej by rozumiał, gdybym nagle odszedł.

Spojrzałem na zegarek. Dwudziesta druga dziesięć. Popatrzyłem jeszcze raz na Graziellę, żeby upewnić się, że obserwuje plażę przez oświetlone okno baru, i oddaliłem się w ciemności w stronę samochodu.

16.08

Obserwowałam samochód Martiala pod drzewami, aby się upewnić, że ciągle tam jest.

A co tam – pomyślałam.

Rozrywkowy wieczór, jeden jedyny, ja też mam do tego prawo.

Nie miałam sumienia pożegnać się z Alexem. W milczeniu siedział sobie na piasku kilka metrów ode mnie. Uprzedziłam go, że przyjdzie po niego tata.

Nic nie powiedział, tylko przesypał piasek między palcami.

Alex był wrażliwym dzieckiem, ale zamkniętym w sobie. To nasze rozstanie w końcu sprawi, że popadnie w autyzm...

Cofnęłam się, powzięłam decyzję, teraz obawiałam się, że stanę twarzą w twarz z Martialem. Jego cień w każdej chwili mógł wyłonić się z ciemnej plaży i zażądać wyjaśnienia, co to za wieczorowa suknia, ta biżuteria na ręce, ten makijaż... Włożyłam żakiet, rzuciłam ostatnie spojrzenie na samochód Martiala, a potem, gasząc światło w Cap Champagne, wzięłam do ręki telefon komórkowy.

Była dwudziesta druga dziesięć, Fabrice czekał zapewne już dość długo we Flagrant Délice, najlepszej restauracji na zachodnim wybrzeżu. Krótko, chłodnym głosem powiedziałam tylko, że zaraz będę.

Przysporzę temu mężczyźnie cierpień. I będę czerpać z tego przyjemność.

16.09

Uruchomiłam samochód i zadzwoniłam do Grazielli, gdy wyjeżdżałam na

wstecznym biegu z ulicy Boucan Canot. Ze zgaszonymi reflektorami. Odezwała się automatyczna sekretarka z telefonu. Nagle wydało mi się to prawdziwym łutem szczęścia, że Graziella nie odebrała. W ten sposób uniknąłem zawiłych wyjaśnień.

„Graziello, tu Martial. Dziś wieczorem nie przyjdę po Alexa. Skończ wreszcie z tymi śmiesznymi pretekstami. Przestań posługiwać się Alexem. Powinniśmy postępować jak ludzie dorośli i odpowiedzialni”.

Potem poszedłem pić z kumplami do baru Bambou, na drugim końcu plaży Boucan, do spelunki, gdzie przedstawiciele wszystkich grup etnicznych z wyspy tłoczyli się przy trzech stołach na dziesięciu krzesłach... Jeden z powodów, dla których Graziella nigdy tam nie postawi nogi, wiedziałem o tym.

16.10

Odsłuchałam wiadomość Martiala na sekretarce o szóstej rano. Nie spałam w domu, Fabrice był kochankiem z małą wyobraźnią, ale wytrzymały. Wysłuchałam wiadomości raz. Nie zrozumiałam. Wcisnęłam niebieski guzik, który mrugał jak kogut na karetce pogotowia, głos Martiala powtórzył:

„Dziś wieczorem nie przyjdę po Alexa”.

Wtedy zaczęłam krzyczeć. Rzuciłam się na szklaną witrynę baru, która otwiera się na ocean. Jak szalona pobiegłam na plażę. Byli tam już jacyś ludzie, ratownik, przechodnie.

A także leżące za gąszczem nóg martwe ciało Alexa.

16.11

Kiedy zadzwonił telefon, nie rozumiałem, o co chodzi.

– Pan Martial Bellion?

Alkohol tłukł mi się po czaszce, a ten gliniarz bardzo głośno wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe słowa. Zostawić sześciolatnie dziecko samo na plaży, bez żadnego dozoru. W nocy. Dziecko, które uwielbiało wodę. Tak bardzo niebezpieczna plaża.

Po pewnym czasie zrozumiałem i to wszystko wybuchło mi w głowie. Nawet nie starałem się czegokolwiek tłumaczyć temu gliniarzowi... Po prostu biegłem, biegłem jak wariat pięć kilometrów od Saint-Paul do Boucan Canot, wykrzykując moją wściekłość na ocean.

Najpierw próbowałem uprzytomnić policjantom, że wczoraj wieczorem Alexem opiekowała się Graziella, podkreślić znaczenie tych kilku minut przed dwudziestą drugą lub po, mówić o wiadomości na sekretarce telefonu w Cap Champagne, której Graziella, jak twierdzi, nie otrzymała. Zwołała około dziesięciu świadków, którzy zeznali, że słyszeli, jak prosiła mnie, żebym wyjątkowo zajął się Alexem, potwierdzili, że widzieli, jak parkowałem samochód około dziesiątej przed hotelem Boucan. Fabrice Martin, adwokat, zaświadczył, że Graziella była z nim na kolacji we Flagrant Délice, że przyszła tam kilka minut po dziesiątej. Wyspa Reunion to niewielka społeczność, zwłaszcza Francuzi, którzy zawiadują zdrowiem, szkolnictwem, policją i wymiarem sprawiedliwości. Fabrice Martin jest dalekim kuzynem sędziego Martina-Gaillarda, któremu powierzono dochodzenie.

Tak łatwo było wszystkim obciążyć mnie, że nie miałem najmniejszej ochoty walczyć, zatrudniać adwokata, który miałby targować się o jakiś tam procent mojej odpowiedzialności za śmierć Alexa. Sędzia Martin-Gaillard kupił moje milczenie, oskarżając mnie o zabójstwo przypadkowe. Byłem wolny.

Opuściłem Reunion miesiąc później, aby wtopić się w szarą monotonię regionu paryskiego. To było dziesięć lat temu. W tamtym czasie myślałem, że mógłbym zacząć nowe życie, to była jakaś surrealistyczna perspektywa przyszłości. A jeszcze bardziej surrealistyczne było wyobrażenie sobie, że mógłbym znowu zajmować się dzieckiem. Właściwie Graziella wygrała. Byłem gotów wziąć na siebie poczucie winy, nieść je, wlec za sobą. Fakt, że Graziella podziela to uczucie, w najmniejszym stopniu nie czyni ciężaru lżejszym.

Rozwiedzione pary dzielą się opieką nad dziećmi żywymi, a nie nad ich zwłokami.

16.12

Martial był jedynym winnym.

Dużo rozmyślałam od tego czasu, sama, bez psychiatry ani żadnego innego powiernika.

Nie było w tym mojej winy.

Wszystko było wyłącznie błędem Martiala. Tamtego wieczoru zjawił się jak złodziej, ukrył się w półmroku, szpiegował naszego syna, a potem odjechał bez

słowa i upił się kilka metrów dalej...

Martial nie miał żadnego usprawiedliwienia. Ani tego wieczoru, ani wcześniej. Nic by się nie wydarzyło, gdyby Martial nas nie opuścił, Alexa i mnie. Alex żyłby, gdyby Martial po prostu zgodził się dalej nas kochać. Albo przynajmniej udawał. Gdyby nie rozsiewał śmierci wokół siebie jak anioł nieszczęścia.

Po decyzji sędziego Martial uciekł jak zawsze.

Ja zostałam.

Próbowałam to przetrwać. Wyrzuciłam czarnuchów i zamknęłam Cap Champagne. Zmieniłam wyspę, zmieniłam morze, ale fale ciągle wyrzucały ciało Alexa.

Każdego ranka.

Tak, wszystko było wyłącznie błędem Martiala. Nawet gorzej.

Potem dużo rozmyślałam.

Martial życzył sobie śmierci Alexa.

Śmierć Alexa to była gratka. Niespodziewana okazja, żeby definitywnie ode mnie odejść. Oddalić się o dziewięć tysięcy dwieście kilometrów. Martial zapewne wiele razy życzył sobie śmierci Alexa. W końcu go zabił w ten wieczór 3 maja, tak samo skutecznie, jakby wbił mu nóż w serce.

Zabójstwo przypadkowe... Sędzia Martin-Gaillard to zwyczajny głupek, jeszcze głupszy niż jego daleki kuzyn. A jednak prawda w oczy kole. Chodziło o zabójstwo zamierzone, jak najbardziej rozmyślne.

Z premedytacją.

Martial postanowił poświęcić Alexa z bardzo wyrazistego powodu.

Zabrał mu życie, bo chciał ofiarować je komuś innemu, kilka lat później.

Małej dziewczynce z jasnymi włosami o imieniu Josapha.

Graziella powoli odzyskuje jasność myślenia. Opiera rękę na czarnym samochodzie, a po jej ciemnych policzkach spływają łzy. Nieważne, i tak obeschną. Teraz już niepotrzebny żaden makijaż.

Naprzeciw niej Martial posuwa się do przodu, trzymając dziewczynkę w ramionach.

Wszystko w porządku.

Zmusza się do uśmiechu, stara się mówić głośno naturalnym głosem, tak by przeniknął przez szum fal rozbijających się o skały.

– Witaj, Martialu, choć raz jesteś punktualny.

DZIELNICA LIGNE PARADIS

Godzina 16.01

– Halo, czy to posterunek w Saint-Gilles?

Christos powoli zdejmuje kapsel z butelki piwa Dodo, po czym leniwie odbiera telefon.

– Taaak... A przynajmniej to, co z niego zostało...

– Christos? Tu Moussa Dijoux. Policja miejska w Saint--Pierre. Kojarzysz?

Christos w wyobraźni przywołuje obraz zwalistego, jowialnego faceta odznaczającego się skłonnością do telefonowania do policjantów z najmniejszym problemem, mocnego klepania ich po plecach i na zakończenie rozmowy wypowiedzenia słów typu: „Dobra, teraz zabierajcie się do roboty”.

Moussa Dijoux ciągnie:

– Myślałem, że to automatyczna sekretarka. Nie pojechaliście wszyscy na polowanie na grubego zwierza?

– No nie, jak widzisz. Powiedzmy, że wyrosłem już z zabawy w traperów.

Dijoux nie próbuje nawet udawać, że wybucha śmiechem. Zły znak.

– No to mam szczęście, że trafiłem na ciebie, Christos. To cała seria! Mam kolejnego trupa, wyobraź sobie. Dzielnicę Ligne Paradis. Uważaj, jedenastoletni smarkacz, który grał w nogę, zadzwonił do mnie z komórki. Czarna kobieta wyrzucona do koryta potoku zapewne przez faceta, który wyżej zatrzymał samochód i wywalił ją bezpośrednio z bagażnika. Cios nożem w samo serce. Wyobrażasz sobie?

Christos, zanim zareaguje, powoli pociąga łyk piwa Dodo. Z ostatnich doniesień wynika, że Bellion ciągle krąży gdzieś w okolicy wulkanu. Raczej nie da się obciążyć go tym zabójstwem. Odpowiada zniechęcony:

– Dziwka?

– Nie, nie sędzę. Kobiątka nie jest za młoda, typ matki dzieciom, ogarniasz? Dość ładna, ale raczej wybujałe kształty, bardzo obfite. Możesz przyjechać?

Christos opróżnia butelkę. Czuje, że będzie musiał umiejętnie rozegrać sprawę, żeby uniknąć tej roboty. Nie miał nawet czasu zatelefonować do Aji czy do Imeldy, aby opowiedzieć im o niewesołym spacerze z Eve-Marie.

– Jestem sam jeden do pilnowania tego baraku. Zważywszy na sytuację, operację „Jastrząb” i ten cały zamęt, chyba rozumiesz – nie da się tego wszystkiego nagle zostawić.

Dijoux mówi coraz głośniej:

– Hej, chłopaki! Przecież jestem funkcjonariuszem miejskim. Nie zostawicie mnie chyba z trupozem na łbie...

Christos wzdycha.

– O, w mordę. To prawo serii. Masz jakieś szczegóły?

– Nie za dużo. Żadnych dokumentów. Żadnej torebki. Znaleźliśmy tylko w jej kieszeni kluczyki od volkswagena, a trzysta metrów dalej czerwone pole z pomarańczowymi wgniecionymi drzwiami, źle zaparkowane, bez kierowcy. Podać ci numery rejestracyjne?

Butelka wyślizguje się z rąk Christosa, spada niemal w zwolnionym tempie, rozbija się na posadzce. Lepki płyn zalewa mu stopy.

Christos nie wykonuje najmniejszego ruchu. Raptem zrywają się wszystkie żyły łączące serce z innymi narządami. Tak jakby jego życie nagle spuściło cumy.

– Halo, Christos? Halo, jesteś tam? No to co postanawiasz? Przyjeżdżasz, do cholery, czy nie?

Godzina 16.13

– Witaj, Martialu – powtarza Graziella. – Dawno się nie widzieliśmy...

Podczas gdy Martial zbliża się do czarnego samochodu, Graziella zdejmuje czapkę w kolorze khaki i kładzie ją na masce. Długie jasnokasztanowe włosy opadają swobodnie. Matowa cera od oczu aż po dół twarzy jest poprzecinana jasnymi koleinami. Jak gliniasta ziemia z wyżłobionymi cienkimi kanałami łez.

Graziella płakała. Jej cynicznie brzmiący głos skrzypi, jakby nie chciała dać przystępu litości.

– Byłam pewna, że zrobisz wszystko, żeby tu przyjść...

Martial zatrzymuje się metr od niej. Jego ramiona obejmują Sofę śpiącą pod beżowym kocykiem. Mówi cicho, żeby jej nie obudzić:

– Przyszedłem, Graziello. Z Sofą. Sam. Dotrzymałem obietnicy. Gdzie jest Liane?

– Spokojnie, Martialu. Jesteśmy tu oboje, ty i ja, żeby znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Bez pośpiechu. Bez złości.

Martial posuwa się o krok. Mierzy wzrokiem swoją byłą żonę.

– Powiedz, że jest żywa. Powiedz mi to natychmiast, bo jeśli nie...

Graziella siada na murku z czarnych kamieni. Nie przypadkiem wybrała miejsce spotkania, kamienne obmurowania brzegu sprawiają, że nie widzą ich spacerujący nad zatoką, a huk fal rozbijających się o kamienne bloki nie pozwala usłyszeć żadnej rozmowy z odległości większej niż pięć metrów.

– Teraz rozumiesz, Martialu. Odpowiedzialność. Rodzina. Strach, który rozdziera trzewia. Proszę, przedstaw mi swoją córkę...

– Ona śpi. No, dobrze, opiekuję się nią. Czego chcesz?

Graziella przepatruje okolicę. Dwadzieścia metrów dalej kołysze się na wodzie ponton Zodiak zakotwiczony o pień pandanowca. Graziella mówi teraz trochę głośniejszym głosem, aby przekrzyczeć huk fal:

– Znaleźć jakieś słuszne rozwiązanie, jak powiedziałam. Wszystkie długi powinny być uregulowane, Martialu, nawet po upływie lat. Nie ma alternatywy, jeśli demony mają nas zostawić w spokoju. Jeśli nie chciałeś ich spotkać, to po co przyjechałeś na wyspę z żoną i córką?

Martial podnosi głos, tak jakby wzmocnienie tonu miało skruszyć chorobliwy spokój byłej żony:

– Bo demony istnieją tylko w twojej głowie, Graziello. I opuściłeś wyspę, zabierając je ze sobą.

– Nie, Martialu. One tu zostały, w Alamandzie, w Boucan Canot, w Cap Champagne. One były uśpione, ale ty je wywołałeś, przyjeżdżając tutaj.

Graziella patrzy po kolei na ocean, wodospady, a potem wbija wzrok w oczy Martiala.

– Naprawdę myślałeś, że zdołasz uciec przed swoją przeszłością?

Martial zachwiał się. Ciężar w jego ramionach staje się nie do udźwignięcia, ale on nie chce ulec. Musi zyskać na czasie, żeby ochronić Sofę. Przypomina sobie telefony, jakie nękały ich dzień po przyjeździe na Reunion.

„To ważne, że przyjechałeś rozliczyć swoje długi, Martialu. Gdy kupuje się szczęście na kredyt, kiedyś trzeba za to zapłacić.

Życie za życie. Życie twojej córki za życie mojego syna.

I będziemy kwita”.

Graziella mówi dalej tym samym tonem jak sędzia beznamiętnie przedstawiający fakty:

– Na pewno myśleliście o tym, żeby zawiadomić policję. Może nawet rozmawialiście z nią dyskretnie. Ale co mogliście im powiedzieć? Poprosić o to, by otoczyli was ochroną? Który policjant obwiniłby mnie na podstawie zwykłych gróźb? Który uwierzyłby wam na słowo bez przeprowadzenia choćby pobieżnego dochodzenia?

Telefoniczne groźby sprzed tygodnia dźwięczą w głowie Martiala.

„Josapha ma prawo do sprawiedliwej rozprawy. Lata śledztwa. Jest już za późno na odwołanie, Martialu. Jeśli jakikolwiek policjant się do mnie zbliży, zada mi jakiegokolwiek pytanie, zabiję twoją córkę”.

Ten sam zimny głos, który dzisiaj triumfuje.

– Byłam pewna, że nie zaryzykujecie... Rodzice dziecka, któremu grozi śmierć z ręki porywaczy, mogą zaryzykować i zawiadomić policję. Wyobrażają sobie, że celem porywaczy jest uzyskanie okupu, a nie zabicie ich dziecka. Ale w twoim przypadku, Martialu, nie było mowy o prawdopodobieństwie, chodziło po prostu o termin zapłaty, o to, jak opóźnić egzekucję, aby dalej mieć nadzieję...

Martial milczy. Krzywi się. Przypomina sobie wizytę Liane na posterunku policji w Saint-Benoît. O mało co nie opowiedziała wszystkiego policji. On czekał w samochodzie, wymógł na niej obietnicę, że nie zdradzi ich nazwiska. Nie było żadnego dowodu przeciw Grazielli, a w odwecie za policyjne dochodzenie Bóg jeden wie, do czego byłaby zdolna.

– Znam cię dobrze – mówi dalej Graziella. – Po raz kolejny próbowałeś uciekać, ale wszystkie loty były zarezerwowane, prawda? Albo trzeba było lecieć z przesiadkami, co jest niebotycznie drogie. To przekracza twoje możliwości! Ponosimy odpowiedzialność za ciężar, który kładziemy na szali: gdybyś nie poślubił dziewczyny bez jednego grosza, byłbyś już może daleko... Nie mogłeś uciec przed wyrokiem. Uwięziony na wyspie. Bez możliwości ochrony. Kat mógł zaatakować w każdej chwili. Tym razem pilnowałeś córki, prawda, Martialu? Nie zostawiłeś jej na plaży nad laguną. Niepokoiłeś się. Odgrywałeś swoją rolę ojca. Grzeczny jak więzień mający nadzieję, że za dobre sprawowanie wynegocjuje zmniejszenie kary.

Nie odpowiadać. Zyskać na czasie.

Graziella co pewien czas rzuca spojrzenie na ponton.

– Grzeczny... Ale przygotowywałeś ucieczkę. Gratuluję ci, Martialu, próbowałeś prześlizgnąć się przez mysia dziurkę, której nie zauważyłam. Rozpracowanie waszej strategii zajęło mi trochę czasu. Liane nagle znika, a wy urządzenie przedstawienie, żebyś został posądzony o jej zabicie. Dwie niegroźne ranki, kilka kropel krwi tu i ówdzie w pokoju hotelowym na widoku. Pożyczasz wózek od sprzątaczk tak, żeby kilku pracowników cię zauważyło: Liane wychodzi z pokoju, ale nikt tego nie widzi, jak najbardziej żywa, a wszyscy będą przekonani, że przewozisz jej zwłoki. Oczywiście wszystkie ślady obciążają ciebie. Policjanci nie będą mieli wyboru, muszą cię zaarrestować, a Sofę oddać pod ochronę sądową. Dwa dni później zjawia się Liane, kilka godzin przed odlotem samolotu. Po prostu ucieczka – tłumaczy. Policjanci przepraszają, zwalniają was, a wy odlatujecie do metropolii... Wasz plan był skomplikowany, ale dobry.

– Mój plan – wtrąca Martial. – Na początku Liane nie chciała się zgodzić. Nie chciała zostawić Sofy samej ze mną.

Graziella spogląda w stronę niedostrzegalnych cieni ponad wodospadami.

– Ale na swoje wielkie nieszczęście ona także cię posłuchała. Zapomniałeś o jednym szczególe, Martialu, duchy są podejrzliwe. Nieustannie was obserwowałam. Liane mogła podziwiać na ścianach mojego domu w Saint-Pierre kilka wzruszających rodzinnych fotografii. Kiedy zostawiłeś ją na parkingu hotelu Alamanda, po tym jak wyjechała w wózku na bieliznę, Malbar w czapce z daszkiem koloru khaki na nią czekał i zaprosił do chevroleta.

Tym razem Martial nie może się powstrzymać:

– Jeśli ty ją...

– Spokojnie – przerywa Graziella powolnym ruchem ręki. – Nie odwracaj ról, Martialu. To ty próbowałeś ułatwić żonie ucieczkę. I nie udało się. Znałeś reguły. Kara. Kryminał. Nieszczęsna Liane w gruncie rzeczy nic nie jest winna. Nie ma sobie nic do zarzucenia, chyba tylko to, że ciebie spotkała na swej drodze. Czy zdajesz sobie sprawę, że sam wykopałeś grób dla siebie i dla twojej rodzinie?

Martial cofa się o metr, opiera plecami o pień drzewa, aby zmniejszyć ciężar w ramionach. Musi chronić Sofę przed tą wariatką tak długo, jak się da.

– I... zabiłaś tego gościa w porcie w Saint-Gilles? Tego Rodina?

– Przez ciebie, Martialu. Wyłącznie przez ciebie. Gdyby nie twój idiotyczny plan, ten czarny dalej by żył. Odwrócił głowę w złym momencie, wtedy gdy wkładałam Liane do bagażnika. Dostarczyliście mi narzędzie zbrodni, w torebce Liane był nóż z jej krwią na ostrzu, a na rękonożki twoje odciski palców. Najdłużej wahałam się przed poderżnięciem gardła tej staruchy, u której spędziłeś noc. Na ulicach w Saint-Gilles mijałam twoją małą Sofę. Przebraną za chłopca. Chłopca, Martial! W wieku Alexa! Tak jakbyś ty też zrozumiał, że nie ma innej możliwości, jak tylko wymienić jedno życie na drugie. Reszta już nie była skomplikowana. Jechałam za nią. Ukryłam się dziesięć metrów od domu. Kilka minut później wróciła ta stara. Wyobraź sobie, co by było, gdybym jej nie zatrzymała, gdyby znalazła cię w swoim domu. Byłbyś zmuszony wbić jej nóż w gardło, żeby zamilkła... Nie mam racji? Wolałbyś poświęcić córkę? – Graziella unosi wzrok, patrzy na byłego męża i mówi dalej: – Nie, oczywiście, że nie, ale dalej uważałbyś, że za nic nie jesteś odpowiedzialny. Mogę ci zadać jedno pytanie, Martialu?

Martial wyszukał sobie tymczasowe niewygodne siedzisko, to znaczy oparł pośladki na piramidzie z korzeni powietrznych, które przytrzymują przy ziemi pień

pandanowca. Wybiera milczenie. Kilka kolejnych sekund wygranych. Graziella nie ustępuje:

– Zastanawiam się, w którym momencie zorientowałeś się, że twój plan wziął w łeb. Sądzę, że już pierwszego wieczoru, Liane miała do ciebie zadzwonić, powiedzieć, że wszystko idzie dobrze, że jest ukryta, tak jak było umówione, że możesz odegrać swój numer przed policjantami... – Graziella robi zaplanowaną pauzę, po czym kontynuuje: – Chyba że nie zadzwoniła...

Martial, wbrew sobie, znowu wspomina swój rosnący strach, po tym jak zawiadomił policję w Saint-Gilles o rzekomym zniknięciu żony. Przez cały wieczór nie było żadnego telefonu od Liane... A potem zabójstwo Rodina. I wiadomość na drzwiach wynajętego samochodu. „Spotkanie przy Anse des Cascades”. Jak gliniarze pojęli fakt, że facet gotów dać się oskarżyć radykalnie zmienia postawę kilka godzin później?

Niemożliwe. Żadnej nadziei z tej strony.

Martial chwyta się trzech słów. Ciągłe tych samych:

– Gdzie jest Liane?

Graziella uśmiecha się uspokajająco.

– Martialu, ona żyje. Jest przy życiu, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Czeka na ciebie w ciepélku, okazała się bardziej odporna, niż myślałam. – Uśmiech od razu zamiera. – Dosyć gadania, Martial, mam to gdzieś, czy twoja żona przeżyje, czy nie, ona była tylko przynętą, po to, żebyś przyjechał tu z córką. Obudź ją teraz. Postaw na ziemi. Skończmy już z tym.

Martial usiłuje myśleć w jak najszybszym tempie. To już jest cud, że Sofa nie słyszała wyznań i grózb Grazielli. Czy była żona naprawdę jest zdolna do zamordowania dziewczynki z taką samą zimną krwią, jak zabiła dwóch kłopotliwych świadków?

Jego oczy błagają o łaskę.

– Nie mieszaj do tego Josaphy, Graziello. Ona nie ma nic wspólnego z perypetiami dorosłych. Ona nie...

Złośliwy uśmieszek po raz pierwszy wykrzywia matową twarz Grazielli.

– O nie, Martialu. Co to, to nie. To na pewno nie jest historia dorosłych. Czy obliczyłeś sobie, ile lat miałyby teraz Alex? Nie, jestem tego pewna. Miałyby szesnaście lat. Byłyby pięknym młodzieńcem. Przejmowałabym się jego przejściem do liceum, szukałabym mu najlepszej szkoły – matura międzynarodowa, sztuki stosowane, nauki ścisłe. Może nawet pojechałabym do metropolii, żeby zapewnić

mu jak największe szanse wstąpienia na najlepszą uczelnię. Obudź córkę, Martialu. Ona musi zwrócić życie, które zabrała.

Martial zastanawia się, czy zaryzykować, chwycić byłą żonę za gardło i tak długo ścisnąć, aż przyzna, gdzie jest więziona Liane.

Za późno.

Graziella uprzedzała każdą reakcję Martiala. Niespodziewanie wyciąga spod tuniki czarny mały rewolwer.

– To hämmerli – zaznacza. – Szwajcarski, piekielnie drogi, ale zapewniono mnie, że jest najcichszy ze wszystkich dostępnych na rynku. Gwarantuję ci, że huk fał zagłuszy wystrzał.

Celuje w niego.

– Postaw małą na ziemi, Martialu. Postaw ją albo strzelam.

Godzina 16.14

Wyschnięte koryto potoku w dzielnicy Ligne Paradis jest ściekiem pod gołym niebem, do którego mieszkańcy wrzucają niepotrzebne rupiecie i odpadki. Zardzewiałe puszki, dziurawe opony, telewizor bez kineskopu, stęchłe gazety, dziesiątki pustych butelek, popruty dywan, gąbki, kartony, metale, szkło, odchody; ta obrzydliwa mieszanina przy każdej nawałnicy spływa z góry w stronę oceanu; także truchła kotów, psów, szczurów.

Zwłoki Imeldy.

Wyrzucona tam, jak jeszcze jeden śmieć.

Christos zszedł do koryta, obiema nogami stanął w ohydny szlamie. Przytula do serca zimne już ciało. Opanowany żądzą morderstwa, pragnie bomby, wybuchającej lawy; chciałby być Bogiem, spuścić czterdziestodniowy deszcz, wiekuisty płacz, wzbudzić wiatr i przypływ morza; jednym ruchem zrównać wszystko z ziemią, żeby tony wody, ziemi i łąjna z wybrzeża nawietrznego przemieściły się na drugą stronę wyspy; pochłonęły wszystkie kolory skóry, wszystkie rasy, wszystkie te miernoty z małych domków i willi.

Na chodniku ponad ściekiem stoi Moussa Dijoux i nie waży się wypowiedzieć jednego słowa. Szeroki porozumiewawczy uśmiech zamiera mu na ustach, kiedy tylko ujrzał Christosa wysiadającego z policyjnej mazdy pick-upa.

Biec.

Pokazać legitymację policjanta i przeciąć tłum.

Wyć do śmierci jak pies.

Christos przyklęka. Zanurza dłonie w długich kędzierzawych włosach Imeldy. Jak potwór, który właśnie się budzi z uspienia, jego instynkt myśliwskiego psa wynurza się z długiej zimy.

Wszystkie pytania, jakie sobie zadaje, odbijają się od szklanej ściany.

Kto mógł zabić Imeldę?

Dlaczego?

Co ona robiła w tej obskurnej dzielnicy niemal natychmiast po wyjściu z posterunku w Saint-Gilles, zaraz po tym, jak się rozstali?

Co się teraz stanie z dziećmi?

Christos stara się wyprzeć obraz pięciorga dzieci.

Dumne wejrzenie Nazira. Nogi Doriany, chude jak u kłaskawki, którymi szybko przebiera w za dużych szortach. Nieśmiałe zamyślenie Amica, w wykrzywionych okularkach. Perlisy śmiech Joly, która przy tym pada na kolana. Duże okrągłe oczy małej Dolaine w wózeku.

Pięcioro dzieci, które trzeba zawiadomić.

Nad korytem gęstnieje tłum. Stare kobiety w słomkowych kapeluszach, dzieciaki z gilem pod nosem, w podartych koszulkach, Kreole lamentujący i tacy, którzy chichoczą. Wszyscy zapewne biorą Imeldę za matkę dzieciom, ofiarę zwyrodnialca męża.

Banalna sprawa, chociaż łyżki tego gliniarza wzbudzają zainteresowanie.

Dijoux po przyjacielsku wyciąga rękę.

– Chodź, Christos. Daj rękę, nie wskrzesisz jej.

Christos ani drgnie. Szuka komórki w kieszeni. Musi zadzwonić do Nazira. On jest najstarszy. Musi zająć się chłopcami i Joly. Także małą Dolaine. Palce Christosa wyczuwają miękki plastik i rozpoznają torebkę trawki, skonfiskowaną dzisiaj Nazirowi.

Imeldzie na tym zależało. Od szóstej rano stała w drzwiach wyjściowych i wypuściła Christosa dopiero, kiedy znalazł narkotyk, z łatwością, pod materacem.

Nazir, piętnaście lat. Palacz haszyszu. Także handlarz. Sierota.

Odpowiedzialny za czworo rodzeństwa?

Najpierw musi odpowiadać za siebie. Najważniejsze, żeby nie przerzucił się na kokę.

Christos myśli o małej Joly w sukieneczce księżniczki, którą uszyła jej matka. O Amicu, któremu Imelda obiecała pokazać morze, kiedy tylko nauczy się jeździć na dwukołowym rowerku. O daniach, jakich dzieci już nie będą jadły, o jarzynach, które zgniją w ogrodzie; o domu, który popadnie w ruinę.

Christos sądzi, nie wierząc w to za bardzo, że dzieciaki mają może jakiegoś wuja czy kuzyna; kogoś dorosłego przynajmniej, na kogo można liczyć. No i jest

przecież opiekuńcze państwo.

Ręka natrafia na telefon komórkowy. Przybliża go do ucha, nie wie, co powie Nazirowi, nie wie, kto odbierze. Zastanawia się, czy zawiadomienie telefoniczne to dobry pomysł. Czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, by pójść do domu Imeldy?

Oczy mrugają, gdy patrzą na ekran telefonu.

Ktoś dzwoni!

Kciukiem wywołuje imię osoby telefonującej.

Aja.

Nie jednego sygnału nie usłyszał, lecz pięciu.

Jest też esemes.

„Zadzwoń, do cholery”.

Odruchowo Christos dzwoni.

Kolejny unik.

Przenikliwy głos Aji eksploduje mu w uchu:

– Christos, niech to szlag, co jest z tobą? Dzwoniłam dwadzieścia razy do centrali posterunku. Gdzie jesteś, do cholery...? Potrzebuję cię. Natychmiast.

– Mów, słucham cię.

Aja przez chwilę milczy, jakby była zaskoczona potulnością swojego zastępcy.

– Dzwonił agent z ITC Tropical, odnalazł samochód wynajęty przez Belliona! Hej, Christos, co się dzieje, masz jakiś dziwny głos?

– Nie martw się o mnie, Aju. Jakoś przetrwam.

– Na pewno? Czuję, że coś jest nie tak. Gdzie jesteś? Jakiś problem?

Christos podnosi głos:

– Później, Aju. Co z tym wynajętym samochodem?

– Nigdy byś się nie domyślił, gdzie agent znalazł clio. Ten dureń Bellion zostawił auto na parkingu wypożyczalni pomiędzy innym autami do wynajęcia! Avenue de Bourbon, niecałe trzysta metrów od hotelu. Gdyby nie klient zwracający samochód godzinę temu, koleś zauważyłby to dopiero jutro. Co o tym myślisz? Hej, Christos, jesteś tam?

– Taaak.

– Brałeś coś czy jak?

– Już jadę, Aju, nie przejmuj się.

– OK. Wal tam. Polegam na tobie, wyciągnij, co się da, z tego auta. I jeszcze jedno, Chris...

– Co?

– Dobrze cię znam, kochany. Coś jest nie tak. Nie wiem co, nie zawracam ci głowy, jeśli nie chcesz o tym mówić, ale obiecaj mi przynajmniej, że będziesz uważał. Lubię cię.

– Dziękuję, mała. Wzruszasz mnie.

Kończy rozmowę. Pies myśliwski łapie trop.

Imelda została zabita po tym, jak przejrzała na posterunku wszystkie dokumenty sprawy Belliona. Zamordowana nożem, jak Rodin, jak Chantal Letellier. Tyle że jeśli chodzi o zabójstwo Imeldy, Martial Bellion ma żelazne alibi: uciekał przez Plaine des Sables, może o tym zaświadczyć trzydziestu zaprzysiężonych policjantów. Wniosek nasuwa się sam: Bellion nie zabił Rodina. Ani Chantal Letellier.

Prawdziwy morderca krąży gdzieś po wyspie.

Typ, który wbił nóż w serce Imeldy.

Christos przecina barierę gapiów, jak jakiś gość niespełna rozumu, który wjeżdża samochodem w tłum dzieciaków.

Rusza. Pisk opon mazdy.

Kogut wyje. Zakręty ciągną się w smrodzie palonej gumy.

Auta jadące od Saint-Louis ostrożnie rozjeżdżają się na boki.

Na każdym zakręcie widoki ukazują się, a potem znikają: barwne wieże są wymiatane jak zapałki, niebieskie minarety meczetów, biała dzwonnica kościoła, wykrzywające się stwory na dachu świątyni Gol jak szarlatani, którym Christos zwykle zatrząskuje drzwi przed nosem.

Pick-up ociera się niemal o stoiska z owocami, przechodniów na chodnikach, ścina zakręty.

Może się zdarzyć, że wyleci z drogi, hamulce mogą zawieść, ale on nic sobie z tego nie robi.

Godzina 16.17

Palce Grazielli zaciskają się na spuście pistoletu Hämmerli.

– Mówię po raz ostatni, postaw małą!

Martial stoi wyprostowany, oparty o pień pandanowca. Postanowił nie ustępować, dopóki nie będzie miał dowodu, że Liane żyje.

– Gdzie jest Liane?

– Martial, zaraz strzelę do dziecka!

– Gdzie jest Liane? – powtarza Martial cicho, nie wykonując gwałtownych ruchów, aby pokazać, że nie chce zrobić żadnego gestu, który mógłby obudzić Sofę.

Graziella zwleka. Jej palec wskazujący powoli zgina się na spuście. Martial mocno trzyma w ramionach małe uspione ciało, modląc się, aby Graziella nie wystrzeliła z bliska. Zapewne marzyła o bardziej uroczystej egzekucji.

Perswadować dalej.

– Sofa przeszła wyspę pieszo, aby zobaczyć matkę. Mogłabyś jej pozwolić...

Graziella uśmiecha się i zwalnia nacisk palców na pistolet.

– Nie zmieniłeś się, Martialu. Zawsze tak samo zdolny do obrony swojej sprawy. No to już, jeśli tak ci na tym zależy, idź tam.

Lufą pistoletu wskazuje morze i zacumowany ponton Zodiac.

– Idź pierwszy.

Martial posuwa się ostrożnie po czarnych kamieniach zalewanych przez fale. Stara się utrzymać równowagę bez pomocy rąk. Co najmniej przez kilka metrów. Graziella już nie nalega, by obudził Sofę. Zrozumiała, że przy tak zajętych rękach nie podejmie żadnego desperackiego manewru przeciw niej.

– Prawie już doszedłeś – oznajmia Graziella za jego plecami. – Zajrzyj do łodzi.

Martial robi jeszcze jeden krok. Zodiac uwiązany do drzewa dwumetrowym sznurem jest nieustannie wstrząsany przez rozpryskujące się fale. Martial najpierw

dostrzega dwa dwudziestolitrowe kanistry z benzyną umocowane obok silnika.

Potem dostrzega Liane.

Leży na dnie pontonu. Zakneblowana, ręce i nogi spętane kablem.

Jest żywa.

Martial odwraca się, jego oczy pałają wściekłością.

– Co jej zrobiłaś?

W spojrzeniu Grazielli drży jakiś ognik.

– Dopiero teraz domyślasz się, że to nie zabawa? A ten czarny, a ta stara Francuzica? Tak naprawdę miałeś gdzieś ich śmierć. Ale te twoje dwie pieszczoszki...

Martial trzęsie się ze złości. Jednak panuje nad sobą, znowu odwraca się w stronę łodzi. Liane patrzy na niego nieobecny wzrokiem, jakby nie mogła go rozpoznać.

Jest całkiem naga. Ciało ma pokryte bąblami, tak jakby jakiś perwersyjny oprawca setki razy ją poparzył, nie omijając ani jednego centymetra skóry. Zwyrrodnialec, który pastwił się bardziej nad niektórymi częściami ciała: stopy poczerniałe od oparzeń rozgrzanym do czerwoności polanem, nadgarstki wypalone do żywego mięsa, krocze szkarłatne, podrażnione tarciem niekończącego się korowodu kochanków.

Graziella staje między Martialem a jego żoną.

– Miałeś rację, szkoda by było, gdyby Liane nie mogła oglądać tego widowiska. W końcu udało jej się przeżyć, aby mogła zobaczyć córkę. Zasłużyła na to, żeby przytulić jej zwłoki.

Graziella znowu zaciska palec wskazujący na spuście pistoletu Hämmerli.

– Martial! Mówię po raz ostatni, chciałabym, żebyś przedstawił mi Sofę.

– Odwal się!

Liane odruchowo porusza się w łodzi Zodiac. Graziella nawet na nią nie spogląda.

– Zdecydowanie, Martialu, nie można powierzyć ci dziecka... A więc śmierć Alexa niczego cię nie nauczyła?

Martial nie zdążył zrobić najmniejszego gestu. Palec Grazielli nagle się zgina. Wycelowała prosto w serce, z odległości niecałego metra od ciała Sofy.

Rozlegają się trzy strzały zagłuszone hukami fal.

Trzy trafienia dziurawią kocyk. Niemal natychmiast tkanina nasiąka krwią.

Palce, nadgarstki, rękawy Martiala także zabarwiają się na czerwono. Zaraz

potem krew perli mu się w kącikach oczu, wypełniając je mnóstwem szkarłatnych żyłek.

Spojrzenie obłąkańcze.

Wściekłość absolutna.

Martial, osłupiały, przyciska drobne ciało do piersi.

Graziella stoi niewzruszona, ciągle trzyma wycelowany rewolwer.

– Josapha dołączyła do Alexa. Życie za życie, Martialu. Nic już nie jesteśmy sobie dłużni. Trzeba było ją poświęcić, żebyś wreszcie zrozumiał. Żebyś zrozumiał, co to znaczy zwariować z bólu i upajać się żądzą zemsty.

Godzina 16.23

Człowiek z agencji ITC Tropicar wygląda jak świadek ślubny, którego znieściana wezwano do pracy. Pognieciona koszula, sflaczały krawat i plamy potu pod pachami.

– Całe szczęście, że klient zadzwonił w sprawie problemu z klimatyzacją...

Christos nie słucha. Ten człowiek ma jak najęty, zwykły handlowiec, który uważa, że ma do spełnienia misję z zakresu więzi społecznych. Christos podchodzi do szarego clio, nie myśląc o tym, co też mógłby znaleźć w samochodzie porzuconym przez Belliona. Cierpka gula tkwi mu w gardle. Gość zarznął trzy niewinne osoby i tym gościem nie jest Martial Bellion. Christos jest teraz tego pewien.

– Całe szczęście, że umiem liczyć do siedmiu – ciągnie pan Tropicar. – To nie taka bagatelna rzecz, co nie, samochód, który sam wraca do domu. A zwłaszcza samochód zabójcy.

O mało nie udusi się od napadu rehotliwego śmiechu.

Słońce, jakby zawstydzone, ukryło się za jedynym obłokiem ponad laguną. Sinoblady cień uczynił jeszcze bardziej obskurnym wypłowiwały fiołkoworóżowy kolor domu ajenta, przesuwają żelazną bramę, szereg identycznych samochodów.

Pan Tropicar nie ustępuje. Analizuje opony policyjnej mazdy zaparkowanej w poprzek parkingu. Na brunatnoczerwonej ziemi widać ślady nerwowego poślizgu i nagłego hamowania.

– Całe szczęście, że hamulce wytrzymały jazdę z góry, panie komisarzu. Mógł pan się zabić. Znałem takiego jednego, który wypożyczył renault lagunę, żeby pojechać do Salazie, a na końcu pięćdziesiątego zakrętu...

Christos chwyta mężczyznę za krawat.

– Zamknij się! Zrozumiano? Otwieraj clio, wyciągnij umowę wypożyczenia, przynieś wszystko, co dotyczy Belliona, a przede wszystkim zamknij pysk!

– OK, OK – bełkocze pan Tropicar z szeroko otwartymi ustami jak ryba. Drepcząc, odchodzi w stronę liliowego budynku, który służy za lokal biurowy.

16.27

Christos szukał w schowku, pomiędzy siedzeniami, pod dywanikami.

Nic. Żadnego śladu. Jedynie kolekcja reunistycznych piasków wszelkich odcieni: od białego do czarnego.

A zresztą czego miał się spodziewać? Powróci tu, on czy ktoś inny, przyniesie *polilight* i próbówki, ale co wykryje analiza kryminalistyczna oprócz tego, że Martial Bellion i jego córka pozostawili swoje odciski, że ich klapki-japonki nawnosiły ziarenek piasku, a po zastosowaniu odpowiednich metod będzie można z nich odtworzyć dokładną mapę miejsc, które odwiedzili na wyspie? Czy to w jakimkolwiek stopniu przyspieszy śledztwo?

Pan Tropicar wraca z plikiem zielonych i niebieskich kartek w rękę. Z zainteresowaniem i podziwem obserwuje Christosa, który dokładnie ogląda samochód.

– Niech pan niczego nie dotyka – podkomisarz wydaje polecenie, wysiadając z auta. – Przyjadą koledzy, zajmą się piaskiem i odciskami palców w samochodzie.

– Całe szczęście. Tak jest w umowie. Należy zwrócić samochód lśniąco czystością.

Rechotliwy śmiech.

Z serii głupich posunięć, które nie przyspieszą dochodzenia, Christos najbardziej chciałby przyłożyć mu pięścią w mordę. Poprzestaje jednak na luźnym opuszczeniu rąk wzdłuż tułowia. Zabójca na wolności krąży po wyspie. Christos nie wykrył żadnego śladu. Musi powiedzieć pięciorgu dzieciom, że ich matka nie żyje. Wszyscy bogowie wszystkich religii świata obecni na wyspie nic sobie z tego nie robią...

Nagle wyłania się słońce, rozświetla konstelację połyskujących karoserii. Pan Tropicar puszy się z dumy na widok swojej Mlecznej Drogi wypucowanej kawałkiem irchy. Tylko clio Belliona psuje całość. Przybrudzony. Pokryty kurzem. Zwłaszcza szyby drzwi. Promienie słońca przenikają przez nie i uwydatniają ślady rąk, palców.

Christos nieruchomieje, osłupiały z wrażenia.

Tak jakby któryś z bogów gdzieś w górze, urażony do żywego, palcem wskazał prawdę, żeby nawrócić tego nędznika, niedowiarka, który go obraził.

Na szybie drzwi od strony kierowcy widoczny jest wyraźny napis.

Fantastyczne, prawie nierealne.

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Jutro

o 16.

Przyjdź z córką.

Godzina 16.28

Biegnę tak szybko, jak potrafię. Pośrodku pola trzciny cukrowej widzę jeszcze mniej niż we mgle nad wulkanem, ale nie zwalniam. Rękami rozgarniam łądygi, które smagają mnie po twarzy i gołych nogach.

Ciągle myślę o słowach taty, kiedy mnie obudził, tuż przed szeroką drogą.

„Biegnij, skarbie, biegnij na pole, prosto przed siebie, kieruj się odgłosami samochodów, ale staraj się, by cię nie było widać. Aby ułatwić sobie orientację, patrz na wieżę kościoła. Nie wbiegaj na górki, nie zbiegaj na dół, biegnij zawsze na tym samym poziomie, żebyś się nie zgubiła. Pani z parasolką, Sofo, pamiętasz? Musisz dotrzeć do Pani z parasolką. Tam będą ludzie. Dużo ludzi. Będziesz uratowana”.

Długo płakałam.

Wiedziałam od samego początku. Tata mnie okłamywał.

Nigdy nie zobaczę mamy. A przecież powiedział, że tu czeka, przy czarnych skałach, zaraz za drogą.

No więc tata ukucnął przy mnie. Tak lubię. Potem zaczął bardzo szybko mówić, prawie bez zaczerpnięcia oddechu.

„Masz rację, skarbie, mama jest po drugiej stronie drogi. Ale jest coś, czego ci nie powiedziałem. Jest jeszcze inna pani, która na nas czeka. Pani, którą twój tata kiedyś kochał, dawno temu, mama Alexa, wiesz, twojego starszego brata, który nie żyje. Ona przez to jest bardzo nieszczęśliwa, przez śmierć Alexa stała się niedobra, bardzo niedobra. Jak czarownice z twoich książeczek, jak Baba Kalle, rozumiesz, Sofo? No więc musisz nam pomóc. Jesteś moją księżniczką, skarbie?”.

Miałam zbyt ściśnięte serce, żeby odpowiedzieć.

„– Tak... tak.

– No to musisz biec, Sofo, musisz biec i powiedzieć wszystko czarodziejce z parasolką, ona nas ochroni. Musisz pobiec jak najszybciej”.

Tato, ja już nie wierzę w czarodziejki.
Jednak biegnę, biegnę tak szybko, jak nogi mogą mnie nieść.
Bo tym razem ci wierzę.

16.29

Trzy rozgniecione gałązki gujawy leżą na kamieniach. Czerwony lepki sok wypływający z owoców jest prawie natychmiast zmywany pianą fal, które atakują otoczaki. Razem z gałązkami spadł na ziemię beżowy kocyk, wygląda jak duch przestraszony trzema wystrzałami. Czwarta gałązka, grubsza, owinięta byle jak liśćmi trzciny cukrowej i pandanowca, dla nadania jej kształtu małego dziecka, potoczyła się kilka metrów dalej.

Graziella powstrzymuje wybuch nienawiści. Hämmerli drży w jej ręce.

– Gdzie jest dziecko?

– Jest bezpieczne, kochana...

Graziella posuwa się do przodu. Lufa rewolweru jest już kilka centymetrów od piersi Martiala. Ciemny podkład kosmetyczny na jej twarzy, poprzecinany łzami i zmarszczkami wygląda jak maska wojownika. Graziella usiłuje rozluźnić się, zachować kontrolę nad sytuacją i nad sobą samą.

– Co to ma być, ta twoja komedia?

– Miałem przyjść z kartą przetargową, by odzyskać Liane, tak jak prosiłaś. Czy myślałaś, że jestem aż tak głupi, że oddam ci Sofę? Po prostu chodziło o to, żeby jak najdłużej była ze mną, na pewno w kółko słuchałaś radia, śledziłaś pościg na bieżąco. Gdybym powierzył Sofę policji, natychmiast byś się o tym dowiedziała, wszystkie media od razu ogłosiłyby to triumfalnie!

Graziella wybucha wymuszonym śmiechem.

– Jakie to wzruszające... I także bardzo śmieszne. W takim razie mała musi być gdzieś blisko. Przy odrobinie szczęścia zdążę jeszcze wykończyć was oboje i objechać okolicę autem, by ją wytropić.

Na moment Graziella odwraca spojrzenie i zerka w stronę pontonu Zodiac. Martial tym razem się nie waha. Znienacka wysuwa rękę przed siebie i wierzchem dłoni podbija pistolet, odrzucając go dwa metry dalej.

Broń wpada między dwa otoczaki.

Graziella rzuca jakieś przekleństwo. Martial gwałtownie ją odpycha. Dostrzega pistolet, rzuca się w jego stronę, jednym susem przeskakuje dwumetrową

odległość. Odwraca się i celuje. Ta wariatka wresz...

Słońce chowa się za czarnym księżycem.

To ostatni obraz, jaki ma przed oczami. W następnej chwili czarny otoczek, który Graziella trzyma obiema rękami, wbija mu się w skroń.

16.31

Czarodziejka z parasolką!

Jest, na wprost, widzę wielki niebieski parasol nad trzcina.

Prawie jestem na miejscu!

Tata powiedział, że to parasol, nie parasolka!

Niebieska czarodziejka nie widziała mnie, ma oczy i łagodny uśmiech przeproszającej mamusi.

Ciągle rozgarniam łądygi trzciny cukrowej. Od tego bolą mnie ręce, to tak jakbym musiała płynąć w morzu tnących alg, ale teraz są już rzadsze, myślę, że niedługo dotrę na sam koniec plantacji.

Mogę biec jeszcze szybciej. Słyszę odgłosy z drogi, widzę domy w oddaleniu, tata prosił, żebym zaczepiła pierwszą spotkaną osobę i powiedziała, że nazywam się Josapha Bellion.

„Tylko się przedstaw – powiedział tata. – Pierwsze, co ta osoba zrobi, to wezwie policję”.

Jak każesz, tatusiu.

Jeżeli sądzisz, że w walce z wiedźmami policja jest bardziej skuteczna niż czarodziejki...

Sofa nigdy nie uzyska odpowiedzi.

Niespodziewanie przekracza ostatnią zasłonę z trzciny cukrowej, wpatrując się w niebiesko-złoty parasol. Ani przez chwilę nie pomyślała, że plantacja trzciny cukrowej nagle się skończy, a dalej już będą tylko zastygłe języki lawy.

Najpierw prawa stopa trafia na gąbczaste zbrylenia czarnej lawy. Sofa traci równowagę. Lewa stopa z kolei zawadza o bryłę porowatego wulkanicznego tufu.

Dziewczynka toczy się parę metrów. Widzi niebieską czarodziejkę z parasolem, która wiruje w powietrzu, jakby rzucała wyzwanie nieważkości; czuje, jak jej własne ciało rozdziera się na koronce z czarnego kamienia.

Nie zdąży zapłakać. Ani cierpieć.

Głową uderza o niegruby pień drzewa, które usiłuje przecisnąć się przez wąskie szczeliny ostygłej lawy.

ZAPĘTLENIE

Godzina 16.32

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Jutro

o 16.

Przyjdź z córką.

Christos w kółko powtarza w pamięci te pięć linijek i dziesięć wyrazów.

Nieznana ręka, zapewne Martiala Belliona, próbowała zetrzeć napis na szybie drzwi od strony kierowcy szarego clio, rozmazując z grubsza kurz na szkle, jednak podświetlona przez promienie słońca każda litera jest doskonale czytelna. Palec, który to pisał, starannie dociskał każdą prostą kreskę, każdą krzywą, każdą kropkę.

Pismo zaokrąglone i nerwowe.

Pan Tropicar stoi nieruchomo z pięcioma kwitami wynajmu w ręku. On także wpatruje się w wyrazy napisane na drzwiach auta. Na twarzy gliniarza, który stoi przed nim, maluje się takie napięcie, że agent uważa za stosowne rozładować atmosferę.

– Całe szczęście, że rozpoznałem samochód seryjnego killera, zanim władowałem go do myjni.

Rechotliwy śmiech więźnie mu w gardle. Christos w ogóle nie zareagował, tak jakby nie słyszał. Tropicar nie nalega. Zawodowiec. Obok humoru dwie inne cechy dobrego handlowca to wyczucie taktu i znajomość psychologii...

Christos w skupieniu podchodzi bliżej do szyby.

Spotkanie.

Anse des Cascades.

Godzina 16.

Odruchowo spogląda na zegarek.

16.33

Kto mógł umówić się z Bellionem na to spotkanie?

Christos wbija wzrok w szybę, nie mając nadziei, że wychwyci jakiś inny ślad. Słońce przez szybę bardzo go razi. Rozwiązanie jest jednak tuż-tuż. Te pięć linijek na pewno wystarczy, by zrozumieć przyczynę fali morderstw.

Przyjdź z córką.

Christos czuje, że to go przerasta. Ma przed oczami wszystkie części układanki, a nie potrafi ich złożyć. Imeldzie się to udało.

Dlatego nie żyje, a on nie jest w stanie jej pomścić.

Znowu patrzy na zegarek, w końcu odpuszcza. Czas gra na jego niekorzyść jak w grze szybkościowej, gdy nie należy upierać się przy poszukiwaniu rozwiązania problemu, jeśli nie rozwiąże się go w trybie natychmiastowym.

Christos po raz ostatni odczytuje wiadomość. Nie dysponuje co prawda wieloma szczegółami, ale przynajmniej wie o miejscu spotkania, godzinie i o osobach zaproszonych. Musi zawiadomić Aję. Ręka nerwowo szuka telefonu.

Wszystko rozgrywa się w następnych paru sekundach. Zdecydują o tym jego palce, nie on, coś niezwykłego, tak będzie myślał zawsze, kiedy przypomni sobie tę scenę po latach.

Palce grzebią w płóciennej kieszeni, omijają torebkę trawki, sięgają jeszcze niżej. W chwili gdy zaciskają się na telefonie komórkowym, dotykają złożonej kartki. Palce wskazujący i środkowy układają się, by wyciągnąć z kieszeni e-mail przysłany z Mauritiusa od Grazielli Doré, jedna strona niewyraźnie zadrukowana zbladłą czerwienią. Spojrzenie Christosa przebiega blade logo hotelu Blue Bay,

siedem częściowo zatartych nazwisk Kreolów i na samym dole napisane ręcznie i zeskanowane: nazwisko, adres, numer telefonu i podpis Grazielli Doré.

Pismo zaokrąglone i nerwowe.

Graziella Doré
3526 Blue Bay Link Road
Mauritius
+230 248 1258

Serca Christosa bije coraz szybciej.

Przypatruje się po kolei każdej samogłosce z pięciu linijek napisanych na szybie clio, a potem porównuje je z ledwo czytelnymi literami imienia.

Anse des Cascades.
Graziella.

Pismo jest niewyraźne, Christos nie wie nic o grafologii... ale nie ma tu miejsca na wątpliwości: na szybie clio, tak jak w e-mailu, litery „e” i „a” mają taki sam kształt. Otwarta pętla zakręcona w spiralę.

Wkręt bez końca. Kręcone schody ku szaleństwu.

Ajent samochodowy ze zdziwieniem obserwuje Christosa, ten zaś miota się jak plażowicz, który wdepnął w meduzę, wykrzywia się, wyjmuje telefon komórkowy, gra na nim jak wirtuoz, a potem wrzeszczy tak, że chyba wszystkie kameleony lamparcie pospadają z drzew kazuaryny.

– Aja? Słyszysz mnie? Tu Christos. Na Boga, myliliśmy się od samego początku! Bellion jest niewinny! To jego była żona, Graziella Doré, to ona od początku nami manipulowała.

– Poczekaj, Christosie, nie tak szybko. Skąd się wzięła? Myślałam, że jest na Mauritiusie.

– Aja, do cholery jasnej, choć raz mi zaufaj. Anse des Cascades. Wyślij tam ludzi, ilu tylko zdołasz. Może mamy jakąś szansę, żeby ich uratować.

– Nic nie rozumiem. Kogo uratować?

– Uratować Martiala Belliona i jego córkę! Posłuchaj mnie, to jest cholerna pułapka. Graziella ściągnęła ich z tamtej strony wyspy w określonym celu. Żeby ich sprzątnąć! To był jedyny cel tego całego cyrku! Zabić ich oboje, tak jak zabiła Liane Bellion.

Godzina 16.35

Martial, z krwawiącą skronią, skulił się na dnie pontonu; nieznośny szum przygłusza rozproszone myśli. Przebłyski pamięci jak stroboskop odtwarzają minuty, które właśnie minęły.

Stracił przytomność na krótko, na tyle, że Graziella zdążyła odrzucić bazaltowy kamień i związała mu ręce i kostki u nóg drutem, który wozila w terenowym aucie. Koszmarne przebudzenie, była żona trzyma mu nad karkiem pistolet Hämmerli, każe mu czołgać się do pontonu, nie udzielając najmniejszej pomocy; poprzestaje – stojąc na kamieniach – na obserwowaniu każdego ruchu jego ciała, zachowuje się, jak dziecko, które z sadyzmem torturuje dżdżownicę. W końcu Martial wpada do łodzi, głową naprzód; ubranie nasiąka wodą morską z krwią, stojącą między plastikowymi uszczelkami.

Liane...

Jest obok niego, ma spętane kostki i przeguby, ręce na plecach, jest całkiem naga, z wyjątkiem knebla, który zatyka jej usta.

Okrutnie poparzona. Żywa...

Podczas gdy Graziella zdejmuje cumę, Liane niezdarnie pełźnie w poczerwieniałej wodzie, zbliża się do Martiala, przytula do jego torsu. Wzrokiem zadaje jedyne ważne dla niej pytanie:

Gdzie jest Sofa?

Martial odpowiada cicho, prawie szeptem, żeby nie sprowokować Grazielli:

– Z Sofą wszystko w porządku, Liane. Jest bezpieczna.

Graziella wsiada do pontonu i pociąga rozrusznik. Obrzuca wzrokiem parę więźniów, nie zwracając uwagi na pieszczoty inwalidów.

– Później odwiedzę wasz drogi skarb. Ktoś musi się nią zająć, kiedy was już nie

będzie.

Liane toczy wzrokiem gorgony. Martial podciąga się do burty łódki, aby uspokoić Liane i zarazem wyrzeć wrażenie na Grazielli.

– Josapha jest już w rękach policji. Nie da się wygrywać na wszystkich frontach.

Graziella wybuchła śmiechem i wciska gaz. Łódź rusza do przodu, zderza się z przybrzeżnymi falami. Najbardziej gwałtownymi. Liane i Martial tracą równowagę i wpadają na siebie.

– Twoja naiwność jest doprawdy rozczulająca, Martialu. Myślisz że się wywiniesz? Ciagle jeszcze nie rozumiesz? Policja szuka ciebie! To ty zamordowałeś tego biednego Rodina, ty zarżnąłeś starą Chantal Letellier. Ty wbiłeś nóż w serce tej upierdliwej czarnuchy. Jesteś jedynym winnym, Martialu, ile razy trzeba ci to powtarzać? Wyobraź sobie, że nikt nigdy nie odnajdzie twojego ciała ani ciała twojej żony. Co pomyśli policja? Że zabiłeś też żonę i rozpląnąłeś się w przyrodzie. Kreole uwielbiają takie kryminalne opowiadania. Staniesz się sławny. Jak Sitarane, tylko bez grobu, seryjny morderca, którego ciało nigdy się nie znajdzie. Czy Martial Bellion naprawdę nie żyje? Będziesz legendą. Niektórzy Kreole oświadczą, że spotkali twego ducha w zaroślach...

Spojrzenie Grazielli gubi się w obłokach. Martial zaciska pięści. Przykłada skroń do burty pontonu, aby otrzeć ciągle ciekącą krew. Skaliste wybrzeże jest już tylko cienką czarną linią, nad którą dominuje ogromna sylwetka wyschłego wulkanu. Wypłynęli poza pierwsze morskie prądy, morze nagle się uspokoiło.

– Teraz pojmujesz sytuację? – pyta Graziella. Przez chwilę milczy, potem jeszcze go dobija: – Nieszczęsny Martialu, po raz kolejny dokonałeś złego wyboru. Wszystko przemyślałam: nawet jeśli zabiję twoją córkę, nie zwróci mi to Alexa. Ale kiedy was już nie będzie, pójdę do twojej małej Sofy. Mogę też zaproponować, że zaadoptuję tę biedną małą sierotkę, straumatyzowaną, to byłoby szlachetnie z mojej strony, czy ktoś mógłby odmówić powierzenia mi córeczki mojego byłego męża?

Martial zastanawia się, czy odpowiedzieć stekiem obelg. Nie warto. Wie, że Graziella tylko na to czeka. Długo się wpatruje w byłą małżonkę, rzuca wyzwanie spojrzeniem, z całą męską energią, jaka mu jeszcze została. Potem odwraca się i zaczyna całować Liane z bezgraniczną czułością w części ciała mniej pokryte bąblami. Oczy, ramiona, przedramiona, dekolty.

Graziella nie reaguje. Poprzestaje na obserwowaniu ich uciekającym wzrokiem, z prawą ręką zaciśniętą na sterze.

Martial robi swoje. Zsuwa się niżej, nawilża wargami pociemniałe piersi Liane, brzuch, a na nim szkarłatne piętna, purpurowe fałdki, martwy naskórek, liże rany jak kot, który goi sobie okaleczenia szorstkim języczkiem. Powoli oddech Liane zmienia się w ochryplę, głuche rżenie poprzez knebel z tkaniny.

– Przystań się wygłupiać, Martial.

Nie przestaje, przedłuża tę ustną wędrówkę, z większą delikatnością. Między udami Liane naskórek jest już tylko żywym mięsem. Martial i tam się zapuszcza. Ciało żony drży przy każdym pocałunku.

Zodiac zatrzymuje się na pełnym morzu. Graziella celuje z pistoletu.

– No dobrze, chcesz grać dalej, Martial? No to już, zasada jest prosta, celuję dokładnie w to miejsce ciała twojej ukochanej, którego dotkniesz. Rozumiesz? Jeśli to ramię, noga, ręka, będzie żyła jeszcze kilka minut. Jeśli co innego, to...

Martial przez krótką chwilę ocenia determinację w spojrzeniu Grazielli. Przypomina sobie trzy kule wystrzelone z bliska w kocyk, pod którym miała się znajdować śpiąca Sofa.

Martial się wycofuje.

Zodiac płynie dalej.

Przez dłuższy czas w ciszy oddala się od brzegu.

16.41

– Masz zamiar dopłynąć na Mauritius tym pontonem?

Graziella wydaje się rozbawiona pytaniem Martiala.

– Mauritius jest sto siedemdziesiąt kilometrów stąd, zaledwie trzy godziny żeglowania. Morze gładkie jak tafla, prognoza dla marynarzy jak najbardziej sprzyjająca. To będzie piękny rejs. Jedyne niedogodność to benzyna, którą trzeba mieć w zapasie, żeby uzupełnić w drodze. Zresztą przez ciebie musiałam już wczoraj tu przypłynąć i wrócić, zaraz na początku twojej ucieczki. Ogłoszono operację „Jastrząb”, więc wiedziałam, że gliniarze będą mnie przesłuchiwać na Mauritiusie. Trzy godziny w łodzi... Umówiłam się z nimi późnym wieczorem, żebym zdążyła obrócić, polecieć samolotem nie byłoby zbyt ostrożnie, przypłynęłam nocą, kilka godzin po złożeniu zeznań w Blue Bay przed policjantem z konsulatu. Chevrolet czekał na mnie nad Anse des Cascades. Nie chciałam

zostawiać was samych zbyt długo z tymi wszystkimi policjantami depczącymi wam po piętach, a przede wszystkim musiałam przenieść areszt twojej żony z mojego domu w Saint-Pierre do więzienia z widokiem na morze, dwa kroki stąd... No i byliśmy umówieni... Żeby cię zwabić, starałam się jak najdłużej utrzymać przy życiu moją przynętę.

Martial z bólem wyobraża sobie piekło, jakie przeżyła Liane. Teraz unika przytulania się do niego, jej ciało przylega do dna łodzi. Pociemniała skóra cała w pęcherzach, lśniąca od śliny, wygląda jak połatany plastik lalki dla dorosłych.

Graziella wpatruje się w horyzont, tak jakby Mauritius był już widoczny.

– Oczywiście pracownicy Blue Bay nie wiedzieli, gdzie jestem, ale mieli kierować telefony na moją komórkę. Czy jestem na Mauritiusie, czy na Reunionie, to nic nie zmienia, wystarczy zwykły iPhone, aby wysłać jakikolwiek oficjalny dokument. Policjant, z którym niedawno rozmawiałam przez telefon, wydawał się bardziej rozgarnięty niż ten z konsulatu, bardziej dociekliwy, ale jemu także opowiedziałam to, co chciał usłyszeć. Francuzi uwielbiają historie Kreolów, którym ciąży los, to takie ich ciągoty paternalistyczne, stara śpiewka. Chyba natrafił na ślad tej nieszczęsnej Aloé Nativel... Aloé, pamiętasz ją, Martialu? Jeszcze jedna twoja ofiara. Gdyby cię wtedy nie spotkała, dzisiaj miałaby sympatycznego męża, ładny, ukwiecony dom i z pół tuzina dzieciaków...

Aloé?

Jeszcze jedna ofiara?

Martial nie odpowiada, stara się wyrzucić z pamięci dawną kochankę.

Nie rozpraszać się...

Musi chronić Liane i Sofę.

Obserwuje horyzont. Znajdują się dopiero niecały kilometr od brzegu. Zarys wulkanu jest doskonale widoczny.

– Co z nami zrobisz?

Graziella patrzy w niekończący się widnokrąg.

– Martialu, przypominasz sobie tygodnie, które spędzałam sama, kiedy wypływałeś nurkować na pełne morze? Opowiadałeś mi o stokach kontynentalnych, jednych z najgłębszych na świecie, ponadstumetrowych, zaledwie kilkadziesiąt metrów od brzegu. Uważnie słuchałam, Martialu... Zapamiętałam... Jeszcze trochę poczekam, aż będziemy nad równiną abisalną. Nie mogę ryzykować, jeśli chcę się zaopiekować małą Sofą, nikt nigdy nie powinien znaleźć waszych ciał... – Z fałszywym zatroskaniem na twarzy Graziella przygląda się

zakrwawionej skroni Martiala i otwartym ranom pokrywającym ciało Liane. – Chyba że opadanie na dno będzie krótsze, niż powinno... Sprawiedliwość rekinów jest wymierzana szybciej niż sprawiedliwość ludzka.

Martial usiłuje kontrolować każdy ruch ciała, który mógłby zdradzić strach. Nie sprawić Grazielli takiej przyjemności. Przysuwa się bardziej do Liane, pozostawia zaledwie kilka centymetrów między jej nagim ciałem a swoim mokrym ubraniem. Posłuszni nakazom Grazielli, nie dotykają się, ale ich oczy zatapiają się w sobie nawzajem, tęczy łączą się jak farby na palecie malarza, dusze się zespalają mocniej niż za sprawą jakiegokolwiek pieśczoły.

Dopóki będą żywi, Graziella pozostanie bezsilna wobec tej więzi.

Zodiak niemal wzlatuje na spokojnym oceanie. Wyspa się oddala.

Koniec. Pozostali całkiem sami.

16.44

Mijają sekundy punktowane tylko głośnym warkotem silnika łodzi pontonowej. Liane ostrożnie zmienia pozycję. Opiera się nogami i z wielkim trudem siada, opierając się plecami o pneumatyczną burtę, tak jakby pozycja leżąca stała się dla niej nie do zniesienia.

Graziella poprzestaje na tolerancyjnym uśmiechu strażnika i znowu patrzy na ocean.

Martial zerknął i zrozumiał. Opuszcza wzrok w stronę lekko rozchylnych dłoni Liane, związanych na plecach.

Maskuje swoje zaskoczenie.

Palce ściskają ostry bazaltowy bolec, około dziesięciocentymetrowy.

Liane znowu spojrzeniem prosi Martiala o zgodę. Niema prośba o małżeństwo.

Na wieczność.

Na złe, wyłącznie na najgorsze.

Patrzy na horyzont, na wulkan, który zniknął w poziomej linii mgły, po czym kiwa głową. Liane krzywi się. Napinają się mięśnie jej rąk. Otwierają się rany, cieknie krew, teraz to już mało ważne.

Graziella natychmiast dostrzega, że coś jest nie tak.

Za późno.

Po chwili wybuch zagłusza warkot silnika, rozlega się przeciągły ostry gwizd

pękającego balona.

Graziella głośno krzyczy, wyłącza silnik, celuje z pistoletu i gwałtownym ruchem odpycha Liane.

Rozdarcie plastikowej powłoki jest długie na mniej więcej dziesięć centymetrów i szybko się powiększa pod ciśnieniem ulatującego powietrza. Za kilka chwil Zodiac będzie już tylko sflaczałą plastikową powłoką ściągniętą na dno oceanu pod naporem zbyt ciężkiego silnika i sześćdziesięciu litrów benzyny.

– Co za pomyśleńcy! – wymyśla im Graziella.

Stojąc w łodzi, z namysłem ocenia odległość od brzegu.

Jeden kilometr, chyba nie więcej.

Grymas pojawia się na jej twarzy. Usiłuje zapanować nad sytuacją.

– Stanowczo lubicie mi ułatwiać robotę. A w sumie... czy umrzecie tu, czy trochę dalej...

Z dziury ciągle dmucha na nich ciepłe powietrze. Liane stacza się na Martiala, gdy łódź przechyla się pod ich ciężarem. Nieporuszona Graziella zachowuje równowagę.

– Bardzo wątpię, czy zdołacie dopłynąć do stałego lądu ze związanymi nogami i rękami. Co do mnie, nie ryzykuję wiele... Trudno, rejs nie wypalił, wrócę na Mauritius banalnie, samolotem.

Wpatruje się w turkusową wodę.

– Ucałuję od was Sofę.

Kiedy woda zaczyna pokrywać sflaczałą powłokę Zodiacą, Graziella rozrywa tunikę, ukazując dwie kamizelki ratunkowe, jedna na drugiej; ostatnia część jej przebrania za korpulentnego Malbara.

Po chwili jest już tylko czerwonym punkcikiem unoszącym się na oceanie.

16.46

Martial się dusi. Woda dostała mu się do ust. Wypluwa ją. Zodiac zniknął w głębinie jak ogromna przezroczysta meduza rzucona na pastwę podmorskich prądów. Liane przytula się do niego. Wyczuwa jej podbrzusze, tuż przy jego, ale nie są w stanie sobie pomóc. Pozbawieni możliwości ruchu rąk, oboje są nieubłaganie ściągani na dno, ale jeszcze walczą, rozpaczliwie poruszając związanymi nogami jak dwiema śmiesznymi płetwami.

Ich ciała dotykają się, uderzają o siebie.

Pocałować Liane, ostatni raz.

Tuż nad powierzchnią wody usta Martiala muskają policzek Liane. Jego zęby zwierają się na taśmie samoprzylepnej podtrzymującej knebel i zrywają ją szybkim ruchem szyi.

Liane głośno krzyczy z powodu niespodziewanego, nieludzkiego bólu.

Ułamek sekundy.

Toną razem. Ich usta się odnajdują.

Ocean nie może im przeszkodzić, całują się na wieczność, dzielą się tlenem, uduszą się nim, nie wdychając już nic z siebie nawzajem. I tak umrą. Najpiękniejszą śmiercią, jaką para kochanków może sobie wymarzyć.

Nie myślą już o próbie wynurzenia.

Martial dostrzega pobliski zaświatów, pośmiertną kaplicę o koralowych mieniących się ścianach.

Kiedy swobodnie opada, zaskakuje go nagłe ukąszenie Liane. Ich spojrzenia spotykają się po raz ostatni. Liane patrzy w górę. Metr wody nad nimi.

Martial czuje, jak woda wciska mu się w płuca, zalewa jego mózg, wywołuje ostatnie zwidy. Otaczają go koral nie tylko w głębinie, ale także w górze, nad nim. Niezwykłe barwy: czerwony, pomarańczowy, błękitny.

Majaczy.

Liane znowu go gryzie, tym razem w brodę, aż do krwi. Jej oczy błagają, chce walczyć, po raz ostatni wypłynąć na powierzchnię.

Ciało przy ciele, wijącymi ruchami jak wyczerpane syreny, zdołają w końcu wystawić głowy nad powierzchnię, by zaczerpnąć ostatni haust powietrza.

Razem.

Liane wybuchła perlistym śmiechem i znowu całuje go w usta.

Martial unosi wzrok, nic nie rozumie.

Wokół nich, z nieba, zlatują anioły.

Bezszelestne anioły z ogromnymi, prostokątnymi, wielobarwnymi skrzydłami.

Godzina 17.27

Długa pomarańczowa plastikowa taśma odgranicza setkę gapiów nadbiegających spod piknikowych altanek, z osady Piton Sainte-Rose, z nadbrzeżnej drogi, gdzie gapie natychmiast się zatrzymali, od otoczonego czterema pniami palm czerwonych skrawka trawnika, na którym znajdują się trzy osoby.

Martial, Liane Bellion i Aja Purvi.

Pani komisarz odsunęła innych policjantów, także tych, którzy zgodzili się skoczyć z Enclos Fouqué, dwa tysiące metrów powyżej, i pikować w dół jak orły na mały czarny punkt dryfujący w stronę pełnego morza, widoczny przez lornetkę.

Później przyjdzie czas na podziękowania, prawienie uprzejmości, odznaczenia i honory Republiki.

Liane jest owinięta kocem ratunkowym, ale mimo to się trzęsie. Martial, który wolał zostać w mokrym ubraniu, obejmuje ją.

– Jak najszybciej przetransportujemy was do szpitala Félix-Guyon w Saint-Denis – mówi Aja cicho. – Helikopter właśnie ląduje. To nie będzie...

Liane, jak się zdaje, nie słucha.

– Gdzie jest Sofa? Znaleźliście Sofę?

Aja stoi w rozpiętym neoprenowym kombinezonie, pod którym widać kostium kąpielowy. Szybko odpowiada, tak szybko, że słowa wpadają na siebie:

– Znajdziemy ją, proszę się nie martwić. Wszystko zakończone. To kwestia kilku chwil.

Odpowiedź wymijająca, koło ratunkowe rzucone na chybił trafił... Aja zrobiła, co mogła. Martial dla uspokojenia kładzie rękę na ramieniu żony.

– Pani nic więcej nie wie, pani komisarz, prawda? Nie ma pani innych informacji niż my?

Milknie na chwilę, jakby szukał odpowiedniego sformułowania, czegoś pośredniego między ulgą a niepokojem.

– To i tak był cud, że pani zleciała z nieba. Nie będę prosił, żeby pani tam wracała...

Aja uśmiecha się. Z długich jasnych włosów Liane woda ścieka na płachtę ratunkową. W skupieniu wsłuchuje się w przejrzysty plusk wodospadu. Dalej, pod śliwami wiśniowymi, panuje ożywiony ruch. Trzask drzwi samochodowych, rozkazy policjantów, męskie śmiechy i krzyki dzieci. Pamiętny poniedziałek wielkanocny dla wszystkich spacerowiczów.

– Pani komisarz, ma pani dzieci?

Pytanie Liane zaskakuje Aję.

– Tak... tak...

– Ostatnimi dniami nie widywała ich pani za często. W jakim są wieku?

– Pięć i siedem lat.

Liane zmusza się do uśmiechu. Martial przeciągnął ręką po twarzy.

– Tak... Muszą być z pani dumne.

Aja przygryza wargę. Wzruszona. Czuje się zażenowana taką intymnością. Na Boga, gdzie jest ten Jipé i jego helikopter?

17.31

Nagle tłum się ożywia. Czterej policjanci bez pardonu siłą rozpychają gapiów, aby utorować przejście szerokości jednego metra. Z kieszeni dobywają się aparaty fotograficzne. Palce w pełnej gotowości. Aja spodziewa się, że zaraz ujrzy Jipégo, a wraz z nim dwóch ludzi z noszami.

Nietrafiony!

Laroché!

Jak genialny transformista inspektor znalazł czas na przebranie się w lnianą marynarkę, beżowe płócienne spodnie, mokasyny. Może nawet ma już za sobą trzy wywiady radiowe i dwa występy w telewizji.

Usuwa się na bok.

Pełen uśmiech.

Zza jego pleców wyskakuje jak strzała mała blondynka z dużym opatrunkiem w kształcie miski na głowie. Trafia prosto w serce Liane.

– Mama!

Sofa biegnie, trzymając w ręku bukiet z hibiskusa. Fiołkowoliliowe płatki rozgniatają się na kocu między piersią Liane a piersią córki. Cudowny zielnik, do

przechowania na całe życie.

– Znaleźliśmy ją na zastygłej lawie ponad Piton Sainte-Rose – wyjaśnia Laroche, nie dramatyzując. – Była ogłuszona po uderzeniu o drzewo, ale to nic poważnego. Mogliśmy przyjechać znacznie wcześniej, ale mała uparła się, żeby zebrać bukiet z kwiatów na spotkanie z panią.

Liane wybucha nerwowym śmiechem.

Sofa wypowiada kilka słów, chociaż jej klatka piersiowa jest ściśnięta jak w kleszczach:

– To dla czarodziejki z parasolem, mamó. To ona nas uratowała.

Martial czochra nieliczne krótkie włosy wystające spod opatrunku.

– Dobrze zrobiłaś, skarbie, obietnica jest obietnicą.

Trzaskają aparaty fotograficzne. Aja odchodzi na bok. Ustępuje miejsca Laroche'owi. Zdjęcia będą do oglądania za kilka godzin na Facebooku i na dziesiątkach blogów; dołączą do fotografii innych lokalnych osobliwości: cyklonów, wypływu lawy, akcji ratowniczych na morzu, będą też kwiatowe wota dziękczynne dla wszystkich świętych wyspiarzy: duchownych, strażaków, policjantów...

To wszystko dla niej za mało.

Podchodzi do kaskady. Nagle uprzytamnia sobie, że od lat się tutaj nie zatrzymała, w tym rajskim zakątku, że Jade i Lola nigdy tu nawet nie były, że te dwie małe diablice w gruncie rzeczy nie znają wyspy; że ona i Tom nie jeżdżą na pikniki, nie chodzą się kąpać, nie parkują samochodu przy drodze, że nie... Że czas tak szybko ucieka...

Chciałaby zobaczyć je tutaj, teraz, tulić całą wieczność, a potem zawieźć do matki do Fleurimont, do jej ceramicznego pałacyku, i wyjechać z Tomem, kochać się trzy dni i trzy noce.

Godzina 17.33

Morskie prądy zawiodły Graziellę aż do Cap Méchant, prawie na samym południu wyspy, między Saint-Philippe a Saint-Joseph. Jej stopy znajdują oparcie na powierzchni z trawy, piasku i obłych kamieni, a osłabioną ręką odrzuca na bok obie kamizelki ratunkowe nasiąknięte wodą, tak ciężkie jak ołowiane pasy.

Pada na małą plażę pod wulkaniczną falezą. Wyczerpana.

Może odpoczywać tylko kilka chwil. Nie powinna się tu zasiedzieć. Jeśli Bellion i ta jego zdzira wyszli z tego cało, zaraz będzie miała wszystkich gliniarzy na głowie.

Patrzy w niebo i wydaje jej się, że widzi chmurę lotni kołujących w stronę związanych ciał jak faetony wokół zdechłej ryby wyrzuconej za burtę kutra.

No już, trzeba iść. Nie ryzykować.

Ponad nią kilka kamyków stacza się z falez. Graziella przeklina, zapomniała o nich, o tych przebrzydłych czarnuchach i ich grillach. Cap Méchant, Anse des Cascades, Pas de Bellecombe. Spieszno jej wrócić na Mauritius. Jak mogła długie lata żyć na tej zacofanej wyspie śmierdzącej kari i szaszłykiem wołowym?

Lecą następne kamyki, teraz jest ich więcej, aż jakiś głos dochodzący nie wiadomo skąd zagłusza rumor tej mikrolawiny.

– Mam na wyspie sporo przyjaciół surferów. Na początku byłem jak dziewczyna zachwycony ich brawurą. A potem wytłumaczyli mi, że jeśli przeanalizować prądy morskie, gdy znany jest punkt, z którego wypływa ciało zanurzone w oceanie, łatwo przewidzieć dokładne miejsce, w którym wypłynie na ląd... – Christos podchodzi na skraj falez wznoszącej się na wysokość pięciu metrów nad plażą Grazielli. Trzyma w ręce służbowy pistolet i celuje w kobietę. – Miałem tę przewagę nad innymi policjantami, że przybyłem tu trochę wcześniej.

Graziella zbladła. Wyciąga szyję w stronę urwiska, pod światło widzi tylko ogromny cień, ale rozpoznała głos gliniarza z posterunku w Saint-Gilles. Czy on

coś wie? Uświadamia sobie, że nic już nie łączy jej z Malbarem, który zabił Rodina, Francuzkę o niebieskich włosach i tę czarną. Nie ma już czapki z daszkiem ani tuniki, żadnego sztucznego tłuszczu, szminki, dawno rozpuszczonej w oceanie.

– Bellion zwabił mnie do Anse des Cascades. Powiedział, że...

Nagle pada strzał, muska ucho Grazielli i wybucha trzy kamienie dalej.

Graziella aż podskakuje.

– Pan jest s...

Christos natychmiast jej przerywa:

– Nie ma potrzeby recytować tego łańcuszka alibi, pani Doré. Myślę, że zaistniało coś jakby nieporozumienie. Pani chyba mnie myli z kimś innym. Policjantem z Saint-Gilles. Przypomina sobie pani, tym, którego pani potraktowała jak durnia? Jestem do niego podobny, istotnie, ale pozory mylą.

Christos schyla się i siada, pozornie rozluźniony, na skraju urwistego brzegu górującego nad niewielką plażą, ale sig-sauer pozostaje wycelowany w kobietę.

Graziella cofa się. Więźniarka.

Szara prosta falezka podobna jest do muru więziennego, a gliniarz wygląda jak strażnik na wieży wartowniczej.

– Aha, jeszcze się nie przedstawiłem, jestem mężem Imeldy Cadjee. Pamięta pani, Ligne Paradis, ta czarna, którą wyrzuciła pani do śmietnika, ale najpierw wbiła jej pani nóż w serce.

– Pan zwariował, pan...

Graziella zdecydowanym krokiem idzie w stronę wąskiej ścieżki okalającej urwisko, porośniętej niskimi krzewami.

Kolejny strzał, kilka metrów od jej nogi, nakazuje, by się zatrzymała.

– Gdyby pani trafiła na gliniarza, pani Doré, odstawiłby panią do wymiaru sprawiedliwości, żeby miała pani bezstronny proces. Ale nieszczęśnik, który stracił ukochaną żonę...

Ostentacyjnie celuje jej w czoło. Graziella nie rusza się, jakby skamieniała. W spojrzeniu Christosa nie dostrzega ani strachu, ani nienawiści, ani determinacji, jedynie pustkę. Zrozumiała, że nie ma na niego żadnego wpływu, że żaden szantaż czy podstęp nie zadziałają.

Jemu jest wszystko jedno. Nie ma nic do stracenia. Stracił już wszystko.

Zaraz strzeli.

– Pani Doré, potraktuję panią ulgowo. Wiem, że Imelda nie chciałaby, żebym panią tak zlikwidował. Była nieprawdopodobnie inteligentna, ale – jak mieszkańcy

tej wyspy – bardzo mocno wierzyła we wszystkie tutejsze zabobony, ofiary, modlitwy, kult zmarłych, te rzeczy, rozumie pani? Zna pani modlitwy Murzynów, pani Doré?

Graziella milczy i tylko robi nieznaczny ruch głową. Nie spuszczać z niej wzroku, Christos kładzie pistolet obok siebie i z kieszeni wyciąga torebkę narkotyku. Powoli robi skręta, zapala go, po czym ciągnie:

– Nie? Nigdy nie musiała pani prosić o cokolwiek bogów czarnych? No to spróbuję wygłosić taką modlitwę dla pani. Z pamięci. Nie obiecuję wiele, ale prawie co wieczór słuchałem, jak odmawiały to dzieci: Dorian, Joly i Amic, przy łóżku. Ta trójka to dzieci Imeldy Cadjee. Może pani podziękować tym małym Murzynkom za krótkie zawieszenie kary, pani Doré. Żeby miała pani jakiś punkt zaczepienia, powiem, że modlitwa kończy się czymś w rodzaju: „ale uwolnij nas od zła”, jeśli potrzebuje pani tłumaczenia.

Christos znowu celuje pistoletem w niespokojne oczy Grazielli i zaczyna powoli recytować:

*Aou, nout Papa dann syèl
Amont vréman kisa ou lé,
Fé kler bard'zout out royom,
Fé viv out volonté.*

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Święć się imię Twoje,
Przyjdź Królestwo Twoje,
Bądź wola Twoja.

Modlitwa wtóruje myślom Christosa.

Ile lat więzienia może dostać gliniarz, który z bliskiej odległości zastrzelił nieuzbrojoną zbrodniarkę? A nawet najgorszą ze zbrodniarek? Kilka lat? Może mniej, z darowaniem części kary i skróceniem...

*Partou toulant parèy dann syèl.
Donn anou zordi zourpouzour*

Nout manzé pou la vi.

Jako w niebie, tak i na ziemi.
Chleba naszego powszedniego
Daj nam dzisiaj.

Zaciąga się skretem. Pójść do więzienia, to mógłby być najlepszy pretekst, żeby być nieobecny w dzień, gdy opieka społeczna wyspy przyjedzie opróżnić dom w Saint-Louis i zabrać pięcioro dzieciaków do sierocińca w Le Tampon.

Przy odrobinie szczęścia Nazir będzie już pełnoletni, gdy Christos zostanie zwolniony. Może nawet pójdzie siedzieć do więzienia w Domenjod za kradzież albo dilerstwo, wtedy gdy Christos będzie wychodził. A może dom zostanie sprzedany. Może Christos nigdy już nie usłyszy o tych dzieciakach.

*Pardonn anou le tor nou la fé
Kom nou osi ni pardonn lézot.*

I odpuść nam nasze winy,
Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

W oczach pojawiają się łzy. Ociera je, udając, że szczypie go dym ze skreta, zwiewany na twarz. Graziella stoi nieruchomo dwa metry niżej w oczekiwaniu na wyrok; może wygłasza te same strofy po łacinie lub w języku kreolskim maurytyjskim. W uszach dzwonią mu dziecięce śmiechy, mieszają się z kreolską modlitwą, którą odmawiały co wieczór.

Dzisiaj nie pracujesz, Jezusie?
Przestaniesz wreszcie patrzeć na pupę mamy?
Mogę spać z wami, w waszym łóżku?

Narkotyk służy za parawan, pomaga mu odgonić cienie tych dzieci, gdy ciągną go i dopraszają się o pieszczotę lub przewalankę; pomaga też mówić od rzeczy, gadać do siebie, tam w górze, w zamroczonym umyśle.

Nie, Imeldo, nie! Nawet w marzeniach! Jestem małym cynicznym głupkiem, który przez całe dni pije w porcie.

Szczerze, Imeldo. Czy choć przez chwilę o tym myślałaś?

Wyobrazasz mnie sobie jako ojca rodziny?

Pięcioro dzieci za jednym zamachem w dodatku.

Dym ze skręta układa się w dziwaczne kształty, twarze, zapachy, głosy.

Trzeba się było nad tym zastanowić wcześniej, Imeldo. Przecież nie jestem nawet ojcem tych dzieci... Kim tak naprawdę jestem dla tych małolatów? Nikim... Imeldo, byłaś dzielna, najdzielniejsza z czarnych, ale pomyliłaś się co do faceta w tym względzie... Facet, który goli poncz za ponczem i pali trawkę.

Fatalny wybór...

Lès pa nou anmay anou dann tantasyon

Mé tir anou dann malizé.

I nie wódź nas na pokuszenie,

Ale nas zbaw ode złego.

Uwolnij nas od zła.

Skończyć już z tym, strzelić.

Christos, opowiesz mi historię o złych ludziach?

O bardzo złych...

*

Ręka Christosa chwytą nagle torebkę trawki leżącą między jego kolanami i gestem zrezygnowanego rybaka rzuca ją jak najdalej do oceanu.

Celuje z broni do Grazielli. Ona zamyka oczy, składa ręce.

To już koniec.

– Graziello Doré, jest pani aresztowana za zamordowanie Amaury'ego Hoarau, Chantal Letellier i Imeldy Cadjee. Będzie pani odpowiadać za zbrodnie przed

wymiarem sprawiedliwości tej wyspy.

Milknie, głęboko zaciąga się narkotykiem, nieskończenie długo, po czym prztyczkiem wyrzuca niedopałek na plażę.

Ostatni papieros.

Papieros skazańca.

Zająć się pięciorgiem dzieci...

W głowie dźwięczy mu gromki śmiech Imeldy.